

Nawiązująca do *Lśnienia* przewrotna opowieść o postapokalipsie.
„Kirkus Reviews”

OSTATNI

JEDEN HOTEL. DWUDZIESTU OCALAŁYCH.



HANNA JAMESON

Mroczna, oryginalna, fascynująca.
C.J. Tudor, autorka *Kredziarza*

OSTATNI

HANNA JAMESON

Przełożyła Paulina Broma

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2020

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Prolog

Dzień trzeci

Dzień szósty

Dzień szósty (2)

Dzień ósmy

Dzień osiemnasty

Dzień dwudziesty

Dzień dwudziesty pierwszy

Dzień dwudziesty drugi

Dzień dwudziesty szósty

Dzień dwudziesty siódmy

Dzień czterdziesty

Dzień czterdziesty ósmy

Dzień czterdziesty dziewiąty

Kroniki pierwszych miesięcy postnuklearnej rzeczywistości spisane przez prawdopodobnie ostatniego żyjącego historyka dr. Jona Kellera

Dzień pięćdziesiąty

Dzień pięćdziesiąty (2)

Dzień pięćdziesiąty (3)

Dzień pięćdziesiąty pierwszy

Dzień pięćdziesiąty drugi

Dzień pięćdziesiąty trzeci

Dzień pięćdziesiąty czwarty

Dzień pięćdziesiąty czwarty

Dzień pięćdziesiąty piąty

Dzień pięćdziesiąty ósmy

Dzień pięćdziesiąty ósmy (2)

Dzień pięćdziesiąty dziewiąty

Dzień sześćdziesiąty

Dzień sześćdziesiąty (2)

Dzień sześćdziesiąty (3)

Dzień sześćdziesiąty pierwszy

Nathan

Dzień sześćdziesiąty drugi

Dzień sześćdziesiąty drugi (2)

Dzień sześćdziesiąty drugi (3)

Dzień sześćdziesiąty trzeci

Dzień sześćdziesiąty trzeci (2)

Dzień sześćdziesiąty trzeci (3)

Dzień sześćdziesiąty czwarty

Dzień sześćdziesiąty czwarty (2)

Dzień sześćdziesiąty czwarty (3)

Dzień sześćdziesiąty czwarty /Dzień sześćdziesiąty piąty

Dzień sześćdziesiąty szósty

Dzień sześćdziesiąty szósty (2)

Dzień sześćdziesiąty szósty (3)

Dzień sześćdziesiąty szósty (4)
Dzień sześćdziesiąty szósty (5)
Dzień sześćdziesiąty siódmy
Dzień sześćdziesiąty ósmy
Dzień sześćdziesiąty ósmy (2)
Dzień sześćdziesiąty ósmy (3)
Dzień sześćdziesiąty ósmy (4)
Dzień sześćdziesiąty dziewiąty
Dzień siedemdziesiąty
Dzień siedemdziesiąty (2)
Dzień siedemdziesiąty (3)
Dzień siedemdziesiąty (4)
Dzień siedemdziesiąty (5)
Dzień siedemdziesiąty (6)
Dzień siedemdziesiąty (7)
Dzień siedemdziesiąty pierwszy
Dzień siedemdziesiąty pierwszy (2)
Dzień siedemdziesiąty drugi
Dzień siedemdziesiąty trzeci
Dzień siedemdziesiąty trzeci (2)

Tytuł oryginału: *The Last*

Redakcja: Agnieszka Niegowska

Projekt okładki: Penguin Books UK

Adaptacja okładki: KAV Studio Pola Rusiłowicz

Korekta: Aleksandra Ślósarska, Monika Łobodzińska-Pietruś

Copyright © Hanna Jameson, 2019

Copyright for the Polish translation by Paulina Broma

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-949-5

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Lee, ku pamięci

„Ciągłe będą pojawiać się i wkraczać na arenę nowi antagoniści, i kawałek po kawałku rozpadnie się nasz piękny świat. Niczym starożytna ruina, przez której rozsypujące się ściany przenika pogwizdujący wiatr i deszcz. Każdego dnia rozpadnie się inny fragment, aż zostanie tylko sterta kamieni, która wskaże miejsce, gdzie stał kiedyś, w czasach świetności. Wszyscy bierzemy udział w tej okrutnej grze, kryjąc się za złudzeniem, że uda nam się doprowadzić do szczęśliwego zakończenia. Przygnębia mnie myśl o tym, jaki będzie koniec”.

– Hans Keilson, *The Death of the Adversary*

Prolog

Dzień trzeci

Któregoś dnia Nadia powiedziała mi, że nie mogła w nocy spać, bo przeczytała w telefonie powiadomienie o koncepcji zwiastującej koniec świata. Może nie była to porywająca przemowa w stylu Kennedy'ego, który zagrożenie nuklearne porównał do miecza Damoklesa, ale w pamięci zapadło mi każde słowo.

Według mnie właśnie coś takiego wydarzyło się trzy dni temu, gdy jadłem śniadanie wliczone w cenę pokoju hotelowego.

Siedziałem przy oknie i patrzyłem na pobliski las oraz okalającą budynek ścieżkę, prowadzącą na parking za rogiem.

Słysząc było cichy gwar, kilka par i jedna czy dwie rodziny wymeldowywały się wczesnym rankiem. Spośród uczestników konferencji na śniadanie przybyłem jako pierwszy. Wprawdzie poprzedniego wieczora nieco się zasiedzieliśmy i wypiliśmy o kilka drinków za dużo, ale zazwyczaj staram się nie robić odstępstw od rutyny, nawet jeśli jest to czasem dotkliwie.

Na początku mieliśmy mieszkać w innym miejscu. Konferencja miała się odbyć w hotelu bliżej Zurychu, bardziej na północ. Lecz osiem miesięcy temu wybuchł tam pożar. Zmiana planów poszła gładko i finalnie zakwaterowano nas w L'Hotel Sixième, który, jak sobie żartowaliśmy, znajdował się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Cholernie ciężko było tu dojechać.

Czytałem właśnie pierwszy rozdział rozprawy o rekonesansie fotograficznym, jego aspektach prawnych i historii dokonań wywiadu lotniczego. Robiłem notatki do nadchodzącego cyklu wykładów. Mój telefon był wyciszony.

Po lewej stronie stała szklanka soku pomarańczowego. I czarna kawa. Trochę rozlałem na obrus, gdy zbyt gwałtownie po nią sięgnąłem, ale zaraz dostałem dolewkę. Czekałem na jajka po benedyktyńsku.

Banał nad banałami.

Ostatnia wiadomość, jaka nadeszła od Nadii, została wysłana poprzedniej nocy, o jedenastej trzydzieści. Oto jej treść: „Uważam, że wszyscy w moim fachu robią więcej szkody niż pożytku. I jak ja mam dalej kochać swoją pracę? Bardzo za Tobą tęsknię. Ty zawsze wiesz, co mi powiedzieć w takiej sytuacji. Przykro mi, że rozstaliśmy się w taki sposób. Kocham Cię”.

Nie zareagowałem na jej kryzys egzystencjalny, ponieważ wiedziałem, że lekkie opóźnienie w napisaniu odpowiedzi ujdzie mi płazem. Wiedziała, czym jest różnica czasu i że muszę ją odespać. Chciałem zebrać myśli i rano napisać coś bardziej wyważonego, pokrzepiającego. Że świat potrzebuje wysokiej klasy dziennikarstwa, że wciąż może zmieniać je na lepsze... Coś w tym stylu. Pewnie mejl byłby lepszy.

Wszystkim nam się wydawało, że mamy czas.

A teraz nie możemy wysłać już żadnego mejla...

Przy jednym ze stolików rozległ się dziwny hałas, piskliwy krzyk. Jakaś kobieta. Nie powiedziała niczego konkretnego, tylko krzyknęła.

Podniosłem głowę. Siedziała ze swoim partnerem, jak sądzę, i patrzyła w ekran telefonu.

Podobnie jak pozostali goście sądziłem, że zareagowała tak na jakąś wiadomość lub zdjęcie. Wróciłem więc do lektury. Lecz po chwili głos kobiety poinformował wszystkich wkoło:

– Zbombardowali Waszyngton!

A przecież nawet nie chciałem jechać na tę cholerną konferencję.

Nie pamiętam dokładnie, co działo się przez kolejne godziny. Lecz gdy sprawdziłem powiadomienia i media społecznościowe w telefonie, zdałem sobie sprawę, że Nadia miała rację. Stało się dokładnie to, czego się obawiała. Właściwie pamiętam jedynie nagłówki wiadomości.

Z OSTATNIEJ CHWILI: TRWA ATAK NUKLEARNY NA WASZYNGTON.
CZEKAMY NA KOLEJNE DONIESIENIA.

Z OSTATNIEJ CHWILI: 200 TYSIĘCY ZABITYCH – SZACUJĄ EKSPERCI.

Z OSTATNIEJ CHWILI: POTWIERDZONO, ŻE PREZYDENT I PERSONEL
BIAŁEGO DOMU ZGINĘLI W ATAKU NUKLEARNYM. CZEKAMY NA
KOLEJNE DONIESIENIA.

Potem pokazano film nakręcony z lotu ptaku nad Londynem – patrzyliśmy, jak na naszych oczach obracają się w pył budynki i jak nic po nich nie zostaje, tylko chmura dymu. Był to jedyny dostępny materiał, więc oglądaliśmy go raz za razem, na okrągło. A jednak nie robił takiego wrażenia jak nagłówki. Pewnie wszystkich nas znieczuliły podobne obrazy pojawiające się w filmach. A tu nagle bezdźwięcznie znika na naszych oczach z powierzchni Ziemi całe miasto – zbyt szybko, zbyt cicho.

Nad przedmieściami Berlina samolot zaczął spadać i to wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że Berlin też zniknął – jedna z pasażerek wrzuciła do internetu film, nagrany podczas gdy samolot pikował. Pewnie do silników dostał się pył. Nie pamiętam, co powiedziała. Płakała i nie mówiła po angielsku. To były pewnie słowa pożegnania.

Z OSTATNIEJ CHWILI: ZDETONOWANO LICZNE ŁADUNKI NUKLERNE
W CAŁYM WASZYNGTONIE, SETKI TYSIĘCY OFIAR I POSZKODOWANYCH.

Z OSTATNIEJ CHWILI: KANADYJSKI PREMIER PROSI O ZACHOWANIE
SPOKOJU PO ATAKU NUKLEARNYM NA STANY ZJEDNOCZONE.

Z OSTATNIEJ CHWILI: STANY ZJEDNOCZONE BEZ RZĄDU. BOMBA
NUKLEARNA ZNISZCZYŁA WASZYNGTON.

Może miałem szczęście, że oglądałem koniec świata w sieci, zamiast słyszeć eksplozje i wycie alarmów bombowych.

Jeszcze żyjemy. Dziś jest dzień trzeci i nie ma już internetu. Siedzę w pokoju hotelowym i patrzę na horyzont za oknem. Jeśli coś się wydarzy, postaram się opisać to najdokładniej, jak potrafię. Mój wzrok sięga daleko, daleko ponad lasem, więc gdy przyjdzie nasza kolej, zauważę zagrożenie dużo wcześniej. Przynajmniej mam taką nadzieję. Choć w sumie nie ma tu nikogo, z kim chciałbym się pożegnać.

Nie mogę uwierzyć, że nie odpisałem Nadii na jej wiadomość. Nie mogę uwierzyć, że wydawało mi się, że mam na to mnóstwo czasu.

Dzień szósty

Myślę, że powinienem wszystko zapisywać. Chmury mają dziwny kolor, ale nie wiem, czy to nie kwestia tego, że jestem w szoku. Może wyglądają jak zwykle.

Zacząłem zaznaczać dni słoneczne i deszczowe. Jak dotąd minęło pięć dni.

Prawdopodobieństwo, że zacznie się armagedon, wydaje się teraz mniejsze, choć nie mamy internetu, a nasze telefony odmawiają jakichkolwiek połączeń. Nie wiemy więc, co dzieje się w wielkim świecie. Tak czy siak, nie siedzę już ciągle w oknie swojego pokoju. Muszę jeść.

Rozmawiałem z kilkoma znajomymi w restauracji, gdzie nieliczny już personel ciągle jeszcze serwuje posiłki. Chcą się stąd wydostać na piechotę. Ja zamierzam poczekać na pomoc i oficjalnie zorganizowaną ewakuację. Brak sieci i telewizji sprawia, że nie mamy pojęcia, kiedy to nastąpi. Ale w końcu ktoś po nas przyjdzie.

Dzień szósty (2)

Kłamałem. To nieprawda, co wcześniej napisałem. Chciałem przyjechać na tę konferencję. Cieszyłem się, że mogę uciec od Nadii i naszych dzieci. Niedługo mogę umrzeć, więc nie ma sensu kłamać.

Przepraszam, Nadio. Jeśli kiedykolwiek to przeczytasz. Bardzo, bardzo przepraszam.

Nie wiem, czy ktoś po nas przyjdzie.

Dzień ósmy

Pogoda ciągle taka sama.

Wyszedłem na spacer wokół hotelu i znalazłem dwóch ludzi, którzy powiesili się na klatce schodowej. Dwóch mężczyzn. Nie wiem, kim byli. Dylan, szef ochrony hotelu, pomógł mi ich zabrać z widoku i pochować. Kilka innych osób przyszło do nas ze świecami w rękach. Zorganizowaliśmy spontaniczne czuwanie.

Wracając do hotelu, zapytałem Dylana, czy ktoś przyjdzie nam z pomocą. Powiedział, że nie, raczej nie, ale nie chce, żeby ludzie wpadli w panikę. Na co dzień staramy się przynajmniej względnie regularnie wykonywać rutynowe czynności. Schodzimy na dół na śniadania i kolacje. Resztę czasu spędzamy w swoich pokojach.

Zastanawiam się, czy nadal trwają bombardowania i czy w nas też coś uderzy. Może tak byłoby lepiej. Nie mogę znieść tej niewiedzy.

Dziś po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że pewnie już nigdy nie zobaczę Nadii, Ruth ani Marion. Ani mojego ojca i jego żony, ani moich studentów, ani moich przyjaciół. Nie ma nawet ludzi, którzy przyjechali tu na konferencję. Odeszli.

Jest mi niedobrze. Nie wiem, może to choroba popromienna, a może nie.

Dzień osiemnasty

Jak dotąd nikt jeszcze nie umarł od choroby popromiennej.

Nikt po nas nie przyjedzie. Nie będzie żadnej ewakuacji.

Dylan wraz z kilkoma mężczyznami wyszli dziś z hotelu zaopatrzeni w strzelby i wrócili z jeleniem. Wygląda na to, że chwilę tu pobędziemy. Rano w restauracji policzyłem, ilu nas jest. Dwadzieścia cztery osoby. W tym przynajmniej dwójka małych dzieci i para staruszków, z których jedno nie słyszy.

Tak ma wyglądać koniec? Ludzkości, mam na myśli. Czy jestem ostatnim żyjącym człowiekiem robiącym notatki o końcu świata? Nie wiem, ale chyba wolałbym już nie żyć.

Dzień dwudziesty

Pogoda się nie zmienia.

W hotelu jest lekarka. Jeszcze nie wiem, jak się nazywa.

Wiem tylko, że tu jest, ponieważ jedna Francuzka zabiła się na klatce schodowej. Związała sznurowadła od butów i rzuciła się w dół ze schodów, trzymając w ramionach malutką córeczkę. Niestety, lekarka nie mogła już pomóc matce, ale dziewczynka szczęśliwie przeżyła. Zajęła się nią para Japończyków.

Znów rozmawiałem z Dylanem. Chce pod koniec tygodnia odciąć gaz i prąd na górnych piętrach. Nie wie, na jak długo starczy nam jednego i drugiego, więc czułby się pewniej, oszczędzając na nadchodzące miesiące energię do mrożenia żywności, a gaz do gotowania.

Wcześniej, podczas obiadu, zrobiliśmy szybkie głosowanie. Dylan wyjaśnił, jak wygląda sprawa z jedzeniem, i wszyscy poparli jego pomysł. Potem odłączono gaz i prąd w naszych pokojach. Jest początek lipca, a mimo to od razu zrobiło się zimno.

Dzień dwudziesty pierwszy

Odeszły kolejne dwie osoby. Para staruszków wyskoczyła z okna na najwyższym piętrze. Nie chce ich oceniać ze względu na okoliczności, ale przeszliśmy gehennę przy sprzątanii i pochówku.

Dzień dwudziesty drugi

Zauważyłem, że ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać podczas posiłków. Wcześniej nikt się do nikogo nie odzywał. Aż do teraz.

Wydaje mi się, że znam skądś jedną osobę. Pewną blondynkę. Ale nie wiem skąd, ponieważ nie przyjechała tu na naszą konferencję. Wydaje mi się, że to ostatnia Amerykanka, jaka została. Nie rozmawiałem z nią. Chyba chce być sama.

Facet o imieniu Patrick mieszka kilka pokoi ode mnie. Czasem biega wte i wewte po korytarzu pod moimi drzwiami. Tupot stóp bywa w nocy nieco niepokojący.

Dzień dwudziesty szósty

Młody barman, Australijczyk, powiedział mi dziś:

– Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie śmierć w wojnie nuklearnej, ale cieszę się, że mamy nieograniczony dostęp do baru.

Dzień dwudziesty siódmy

Jestem pewien, że zeszłej nocy słyszałem dźwięki gitary. Poszedłem się przejść. Było przerażająco, mimo zapalonej świecy. Chciałem znaleźć pokój, z którego dobiega muzyka. Ale go nie znalazłem. W sumie nikogo nie znalazłem. Kilkanaście pięter, jakieś tysiąc pokoi, a ja nie spotkałem żywego ducha. Ten hotel jest o wiele większy, niż sądziłem. Wzbudza we mnie niepokój.

Droga Nadio!

Minął już miesiąc i nie wydaje mi się, żebyś to kiedykolwiek przeczytała. Nie wiem nawet, czy nadal żyjesz. Lecz skoro jest cień szansy, że może jednak przeczytasz moje zapiski, chciałbym, żebyś wiedziała, że zasłużyłaś na kogoś lepszego ode mnie. Może nawet sama zdałaś sobie już z tego sprawę.

Przepraszam, że nie ma mnie przy Was w obliczu końca świata. Jak zwykle spóźniony! Zawsze miałem problem z tym, żeby być we właściwym miejscu o właściwym czasie. Przepraszam, że musiałaś tolerować moje liczne wpadki. Wszystko, co najlepsze, nasze dzieci odziedziczyły po Tobie.

Błagam, bądźcie bezpieczne najdłużej, jak to możliwe.

Uważałem, że na wszystko mam czas. Przepraszam.

Kocham Cię. I nigdy nie przestanę. Przysięgam, że Cię znajdę, nawet jeśli miałyby to być w kolejnym życiu.

Twój na zawsze

Jon

Dzień czterdziesty

Przez jakiś czas nie wychodziłem z pokoju. Byłem za bardzo zdołowany, żeby pisać czy z kimś porozmawiać. Dziś po raz pierwszy od tygodnia wyszedłem na zewnątrz. Na spacer przed hotelem.

Zapytałem barmana, który ma na imię Nathan, co sądzi o kolorze nieba i czy zgodzi się ze mną, że chmury przybrały dziwną barwę.

– Rdzawą – powiedział.

Lekarka Tania – bo już wiem, jak ma na imię – poszła pobiegać w lesie otaczającym hotel. Zatrzymała się obok nas i spojrzała w górę, podążając za naszym wzrokiem. Jest bardzo zimno. Nikt przecież nie wziął ze sobą zimowych ubrań, bo nie wiedzieliśmy, że zastanie nas tu koniec lata. I cywilizacji.

– Rozmawiacie o chmurach? – zapytała.

– Taaak, dziwnie wyglądają, prawda? – odparł Nathan.

– Są pomarańczowe. – Zmrużyła oczy, mimo że nie świeciło słońce. Chyba zrobiła to odruchowo.

– Cieszę się, że nie tylko ja to widzę – stwierdziłem. – Myślałem, że może z powodu szoku zaczynam mieć zwiidy.

– Myślicie, że to... jakieś promieniowanie?

– Nie – powiedziała Tania z pewnością w głosie. – Ten kolor to pewnie pył i odłamki unoszące się po eksplozjach. Gdyby w Ziemię uderzyła asteroida, tak samo by to wyglądało.

Przez chwilę w milczeniu przypatrywaliśmy się obłokom w kolorze oranżu. W pewnej chwili Tani zrobiło się zimno i zaczęła mieć dreszcze.

– Straszne. – Wskazała głową na las. – Lada moment zaczną umierać drzewa.
Pogoda się nie zmienia.

Dzień czterdziesty ósmy

Staram się trzymać.

Dzień czterdziesty dziewiąty

Będę pisał dalej. Wydaje mi się, że jak przestanę, to położę się i umrę.

**Kroniki pierwszych miesięcy
postnuklearnej rzeczywistości
spisane przez prawdopodobnie
ostatniego żyjącego historyka dr.
Jona Kellera**

Dzień pięćdziesiąty

Woda w kranach zrobiła się mętna i źle smakuje, więc Dylan, Nathan i ja weszliśmy na dach, żeby sprawdzić zbiorniki.

Dylan to jeden z niewielu członków obsługi, który nie uciekł. Pozostał na posterunku. Ten wysoki, czarnoskóry mężczyzna pod pięćdziesiątkę, z zaraźliwym uśmiechem i krótko przystrzyżonymi włosami, zaraz po wybuchu wojny automatycznie został naszym przywódcą. Lepiej niż ktokolwiek inny zna hotel i okolicę, ponieważ pracuje w tym miejscu od ponad dwudziestu lat. Gdy mówi po angielsku swoim głębokim głosem, prawie w ogóle nie słyhać obcego akcentu. Nie mam pojęcia, skąd pochodzi. Może jest Szwajcarem...

– To pewnie martwe ptaki – orzekł, gdy wdrapaliśmy się na trzynastą kondygnację budynku. – Też musiały szukać wody.

Chciałbym, żeby to były tylko martwe ptaki.

Na dziesiątym piętrze musiałem się zatrzymać i przysiąc na swojej skrzynce z narzędziami. Nathan poszedł w moje ślady.

Dylan wzruszył ramionami. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby odstawić narzędzia, podczas gdy my próbowaliśmy złapać oddech.

– Jak ty to robisz, że jesteś w takiej formie? – zapytał Nathan.

– Regularny wysiłek fizyczny.

– To załatwia sprawę. – Nathan spojrzał na mnie. – A ty, Jon?

– Och, ja wkładam w mój absolutny brak sylwetki zero wysiłku. – Spojrzałem na swoje ciało. – W pracy głównie siedzę. Dużo czytam i rozmyślam.

– Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo możemy być beużyteczni, dopóki nie spróbowałem rozpać ognia bez zapalniczki – parsknął barman. – Nie mogłem uwierzyć, że nikt z nas nie wie, jak to zrobić. To znaczy, wiedziałem, że ja nie potrafię, ale miałem nadzieję, że ktoś jednak umie.

– Nie znośłem biwaków – oznajmił Dylan. – Wakacje bez sznapsa i relaksu w szlafroku to nie wakacje.

– Ja też nie znośłem biwaków – zgodziłem się z nim.

– Ja nie znośłem sznapsów – wciął się Nathan.

Uśmiechnąłem się.

– Chyba tylko dzieci lubią wakacje pod namiotem. Mam dwójkę, więc jeździłem częściej, niż bym chciał.

– Czyli ile razy? – zapytał Dylan.

– Nigdy.

Nathan zaczął się śmiać. Jest chudym Australijczykiem rasy mieszanej. Prowadził hotelowy bar. Ma opadające powieki i monotony głos, więc na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie apatycznego. W rzeczywistości jest jednak duszą towarzystwa o niespożytej energii. Ciągle potrafi nas rozbawić, a ostatnimi czasy o to niełatwo.

– Nie wiedziałem, że masz dzieci – powiedział Dylan, odstawiając w końcu swoją skrzynkę na podłogę. – Ja mam córkę.

– W jakim wieku? – zapytałem.

– Trzydzieści lat.

– Gdzie... gdzie teraz jest?

– Mieszkała z mężem w Monachium. – Nie musiał nam tłumaczyć, co to oznacza. – A co z twoimi?

– Są w domu, w San Francisco, z matką. Mają sześć i dwanaście lat.

– Co tu robisz? Przyjechałeś na konferencję?

– Tak.

– Myślałem, że wszyscy uczestnicy konferencji dawno stąd uciekli.

– Taaak, ci, co chcieli dostać się na lotnisko, to byli właśnie moi koledzy po fachu, znajomi z innych uczelni.

– Spodziewałem się, że więcej z nich wróci – odezwał się Nathan, wstając – gdy w końcu zdadzą sobie sprawę... Tak się zastanawiam... Dlaczego w ogóle stąd uciekli? Przecież ogłoszono, że lotniska nie działają, a na drogach panuje istne szaleństwo. Powinno ich wrócić zdecydowanie więcej.

– Nie, nie zgadzam się. Myślę, że jak już zdecydujesz się ruszyć w drogę, to nie chcesz zawracać, tylko idziesz dalej. Byle do przodu. – Dylan podniósł swoją skrzynkę z narzędziami.

– Zdziwiło mnie, że wszyscy wyjechali – ciągnął dalej Nathan. – Aż tyle osób? Jakby mieli zamiar co zrobić, złapać samolot?

Wstałem, przyciągnąłem swoją skrzynkę do biodra i kontynuowaliśmy wspinaczkę po schodach.

– Dużo ludzi myli bycie w ruchu z robieniem postępów – stwierdził Dylan. – Wiedziałem, że odejście stąd to zły pomysł, ale co mogliśmy zrobić? Pozamykać ich? Nie byli w stanie stawić czoła prawdzie.

Oparłem się o ścianę klatki schodowej, podczas gdy Dylan wyjmował pęk kluczy. Powietrze na górze było gęste, duszące i pełne pyłu. Śmierdziało. Nie podobała mi się ta klatka schodowa, ale windy oczywiście nie działały. Już od niemal dwóch miesięcy. W zasadzie to od pierwszego dnia.

– Mylenie ruchu z postępem... Szkoda, że ludzie nie pomyśleli o tym wcześniej – rzekłem. – Można było tego wszystkiego uniknąć.

– Jon, trafiłeś w sedno. Gdzie byłeś podczas wyborów, gdy ludzie potrzebowali rozsądnego kandydata?

Nie wiedziałem, co mu na to odpowiedzieć.

Na dachu rozdzieliliśmy się i każdy zajął się jednym zbiornikiem. W sumie były cztery wysokie pionowe cysterny z drabinkami po bokach. Przymocowałem szufelkę do paska i zacząłem się wspinać. Musiałem zdjąć rękawiczki, żeby chwycić się szczebelków. Było lodowato. Wydawało mi się, że wiem, co to zimno, ale to było nic w porównaniu z tym tutaj. Zimno nigdy się nie kończyło

i bardzo dawało w kość. Dosłownie przeobrażało sylwetkę. Człowiek zaczynał chodzić ze zwieszoną głową, zgarbionymi plecami i zapadniętymi ramionami. I tak cały czas.

Gdy wszedłem na szczyt, odwróciłem się i spojrzałem w dół, na las. Podczas oddychania powietrze wydawało się czyste, ale powłoka z chmur wisiała nisko nad ziemią i wszystko tonęło w mroku. W pierwszą noc po przyjeździe słyszałem brzęczenie owadów ze swojego pokoju na trzecim piętrze. Teraz drzewa milczały, brązowiały i umierały, choć był dopiero sierpień. Żadnych ptaków, jedynie martwa cisza. Do najbliższego miasta była ponad godzina drogi, a za nim znów ciągnęły się kilometry lasów.

Nie przypominam sobie, kiedy widziałem słońce w pełnej krasie. Owszem, widziałem, jak przemyka gdzieś za chmurami, daleko poza zasięgiem, jak płaski, dwuwymiarowy dysk za szarym woalem.

Zastanawiałem się, ilu z moich kolegów dotarło do lotniska i co tam zastali. Nie wszyscy wsiedli od razu do samochodów. Niektórzy opuścili to miejsce nieco później, sami czy w dwu-, trzyosobowych grupach, na piechotę, nie zdając sobie sprawy z rozmiarów lasu i niskich temperatur. Próbowałem niektórych z nich zatrzymać, ale zdroworozsądkowe argumenty przestały do nich przemawiać.

Choć w sumie wcześniej też ludzie ignorowali zdrowy rozsądek. Na tym właśnie polega cały problem.

Zaczęła we mnie rosnać kula emocji, ścisnęła mi gardło i odcięła oddech.

Wepchnąłem ją z powrotem gdzieś w głąb siebie.

– Wszystko okej? – krzyknął do mnie Dylan.

Złapałem uchwyt na pokrywie zbiornika i zaraz zimno sparaliżowało mi palce. Zacząłem tracić w nich czucie. Nie czułem już ani ust, ani nosa.

– Tak, tak, ale pokrywa jest bardzo ciężka! Ani drgnie!

– Poczekaj, idę do ciebie! W moim zbiorniku wszystko w porządku. – Dylan zaczął schodzić.

– Nie musisz wchodzić na górę. Chyba mi się uda! – Sięgnąłem za plecy po szpadel i włożyłem go w szparę przy krawędzi cysterny, próbując podważyć pokrywę. Metal zgrzytał i piszczał, aż zęby bolały. W końcu pokrywa zaczęła odpuszczać, włożyłem więc szpadel głębiej, żeby ją podważyć.

Ciemność.

Próbowałem złapać równowagę na drabince i nie rozmyślać ani o wysokości, ani o zimnie. Włożyłem prawą rękę z łopatką jeszcze głębiej i zacząłem przeszukiwać wodę. Jej poziom był tak niski, że ledwo mogłem do niej dosięgnąć, ale z tego co widziałem, nie było w niej żadnej padliny ani gruzu.

Zdałem sobie sprawę, że niedługo skończy nam się woda.

Poczułem bezduszny łopot paniki, która dwa miesiące temu zagościła na stałe w mojej klatce piersiowej i powodowała zawroty głowy. Atak przychodził, gdy tylko przestawałem koncentrować się na zadaniu i myślałem o czymś innym. Musiałem więc skupić się na tym, co tu i teraz, i całkowicie zablokować rozmyślenia o przeszłości czy przyszłości. To był jedyny sposób, żeby nie postradać zmysłów.

– Tu też wszystko okej! – krzyknąłem, ale mój głos zniknął w podmuchach wiatru.

Usłyszałem głośnie i nerwowe „Kurwa!” i spojrzałem na drugą stronę dachu dokładnie w momencie, gdy Nathan poślizgnął się i runął w dół.

Instynkt wziął górę i chcąc go odruchowo złapać, straciłem równowagę i grunt pod nogami. Nathan zniknął mi z oczu, a ja zawisłem, trzymając się tylko jedną ręką szczebelka. Moje ciało uderzało jak kukła o ścianę zbiornika.

Myślałem, że zwichnąłem sobie bark, bo w klatce piersiowej i obojczyku poczułem przeszywający ból. Ale nic takiego się nie stało. Udało mi się stanąć z powrotem bezpiecznie na drabince. Palce mi krwawiły. Zorientowałem się też, że wypadł mi szpadel.

Nathan leżał na dole, ale próbował już wstać o własnych siłach. Nic mu się nie stało. Tuż obok niego zobaczyłem Dylana, który również próbował się podnieść.

Migiem zszedłem z drabinki i przebiegłem przez dach.

– Co się stało? Wszystko w porządku, chłopaki?

– Coś tam jest! Ja, kurwa, nie żartuję. – Nathan oglądał swoje ramiona, podciągając trzy warstwy ubrania. – Zbiornik jest prawie pusty, ale coś tam jest.

Dylan wyglądał, jakby ktoś go pobił. Po chwili domyśliłem się, że to Nathan na niego spadł.

– To wyglądało na zwłoki... – powiedział Nathan.

– Ludzkie zwłoki?

– Tak, tak mi się zdaje... Nie wiem, może zwierzę, coś takiego. Nachyliłem się i chciałem to wyciągnąć. – Nathan zamilkł i położył dłoń na ustach. – To było coś małego, ale... nie, to nie mogło być zwierzę... Miało włosy jak... jak dziewczynka... Kurwa! Czy dziecko w ogóle dałoby radę tam wejść?

– Dziecko? – odezwał się Dylan. – Jezu!

Spojrzałem w górę na zbiornik. Miał ponad sześć metrów wysokości. Może nawet z dziewięć.

– Kto jeszcze ma klucze na dach? – spytałem.

– Jest kilka kompletów, ale tylko personel miał do nich dostęp. – Dylan zmarszczył czoło.

Nathan usiadł na podłodze i zaczął rozmasowywać sobie przedramiona oraz prawą kostkę.

– Musimy odciąć zbiornik od obiegu lub wyjąć z niego to coś – powiedział. – Wszyscy... cholera... wszyscy piliśmy z niego wodę. Kurwa. Kurwa! Za chwilę się porzygam! Nie wierzę, że piliśmy tę wodę.

Musiałem oprzeć rękę o cysterne i uspokoić się. Strasznie mnie mdliło.

Nawet Dylan wyglądał na zszokowanego, ale szybko się opanował, w każdym razie szybciej niż ja.

– Musimy otworzyć pozostałe zbiorniki – zarządził. – Na stałe. Trzeba odpiłować pokrywy, żeby zbierała się tam deszczówka.

– A czy w ogóle jeszcze pada deszcz? – spytałem.

Spojrzeliliśmy po sobie, ale nikt nie miał pewności. Naprawdę nie byłem w stanie sobie przypomnieć, czy od pierwszego dnia padało. Tamten dzień był słoneczny. Nic specjalnego dotyczącego pogody nie zapisało się w moim umyśle od tego czasu. Żyjemy pod grubą warstwą chmur, jedne dni są bardziej szare, inne mniej. To tyle.

– I tak musimy to zrobić. Jeśli nie będzie padać, to niedaleko jest jezioro, mamy więc źródło wody. Nath, przenieś jakiś brezent albo folię plastikową. I przyprowadź Tanię. Jon, będę potrzebował szpadla.

Pomogłem Nathanowi wstać. Zszedł z dachu i wrócił z plastikowym brezentem. Po kolorze jego twarzy domyśliłem się, że płakał.

Dylan wziął szpadel i z brezentem przewieszonym przez ramię zaczął wspinać się na zbiornik. Cieszyłem się, że sam się zaoferował i że nie musieliśmy ciągnąć zapalek czy coś takiego. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy dałbym radę to zrobić.

Gdy Dylan powoli schodził po drabince, przytrzymując ramieniem drobne ciało zawinięte w plastik, uderzyła mnie kolejna fala smutku. Tym razem omal nie zwała mnie z nóg.

Nathan trzymał się na uboczu.

– Dziewczynka. Sądząc po wzroście, miała jakieś siedem lub osiem lat. Nie wiem, nie jestem pewien. – Dylan położył zwłoki na ziemi. – Gdzie Tania?

Za pierwszym razem nie usłyszeliśmy odpowiedzi Nathana. Musiał odchrząknąć i powtórzył:

– Ona... Teraz zajmuje się kimś innym, ale powiedziała, że możemy zanieść ciało do jej pokoju.

– Małe dziecko nie dałoby rady samo tam wejść – powiedziałem, nie mogąc oderwać wzroku od zwłok. – Ktoś musiał ją tam wrzucić.

– Może weszła tam, bo szukała...

– Nie weszłaby tam sama – uciął Dylan. – Nam, trzem facetom, ledwo udało się otworzyć te pokrywy.

– Jak myślisz, długo tam leżała? – zapytałem.

– Nie wiem. A ty jak sądzisz?

– Pojęcia nie mam.

Zwłoki były lekko napuchnięte, ale dziewczynka nadal wyglądała normalnie, przynajmniej według mnie. Niemal jak żywa, jakby zakonserwowana. Na skórze miała szare, żółte, gdzieniegdzie zielonkawe plamki, ale proces gnilny jeszcze się na dobre nie zaczął. Miało to sens, biorąc pod uwagę temperatury. Jedynie jej ubrania się rozpadły, to wszystko.

– Czyli została zabita – powiedziałem coś, czego nikt nie chciał usłyszeć. – Ktoś ją zamordował.

Nathan zaczął dygotać, co i mnie się udzieliło.

Oplotłem ramiona wokół ciała.

– Może – westchnął Dylan. – Lecz spójrzmy prawdzie w oczy, nawet nie mamy jak się dowiedzieć, kim jest. Jej rodziców pewnie od dawna już tu nie ma. Nikt przecież nie wspominał, że zgubiła się jakaś dziewczynka. Ci ludzie mogli wymeldować się z hotelu, jeszcze zanim to wszystko się zaczęło.

– Wymeldować się bez dziecka? – przypomniałem sobie, jak moja córka, Marion, śmiejąc się, wybiega z morza w Fort Funston. – To niemożliwe.

Chcąc wyrzucić z głowy ten obraz, zrobiłem krok do przodu i nachyliłem się, żeby zabrać ciało dziewczynki. Owinąłem je plastikiem, jakbym układał do snu. Dopiero teraz zauważyłem, że nadal krwawią mi ręce. Chyba przez jakiś czas ich w ogóle nie czułem.

– Zniosę ją na dół – powiedziałem.

Była lekka jak piórko.

Dzień pięćdziesiąty (2)

Tania była jedynym lekarzem w hotelu. Mieliśmy dużo szczęścia, że się tu zatrzymała. Nasza dieta stawała się coraz uboższa i wzrastało zapotrzebowanie na leki (co zaskakujące, większość ludzi prosiła o antydepresanty, których akurat nie mieliśmy), więc Tania miała pełne ręce roboty. Ale nie dawała po sobie tego poznać. W obyciu jest osobą zdystansowaną i dumną. Ma ciemną skórę i w tym momencie ufarbowane na fioletowo afro, choć to akurat zmienia się z tygodnia na tydzień.

Podczas jednej z naszych pierwszych rozmów powiedziała mi, że dorastała w rodzinach zastępczych w Anglii, potem w Szwajcarii i że ma krewnych w Nigerii i na Jamajce.

Jej chłopak wyjechał stąd już pierwszego dnia, próbując szczęścia w podróży samochodem, mimo ostrzeżeń ogłaszanych przez służby publiczne. Po prostu wsiadł w samochód i odjechał. Tania postanowiła zostać i ze stoickim spokojem trzyma się swojej decyzji. W ogóle o nim nie wspomina. I dlatego właśnie nie mogę sobie przypomnieć jego imienia.

Spojrzała na ciało dziecko, gdy przynieśliśmy je do pokoju, który przerobiła na gabinet lekarski. Potwierdziła, że to dziewczynka. Na oko dziewięcioletnia, ale raczej drobniejszej budowy. Była martwa od jakichś dwóch miesięcy.

Usiadłem na krześle obok łóżka, które służyło Tani za stół do badania, i splotłem pulsujące od bólu dłonie.

Dylan i Nathan poszli szukać mocniejszych narzędzi do otwarcia zbiorników z wodą. To będzie poważna operacja, zajmie pewnie kilka dni, a może nawet

tygodni. Nie mogłem się już doczekać. Mniej czasu na myślenie.

– Jak umarła? – zapytałem.

– Nie wiem. Muszę zrobić sekcję, a nigdy w życiu sama tego nie robiłam, jedynie przyglądałam się, jak robili to inni. Nie to należało do moich obowiązków.

Choć bardzo się ożywiła, co zdarzało się niezwykle rzadko, jej głos nadal był cichy i spokojny. Może po prostu profesjonalny.

– Nie widzę żadnych śladów.

– To może się okazać bardzo mylące. Woda miewa dziwny wpływ na zwłoki. Widzisz, w tym miejscu skóra zaczęła się rozwarstwiać i odchodzić. Ale... tak, zgadzam się z tobą, że nie widać żadnych śladów wskazujących na strzał w głowę czy uduszenie. Nie wygląda też na to, że została wykorzystana seksualnie, ale to akurat o wiele trudniej stwierdzić.

– A są w ogóle jakieś sposoby, żeby to sprawdzić? Tutaj? Teraz?

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Tak, są.

– Więc zmarła mniej więcej... – Wziąłem głęboki wdech.

– Kilka miesięcy temu, to na pewno. Może zanim wydarzyło się to wszystko, a może później. W wodzie ciało rozkłada się dużo wolniej. Proces ten został dodatkowo opóźniony przez niskie temperatury. Nie da się określić dokładnego czasu zgonu. Wiem tylko, że nastąpił jakiś czas temu. Muszę sprawdzić, czy ma wodę w płucach.

– A czy to nie jest oczywiste?

Pokręciła głową i nie patrząc na mnie, odpowiedziała:

– Nie, chyba że gdy znalazła się w zbiorniku, wciąż oddychała...

Tania obejrzała narzędzia i ułożyła je w rzędku na toalecie: komplet przyborów z hotelowego zestawu do pierwszej pomocy i wybrane przez nią sztucce. Zobaczyłem nóż do ryby i przez chwilę zastanawiałem się, do czego może go użyć.

Westchnęła i potarła twarz.

– Szkoda, że nie mam swoich narzędzi. Byłoby o wiele prościej.

– Zrób listę. Może uda się coś znaleźć w przyszłym tygodniu.

Dylan postanowił zorganizować kolejną wyprawę. Prawdziwą, do miasta, a nie na polowanie. Oszacował, że w ciągu trzech miesięcy zaczną nam się kończyć zapasy. Potrzebowaliśmy też lekarstw, nawet bardziej niż jedzenia. Od najbliższej apteki dzielił nas długi marsz przez las. Mieściła się w dużym centrum handlowym i nie mogliśmy mieć pewności, czy nie została już splądrowana.

Dowodził Dylan. Tania zgłosiła się na ochotnika, ale nie zgodziliśmy się na jej udział. Była dla nas zbyt cenna. Wybrano Patricka Bernardeaux, wysportowanego i trzeźwo myślącego Francuza, byłego dentystę. Poświęcał dużo czasu na bieganie w lesie. Adam, poważny i dobrze zbudowany Anglik, zgłosił się na ochotnika, podobnie jak Rob, o wiele mniej poważny młodzieniec. Też Anglik. Do tego Tomi, jedyna poza mną Amerykanka, studentka historii i rozwoju urbanistyki.

– Musicie się skupić na znalezieniu potrzebnych leków.

– Ale przecież potrzebujesz skalpeli i...

– I...? – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Wszystkiego, czego używają lekarze. – Ja też się uśmiechnąłem, lecz zaraz przypomniałem sobie, że tuż obok leży martwa dziewczynka. – Mówię serio, zrób listę, a ja poszukam. I tak nie będę przecież filarem tej wyprawy. Lepiej posługuję się wzrokiem niż...

– Nooo, w każdym razie na pewno nie będziesz żadnym wsparciem fizycznym. – Obcięła mnie wzrokiem. – Trzy, może cztery razy w tygodniu jeździłeś na rowerze do pracy, może troszkę pływałeś, a poza tym cały swój czas spędzałeś, ślęcząc na książkami.

– Skąd wiesz?

– Widzę, jak siadasz i chodzisz. Osiemdziesiąt procent moich pacjentów cierpi na chroniczne bóle karku i pleców z powodu wadliwej postawy. Też byłbyś jednym z nich, więc zmiana stylu życia będzie dobra dla twojego

kręgosłupa. – Odwróciła wzrok od toaletki i skinęła ręką w moim kierunku. – Co ci się stało w dłonie?

– Nic. Musiałem zdjąć rękawiczki podczas wspinaczki. A nie jestem dobry we wspinaczce.

Przykryła dziewczynkę z powrotem plastikową folią, jak matka. Potem wstała z krzesła.

– Niech spojrzę.

– To nic poważnego.

– Nie możemy teraz bagatelizować najdrobniejszych spraw. Za duże ryzyko infekcji, a nie mamy wystarczającej ilości antybiotyków. – Ujęła moje dłonie, odwróciła je, obejrzała otarte knykcie, zdartą skórę, obgryzione paznokcie.

– Musisz dbać o to, żeby rany były czyste. Bóg raczy wiedzieć, jakie bakterie wylęgły się w tych zbiornikach. Nie dziwne, że ludzie zaczęli chorować. – Na jej twarzy pojawił się grymas.

Ruszyła w stronę łazienki, ale zawahała się.

– Chyba nie korzystamy już z wody z tego zbiornika?

– Nie. Dylan go odciął.

– Dobrze. Chodź tutaj. Muszę użyć alkoholu, więc będzie bolało. – Wzruszyła ramionami, oparła się biodrem o umywalkę i napuściła do niej trochę wody z mydłem.

Woda była lodowata. Nawet trudno mi opisać, jak ciężko jest znosić atakujące zewsząd zimno. A od dwóch miesięcy zimno towarzyszy mi na każdym kroku. Wmyłem ręce tak szybko, jak to możliwe, i ponownie usiadłem obok martwej dziewczynki. Tania ujęła moją prawą dłoń i nasączyła bawełniany wacik czystym spirytusem.

– A więc przyjechałeś tu na konferencję? – powiedziała, próbując mnie jakoś zagadać i odwrócić uwagę od bólu. – Kim jesteś z zawodu?

– Historykiem. Wykładałem na Stanford.

– W takim razie skąd ten akcent?

– Z południa. Ale dawno temu przeniosłem się do San Francisco, więc się trochę zmienił.

– A czym zajmowała się twoja żona? – kiwnęła głową na moją obrączkę.

– Jest... Nadia pracowała jako dziennikarka. Bywało ciężko, szczególnie z dwójką dzieci, ale oboje musieliśmy pracować. Czynyse w Kalifornii są piekielnie wysokie... – Niespodziewanie się uśmiechnąłem. – Dziwnie się teraz rozmawia o czynszach.

– Prawie każda rozmowa kiedyś dotyczyła czynszu. – Zaśmiała się.

– Lub wyborów.

– Albo manifestacji. Często na nie chodziłam.

– Tak, ja też. Do samego końca. – Ręka mi zadrżała, poczułem piekący ból i omal jej nie wyrwałem. – Nie żartowałaś, gdy mówiłaś, że będzie bolało. Wow!

– No cóż, to wy to wszystko spieprzyliście – stwierdziła, śmiertelnie poważna, jakby chciała mnie ukarać. – My, tu w Europie, mieliśmy święty spokój. Modliliśmy się tylko, żebyście wy nie zrobili czegoś głupiego. Choć, mówiąc zupełnie szczerze, cały świat był bardzo głupi. Mieliśmy jednak nadzieję, że nie będzie to głupota w stylu „urządzimy koniec świata”.

Wykrzywiłem twarz z bólu i zabrałem dłoń. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, czekając, aż alkohol wsiąknie w skórę. Świat, o którym rozmawialiśmy, wydawał się... przepraszam za frazes... sennym marzeniem. To, co działo się teraz, teraźniejszość, było bardziej rzeczywiste niż cokolwiek w przeszłości. Teraz czułem się naprawdę przebudzony, boleśnie przebudzony. W porównaniu z tym, jak żyłem zaledwie dwa miesiące temu.

– Podaj mi drugą dłoń – powiedziała, kiwając do przodu głową.

– Muszę chwilę odpocząć.

– Chcesz posłuchać muzyki?

Słyszając to słowo, wzięłem głęboki wdech, ponieważ mój laptop był od kilku tygodni rozładowany i nikt nie chciał się zgodzić, żebym go naładował na dole.

– Masz muzykę?

– Tak. Wydzielałam sobie po trochu, żeby nie rozładowała mi się bateria. Słucham tylko wtedy, kiedy czuję... Szczerze mówiąc, to wtedy, kiedy wydaje mi się, że oszaleję, jeśli jej nie posłucham.

– Bardzo chcę posłuchać muzyki! Z wielką przyjemnością, jeśli tylko jesteś pewna, że chcesz na mnie tracić baterię.

– To żadna strata.

Ostatnio słyszałem muzykę jakiś tydzień temu, gdy przyłapałem Nathana, jak siedział na podłodze za barem i czegoś słuchał. Ukrywał się. Od razu przestał, gdy zorientował się, że go zauważyłem. Wstydził się, że marnuje baterie na coś tak niepoważnego. Ale jednak potem dał mi posłuchać jednej piosenki. Już nie pamiętam, co to było, chyba jakieś country. Kiedyś nienawidziłem country, ale teraz każdy rodzaj muzyki wydaje się wielkim szczęściem. Nie mam już tak wygórowanych oczekiwań.

Nathan nie powinien był czuć się winny, kiedy go przyłapałem. Osoby, które wciąż miały działające telefony, choć się do tego głośno nie przyznawały, i tak nie mogły się do nikogo dodzwonić. Ja straciłem swój telefon z powodu własnej głupoty.

Tania wróciła do mnie z odtwarzaczem mp3, takim w starym stylu, kanciastym i ciężkim. Podała mi słuchawkę. Pochyliłem się, nasze głowy były kilkanaście centymetrów od siebie, a ona położyła sobie moją drugą dłoń na kolanach i cały proces z bawełnianymi wacikami zaczęła od nowa.

Po raz pierwszy od tygodni poczułem ciepło. Choć się tego wstydziłem, to rosło we mnie napięcie i zachciało mi się płakać.

– Wiem – powiedziała. – Nie spodziewałeś się takich emocji. Nie martw się, nikomu nie powiem, jak się rozsypiesz.

– Czyli nadal obowiązuje tajemnica lekarska?

– Jasne, dlaczego miałyby nie obowiązywać.

– Piękna ta piosenka, jak... – Znów ukłucie bólu, ostre, ale tym razem byłem na nie przygotowany. – Jak walc. To coś starego?

– Sam jesteś stary. To Rihanna.

– Naprawdę? To Rihanna?

– Taa.

– Nie wiedziałem, że ma takie brzmienie.

– A czy kiedykolwiek jej słuchałeś?

– Chyba muszę się przyznać, że rzadziej niż nigdy. – Staralem się nie cofnąć ręki i Tania zaczęła zakładać bandaże. – Niedługo skończę trzydzieści osiem lat. Może nawet już skończyłem...

– Mnie prawie stuknęła czterdziestka, więc to żadne wytłumaczenie.

Skończyła robić opatrunek i poczekaliśmy na koniec piosenki. Po plecach przeszedł mi dreszcz, ale nie miał nic wspólnego z zimnem. To był dreszcz przyjemności. Utwór skończył się i Tania zabrała słuchawki.

– Daj znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy sekcji zwłok – zaproponowałem.

– Naprawdę?

– Tak.

– Dzięki, może mi się do czegoś przydasz. Postaram się zrobić sekcję jeszcze dziś. Po tym, jak ciało zostało wyjęte z wody, proces gnilny będzie postępował znacznie szybciej, więc ze względów higienicznych im szybciej ją pochowamy, tym lepiej. – Wstała i podniosła krawędź plastikowej folii, żeby jeszcze raz przyjrzeć się zwłokom. – W sumie to na czas porannych wizyt możemy przenieść ją do innego pokoju. Trup nie wpłynie pozytywnie na morale.

– Racja.

Spojrzała mi prosto w twarz, co rzadko jej się zdarzało.

– Jesteś jedną z najbardziej pomocnych osób w tym hotelu, wiesz o tym? Zgłaszasz się do wszystkiego. Szkoda, że inni nie są tacy chętni.

– A co innego nam pozostało? – Wzruszyłem ramionami.

– Poza tym wszystko w porządku z twoim zdrowiem? Nie masz żadnych niepokojących objawów?

– Nie.

Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół, ale nie drażyła tematu.

Od paru dni poboлеwał mnie ząb, z tyłu po prawej stronie. Nie wspomniałem jednak o tym. Nie chciałem dłużej zawracać jej głowy. Poza tym bałem się, że może zechcieć go usunąć, a nie chciałem kolejnej porcji bólu.

Poszedłem więc uciąć sobie drzemkę. Postanowiłem później poszukać czegoś na temat dziewczynki.

Historia to los grupy ludzi, a z tego, co widzę, możemy być ostatnimi żywymi.

Dzień pięćdziesiąty (3)

Teraz opowiem wam nieco więcej o hotelu. L'Hotel Sixième ma trzynaście pięter. Dwa lub trzy górne są zamknięte, bo trwa tam remont, który w zaistniałej sytuacji nigdy nie zostanie ukończony. Kiedyś elewacja hotelu oraz ogromny szyld pomalowane były na złoto. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych przyciągały więc bogatych gości, którzy chętnie korzystali z sal konferencyjnych. Od dekady nie ma już złota, w związku z czym i hotel zaczął być mniej oblegany. Podczas kolejnych renowacji, kilka lat temu, dobudowano schody przeciwpożarowe. Zmodernizowano też część pokoi i zainstalowano w nich karty do otwierania drzwi. Pozostałe pokoje otwiera się przy użyciu staromodnych kluczy.

Gdy na górnych piętrach odcięto prąd, te trzydzieści osób, które początkowo zostało na miejscu, przeniosło się z nowoczesnych pokoi do tych starszych, z kluczami i zasuwkami w drzwiach. Dla bezpieczeństwa. Zamki na kartę działają na prąd, więc w chwili obecnej są bezużyteczne.

Zauważyłem, że Dylan prowadzi dokładny rejestr osób, które tu zostały. Codziennie zapisuje, kto zszedł rano na dół. Skopiowałem sobie tę listę na własny użytek. Przy każdym nazwisku dopisałem kraj pochodzenia i zawód – w przypadkach, w których go znam. Oczywiście brakowało tylko Dylana, ale dodałem go na końcu.

Nathan Chapman-Adler – Australia, barman (personel)

Tania Ikande – Anglia/Szwajcaria, lekarka

Lauren Bret – Francja, zawód nieznany
Alexa Travers – Francja, zawód nieznany
Peter Frehner – Francja, zawód nieznany
Nicholas van Schaik – Holandia, zawód nieznany
Yuka Yobari – Japonia, zawód nieznany
Haru Yobari – Japonia, zawód nieznany
Ryoko Yobari – Japonia, dziecko
Akio Yobari – Japonia, dziecko
Chloë Lavelle – Francja, dziecko
Patrick Bernardeaux – Francja, dentysta
Coralie Bernardeaux – Francja, dentystka
Jon Keller – Stany Zjednoczone, historyk
Tomisen Harkaway – Stany Zjednoczone, adiunkt
Adam Warren – Anglia, zawód nieznany
Rob Carmier – Anglia, student
Mia Markin – Rosja/Szwajcaria, recepcjonistka (personel)
Sasha Markin – Rosja/Szwajcaria, kelner (personel)
Sophia Abelli – Szwajcaria, szefowa kuchni (personel)
Dylan Wycke – Szwajcaria, szef ochrony (personel)

Tomi, Amerykanka na postdoku, mieszkająca w Leiden, powiedziała mi, że pisze pracę naukową o tym hotelu. Przyjechała tu na miesiąc przed tym, co się wydarzyło, miesiąc przed końcem. Przeprowadzała wywiady z pracownikami, robiła zdjęcia. Jest wysoka, opalona, wysportowana, piękna, a przy tym dość agresywna i gruboskórna, więc niezbyt komfortowo się przy niej czuję. Myślę, że nawet zależy jej na tym, żeby ludzie, rozmawiając z nią, tak właśnie się czuli. Dzięki temu zdobywa nad nimi przewagę.

A może to ja tylko próbuję usprawiedliwić swoją reakcję, starając się wmówić sobie, że wszyscy mają podobne odczucia.

Postanowiłem zadać jej kilka pytań na temat hotelu, zanim pochowamy dziecko. Wie o nim o wiele więcej niż ja, a bardzo chciałbym w moich notatkach oddać atmosferę tego miejsca. Jeśli ktoś kiedykolwiek je przeczyta, to chcę, by wiedział, że byliśmy właśnie tu.

Chwilę pogadaliśmy w barze. Zauważyłem, że zęby ma wciąż w idealnym stanie.

– Widzę, że też piszesz – powiedziała Tomi, mając w ręku folder ze swoimi notatkami. – Dzięki temu czujesz się w miarę normalnie, co nie?

– Mogą się przydać w przyszłości.

– Nikt ich nie przeczyta – stwierdziła kąśliwie.

– Tego nie wiemy.

– Owszem, wiemy. – Założyła nogę na nogę. – Skąd pochodzi twój akcent, z Missisipi?

– Dorastałem w Missisipi, ale potem zamieszkałem w San Francisco.

– To wiele wyjaśnia. Ja jestem z Ohio. Chyba już o tobie słyszałam. Byłeś na gościnnych wykładach w Kalifornii?

Miała rację.

– Pracowałem na Stanford, więc tak.

– Wiedziałam! Robiłam doktorat w Berkeley.

– Miałem tam chyba wykłady na temat...

– Nieudanego lotu samolotu zwiadowczego U-2.

Z jakiegoś powodu irytował mnie fakt, że mnie zapamiętała.

– Tak, masz rację.

Zaczęła ze mnie żartować.

– Hej, większość ludzi mówiła głównie o tym, jaki z ciebie słodziak, ale, jeśli dobrze pamiętam, powiedziałaś też kilka ciekawych rzeczy.

Nie skomentowałem tego, ale ona się zaśmiała.

– Daj spokój, wyluzuj. No dobra, pytaj, o co chcesz. Nie siedź tak, bo bije od ciebie akademicki krytycyzm.

– Co cię zainteresowało w historii tego miejsca?

– Hmm, widzisz, doszło tu do samobójstw i niewyjaśnionych zgonów, które układają się w pewien wzór. A w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych nawet do kilku morderstw. Obecni właściciele to trochę typy spod ciemnej gwiazdy, nawet ciężko o nich coś zaleźć. Hotel był sprzedawany i znów odsprzedawany ze względu na złą prasę. Ale też dlatego, że zatrzymał się w nim seryjny morderca. Moja praca, hmm... Planowałam spędzić trochę czasu w hotelu i spisać biografie ludzi, którzy tu umarli.

– Zatrzymał się tu seryjny morderca?

– Akurat tutaj nikogo nie zabił. Tylko został złapany.

Mówiła płynnie i nieustająco utrzymywała kontakt wzrokowy, niemal jak robot. Byłaby świetną prezenterką wiadomości, właściwie mogłaby nawet skończyć jako bardzo dobra gospodyni programów historycznych.

Odruchowo sięgnąłem po drinka, ale go tam nie było. Zabrałem więc szybko zabandażowaną dłoń.

– Co ci się stało? – spytała.

– Pomagałem w czymś Dylanowi.

– Co, urządziliście sobie „podziemny krąg”?

– Do kogo teraz należy hotel?

Przewróciła lekko oczami.

– Było ich dwóch. Baloche Braun i Erik Grosjean. Braun wykupił Grosjeana i wystawił hotel na sprzedaż, tyle że nikt nie chciał go kupić. Niewiele udało mi się dowiedzieć o Grosjeanie, zresztą o żadnym z nich. Wiem tylko, że Braun pochodził z rodziny nafciarzy, to syn jakiejś grubej ryby. Zanim kupił to miejsce, większość jego interesów padała bez żadnego rozgłosu.

– Niewyjaśnione zgony i morderstwa – powiedziałem. – Co się stało? To znaczy, jak ci ludzie umarli?

– Było wiele utonięć. Goście topili się w wannach albo szli nad jezioro, znad którego nigdy nie wracali. Bardzo dużo przedawkowań, zaskakująco dużo... Do tego wypadki na polowaniach. Mężowie i partnerzy wybuchający nagle

i zabijający swoje żony i dziewczyny, ale w tamtych czasach takie wydarzenia nie wzbudzały większego zainteresowania.

Znów sięgnąłem po drinka i znów znalazłem jedynie pustą przestrzeń. Byliśmy jedynymi osobami w barze. Siedzieliśmy w zielonych pluszowych fotelach w otoczeniu mahoni i złota, które zaczęło odłazić na krawędziach. Większość ludzi w ciągu dnia siedziała w swoich pokojach, żeby nie marznąć. Tylko tacy jak ja, dbający o dobrą organizację, strukturę i szukający towarzystwa, błąkali się po hotelu lub przesiadywali w barze. Marzyłem o drinku, ale Nathan trzymał alkohol pod kluczem.

– Chyba mam to, czego szukasz. – Tomi wyciągnęła piersiówkę i postawiła ją między nami na stole.

– Co to?

– A jakie to ma znaczenie?

Otworzyłem butelkę i pomachałem nią sobie przed nosem. Whiskey.

– Ukradłaś ją?

– Gdy wszystko trafił szlag, wiedziałam, że będę musiała tu zostać aż do końca. Nie jestem słodką idiotką, wbrew pozorom. – Wskazała ma swoją twarz i długie blond włosy. – Więc kiedy wszyscy latali w panice, próbowali skontaktować się ze swoimi ukochanymi i złapać jakiś samolot, który nigdy nie odleci, ja w tym czasie zebrałam rzeczy, które wiedziałam, że się przydadzą.

Zdałem sobie sprawę, że może mieć zapas antybiotyków.

– To bardzo spokojna reakcja w obliczu końca świata.

– Szok sprawia, że ludzie głupieją. A ja nie byłam w szoku. Poza tym nie wydaje mi się, że to koniec świata. Nasza cywilizacja była wysoce rozwinięta, nie sądzisz?

– I nie próbowałaś się z nikim skontaktować?

– Jak już wspomniałam, nie jestem idiotką. – Uniosła brwi. – Wiedziałam, że bateria przyda mi się w pewnym momencie do przeżycia. Przecież jeśli moi bliscy byli w jakimś dużym mieście lub nawet blisko niego, to wiadomo, że już po nich.

Straciłem na chwilę oddech. Wziąłem łyk alkoholu, żeby uniknąć odpowiedzi. Nie poczułem nawet jego smaku.

Byłem gotów się założyć, na kogo głosowała...

Ostentacyjnie zdjęła nogę z nogi.

– O, przepraszam. Wielu jeszcze nie pogodziło się z tym faktem.

Odstawiłem piersiówkę na stół. Wiedziałem, że ani trochę nie było jej przykro.

– Mieliście dzieci? – Spojrzała w dół, na moją obrączkę, a potem znów na moją twarz.

– Tak – odparłem.

– Przykro mi.

Chciałem przewrócić stół i ją udusić. Zawładnęła mną fala wściekłości, jakiej nie doświadczyłem od miesięcy. Nienawidziłem siebie za te niskie pobudki. Wiedziałem, że ona też to zauważyła. Widziała to w mojej twarzy, którą świdrowała zimnym spojrzeniem. Powstrzymałem się, wziąłem znów piersiówkę i pociągnąłem z niej spory łyk. Pałący smak alkoholu spływający przez gardło do pustego żołądka podziałał kojąco. Zamknąłem na chwilę oczy i opanowałem gniew.

Chciałem zapytać, czy rajcuje ją prowokowanie ludzi i czy może nie chciała się z nikim skontaktować, bo nigdy nikogo i niczego kochała. Ale nie mogłem dać jej satysfakcji, że mnie wyprowadziła z równowagi.

– To, które z nas dwojga dłużej przeżyje – powiedziała – powinno włączyć zapiski tego drugiego do swojej pracy.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Wow! Skąd ta pewność, że umrę pierwsza!?

Nie zastanawiałem się nad tym. To był odruch.

– Z obserwacji dwóch niewiarygodnych narratorów może uda się wysnuć jakieś obiektywne wnioski – stwierdziła.

– Nie jestem niewiarygodny. Obiektywizm za wszelką cenę to mój obowiązek.

– Mężczyźni lubią być przekonani, że tylko oni są obiektywni, a reszta ma we wszystkim jakiś ukryty interes. Przeczytałabym twoje notatki z wielką przyjemnością. Chciałabym zobaczyć, jak próbujesz przekonać swych przyszłych czytelników, jaki jesteś wspaniały. – Wzruszyła ramionami. – Tak czy owak, to tylko pomysł.

– A ty tego nie robisz? – No i dałem się złapać.

– Czego?

– Nie starasz się przekonać swych przyszłych czytelników, że jesteś dobrym człowiekiem?

– Po śmierci to, co myślą o mnie ludzie, będzie mnie obchodziło jeszcze mniej niż teraz. Niech zgadnę, po tej rozmowie opisałbyś mnie jako blondynkę o niebieskich oczach. Oczywiście, nazwałbyś mnie niezłą laską, jak to mają w zwyczaju pisarze-mężczyźni. Potem natychmiast podkreśliłbyś swoją irracjonalną antypatię, jaką do mnie żywisz i przez którą jestem dla ciebie nieatrakcyjna. A następnie postarałbyś się jakoś rozrzedzić swoją opinię garścią uniwersalizmów lub odniesieniem do własnych uprzedzeń. Wydaje ci się, że dzięki temu stałbyś się bardziej wyrozumiały i godny zaufania. W rzeczywistości jednak zdradziłbyś, że jesteś zbyt pewny tego, co po sobie zostawisz. Opcja „To jest mój czas” bije od ciebie z każdej strony.

Muszę przyznać, że swoim wywodem wywołała uśmiech na mojej twarzy.

– A ty, tak dla porównania, jak byś mnie opisała?

Spojrzała do notatek.

– „Ma kołek w dupie. Wygląda trochę jak młody Harrison Ford, ale jest bardziej ciamajdowaty. W szkole średniej chyba nigdy nikt go nie przeleciał, bo był kujonem z religijnej rodziny i/lub do tego pewnie grubym”. Potem ubiorę to jakoś w ładniejsze słowa. No to na ile cię przejrzałam?

– W ogóle – skłamałem.

Znalazłem jakąś wymówkę, żeby się oddalić. Chciałem pomóc Tani w sekcji zwłok. Odwróciłem się – Tomi siedziała w fotelu ze skrzyżowanymi nogami i już robiła jakieś notatki. W tej chwili uderzyła mnie myśl, że może nam kiedyś

zabraknąć długopisów, ale ona zapewne i o tym pomyślała. Pewnie ma ich cały zapas.

Po niecałej minucie zacząłem wymiotować i musiałem wyjść. Nie była to chwila chwały. Słyszałem śmiech Tani, gdy wisiałem zgarbiony nad zlewem, wspierając się na rozdygotanych ramionach.

Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że smród, jaki rozniósł się po pokoju, gdy Tania przepiłowała wzdłuż klatkę piersiową dziewczynki, był nie do opisania. Tania zrobiła cięcie aż do pępka i rozsunęła dwa duże płaty skóry. Nigdy dotąd nie widziałem ciała wyglądającego jak odpad.

Wziąłem krzesło i usiadłem na korytarzu, raz za razem biorąc głęboki oddech. Dylan i Nathan czekali na dole, aż skończymy, żeby pomóc w pogrzebie.

Po około godzinie wyszła Tania, miała czerwoną twarz. Jej rękawiczki pokryte były brudem i poczerniałą krwią. Dziś wyglądała na zmęczoną.

– Okej, nie jestem specjalistką w tej dziedzinie – powiedziała, pocierając czoło wewnętrzną stroną nadgarstka. – Nie potrafię ustalić bezpośredniej przyczyny śmierci, ale po zbadaniu płuc, a zwłaszcza po stwierdzeniu braku w nich wody, mogę ocenić, że to raczej niemożliwe, by utonęła. Nie mogę zrobić też badań toksykologicznych... a pewnie została czymś odurzona. Może substancją, która spowodowała zatrzymanie akcji serca czy coś w tym rodzaju. Ani na głowie, ani w gardle nie zauważyłam żadnych poważnych obrażeń. Pewne jest to, że nie mogła sama wejść na dach, a potem do zbiornika. Co do reszty pewności już nie ma. Mogę jedynie przedstawić swoje hipotezy na ten temat. Przykro mi.

– Zupełnie niepotrzebnie. Wiemy, że najprawdopodobniej była już martwa, zanim znalazła się w zbiorniku.

Tania uśmiechnęła się i zdjęła rękawiczki.

– Nie dowiesz się, kto to zrobił. Przecież sprawcy są już daleko stąd.

– Może tak, a może nie. – Wstałem. – Czy możemy ją zabrać?

– Tak, zszyłam ciało.

– Dzięki za wszystko. Nie musiałaś tego robić. Masz na głowie żywych.

– Taka praca. Naprawdę, nie staram się być bohaterką. – Zdjęła ponczo, które miała na sobie, zerknęła na nie i wrzuciła do śmieci.

Spojrzałem przez drzwi w głąb pokoju, na ciało leżące na stole, i spróbowałem przywołać z pamięci jakiś fragment Biblii lub innego tekstu religijnego, żeby nadać sens tym pozbawionym życia małym rączkom. Tak bardzo chciałem chwycić je, ująć w swe dłonie. Nie mogłem znieść myśli, jak bardzo musiała się bać. Tymczasem przypomniał mi się cytat z Grahama Greena: „Dlaczego, w ostateczności, mielibyśmy oczekiwać od Boga, żeby karał niewinnych dalszym życiem?”.

– Wszystko okej? – Tania wróciła do przedpokoju i spojrzała na mnie z troską. – Zgrzytasz zębami. Mam nadzieję, że ząb cię nie boli?

– Nie, wszystko w porządku – skłamałem, a moja ręka powędrowała do twarzy, żeby rozmasować bolące miejsce. – To tylko stres.

Wiedziałem, że będę musiał zapytać Tomi, gdzie trzyma zapas pasty do zębów. Moja była już na wykończeniu i używałem jej co drugi dzień. Martwiłem się tym, ponieważ oznaczało to kolejną rozmowę z tą dziewczyną, a wiedziałem, że będzie bezwzględny negocjator.

No i nie myliła się w ocenie mnie. To było bardzo przygnębiające.

Znieśliśmy dziewczynkę na dół i pochowaliśmy przed hotelem, tam, gdzie resztę umarłych. Każdy grób oznaczyliśmy małym drewnianym krzyżykiem – wyciosanymi kawałkami drewna połączonymi sznurkiem. Nic nadzwyczajnego. Na krzyżach niezmywalnymi markerami napisaliśmy imiona.

Zostawiliśmy też kwiaty, sztuczne, przyniesione z naszych pokoi. Przystrajają je białe wstążki, na których widnieje napis: „Życzymy miłego pobytu w naszym hotelu!”.

Dzień pięćdziesiąty pierwszy

Przekonałem Dylana, żeby dał mi klucze do zaplecza mieszczącego się za recepcją, i rozpocząłem śledztwo. Dzisiaj, trochę wcześniej, Dylan upewnił się, że zbiornik, w którym znaleźliśmy ciało, jest na pewno odcięty. Zawsze to jakieś pocieszenie. Nie pijemy już tej wody.

Zamknąłem za sobą drzwi i powyciągałem wszystkie foldery i rejestry, jakie udało mi się znaleźć. Ułożyłem je w stosy na biurku i usiadłem. Panowała cisza. Poczuję się jak w domu.

Najpierw znalazłem listy z rezerwacjami obejmującymi okres na dwa tygodnie przed tym, jak wszystko się skończyło – tydzień przed ostatecznym terminem zgłaszania udziału w naszej konferencji. Liczyliśmy na dużą liczbę chętnych. Był dopiero początek lata, czas przed wakacyjnym szczytem. Podkreśliłem wszystkie rezerwacje, gdzie było dziecko, odrzuciłem te, w których proszono o łóżeczko dla niemowlaka. Zostało mi tylko sześć rodzin.

Potem nadszedł czas na trudniejszą część. Musiałem wrócić na dach. Tym razem wziąłem ze sobą Nathana, długą linę, ubranie na zmianę i latarkę.

– Myślisz, że co tam znajdziesz? – zapytał Nathan, gdy wspinaliśmy się znów po schodach.

– Może nic. Najważniejsze jest to, żeby się upewnić, że poprzednio niczego nie przeoczyliśmy.

– Znalazłeś dla siebie detektywistyczny projekt, podoba mi się.

– A ty nie czujesz potrzeby, żeby dowiedzieć się, kim była? Została zamordowana. Osoba, która to zrobiła, może wciąż tu być.

– Jesteś pewien?

Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem sceptycyzm wymalowany na jego twarzy.

– A dlaczego nie?

– Większość ludzi się stąd od razu zmyła. Gdybyś popełnił morderstwo, zostałbyś w tej małej grupce, ryzykując zdemaskowanie?

Otworzyłem drzwi na dach. Szczęśliwie było cieplej niż poprzedniego dnia. Nie wiało. Nie musiałem mrużyć oczu czy wykrzywiać twarzy od zimna.

– Pomyśl tylko... – ciągnąłem, gdy Nathan pomagał mi zawiązać linę wokół pasa. – A dlaczego nie? Świat się skończył. Policja już raczej nigdy nie przyjedzie. Sprawca pewnie nawet nie przypuszcza, że ktoś mógłby znaleźć ciało. Sądzi, że jest bezpieczny. Nie czujesz się przez to trochę... nieswojo?

– Nie. Czy to źle? – Zrobił minę.

– Aha, czyli dobro i zło przestały mieć znaczenie?

– Nie, po prostu... dopóki ludzie nie zaczną się zabijać, zamierzam spać spokojnie.

– Tyle tylko, że ktoś właśnie został zamordowany.

– Okej, okej, przecież przyszedłem tu z tobą, nie?! – Podniósł do góry rękę. – Dobra, bierzmy się do roboty i miejmy to za sobą. Mam trochę haszu. Może się przydać.

Wspiąłem się na zbiornik. Tym razem kłapa otworzyła się łatwiej niż ostatnio. Spojrzałem w ciemność, sprawdziłem, czy lina jest dobrze zamocowana. Wcześniej nie zastanawiałem się zbyt, jak mam zejść na dno zbiornika. Jediną metodą, na jaką wpadłem, było amatorskie spuszczenie się po linie. Tylko tyle byłem w stanie zrobić.

– Jesteś pewien, że mnie utrzymasz? – zawołałem.

– Chyba tak. Musimy spróbować.

Nagle całkowicie zwątpiłem w swój plan. Nie miałem pojęcia, jak zejść do zbiornika i potem wrócić na górę. Włączyłem latarkę i poświeciłem sobie, ale nie byłem w stanie zobaczyć, czy coś jest w wodzie.

Jeśli na dole były jej ubrania, jakiś dowód tożsamości czy w ogóle jakiegokolwiek ślad, to musiałem tam zejść i to przynieść.

– Jesteś pewien?

– Jak nie spróbujemy, to się nie przekonamy.

– Ciągle to powtarzasz, a tu jest jakieś dziewięć metrów wysokości, Nath. Jeśli tam wskoczę, a ty mnie nie utrzymasz, to spadnę na dno jak kłoda.

– Jeśli dam dupy, to przysięgam, że pójde po naszego wspianale zbudowanego Dylana, żeby cię stamtąd wyciągnął.

Spojrzałem na dół, a Nathan zabawnie zamachał rękami, aż mnie rozśmieszył.

– Dobra. Daj mi sekundę, muszę...

– Spoko. Nie spiesz się. Przecież nie mam żadnego spotkania w planach.

Wszedłem na pokrywę zbiornika i postawiłem stopy po dwóch stronach kłapy. Znow poświeciłem sobie latarką i zobaczyłem, że w środku jest drabinka, zapewne do celów konserwacyjnych. Z zewnątrz nie było jej w ogóle widać.

– Hej, Nath, jest dobrze, w środku jest drabinka.

– Stary, to genialnie, bo, szczerze mówiąc, nie utrzymałbym dyndającego na linie dorosłego faceta. Od początku skazany więc byłeś na porażkę.

– Dupek!

– Wiem, wiem.

Wziąłem kilka głębszych wdechów i zacząłem wchodzić do zbiornika w poszukiwaniu pierwszego szczebelka. Latarkę włożyłem sobie do ust, złapałem się krawędzi i szukałem pod stopą oparcia, aż w końcu znalazłem szczebelek. Zatrzymałem się na chwilę, przełożyłem latarkę do prawej ręki i zacząłem schodzić.

Lina wokół mojej talii napięła się i nagle rozluźniła, gdy Nathan na chwilę zwolnił uścisk.

– Świetnie ci idzie! – usłyszałem, jak krzyczy do mnie.

Zapukałem w ścianę zbiornika. Był nadzwyczaj przestronny w środku. Gdyby spuścić z niego wodę, mógłby służyć za bunkier.

Woda była czarna i cuchnąca. Im niżej schodziłem, tym gorszy był smród. Zatrzymałem się tuż nad powierzchnią, chciałem ocenić swoje położenie i oszacować głębokość. Lina była zbyt luźna. Walnąłem dwa razy w zbiornik i Nathan ją napiął.

– Teraz jest okej – zamruczałem do siebie pod nosem, przyglądając się zawartości cysterny. Powierzchnia wody była gładka i niezmacona. – Dobra, uda ci się. Wszystko jest w porządku.

Szczeble drabiny schodziły pod wodę. Zacząłem do niej wchodzić i natychmiast lodowata ciecz wypełniła moje buty. Skrzywiłem się. Była tak zimna, że aż bolało. Próbując złapać oddech, zszedłem stopień niżej, a potem jeszcze kolejny. Woda sięgała mi do pasa. Powstrzymałem falę wymiotów i zrobiłem kolejny krok w dół. Pod stopą poczułem grunt. Teraz woda była na wysokości klatki piersiowej. Latarkę trzymałem nad głową. Zęby aż mi dzwoniły z zimna.

Zrozumiałem, że niewiele zdziałam jedną ręką, więc zatknąłem latarkę za szczebelkiem i zacząłem brodzić w wodzie. Miałem wrażenie, jakby moje nogi spowite były tkaniną. Wstrzymałem oddech i zanurzyłem obie ręce pod wodą. Poczułem dno zbiornika i koniec rury, która doprowadzała wodę do hotelu. Ciężko było ją zlokalizować, gdy nie zasysała wody.

Smród był straszny. Jak rosół z kury, który stał zbyt długo w lodówce. Woda miała słodkawy, ostry zapach, niczym zgniłe brzoskwinie. Wstrząsnął mną odruch wymiotny, ale na szczęście tylko na tym się skończyło.

Nagle nogi mi się rozjechały. W dnie zbiornika było wklęszenie. Znów sięgnąłem rękami pod wodę i znalazłem drugi koniec rury. Woda podjechała mi pod szyję, wziąłem gwałtowny wdech i zanurkowałem, bo poczułem, że wokół wylotu rury zaplatał się jakiś materiał. Wyszarpnąłem go i przewiesiłem sobie przez ramię. Podekscytowany sukcesem zanurkowałem ponownie i poczułem coś jeszcze. Złapałem coś miękkiego, jakby małe zwierzę, i odruchowo od tego odskoczyłem.

Zmusiłem się, żeby sprawdzić co to. Wyciągnąłem to coś z wody i okazało się, że to zwierzątko. Przerażony spojrzałem na znalezisko. Była to maskotka – króliczek.

Mokre ubranie mi ciążyło i zupełnie straciłem czucie w twarzy, wróciłem do drabiny. Pod pachą trzymałem zabawkę, a materiał wciąż leżał przewieszony przez moje ramię. Zacząłem wspinać się w stronę światła. Czułem, że ważę z trzy razy więcej.

– O cholera, znalazłeś coś! – krzyknął Nathan, gdy tylko mnie zobaczył.

Próbowałem jakoś znieść zimne powietrze przeszywające przemoknięte ubrania i ciało.

Bez słowa rzuciłem na dół znalezione przedmioty i skupiłem się na tym, żeby nie poślizgnąć się podczas schodzenia. Gdy w końcu wylądowałem na dachu, Nathan owinął mnie ręcznikiem.

– Stary, śmierdzisz jak szambo. To jakieś szaleństwo.

Nie mogłem mówić. Zdjąłem mokre ubranie, z trudem rozwiązałem linę i próbowałem się osuszyć przed założeniem spodni, koszuli i butów, które przyniosłem ze sobą na zmianę. Założyłem trzy pary skarpet, ale niewiele to pomogło.

Zrzuciliśmy wszystko na jedną ociekającą wodą kupkę i bez słowa oraz zwracania uwagi na to, co znalazłem, zeszliśmy od razu do piwnicy. Nathan włączył bojler na pół godziny, żebym mógł się przy nich rozgrzać i dojść do siebie. Nie mieliśmy pojęcia, ile jeszcze podziałają, więc był to miły gest z jego strony. Większość prądu, który mieliśmy, pochodziła z elektrowni wodnej, ale nikt z nas nie wiedział, kiedy i on się skończy. Gdyby tak się stało, to był jeszcze zapas w generatorze awaryjnym. A później już nic.

Siedziałem zawinięty w futrzaną narzutę, którą Nathan przyniósł ze swoich barowych zapasów. Należały do nich też pudła ze szklankami i sprzętem kuchennym oraz resztki alkoholu, które trzymał pod kluczem. Kiwnąłem głową na przesiąknięty wodą materiał.

– Wygląda na sukienkę.

Nathan usiadł obok mnie, skręcił dla nas po jointcie i stwierdził:

– Ciśnienie z rury zasysającej wodę jakby... ściągnęło z dziewczynki ubranie.

Mamy szczęście, że nie wpadło do rury. Nigdy byśmy go nie znaleźli.

Wyciągnąłem rękę i odsunąłem na bok moje mokre ciuchy, żeby lepiej się przyjrzeć sukience. Była żółto-biała, w kratkę, ze staromodnym koronkowym kołnierzykiem. Ubranie w stylu tych, które rodzice zakładają swoim córkom, gdy chcą, żeby wyglądały jak lalki. Nigdy nie kupiłbym czegoś takiego dla Marion, a Ruth w takiej sukience spaliłaby się ze wstydu.

Sprawdziłem metkę i zobaczyłem, że był na niej jakiś napis flamastrem. Prawie doszczętnie sprany.

Mogło to być imię zaczynające się od „H” lub „M”, a może „N”. Nie miałem pewności.

Usiadłem pod ścianą obok bojlera i kopnąłem sukienkę tak mocno, że przeleciała przez pomieszczenie.

Nathan wręczył mi jointa i chwilę paliliśmy w milczeniu.

– I Tania też nie znalazła żadnych obrażeń?

– Nie. – Wróciłem myślami do sekcji. – Powiedziała, że dziewczynka raczej nie utonęła. Że prawdopodobnie ktoś małą czymś odurzył lub obezwładnił, zanim wrzucił ją do wody.

– Kiepska sprawa. – Nathana przeszedł dreszcz.

– Nie mogę uwierzyć, że cię to nie obchodzi. To, że sprawca może ciągle tu być.

– A dlaczego sądzisz, że to facet? Jasne, że się przejmuję. – Zrobił głośny wydech. – Mój barometr mierzący przejmowanie się ma ostatnio lekkie odchyły.

– Nie możemy przestać dbać o to, co dobre i złe, bo...

– Bo nastał koniec świata?

– Bo ciągle żyjemy – odparłem.

Trawka zaczęła uderzać mi do głowy. Zrobiło mi się przyjemnie.

Tymczasem Nathan wyglądał na smutnego.

– Nie mogę uwierzyć, że pewnie tu umrę. Z głodu czy coś. To popierdolone.

- Po jointach będziemy bardzo głodni. Tego nie wzięliśmy pod uwagę.
- O, a to było akurat śmieszne – parsknął.
- Czyli zazwyczaj nie jestem zabawny?
- Nie w tym rzecz. Jesteś po prostu starszy od moich kumpli.
- Jak tu wylądowałeś?

Widziałem jego reakcję, gdy znaleźliśmy ciało. Wątpiłem, by mógł być zamieszany w morderstwo, a jednocześnie chciałem zebrać jak najwięcej informacji o każdym mieszkańcu hotelu.

- Nie pracowałem tu jakoś bardzo długo. Może z pół roku. Ale to w ogóle dziwna historia... Nie uwierzysz, jak ci opowiem.
- Założę się, że uwierzę. Wszystko jest teraz dziwne.
- Chodzi o mojego ojca. Znaczą ojczyma. Ale jednak ojca. Dlatego tu jestem.
- To wcale nie brzmi dziwnie.
- O, stary! – Uśmiechnął się szeroko. – Pojęcia nie masz...

Bojler wydał z siebie dźwięk, co przypomniało Nathanowi, że nadszedł czas, by go wyłączyć. Ale w piwnicy jeszcze długo było ciepło, więc przez kolejne kilka godzin paliliśmy i gadaliśmy, aż wyschły moje ubrania.

Opowiedział mi swoją historię, gdy byliśmy już nieźle upaleni. Była niezwykła i przedziwna. Chyba nie potrafiłabym jej oddać swoimi słowami. Poprosiłem go więc, żeby ją dla mnie spisał, a on się zgodził. Dołączę ją nieco później.

Dzień pięćdziesiąty drugi

Dziś rano poprosiłem Dylana, żeby użyczył mi klucza uniwersalnego. Chciałem przeszukać hotel. Dylan miał zamiar wybrać się na przebieżkę do jeziora i z powrotem. Oszacował ten dystans na jakieś pięć kilometrów. Stał przed wejściem do budynku i wyglądał na bardziej zainteresowanego rozciąganiem mięśni niż moim nowo odkrytym sensem życia.

- Przeszukanie wszystkich pokoi w pojedynkę zajmie ci wiele dni, Jon.
- Wiem, ale... Jeśli ktoś z hotelu zabrał dziewczynkę na dach...
- Dobrze wiesz, że dawno go tu nie ma.
- Nie mam co do tego pewności.

Przyciągał na zmianę ramiona do klatki piersiowej, biorąc głębokie, miarowe wdechy.

- Mógłbyś znaleźć lepszy sposób na spożytkowanie swojej energii.
- Przeszukałeś już to miejsce?
- Po co?
- Nie wiem, żeby znaleźć coś pożytecznego.
- Jeszcze nie.
- No więc ja to zrobię. Oszczędzisz sobie zagłędania do setki pokoi, a ja może znajdę jakieś jedzenie, broń lub lekarstwa...

Wydawało mi się, że w tym momencie każe mi iść do diabła. Ale powiedział tylko:

- Nikt się nie może dowiedzieć, że masz ten klucz.

– Zabójca też musi mieć taki. Musiał się jakoś dostać na dach. Mówiłeś, że tylko personel ma do nich dostęp.

– Jeśli mała umarła w okolicy tego dnia, pierwszego dnia po, to wtedy dość łatwo można było ukraść klucz czy cokolwiek. – Westchnął. – Ale nie możesz nikomu o tym powiedzieć, słyszysz? Nikt nie może się dowiedzieć, że masz klucz uniwersalny.

– Nikomu nie powiem.

– I jak mówię „nikomu”, to naprawdę mam to na myśli.

– W sumie dlaczego?

Spojrzał na mnie, rozciągając jednocześnie mięśnie ud.

– Nie znam tych ludzi.

Przypomniała mi się Tomi ze swoją kolekcją zapasów i stwierdziłem, że Dylan ma rację.

– Dlaczego więc mi ufasz? – zapytałem.

– Bo potrzebuję cię jako ochotnika w czasie naszej kolejnej wyprawy po jedzenie. – Uśmiechnął się do mnie szeroko.

Wręczył mi klucz uniwersalny, spojrzał w stronę lasu – dziś bardzo głośnego, smaganego silnym wiatrem – i pobiegł. Po chwili zniknął między drzewami.

Wróciłem do mojej listy rezerwacji. Oprócz rodziny Yobarich zakreśliłem jeszcze dwie, które poprosiły o pokoje z dostawką dla dzieci. Byli to Luffmanowie z pokoju 377 i Lavelle’owie ze 101. Florence Lavelle nie żyła, a jej córeczka była teraz pod opieką małżeństwa Yobarich. Zostali Luffmanowie.

Gdzieś musiał być jakiś przeciąg, czuć go było w całym hotelu. Zapiąłem kurtkę i zacząłem wchodzić po schodach. Rzadko bywałem na tym piętrze, nawet podczas moich przechadzek. Mieszkała na nim rodzina Yobarich i Sophia, szefowa kuchni, która, dzięki Bogu, ciągle jeszcze przyrządzała nam jedzenie.

Wydaje mi się, że mieszkało tu też kilka młodych kobiet, skuszonych obecnością dzieci Japończyków i adoptowanego przez nich maleństwa zmarłej Florence Lavelle. Były to: Rosjanko-Szwajcarka Mia, która kiedyś pracowała

jako pokojówka, a ostatnio na recepcji, Francuzka Lex (Alexa), z którą nigdy nie zamieniłem ani słowa, oraz kolejna Francuzka, Lauren, z którą też dotąd nie rozmawiałem.

Mia ma brata bliźniaka, Saszę, który także pracuje w hotelu. O ile mi wiadomo, ciągle nocuje w części dla personelu, w pokoju obok Dylana. Nie licząc Patricka, nie wiem, co dzieje się z resztą mężczyzn. Jesteśmy bardziej rozproszeni, podczas gdy kobiety trzymają się razem.

Poszedłem do pokoju 377. Pachniało w nim tak, jakby ktoś nadal tam mieszkał. Na szczęście nie był to zapach śmierci. Na podłodze, w nogach łóżka, leżały dwie ogromne walizki. Szafa była otwarta i zostały w niej tylko puste wieszaki. Na stoliku przy łóżku leżała paczka papierosów i, wstyd mi przyznać, od razu schowałem ją do kieszeni.

Gdy patrzyłem na to, co zastałem w pokoju Luffmanów, nasuwało mi się jedno pytanie: dlaczego nie zabrali wszystkich swoich rzeczy?

Przypomniałem sobie, co ja robiłem dokładnie tamtego dnia. Niestety, moje działania nie były do końca racjonalne, byłem w szoku. A więc wielce prawdopodobne, że ta rodzina też uciekała w panice i po prostu nie wzięła ze sobą bagażu. Mogli zabrać ze sobą jakąś lżejszą torbę, a te ciężkie walizy zostawić.

Gdy zacząłem tak o tym rozmyślać, musiałem aż oprzeć się o komodę, bo przez moje ciało przeszły niekontrolowane drgawki. Działo się tak zawsze, gdy wracałem do szczegółów tego dnia. Jedyne obrazy, jakie mogłem przywołać z pamięci, to jak siedziałem na podłodze pod ścianą hotelowego lobby, bezmyślnie wpatrzony przed siebie, i tylko przyciskałem telefon do piersi.

Usiadłem na łóżku Luffmanów i omal się nie rozplakałem. Udało mi się jednak pozbierać. Od tamtego dnia minęło już trochę czasu – nawet całkiem sporo – więc przeraziła mnie moja nagła utrata kontroli. Aż strach pomyśleć, co mógłbym zrobić, gdybym dał się ponieść tym emocjom.

Zebrałem się w sobie i ukucnąłem obok na wpół spakowanych walizek. Zacząłem je przeszukiwać.

– Co robisz?

– Kurwa! – Wstałem i od razu straciłem równowagę.

To była Sophia, kucharka. Koło trzydziestki. Jest wysoka, ma bardzo jasną karnację i rude włosy. Do tego orli nos i surową, dumną postawę. Wydaje mi się, że mówiła po francusku ze szwajcarskim akcentem, ale ostatnio, podobnie jak reszta personelu, mówi głównie po angielsku, ponieważ wszyscy, lepiej lub gorzej, znają ten język. Na każdym kroku czyni nam z tego powodu wyrzuty.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała.

– Dylan dał mi klucz – odparłem i natychmiast tego pożałowałem. – Choć, bardzo cię proszę, nie mów o tym nikomu.

– Dlaczego? – Zmrużyła oczy.

– Badam pewną sprawę. Dylan nie chce, żeby wiedziało o tym zbyt wiele osób. Ale tobie na pewno ufa. Ciebie dobrze zna.

Nie wiem, skąd się u mnie wzięło to poczucie winy. Chyba Sophia tak na mnie działała. Nic dziwnego, że żadna z moich odpowiedzi nie zrobiła na niej wrażenia. Westchnąłem.

– Słuchaj, możesz zamknąć drzwi?

– Dlaczego?

Rozłożyłem ręce w błagalnym geście, więc zrobiła, o co ją poprosiłem.

– Pewnie słyszałaś, że znaleźliśmy ciało w zbiorniku na wodę... – Chciałem sprawdzić, co wie.

– Tak, Dylan mi wczoraj powiedział. Chyba mówi każdemu oddzielnie, żeby nie robić zamieszania.

– No cóż, to była mała dziewczynka, gość hotelowy. Tania zrobiła sekcję, ale nie udało się stwierdzić przyczyny zgonu. Wygląda jednak na to, że mała mogła zostać zamordowana, zanim wrzucono ją do zbiornika, może nawet zanim... to wszystko się wydarzyło.

– Kim była?

– Nie wiem. Muszę sprawdzić, czy mam dostęp do bazy danych zawierającej rezerwacje. Ale to zależy od tego, czy system hotelowy wymaga dostępu do

internetu, czy też nie.

Zamilkła na chwilę, bacznie mnie obserwując.

– No więc... co tu robisz?

– A tak... Próbowałem rozpracować, kim mogła być, i sprawdziłem hotelowy rejestr. Wydaje mi się, że nazywała się Harriet Luffman. Mieszkała w tym pokoju z rodzicami. Pomyślałem, że powinienem przynajmniej spróbować sprawdzić, co się z nią stało.

– Myślisz, że morderca ciągle jest w hotelu?

– Może.

– Na pewno nie.

– Skąd wiesz?

– Gdybyś był mordercą, zostałbyś tu?

– Tak. – Zmarszczyłem czoło. – Gdybym wiedział, że nikt nigdy się nie dowie, kim jestem, to bym został.

Kolejna pauza, potem wzruszenie ramion.

– Rozumiem twój punkt widzenia. Czego szukasz?

– Jeszcze nie wiem.

– Pomogę ci.

Z miną zawodowca przeszła obok mnie i rozpięła drugą walizkę, w której były same ubrania dla dorosłych.

Odwróciłem się do walizki leżącej po mojej stronie. Chciałem zadać Sophie pytanie, ale mnie uprzedziła.

– Zauważyłam, że coś zapisujesz. Dlaczego? Prowadzisz dziennik?

– To nie dziennik, raczej coś w rodzaju kroniki pisanej na bieżąco.

– Co przedtem robiłeś? Przyjechałeś tu na konferencję?

– Tak, jestem historykiem.

– Więc przeprowadzasz z ludźmi wywiady, tak? Szukasz sensacji?

– Nie szukam sensacji, nie jestem dziennikarzem...

– Powiedziałaś „dziennikarzem” takim tonem, jakby to było coś złego.

– No cóż... – Zaśmiałem się.

Choć robienie wywiadów z ludźmi to był bardzo dobry pomysł. Nathan już obiecał mi swoją historię. Dlaczego inni mieliby tego nie zrobić? Dzięki temu wszystkim bym lepiej poznał, dowiedział się, dlaczego zostali, podczas gdy inni uciekli. Może ktoś pamięta coś, co okazałoby się jakimś tropem.

– Pracuję w tym hotelu od czterech lat – rzekła, wyjmując ubrania, sortując je i sprawdzając kieszenie – ale nie było mnie tu, gdy zdarzyły się te wszystkie incydenty. No wiesz, te morderstwa i samobójstwa.

– Dlaczego zgodziłaś się tu pracować?

– Szukali kogoś, oferowali dobrą pensję. Był tu też mój mąż.

– A już go tu nie ma?

– Nie. – Spojrzała na mnie.

Nic więcej nie dodała.

Zerknąłem na jej dłonie i zauważyłem, że nie nosi obrączki. Jej odpowiedź była tak kategoryczna, że postanowiłem jednak nie drażnić tematu.

– Widziałaś może lub spotkałaś tę rodzinę?

– Nie pamiętam. Pracuję w kuchni, więc nie mam kontaktu z gośćmi.

– Rozumiem. – Podniosłem kolejną sukienkę, w rozmiarze dziecięcym, sprawdziłem metkę po drugiej stronie kołnierzyka.

„H.L.”.

Nogi zaczęły mnie boleć od kucania, więc usiadłem po turecku na podłodze.

– To nie ma sensu – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Wydaje nam się, że leżała już w zbiorniku, zanim wszyscy stąd uciekli. Dlaczego jej rodzice nikogo nie zaalarmowali?

– Może nie mieli czasu. Gdy dotarły do nas te wiadomości, większość ludzi myślała tylko o przetrwaniu. Może nie mieli czasu na poszukiwania córki. Może chcieli skorzystać ze swojej jedynej szansy.

– Nie. Nie odjechaliby bez niej. – Spojrzałem na sukienkę. – Masz dzieci?

– Nie mam.

– Gdybym dowiedział się, że moje dziecko zaginęło, prędzej bym umarł, próbując je ocalić, niż ruszył w stronę lotniska.

– Nawet gdybyś wiedział, że to koniec świata?

– Zwłaszcza gdybym wiedział, że to koniec świata. – Ścisnęło mnie w gardle, ale mówiłem dalej: – Gdyby jedno z moich dzieci zgubiło się, a nadszedłby koniec świata, przyjemniej tyle mógłbym zrobić: spróbować je ocalić. Chciałbym, żeby wiedziały, że zrobiłem wszystko, co mogłem.

Przechyliła głowę i usiadła obok mnie na podłodze.

– To dlaczego zostałeś?

Kolejne ukłucie winy, ale tym razem zupełnie innego rodzaju.

– Słuchałem wiadomości. Nie było żadnych samolotów. Myślałem, że w końcu ktoś po nas przyjdzie. Czerwony Krzyż, wojsko...

– Ja też.

– Twój mąż wyjechał? Jeśli mogę spytać... Uciekł z tego hotelu?

Wróciła do przeszukiwania walizki. Znalazła kosmetyczkę.

– Ha! Pasta do zębów – powiedziała.

– Aż dwie?

– Tak. Nie mówmy o tym nikomu. Potrzebujesz maszynki do golenia?

– Jasne. A ty może kosmetyków do włosów? Mam tu jakieś.

Wymieniliśmy się kilkoma przedmiotami i schowaliśmy do saszetek. Podałem Sophii kosmetyki do makijażu, a ona wypróbowała szminkę, korzystając z małego lusterka. Potem spojrzała na mnie sponad niego.

– Był właścicielem tego hotelu – rzekła.

– Co takiego?

– Mój mąż. To miejsce należało do niego. I tak, wyjechał stąd. – Wstała i pozbierała swoje rzeczy. – Daj mi znać, jak coś znajdziesz. Muszę wracać do pracy.

– A czy Tomi wie o twoim mężu? – spytałem, gdy otwierała drzwi. – Pisz historię tego miejsca.

– Pewnie tak.

Wyglądała na niewzruszoną. Potem zniknęła w korytarzu. Poderwałem się i zamknąłem za nią drzwi.

Dotąd wstrzymywałem się przed rozmawianiem z personelem, bo nie byłem pewien, czy zostaną dobrze zrozumiani. Szczerze mówiąc, Sophia niezwykle mnie onieśmiała i bardzo się ucieszyłem, że ją spotkałem i że mogłem pozbyć się swoich uprzedzeń. Może wynikały one z tego, że parę razy widziałem w kuchni, jak wydaje polecenia. Poza tym była bardzo wysoka.

Do sprawy dziecka podeszła nieco nonszalancko, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że była kobietą. Ale w obecnej sytuacji każdy miał nieco skrzywioną perspektywę. Wszystko, co było wcześniej, w naszym poprzednim życiu, pozostawało teraz bez znaczenia. Teraz żyliśmy z dnia na dzień i nie pamiętaliśmy już ludzi, których nienawidziliśmy, rzeczy, które nas denerwowały, psuły nam humor w internecie, statusów na Facebooku, na których widok przewracaliśmy oczami, filmików ze słodkimi zwierzątkami, na których płakaliśmy, batalii przeciwko dziennikarzom, prezenterom telewizyjnym, politykom, celebrytom. Wszystko to było nieważne. Zamordowano dziewczynkę. Lecz to zdarzyło się wcześniej. A to, co było wcześniej, już nie istniało. Wielka tablica świata została wyczyszczona. Nie było już żadnych konsekwencji.

Przepakowałem i zamknąłem obie walizki, a potem zaniósłem je do swojego pokoju. Zarygłowałem za sobą drzwi. Wyglądało na to, że Luffmanowie nie zostawili żadnych ewidentnych śladów wskazujących na to, że pojechali w kierunku lotniska bez swojej córki. Niemniej jednak chciałem przejrzeć ich rzeczy jeszcze raz, bez żadnego nadzoru.

Dzień pięćdziesiąty trzeci

Muszę dokładnie opisać dzień pierwszy. Zanim minie zbyt dużo czasu i wspomnienia zatrą się w pamięci. Tak właśnie działa umysł w przypadku traumy: wymazuje ją, a potem od czasu do czasu przeżywasz to na nowo, w snach i we wspomnieniach, dostajesz zawrotów głowy, hiperwentylacji i napadów paniki. Lecz to, co pamiętasz, zaczyna zamieniać się w fikcję.

W pewnym sensie całe życie poświęciłem czasowi, choć przecież nikt nie może być pewien, czym on jest. Czy jest ideą społeczną? Czy jest cykliczny? Czy paralelny? Według mnie czas jest linearny, ponieważ muszę wierzyć w postęp, żeby to, co badam, czyli ludzie, miało sens. Lecz gdy teraz o tym myślę, czas wydaje mi się bardziej elastyczny, rozciągliwy, jakby sięgał dalej, zanim jakieś wydarzenie przyciągnie cię z powrotem na miejsce.

No więc i tak muszę kiedyś do tego wrócić. Załatwić to za jednym razem, żeby nie musieć już więcej tego pamiętać. Wszyscy staramy się od tego uciec. To stwarza pozór, że idziemy naprzód. Dlatego pozostajemy przy zdrowych zmysłach. Lecz zdrowy rozsądek nas nie uratuje. Niczego przed nami nie ma. Nie ma od tamtego właśnie dnia. Nie ma, dopóki wszystkiego dokładnie nie opiszę.

Zaczęło się podczas śniadania. Krzyk. Kobieta patrząca na swój telefon.

– Zbombardowano Waszyngton!

Najłatwiej byłoby napisać, że wszystko od tego momentu zlało się w jedną niewyraźną plamę. Bo tak się właśnie stało. Jednak spróbuję opisać to najlepiej, jak potrafię.

Wstałem, bo w pierwszym odruchu chciałem spojrzeć na telefon kobiety. Kilka innych osób zrobiło to samo.

Kobieta zaczęła płakać. Patrzyła w ekran i płakała.

Spojrzałem poprzez salę i mój wzrok spotykał się ze spojrzeniami ludzi, którzy jeden po drugim także wstawali. Potem znów usiadłem i przypomniałem sobie, że mój telefon leży na stole. Tylko jednej wiadomości udało się do mnie dotrzeć.

Zastanawiałem się, czy nadawca będzie żałował, że były to ostatnie słowa, jakie wysłał.

Ktoś krzyknął:

– O Boże!

Nie zauważyłem kto.

Chwyciłem telefon i czym prędzej pognałem do holu. Przy recepcji trzy osoby stały w kolejce. Spojrzałem na telefon, potem na kontuar, a później na drzwi. Nie wiem, ile czasu tak stałem, ale chyba dłuższą chwilę. Nie miałem pojęcia, co robić. Czy wyjechać, czy zadzwonić do kogoś, czy poprosić o pomoc obsługę. Stałem więc tak, dopóki ktoś mnie nie potracił z całej siły w ramię, biegnąc do wyjścia.

To mnie wybiło ze stuporu. Próbowałem dodzwonić się do Nadii, ale linia była zajęta lub zupełnie padła. Nawet nie nawiązywało się połączenie, brak sygnału. Z niewyjaśnionych przyczyn zacząłem dzwonić do mojego doktoranta, Luke'a, który wysłał do mnie tę wiadomość. Zrobiłem to chyba dlatego, że był na początku mojej listy połączeń. Ale do niego również nie udało mi się dodzwonić.

Czułem, że narasta we mnie panika, postanowiłem jednak do niej nie dopuścić. Powiedziałem sobie: „Nie”. Prawdopodobnie doszło do ataku terrorystycznego, tak, ale przecież już wcześniej były takie zdarzenia. Egoistycznie pocieszałem się, że nie mam żadnej rodziny ani znajomych w Waszyngtonie. Może to była powtórka z 11 września, a w takim razie nikomu z moich bliskich nic nie groziło.

Zacząłem oddalać się od recepcji, gdzie awanturował się tłum ludzi. Nic się nie dało zrozumieć z tej mieszaniny wielu języków. Otworzyłem aplikację mediów społecznościowych w telefonie i gdzieś w holu, na uboczu, oparłem się o ścianę. Rozważałem powrót do mojego stolika. I wtedy zobaczyłem nagłówki wiadomości:

Z OSTATNIEJ CHWILI: TRWA ATAK NUKLEARNY NA WASZYNGTON.
CZEKAMY NA KOLEJNE DONIESIENIA.

Jakby lodowata dłoń chwyciła mnie za gardło. Zdrętwiała mi szczęka. Ciało przeszyły dreszcze, od żołądka przez ramiona i całe plecy. Ręce mi się trzęsły. Nie mogłem nic przeczytać. Jedyne słowo, jakie widziałem, było „**NUKLEARNY**”.

Pozbierałem myśli. Nie mógł to być przecież atak nuklearny. Nie dosłownie. Przecież atak nuklearny oznaczałby koniec świata. Pewnie użyli takiego słowa, żeby podkreślić powagę sytuacji.

Odzyskałem kontrolę nad telefonem i przeczytałem posty.

Z OSTATNIEJ CHWILI: W WASZYNGTONIE ZDETONOWANO BOMBĘ
NUKLEARNĄ. CZEKAMY NA KOLEJNE DONIESIENIA.

Z OSTATNIEJ CHWILI: ATAK NUKLEARNY NA STANY ZJEDNOCZONE.

Z OSTATNIEJ CHWILI: 200 TYSIĘCY ZABITYCH – SZACUJĄ EKSPERCI.

Z OSTATNIEJ CHWILI: POTWIERDZONO, ŻE PREZYDENT I PERSONEL
BIAŁEGO DOMU ZGINĘLI W ATAKU NUKLEARNYM. CZEKAMY NA
KOLEJNE DONIESIENIA.

Było też wiele innych wiadomości, o braku łączności radiowej z Wielką Brytanią i kolejnych atakach w Albuquerque.

Przypomniałem sobie, że w pokoju miałem telewizor.

I nagle, w jednej chwili, straciłem wzrok. Nic nie widziałem. Jakby ktoś zgasił światło. Przed oczami zapadła ciemność. Telefon wypadł mi z ręki. Chyba

zwymiotowałem, ale już nie jestem pewien. Całą drogę z holu do restauracji próbowałem pokonać po omacku. Szybko zrozumiałem, że to nie ma sensu, więc usiadłem na podłodze, opierając się plecami o ścianę.

Przez chwilę wydawało mi się, że jestem bohaterem *Dnia tryfidów* Johna Wyndhama. Do tego przekonany byłem, że naprawdę oślepiłem. Słyszałem ruch, płaczących i biegnących ludzi, ktoś raz krzyknął. Nikt nie przystanął, żeby ze mną porozmawiać.

Po jakichś trzydziestu minutach zacząłem odzyskiwać wzrok, choć wydawało mi się, że minęło kilka godzin. Wracając tą samą drogą po omacku, przeszukiwałem podłogę, aż w końcu znalazłem mój telefon. Trzymałem go przyciśniętego do piersi, dopóki nie wróciła mi całkowita zdolność widzenia.

Spostrzegłem, że ktoś zatrzymał się, kiedy tak mrugałem oczami w nadziei, że coś zobaczę. Uświadomiłem sobie, że stoi przy mnie kobieta. Teraz wiem, że to była Tania. Lecz wtedy jeszcze jej nie znałem.

– Wszystko okej? Potrzebujesz pomocy? – zapytała.

Ktoś inny, jakiś mężczyzna, powiedział jej, żeby się pospieszyła, bo muszą dostać się do samochodu.

Nie odezwałem się, a może powiedziałem, że wszystko w porządku. Nie wiem. Przepraszam, ale nie pamiętam.

Następnie znalazłem się w restauracji. Przypominam sobie korytarz i to, jak patrzę na moją książkę i kawę na stole. Na dwie osoby stojące przy drzwiach do baru. Ściskające się za ręce. Wydaje mi się, że byli to Mia i Sasha, siostra i brat. Nikogo więcej nie było.

Zauważyłem, że patrzyli na telewizor znajdujący się na górze, w rogu sali. Podbiegłem do nich. Oczywiście nie rozumiałem ani słowa, ale w tle pokazywano ciągle ten sam fragment materiału filmowego. Prezenterowi plątał się język, pocił się.

Ktoś kręcił jakiś filmik, chyba swojego znajomego, zanim na całym ekranie rozbłysło oślepiająco jasne światło i film się urwał. Pozostał biały szum.

– Co on mówi? – warknąłem do nich.

– Miasto przepadło – powiedział młody człowiek, Sasha.

Pojawiły się kolejne materiały. Film opublikowany na Twitterze nakręcono z daleka. Pokazywał niknące światła Nowego Jorku. Budynki znikwały w ciemnościach, jakby przez nie pochłaniane. Po lewej stronie obrazu widać było unoszącą się, pulsującą chmurę gigantycznych rozmiarów. Tyle tylko było widać. Oślepiająca jasność, chmura – największa, jaką kiedykolwiek widziałem – i gasnące światła.

– Ile amerykańskich miast zaatakowano? – zapytałem.

– Mówią, że jak dotąd trzy.

– Trzy?

– Gdzieś w Teksasie – powiedziała Mia, płacząc.

Zacząła histerycznie mówić coś do Sashy w języku, którego nie znałem.

Nogi się pode mną ugięły. Ruszyłem z impetem przed siebie i wpadłem na jakąś kobietę, której o mało nie przewróciłem.

– Przepraszam, przepraszam... – wybełkotałem, biegnąc dalej.

Coś krzyczała, ale nie było to raczej do mnie.

Wszedłem na górę, a potem udałem się do swojego pokoju, żeby się spakować. Włączyłem telewizor, lecz nie działały już żadne duże amerykańskie stacje. Tylko szwajcarskie. Odchodziłem niemal od zmysłów, próbując ustawić napisy z tłumaczeniem. W tle leciał ciągle ten sam materiał. Gdy ustawiłem w końcu napisy, ponownie spróbowałem dodzwonić się do Nadii, lecz ciągle nie było to możliwe. Postanowiłem skorzystać z telefonu stacjonarnego, mając nadzieję, że może tylko komórki nie działają. Ale i to mi się nie udało.

Miałem ochotę walnąć telefonem o ziemię, a jednak się powstrzymałem, ogarnięty irracjonalną obawą, że będę musiał zapłacić za zniszczenia w pokoju. Z powodu szoku wprawdzie straciłem wzrok, ale najwyraźniej zachowałem przytomność umysłu, skoro martwiłem się wysokością rachunku.

Nie dokończyłem pakowania, bo, szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co spakować. W ogóle nie wiedziałem, co robić. Wszedłem z pokoju i zacząłem pałętać się po korytarzach, szukając kogoś znajomego z konferencji. Miałem

nadzieję, że może ten ktoś będzie sobie lepiej radził z szokiem i powie mi co dalej. Desperacko pragnąłem, żeby ktoś powiedział mi, co robić. Zupełnie jakbym znów był w szkole, chciałem, żeby jakiś dorosły przejął kontrolę nad sytuacją.

Obsesyjnie stukąłem w ekran telefonu, szukając najnowszych informacji po angielsku. We wszystkich występowało słowo „**NUKLEARNY**”. Wmawiałem sobie, że źle je rozumiem. Z logicznego punktu widzenia nuklearny atak na Waszyngton nie był możliwy, bo przecież nigdy wcześniej nic takiego się nie wydarzyło. Gdyby atak faktycznie był nuklearny, oznaczałoby to niechybnie koniec świata. A świat nie kończy się ot tak. Nie kończy się, bo jeszcze nigdy wcześniej się nie skończył...

Z OSTATNIEJ CHWILI: ZDETONOWANO ŁADUNKI NUKLERNE W CAŁYM WASZYNGTONIE, SETKI TYSIĘCY OFIAR I POSZKODOWANYCH.

Z OSTATNIEJ CHWILI: KANADYJSKI PREMIER PROSI O ZACHOWANIE SPOKOJU PO ATAKU NUKLEARNYM NA STANY ZJEDNOCZONE.

Z OSTATNIEJ CHWILI: STANY ZJEDNOCZONE BEZ RZĄDU. BOMBA NUKLEARNA ZNISZCZYŁA WASZYNGTON.

Jedynе zdjęcie Waszyngtonu, jakie mieli, zrobiono telefonem komórkowym. Przedstawiało ciemność i chmurę. To wszystko.

Nie byłem na to przygotowany. Potrzebowałem kogoś, kto da mi jakieś wskazówki. Drzwi na moim piętrze otwierały się i zamykały. Widziałem, jak ludzie biegną po schodach. Z pokoju wyszedł mężczyzna, odwrócił się w moją stronę i patrzył. Wiedziałem, kim był, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia.

Joe Fisher z Uniwersytetu w Pensylwanii. Po chwili sobie przypomniałem. Znałem go od siedmiu lat.

Poprawił okulary na nosie i powiedział:

– Jon, musimy wezwać taksówkę. Szkocja zniszczona.

– Szkocja... zniszczona?

– Tak. Musimy wezwać taksówkę. Znasz jakiś numer?

Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, co do mnie mówi. Żaden z nas nie miał samochodu. Z dworca obaj przyjechaliśmy taksówkami.

Zacząłem się śmiać. Wyglądałem, jakbym stracił rozum. Joe na pewno musiał tak pomyśleć. Spojrzał na mnie jak na wariata i poszedł sobie. Nie mogłem przestać się śmiać. Musiałem usiąść. Trzymałem się za głowę i gapiłem się w telefon na coraz to nowe doniesienia. Wydało mi się to absurdalne, że jedyne, o czym Joe Fisher był w stanie teraz myśleć, to wezwanie taksówki. Szkocja padła, więc jasne... wezwijmy taksówkę.

Po chwili śmiech ustąpił. Nie zamienił się w płacz czy coś, po prostu ustał. A ja byłem zaskoczony własnymi reakcjami.

Wstałem, wziąłem moją na wpół spakowaną walizkę i zjechałem windą do holu. Był bardzo zatłoczony. Wszyscy krzyczeli, w różnych językach. Jedna z recepcjonistek chciała przekrzyczeć ten harmider, ale nikt jej nie słuchał. W końcu oboje recepcjoniści weszli na kontuar. Stojąc ponad tłumem, kobieta krzyknęła:

– Cisza! Zamknijcie się! Zamknijcie się!!!

Jej młodszy kolega, trzęsąc się obok, tłumaczył na angielski wszystko, co mówiła. Na chwilę zapanowała cisza.

– Wszystkie loty zostały wstrzymane! Inne formy transportu raczej też dziś nie będą działać! Proszę zachować spokój, spróbujemy państwu pomóc! Radzimy nie podróżować samochodem!

Ale ludzie i tak masowo opuszczali hotel, tłocząc się w wejściu. Obserwowałem ich, oparty o ścianę, częściowo ukryty za donicą z dużą rośliną. Zaczęło do mnie docierać, że raczej nikt nie powie mi, co robić. Rząd mojego kraju przestał istnieć. Szkocja przestała istnieć. Setki tysięcy ludzi straciło życie, a my czekaliśmy, aż władza, której już nie było, powie nam, jakie procedury powinny obowiązywać w sytuacji, która nigdy wcześniej nie miała miejsca.

Jeszcze raz spróbowałem dodzwonić się do Nadii. I znów nic.

Musiały być w domu. Przecież u nich był środek nocy.

Pomyślałem o rozbłysku, o monstrualnej chmurze imitującej światło dzienne i o ciemnościach, które potem zapadają.

Zadzwoniłem ponownie z telefonu stacjonarnego i nagle pojawił się sygnał.

Moje serce...

Nie, nie jestem w stanie o tym pisać...

Myślałem, że może uda mi się porozmawiać z Nadią. Gdyby któraś córka odebrała telefon, to byłaby ogromna ulga. Wszystko teraz skupiało się na sygnale dzwoniącego telefonu. A ja oczyma wyobraźni widziałem ją, jak stoi w korytarzu naszego domu. Nadia. Niemal usłyszałem jej głos. Chciałem wierzyć, że wszystko u nich w porządku. Nadia powiedziała by mi, że dzieci mają się dobrze, i wtedy zaczęlibyśmy się zastanawiać, co robić dalej. Moglibyśmy stworzyć plan działania i go omówić.

Telefon ciągle dzwonił, lecz nikt go nie odbierał. Na koniec dobił mnie głos automatycznej sekretarki. Nie był to głos Nadii ani Marion, ani Ruth. Tylko mój. Mój własny głos prosił o zostawienie wiadomości.

W tym momencie czas się dla mnie zatrzymał. I nie ma znaczenia, ile dni by minęło. Wszystko zawsze wraca do tej chwili. To wtedy coś we mnie pękło.

Straciłem panowanie nad sobą i rzuciłem telefonem. Uderzył w ścianę po lewej stronie windy. Słyszałem, jak pęka ekran. I to był koniec. Ukryłem twarz w dłoniach i zacząłem płakać. W holu, w obecności tych wszystkich ludzi. Choć i tak nikt nie zwracał na mnie uwagi. Musiało upłynąć kilka chwil, gdy dotarło do mnie, że ludzie wokół mówią o kolejnych bombach, które wybuchły w Chinach, nieopodal Monachium i jeszcze gdzieś w Niemczech, nie pamiętam.

Później coraz trudniej było o informacje. Jedynym ich źródłem były media społecznościowe, bo wszystkie stacje telewizyjne przestały działać. Słyszałem od kogoś, że podobne wydarzenia miały miejsce w Rosji i w Jerozolimie. Mam gdzieś dokładną listę, którą sporządziłem, zanim padł internet. Nie wiem, po co staram się zapamiętać dokładną kolejność tych zdarzeń. Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie.

Usłyszałem: „Zbombardowali Waszyngton!”, a nawet nie miałem pojęcia, kim byli ci „oni”.

I tak właśnie wyglądał dzień pierwszy.

Dzień pięćdziesiąty czwarty

Para z pokoju 27 dziś rano popełniła samobójstwo. Albo przynajmniej tak to wyglądało.

Obudziłem się bardzo wcześnie i od razu wstałem. Już nie wyleguję się w łóżku. Wylegiwanie oznacza wyciszenie i zaraz na pewno zacząłbym myśleć o Nadii, Ruth i Marion. Snułbym niezliczone fantazje o tym, jak jadą samochodem wzdłuż wybrzeża, czasem zbaczają z trasy, podwożą sympatycznych autostopowiczów z dziećmi. Stworzyłem w głowie sugestywny obraz, w którym Nadia pokonuje cały gang złodziei samochodów.

Było to nieznośne. Nienawidziłem się za te wizje. A jeszcze bardziej nienawidziłem się za to, że przebywanie w tych myślach sprawiało mi przyjemność i odrywało od przykrej codzienności.

Zauważyłem, że małżeństwo Bernardeaux nie zeszło na śniadanie, więc postanowiłem sprawdzić, co się stało.

Dylan i Nathan byli już na miejscu, gdy dotarłem na swoje piętro, i od razu wyczułem, że coś jest nie tak. W pierwszym miesiącu po nastąpiła fala samobójstw. Klatka schodowa, zawsze ciemna i śmierdząca, była do tego najlepszym miejscem. Ale w ciągu ostatnich tygodni nikt się nie zabił. Niestety, trzy pierwsze przypadki odcisnęły tak wielkie piętno, że gdy tylko korzystałem ze schodów, spodziewałem się kolejnego ciała.

– Jon, nie wchodź tam – ostrzegł mnie Dylan. – Nie wygląda to dobrze.

– A co teraz wygląda dobrze? – odparłem, wchodząc do pokoju.

Nathan, z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrzył się na drzwi łazienki.

– Zdaje się, że najpierw zabił ją, a potem siebie – powiedział.

I miał rację.

Patrick leżał twarzą do dołu, bez koszulki, na krawędzi wanny. Ręce zanurzone miał w kałuży krwi. Był mężczyzną muskularnym, koło pięćdziesiątki. Starał się trzymać formę fizyczną. Często mijalem go podczas moich spacerów po hotelowych korytarzach. Czasem zbiegał bosy z ostatniego piętra na parter i z powrotem wbiegał na górę. Czasem drałował wte i wewte po korytarzu. Biegał bosy, w przeciwieństwie do Tani i Dylana nigdy na zewnątrz. Nie chciał znosić ostatniej pary butów.

Za ciałem Patricka, na podłodze, leżała jego żona. Miała na imię Coralie. Jej twarz zwrócona była w stronę drzwi. Oczy szeroko otwarte, jakby w szoku, patrzyły wprost na nas. Wokół szyi miała wielki siniec. Trudno mi było stwierdzić, czy chciała umrzeć. Może nawet to był jej pomysł, ale nie miała w sobie na tyle siły, żeby przeprowadzić to do końca.

– Nic nie wskazuje na morderstwo? Jak myślicie? – Chciałem się upewnić, czy żaden z nich nie zauważył czegoś, co mi umknęło.

– Nie, nie wskazuje – odpowiedział Dylan.

Byli dentystami z Lyonu. Trzymali się razem, choć zdarzało się, że Coralie zamieniała ze mną parę słów w restauracji. Jej znajomość angielskiego nie była wybitna, ale można było się dogadać. Z Patrickiem nigdy specjalnie długo nie rozmawiałem, poza jednym przedziwnym wyjątkiem, tuż po jego powrocie z wyprawy na polowanie z Dylaniem. Opowiedział mi wtedy o wakacjach spędzonych na farmie swojego wujka w Rumunii. Miał wtedy czternaście lat. Wujek zabrał go na polowanie, ale nie w celu zdobycia jedzenia czy dla rekreacji. Podążali krwawym tropem niedźwiedzia chorego na wściekliznę. Spędzili w lesie siedem godzin, dobijając zranione sarny i mniejsze niedźwiedzie, przynosząc kres ich cierpieniu. Patrick powiedział, że wspomnienie to powracało do niego w ostatnich miesiącach.

Ja z kolei miałem wrażenie, że chciał podzielić się ze mną tą historią, bo wiedział, że robię notatki. Wiele osób zaczęło opowiadać mi różne rzeczy z tego

właśnie powodu.

Patrick i Coralie mieli trójkę dorosłych już dzieci, a najstarsza córka miała już swoje dzieci. Niestety, nie pamiętam, jakie nosiły imiona.

– Też zauważyłeś, że nie zeszli na śniadanie? – zapytałem.

– Dlatego prowadzę rejestr. Nie tylko dla bezpieczeństwa. – Dylan skinął głową.

– Znałeś ich? – spytał Nathan.

– Byli dentystami – odrzekłem, bo w sumie tyle tylko tak naprawdę o nich wiedziałem.

– Wiecie, że w tym zawodzie jest wysoki odsetek samobójstw? – bardziej poinformowałem, niż zapytał Nathan.

Dylan i ja spojrzeliśmy na niego.

– No co? – Wzruszył ramionami. – Taka prawda. Dentyści górują pod tym względem nad innymi profesjami. Sprawdźcie sobie w internecie.

– W internecie? – Dylan uniósł brwi.

– No wiem, że nie możecie... Ale wiecie, o co chodzi. Mówię prawdę.

– Sprawdźcie w internecie... – powtórzył Dylan i parsknął.

– Staram się zachować poczucie humoru, stojąc na granicy otchłani! To chyba nie zbrodnia?!

– „Kiedy spoglądasz w otchłań...”.

– To się śmieję. Ha ha. – Nathan rozłożył ręce.

Ku mojemu zdumieniu po chwili obaj zanosili się od śmiechu.

Podczas gdy moi towarzysze rozmawiali, ja wpatrywałem się w Coralie Bernardeaux. Byłem porażony smutkiem i bezradnością. Znów poczułem się jak pierwszego dnia, a może drugiego czy trzeciego.

– Powinniśmy ich stąd zabrać? – zapytałem.

– Teraz lepiej nie. Wszyscy są na dole. – Dylan spojrział na mnie. – Obawiam się efektu domina.

Miał rację.

– Dobrze, to dajcie mi znać. Pomogę wam ich później wynieść.

Nathan i Dylan wyszli z sypialni. Żaden z nich nie był roztrzęsiony. Może za dużo już widzieli. Może ja ciągle czułem rozpacz, bo dla mnie wciąż było to wstrząsające.

Wszedłem do łazienki, kucnąłem i zamknąłem Coralie oczy. Była zimna. Cokolwiek się wydarzyło, wydarzyło się w nocy. Próbowałem sobie przypomnieć, czy coś słyszałem. Jakaś szamotaninę albo krzyki. Lecz wedle mojej wiedzy przespałem całą noc twardym snem.

Któregoś dnia Coralie zaproponowała, że zrobi mi przegląd zębów. Odchyliłem się więc na krzesło, a ona zajrzała mi do buzi, wyteżając wzrok z powodu słabego światła. Grzebiąc mi wykałaczką w zębach, z palcami w moich ustach, czuła się o wiele swobodniej niż podczas zwykłej pogawędki. Włosy opadały jej na oczy.

– Pijesz za dużo kawy – oznajmiła.

Prychnąłem, próbując się zaśmiać.

Przerwała na chwilę pracę i uśmiechnęła się lekko.

– Teraz to już żaden problem. Kawa tu jest obrzydliwa.

Wtedy moje zęby były jeszcze w dobrym stanie, lecz było to jeszcze zanim zaczęła nam się kończyć pasta.

– Jon, wszystko okej? – Dylan lekko zastukał palcami w drzwi.

Wstałem i powiedziałem na głos:

– Co za beznadzieja.

– Wiem, stary.

– Naprawdę, pieprzona beznadzieja.

– Wiem.

– Może oni podjęli lepszą decyzję – stwierdził Nathan.

Wyszedłem za nimi, kręcąc głową, a Dylan zamknął za mną drzwi do łazienki.

W budynku tak wielkim, jak ten, ciała Bernardeaux mogły zostać w tym pokoju na zawsze – już nikt nigdy do niego nie wejdzie ani w nim nie zamieszka. A jednak z potrzeby rytuału czy może z ludzkiego odruchu nadal je

grzebaliśmy. A może robiliśmy to z powodów higienicznych. Zawsze trzeba było coś powiedzieć podczas pogrzebu i zawsze wtedy padało na mnie. Jako jedyny pamiętałem fragmenty Pisma Świętego.

Pozostawieni sami sobie, zaczęliśmy tracić kontrolę nad naszą pamięcią. Ja na przykład zaczynam zapominać imiona: kolegów moich córek, ich nauczycieli, współpracowników Nadii. Ich twarze też zaczynają wymykać mi się z pamięci. Nawet wspomnienie o własnym ojcu jest coraz bardziej niewyraźne. Ale ciągle potrafię recytować Pismo Święte. Jakby w tym przypadku działała pamięć mięśni.

Nathan wrócił do restauracji, a ja postanowiłem jeszcze sprawdzić kilka rzeczy. Zajrzałem do szuflad w pokoju Bernardeaux i zauważyłem, że nie mieli zbyt wiele.

– Szukasz czegoś szczególnego? – spytał Dylan, który czekał na mnie na korytarzu.

– Tak... Pasty do zębów, leków przeciwbólowych, czegokolwiek, co mogłoby się przydać.

Spojrzałem do szafy i znalazłem walizkę. W zewnętrznej kieszeni zamykanej na suwak były ich paszporty. Przekartkowałem je i potwierdziłem ich tożsamość. Starłem się zachować spokój i nie dać się ponieść emocjom.

Jedyną ciekawą rzeczą, jaką znalazłem, była paczka cygaretek. Zaskoczyło mnie to. W końcu opuściłem pokój, a Dylan zamknął go na klucz.

– Powinieneś coś zjeść – stwierdził.

– W ogóle nie mam apetytu.

– To zrozumiałe – przytaknął. – Przed chwilą musiałem zapobiec bójce. Nicholas, wiesz, ten Holender, zaczął podskakiwać do Nathana, zupełnie jakby chciał go sprowokować.

– A to dlaczego?

– Bo jest wściekły i chyba go nosi? Nie wiem. Tych dwóch, Peter i Nicholas... nie ufam im. Adam i Rob, Anglicy, są w porządku. A ten Peter jest niby taki cichy, ale... Sam nie wiem, po prostu mu nie ufam. I temu Holendrowi

też. Staram się mieć ich ciągle na oku, lecz to wymaga bardzo dużo czasu i energii.

– Adam jest okej – powiedziałem. – A Rob? Przywitałem się z nim kilka razy, to wszystko. Peter i van Schaik... Z żadnym z nich nie zamieniłem ani słowa.

– Wygląda na to, że stronią od Amerykanów. – Uśmiechnął się. – Zajmę się teraz zbiornikami i zapalę sobie. Idziesz ze mną?

Zanim zadał pytanie, już szliśmy razem w tym samym kierunku.

Dzień pięćdziesiąty czwarty

Dylan i ja prawie cały dzień spędziliśmy na dachu. Rano pomagało nam jeszcze kilku młodych mężczyzn, lecz gdy nadeszło popołudnie i spadła temperatura, zostaliśmy zupełnie sami. Tak między nami mówiąc, to udało nam się częściowo zdjąć pokrywę zbiornika. Wszędzie walały się odłamki metalu. Miałem poranione dłonie. Podobnie jak Dylan.

Zaproponował, żebyśmy zapalili. Zgodziłem się. Liczyłem na to, że uda mi się coś więcej z niego wyciągnąć.

Powiedział, że wieczorem na dachu jest bardzo spokojnie. I miał rację. Było strasznie zimno, ale widok na las sprawiał wrażenie, jakbyśmy znów byli na wakacjach w kurorcie. Delikatny szmer wiatru w koronach drzew powodował, że można było na chwilę zapomnieć o ludziach, którzy zginęli, o naszych bliskich, zaginionych członkach rodziny, przyjaciółach. Przez chwilę poczułem się, jakbym znów był na konferencji.

Dylan opowiedział mi o latach swojej pracy w hotelu. O pokojach wynajmowanych po to, żeby brać narkotyki, i o gościach cieszących się złą sławą.

– Zawsze mieliśmy jakieś wolne pokoje. Facet, który był tu szefem, kręcił na boku własny biznes. Jeszcze zanim awansowałem. Dzięki temu cały personel mógł rozprowadzać towar. Praca była niewdzięczna, ale mogliśmy robić, co nam się żywnie podobało. Dopóki klientela była przyzwoita. Nieważne, że brali narkotyki, ważne, że byli bogaci.

– Nie było to nieco ryzykowne?

– Coraz częściej zdarzały się ostre przedawkowania i zbyt często przyjeżdżało pogotowie. Kierownictwu to się nie spodobało. Mój szef został po cichu zwolniony. A ja zrobiłem się ostrożniejszy. Stawałem się coraz starszy... to chyba też miało wpływ. Zacząłem z tego wyrastać, myślałem bardziej perspektywicznie. O rodzinie, a nie o jedzeniu drogich steków i picciu ekskluzywnego piwa. W życiu są ważniejsze rzeczy. To znaczy były...

Ponownie podał mi jointa, którym długo się zaciągałem.

Siedzieliśmy obok siebie, nogi zwisały nam poza krawędzią budynku. Nie było to aż tak niebezpieczne, jak mi się początkowo wydawało, zwłaszcza że tuż pod nami znajdowała się serpentyna schodów przeciwpożarowych. Wspaniale byłoby oglądać zachód słońca z tego miejsca, tyle że nie było już żadnych zachodów słońca.

Zacząło mi się nawet wydawać, że powiew wiatru staje się coraz cieplejszy, ale to była chyba tylko moja wyobraźnia. Byłem nieźle upalony.

– Czy spotkałeś kiedyś jakiegoś mordercę? – zapytałem. – Tomi mówiła mi, że gościliście tu kilka znanych nazwisk.

– Taaak, Victora Roux... Można powiedzieć, że to on natknął się na mnie.

– Jak to?

– Poznałem go mniej więcej w taki sam sposób, jak poznałem ciebie. Podobnie jak ty wędrował po korytarzach, tyle że głównie w nocy. Wtedy nie wydawało mi się to w żaden sposób podejrzane. Wielu osobom, które tu mieszkały, takie ciche, samotne spacerowanie pozwalały pozbierać myśli. Nie trzeba od razu lecieć do lasu. Nawet kiedyś wypaliłem z Victorem blanta, tak jak teraz palę z tobą. Obok kuchni. Był czarującym człowiekiem, działał na kobiety jak magnes, ale raczej to wiesz, skoro o niego pytasz...

– Niewiele o nim wiem. Tomi opisuje historię tego miejsca. Widziałeś kiedykolwiek na własne oczy, jakie miał kontakty z kobietami?

– Nie mam w zwyczaju przesiadywać w barze z drinkiem. Ale wiem, że on tam często bywał, oglądał występy muzyczne, czasem wychodził z różnymi paniami. Kiedyś opowiedział, że kiedy był młody, wziął udział w telewizyjnym

reality show o randkowaniu. Ale nie pamiętam w którym... Podobno nigdy nie puścili tego odcinka.

– Naprawdę? Victor Roux brał udział w reality show?

– Ano tak. Wiesz, w takim co to kilku facetów stara się umówić z jedną dziewczyną. I oczywiście nikt nie zachowuje się tak, jak na prawdziwej randce. Zero naturalności. Podobno wygrał, przynajmniej tak twierdził. Ale, jak wspomniałem, nigdy tego nie wyemitowali.

– Powiedział dlaczego?

– Powiedział, że uczestniczka programu robiła fochy i narzekała, że ją przerażał. I nie chciała iść z nim na randkę. Nagrodą główną były wakacje w Grecji czy coś w tym stylu, więc **NAPRAWDĘ** coś musiało być na rzeczy, że nie chciała jechać. Niesamowite, jak tak sobie o tym pomyśle. Uchroniła ją kobieca intuicja. A tak, najprawdopodobniej, stałaby się pierwszą ofiarą Victora.

– Ile miał wtedy lat? Czy to wtedy zaczął zabijać?

– Nikt nie wie, kiedy zaczął.

Dostałem gęziej skórki i oddałem jointa. Pomyślałem, że zapłaciłbym każde pieniądze, żeby obejrzeć ten odcinek. Ale, oczywiście, nigdy nie będzie już nam dane oglądanie programów rozrywkowych.

Uświadomienie sobie tego faktu było bardzo bolesne i wywołało we mnie więcej smutku, niż bym się po sobie spodziewał.

– Widziałeś go w towarzystwie Natalie du Morel? – spytałem.

Dylan uniósł brwi, a na jego twarzy przez chwilę pojawił się niesmak.

– Raz. Podobała mi się. Wyróżniała się z tłumu. Była bardzo niską, drobniutką kobietą z krótkimi włosami. Nie miała z nim żadnych szans. Był bardzo wysoki, jeszcze wyższy niż na zdjęciach w gazetach. I bardzo silny. Jakby nie był człowiekiem.

– Widziałeś go tego wieczoru, gdy...?

– To ja go obezwładniłem.

– Co?

– To, co słyszałeś. – Kiwnął głową i ze wściekłością się zaciągnął. – Mój szef pojawił się trzy minuty po tym, jak to zrobiłem. I przypisał sobie moje zasługi. To był inny szef, nie ten, co go zwolnili. Wielu ich przerobiłem, zanim awansowałem na to stanowisko.

– Ale jak to przypisał sobie twoje zasługi? Powiedział, że on to zrobił?

– Bał się, że gdy gazety dowiedzą się, że czarny dowalił białemu, to mogą zwalić całą winę na mnie. Wszystkie te morderstwa, no i w ogóle wszystko. A tak, nikt nie mógł podważyć historii o białym bohaterze. Dla mnie mogłoby to wyglądać znacznie gorzej. To były inne czasy. Choć znowu aż tak wiele się w tych kwestiach nie poprawiło, jak się może wydawać. Wtedy był to dla mnie wystarczający powód, żeby uniknąć sławy za prawie zabicie człowieka.

– Wow. Jak to się stało?

Znów zaciągnął się jointem i machnął ręką na znak, że cofa się pamięcią do tamtych wydarzeń. Po chwili tę samą dłoń położył sobie na brzuchu, jakby chciał powstrzymać ból w rozdłubanej ranie.

– Od jakiegoś czasu nikt jej nie widział, Natalie. Kobiety, którą chciał... Myśleliśmy, że zatrzymała się u kogoś w mieście, że odwiedzała jakichś znajomych. Później, dzień później, ktoś usłyszał na szóstym piętrze krzyk. To tam mieszkał Victor. Dostałem wiadomość przez radio i pobiegłem zobaczyć, co się stało. Nie bałem się. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Często zdarzały się jakieś incydenty, wybuchały bójki, więc w ogóle nie przerażały mnie takie rzeczy. I wtedy właśnie wpadłem na nich.

Dwa ptaki zaskrzeczały do siebie, przelatując tuż obok naszych twarzy. Patrzyłem na nie, machając nogami.

– A jednak istnieją jeszcze ptaki! – krzyknąłem. – O rany!

– Super. – Zgodził się ze mną i teraz obaj patrzyliśmy, jak kreślą wokół siebie koła, by za chwilę zniknąć nam z oczu w koronach drzew.

– Przepraszam, przerwałem ci.

– Wiesz... – Podał mi skręta. – Zawsze, gdy o tym myślę, przypomina mi się pewna piosenka. Słuchałem jej wtedy, kiedy dostałem tę wiadomość. To był

Billy Ocean. Słuchałem kasety na moim walkmanie.

– Rany, na walkmanie...

– Pamiętasz?

– Tak, choć ja miałem już odtwarzacz **CD**. Ojciec wychował mnie na swoich płytach. Dopiero po dwudziestce zacząłem słuchać innych rzeczy.

Wspomnienie ojca zbiło mnie z tropu. Zniknął uśmiech z mojej twarzy i zacisnęło mi się gardło. Z jakiegoś powodu rzadko o nim myślałem. I o jego żonie, Barbarze, też. Może udało im się uciec poza pole rażenia bomb. Zastanawiałem się, czy ojciec mógł tego dnia pracować w Memphis i czy to w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie, skoro teraz nic już nie było pewne.

Zbyt wiele niewiadomych.

– No więc tuż przed słuchałem *Love Really Hurts Without You* i ciągle miałem w głowie tę piosenkę, gdy biegłem na miejsce. Potem utkwiała mi w pamięci na długi czas. Teraz nie mogę jej w ogóle słuchać, bo od razu chce mi się wymiotować. I dostaję drgawek. Pobiegłem więc wtedy na szóste piętro. Windy nie działały, no to ruszyłem schodami. Słyszałem krzyk, choć byłem jeszcze bardzo daleko. Wiedziałem, że to ona. Gdy tylko usłyszałem wrzask, dotarło do mnie, że od paru dni jej nie widziałem. Wybiegła z jego pokoju, a Victor podążył za nią z wielkim nożem, jakby maczetą. Natalie nie miała już ręki, zwisał jej tylko kawałek skóry... i wszędzie była krew... Przepraszam, chyba opowiadam zbyt szczegółowo.

– Nie, nie. Mów dalej.

– Leżała na podłodze, a on uderzał w nią tym wielkim ostrzem. Gdyby nie był tak zaślepiiony wściekłością, pewnie już dawno odciąłby jej głowę, ale nie trafił zbyt dokładnie. Zasłaniała więc twarz ręką, która była zupełnie... rozszarpana.

– Co zrobiłeś?

– Nie myślałem, co się właściwie dzieje, dopadłem do niego i wtedy dopiero zaskoczyłem: Głupcze, przecież on cię teraz zabije. Ale było już za późno, żeby się wycofać. Tymczasem on chyba zauważył mnie dopiero wtedy, gdy zacząłem go okładać pięściami. Zamachnął się na mnie, tyle że nie miał miejsca na

wyprowadzenie mocnego ciosu. Przytrzymałem go na podłodze i waliłem w twarz. Nie myślałem o żadnym tam bohaterstwie. Nie myślałem nawet o tej biednej kobiecie. Myślałem tylko o tym, żeby zatłuc tego potwora, inaczej on zabiłby mnie.

Oddałem mu skręta. Przytrzymując go w zębach, Dylan podniósł koszulkę, którą miał pod płaszczem, i odsłonił brzuch. Na torsie, ponad brzuchem, miał wielką, głęboką bliznę. Potem podciągnął lewy rękaw. Na lewym bicepsie widać było dwie kolejne.

– Najważniejsze, że to przeżyła – ciągnął dalej. – Z tego, co wiem, mieszkała w Marsylii, więc może i koniec świata też udało jej się przeżyć. Nie wiem. Nie wiemy, co stało się we Francji, prawda? Słyszałem coś o Paryżu, ale... Nie wiem.

– Niesamowita historia.

Nie wiedziałem, co więcej mógłbym powiedzieć. Nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów.

– Pewnie dlatego pozwolono mi potem zarządzać moim zespołem tak, jak chciałem. Byłe tylko goście byli bezpieczni. Mogłem robić na boku inne interesy, pracować w godzinach, w jakich chciałem, wybierać pracowników. Gdy zostaniesz okaleczony w pracy, szefostwo zaczyna traktować cię z szacunkiem.

– A co się stało z twoim szefem? Z tym starym szefem?

– Umarł na raka trzustki. Tak mi się wydaje... – Potrząsnął głową. – Wiesz, nie pamiętam dokładnie. Byłem na jego pogrzebie, ale nie wiem, kiedy to było. A powinienem. Wydaje mi się, że powinienem.

Skręt zgasł. Próbował go jeszcze raz zapalić, ale nie dał rady. Wyrzucił go więc i zaczął zwijać następnego.

– Dowiedziałeś się czegoś o tej dziewczynce? – zapytał.

– Nie. Tylko jak się nazywała.

– I nadal będziesz przeszukiwał hotel?

– Może. Mogę zatrzymać twój klucz jeszcze przez jakiś czas?

– Chyba tak. – Wzruszył ramionami. – Ale raczej nic ciekawego nie znajdziesz.

Dzień pięćdziesiąty piąty

Miałem pewien pomysł i potrzebowałem do niego pomocnika, może dwóch. Ale nie znałem ludzi na tyle dobrze, żeby ich poprosić o pomoc. Dziś rano, przy śniadaniu, przez dłuższy czas rozglądałem się po restauracji i obserwowałem swoich towarzyszy. Nadal jest kilka osób, z którymi nie zamieniłem ani słowa.

Jedynie Tomi siedziała sama. Czekałem na Tanię, ale w ogóle nie zeszła na dół. Moim pierwszym wyborem, niestety już nieaktualnym, był Patrick – przekonała mnie jego siła fizyczna i to, że była tu jego żona. Był przez to bardziej wiarygodny niż reszta przebywająca tu samotnie.

Wstałem i podszedłem do Dylana.

– Czy u Tani wszystko okej?

– Zapukałem do niej. Wzięła do pokoju trochę jedzenia, ale dużo wcześniej, jeszcze przed całą resztą. – Uśmiechnął się. – Nic nie ujdzie twojej uwadze, co?

– Dobrze wiedzieć – odparłem z ulgą.

Wróciłem do swojego stolika i dopiłem resztkę kawy. Od jakiegoś czasu piliśmy tylko rozpuszczalną. Była gorzka i niemal zimna. Wypiłem cały swój przydział tego świństwa, ale nie było tego zbyt wiele.

Po drugiej stronie sali Tomi wstała i wyszła. Wtedy zdecydowałem, że najpierw ją poproszę o pomoc. Nie wydawało mi się, żeby była zamieszana w morderstwo. Jest młoda, młode kobiety zaś rzadko kiedy popełniają brutalne zbrodnie. A biorąc po uwagę jej gotowość do kradzieży i psychoanalizy, mogłaby być dobrym sprzymierzeńcem.

Starając się nie rzucać zbyt w oczy i trzymając odpowiedni dystans, poszedłem za nią.

Dylan patrzył, jak wychodzę, więc nie odzywałem się, dopóki nie dotarłem do klatki schodowej.

– Hej! Tomi? – krzyknąłem.

Odgłos kroków nad moją głową ucichł, spojrzałem w górę i nagle zza poręczy wyłoniła się jej głowa.

– Ach, to ty. – Wydawała się rozbawiona.

– Możemy pogadać?

– Jasne.

Usłyszałem, jak wbiega po schodach i wychodzi z klatki schodowej. Ruszyłem za nią. Gdy dotarłem na szóste piętro, zobaczyłem, że czeka na mnie na korytarzu. W ręku miała kubek z kawą.

– Nie znoszę tego ohydztwa – powiedziałem.

– Jest wstrętne, ale czasem dodaję czegoś na wzmocnienie. – Poruszyła się. – Więc... idziemy do mnie do pokoju czy...?

– Tak, musimy porozmawiać na osobności.

– Ach, na osobności...

– Uwierz mi, nie o to chodzi.

– Przecież nie zaprosiłabym cię, gdyby chodziło. – Zaśmiała się.

Tomi mieszkała w pokoju 505. Nie sądzę, żeby był to jej pierwszy pokój. Podobnie jak inni przeniosła się z powodu niedziałających zamków na kartę i korzystała teraz z tradycyjnego klucza. Zastanawiałem się, czy wybrała ten numer z powodu symetrii i dlaczego nie zamieszkała niżej, na czwartym piętrze, razem z większością kobiet.

Uświadomiłem sobie, że musiała znać historię Victora Roux. Tamta kobieta omal nie została porąbana na kawałki dosłownie kilka metrów od miejsca, w którym staliśmy. A mimo to Tomi chciała mieszkać na tym piętrze. Sama.

Może to nie takie znów dziwne, jeśli nie była przesądna. Ale ja nie chciałbym tu mieszkać.

– No więc, co to za pilna sprawa, przez którą śledzisz mnie od śniadania.

O czym chcesz pogadać? – zapytała.

Zamknąłem drzwi, gdy usiadła na krawędzi swojego łóżka.

– Chodzi o zwłoki ze zbiornika.

– O tę małą?

– Tak. – Wziąłem taboret, który stał obok komody, i usiadłem na nim. Potem rozejrzałem się po pokoju. – Nie wiem, ile słyszałaś, ani też jakie plotki krążą na ten temat...

– Że została zamordowana i że zdarzyło się to wcześniej.

– Na to wygląda.

Wstała, nachyliła się do mnie, sięgnęła za moje plecy i otworzyła szufladę.

– Jeśli chcesz sprawdzić, czy mam to, czego potrzebujesz, to po prostu spytaj. Nie musisz wymyślać pretekstu tylko dlatego, że powiedziałam ci o moim zapasie whiskey.

Mimo woli spojrzałem w dół i zobaczyłem, że ma kilka tubek pasty do zębów, dużo minibutelek z kosmetykami i trochę składanych szczoteczek. Była zbyt blisko mnie, więc musiałem wstać.

– Nie zrozum mnie źle, może jestem ciekaw, jakie rzeczy ukradłaś, ale nie przyszedłem tu w tym celu. W sumie to chciałbym cię prosić o pomoc.

– W czym?

Zauważyłem, że w jej pokoju ładnie pachnie. A już żaden pokój nie pachniał ładnie.

– W śledztwie – odpowiedziałem i usadowiłem się na podłodze.

Lekko przewróciła oczami i znów usiadła na łóżku.

– Chcesz znaleźć mordercę?

– Chcę dowiedzieć się, co się stało. Co najdziwniejsze, nikogo poza mną to nie interesuje.

– Dlaczego przyszedłeś do mnie?

– Dlaczego nie?

– Przecież nawet mnie nie lubisz.

– Nie chodzi... – Westchnąłem i spojrzałem na jej kawę. – Poczęstujesz mnie?

Prychnęła i podała mi kubek, wzięła butelkę i wlała do kawy trochę whiskey.

– Niezły z ciebie palant. Przychodzisz do dziewczyny do pokoju, mówisz, że jej nie lubisz, a potem wypijasz jej kawę i jej alkohol.

Wziąłem porządny łyk. Whiskey sprawiła, że kawa stała się znośna.

– Dziękuję. I to nie jest tak, że cię nie lubię. Nie znam cię. Nikt tutaj zbyt dobrze się nie zna.

– To takie przytłaczające nie znać tu nikogo... Myślałam, że będzie zupełnie na odwrót, że koniec świata podziela na wszystkich uwalniając, a tymczasem każdy się kisi w swoim pokoju. – Ogarnęła ręką pomieszczenie. – Lubię przebywać sama ze sobą, tyle że przez to ma się naprawdę niezłą myślówkę.

– Racja.

– Kiedyś nawiązywanie znajomości to był dla mnie chleb powszedni.

– Myślałem, że nawet nie próbowałaś się z nikim skontaktować, gdy to się wydarzyło...

– Co takiego mam dla ciebie zrobić? – Wyrwała mi kubek z kawą.

– Nie wiem, może przesadzam, ale gdy tylko wspomnę o zwłokach, to personel... Dylan, Sophia... dziwnie się zachowują.

– Wszyscy pili wodę, w której marynowało się ciało, a do tego mamy zagładę nuklearną. Trzeba przywyknąć, że ludziom odwala. – Odwróciła wzrok i zapaliła papierosa. – Całe to gówno jest bardzo dziwne.

– Okej, tylko że oni ewidentnie unikają tematu. Nie w tym sensie, że nie chcą o tym rozmawiać. Nie chcą, żebym cokolwiek sprawdzał. A na górze są cztery zbiorniki. Więc nie jest powiedziane, że piliśmy akurat z tego, w którym... jak powiedziałaś... marynowało się ciało.

– Może nie widzą w tym żadnego sensu?

– Nie. Chodzi o coś innego. Jestem tego pewien. Myślisz, że mogłabyś mi pomóc? – Sięgnąłem do kieszeni i w dowód zaufania wyciągnąłem klucz. – Mam klucz uniwersalny. Mogę więc przeszukać każdy pokój. Chcę, żeby

wszyscy myśleli, że tylko ja się tym zajmuję, ale jednocześnie ty mogłabyś mieć oko na pozostałych, szczególnie na personel.

– A obserwując ich, mam zwrócić uwagę na...? – Po jej twarzy przemknął delikatny uśmiech.

– Jeszcze tego nie wiem. Zrobisz to?

Podniosła butelkę i nalała sobie następną kolejkę. Nie przejmowała się, że jest tak wcześnie. Gdy odstawiała butelkę na podłogę, włosy opadły jej na prawe ramię i złapały trochę delikatnych promieni słońca wpadających przez okno.

– Hej... – Zaśmiała się. – Mamy koniec świata. Każdy potrzebuje hobby, co nie?

Gdy wracałem do swojego pokoju, zatrzymałem się pod gabinetem Tani i stałem pod nim przez dłuższą chwilę. Nie byłem pewien, co porabia, gdy nie przyjmuje pacjentów. Porządek dnia wszystkich osób był dla mnie tajemnicą. W jej przypadku szczególnie.

Nagle drzwi się otworzyły.

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytała.

Byłem na to zupełnie nieprzygotowany i nie przychodziła mi do głowy żadna wymówka.

– Chodzi o ząb? – Uniosła brwi.

Nie wiedziałem, czy pyta na serio, czy chce oszczędzić mi zakłopotania, więc nie oponowałem. Posadziła mnie na krzesło i założyła parę gumowych rękawiczek. Głowę miała odwróconą w inną stronę. Wydawała się rozkojarzona i zmęczona.

– Oprzyj głowę o krzesło. Użyję latarki.

Rozsunęła zasłony najbardziej, jak się dało, ale nie zrobiło to zbyt dużej różnicy. Gdy pochyliła się, żeby poświecić mi latarką w usta, zauważyłem, że ma popękane wargi, jakby je przygryzała.

Oparcie krzesła zaczęło wrzynąć mi się w szyję, ale nic nie powiedziałem.

– Wygląda na to, że ząb martwieje. – Westchnęła i odeszła kawałek ode mnie.

– Dlaczego? – Wyprostowałem się.

– Nie jestem dentystką, ale widzę, że zmienił kolor. Nie wiem, z jakiego powodu. Może ich być bardzo wiele. Obawiam się, że trzeba będzie go usunąć.

Zauważyła wyraz mojej twarzy i szybko dodała:

– Ale nie teraz. Może sam wypadnie albo wypchniesz go... Zauważyłam, że zgrzytasz zębami. Gdy pojawią się jakieś objawy infekcji lub zaczniesz cię boleć, trzeba będzie go usunąć.

– Masz jakieś znieczulenie?

– Nie. Ale coś wymyślimy. – Zdjęła rękawiczki i wyrzuciła je do kosza stojącego w drugiej części pokoju. – Nie twierdzą, że to będzie przyjemne...

– Dobrze się czujesz? Nie widziałem cię na śniadaniu.

Usiadła ciężko na łóżku, które zostało przesunięte pod ścianę.

– Czasem za dużo myślę o dniu, gdy to wszystko się zaczęło. A to nie działa na mnie zbyt dobrze.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie bardzo chcę być przepytwana w ramach twojego projektu.

– Nie dlatego zapytałem. – Uśmiechnąłem się.

– Nie, ale po to przyszedłeś.

Zapanowała krótka cisza i myślałem, żeby sobie pójść. Choć wcale nie przeszkadzało mi, że mnie przejrzała. Już sam fakt, że ktoś mnie zauważał, był niesamowicie pokrzepiający.

– Może nie jesteś jedyna. Każdy potrzebuje czasem pogadać. – Rozłożyłem ręce. – Nie będę zapisywał tego, czego nie chcesz.

– To pewnie działa na ciebie terapeutycznie. – Zadumała się, zakładając nogę na nogę i opierając głowę na dłoni. – Dlaczego zostałeś? Wszyscy uczestnicy konferencji wyjechali. Dlaczego ty nie wyjechałeś?

– Wiesz co, tak naprawdę to nie pamiętam. Jeśli chodzi o tamten dzień, to mam wiele luk w pamięci. A ty, dlaczego zostałeś?

Zebranie się do odpowiedzi zajęło jej dużo czasu. Wspomnienia przynosiły ze sobą ból.

– Zamierzałam wyjechać – odezwała się w końcu. – Już prawie byłam w samochodzie. Ale nagle... nie chciałam tego zrobić. Przypomniała mi się historia o katastrofie lotniczej... Tak, to chyba była katastrofa lotnicza... Jedna z dziewczynek, które przeżyły, wbiegła na pas startowy i została uderzona przez karetkę. Zginęła. Nie wiem, dlaczego akurat ta historia przyszła mi do głowy, ale uświadomiłam sobie, że ucieczka może wcale nie być najrozsądniejszym rozwiązaniem. Mogliśmy wszyscy zginać w drodze na lotnisko lub na dworcu, bo tam mogłaby uderzyć następna bomba. A raczej mało prawdopodobny był atak nuklearny na hotel, więc... – Wzruszyła ramionami.

– Ma to sens – powiedziałem.

– Tak?

– W każdym razie większy niż wyjazd twojego chłopaka. – Postanowiłem skorzystać z okazji i zadać kilka pytań. – Długo byliście razem?

Zdziwiłem się, bo nie ucięła rozmowy.

– Jakieś trzy lata... Dlatego tu przyjechaliśmy. Na tydzień przed naszą rocznicą, nieopodal ładne miasteczko, jezioro, sam wiesz...

– Trzy lata?

Pokiwiała głową.

– I nie był moim chłopakiem. Był moim narzeczonym.

– I cię tu zostawił? – Byłem porażony.

Kolejne kiwnięcie głową.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czułem się okropnie, że wywlokłem ten temat. Jaki sens miało rozgrzebywanie takich rzeczy? Przecież wiadomo, że Tania nie miała nic wspólnego z zabójstwem Harriet Luffman.

– Naprawdę wierzyłam, że wróci, gdy zobaczy, że nie można nigdzie dojechać. Albo wróci tak po prostu. – Wykonała ręką gest, pokazując na pokój. – Jak widać, nie wpadł na to. Nie wziął tego pod uwagę.

Poczułem przypływ furii, chciałem wrócić do tej chwili w holu hotelowym i przywalić gościowi w twarz.

– Przykro mi.

– Nie, to mnie jest przykro. – Patrzyła na swoje paznokcie. – Przykro mi, że zmarnowałam trzy lata. Mogłam przez ten czas sama sypiać, chodzić, gdzie chcę, jeść więcej, mieć własną przestrzeń i uprawiać seks z kim mi się podoba.

Z jakiegoś powodu powiedziałem:

– Może chciał wrócić, ale coś go powstrzymało.

Spojrzała mi w oczy, dając do zrozumienia, że nic do mnie nie dotarło.

– Mam nadzieję, że nie żyje – powiedziała.

Dzień pięćdziesiąty ósmy

Nie pisałem przez kilka dni. Nie znoszę odchodzić od mojej rutyny, więc wyjaśnię, skąd ta luka.

Ostatnio znów zacząłem palić. Rzuciłem, gdy miałem dwadzieścia cztery lata. Oczywiście to Nadia namówiła mnie do tego. Może „namówiła” to nie jest odpowiednie słowo. Poprosiła mnie, a ja przestałem palić. Tak wyglądał nasz związek.

Podczas śniadania podszedłem do Adama. Uznałem, że będzie kolejną osobą, z którą porozmawiam. Facet mówi po angielsku i zawsze jest dla mnie bardzo miły, choć ton jego głosu jest bardzo poważny, a wyraz twarzy surowy. Jest niesamowicie, wręcz niepokojąco blady. W jego czarnej brodzie widać gdzieś rude odcienie.

Chciał podzielić się ze mną swoim tytoniem. Najpierw kulturalnie odmówiłem, ale nalegał.

– Czego się boisz? Śmierci? – zapytał, zapalając papierosa. – Słyszałem, że wszystko zapisujesz dla potomnych, żeby wiedzieli, że tu byliśmy.

– Nie boisz się, że nikt nie zapamięta, kim byłeś?

– Nie. Przyjechałem tu trochę poimprezować. Za bardzo nie mam do czego wracać.

– Rodzice? Dziewczyna?

– Nic z tych rzeczy – odpowiedział, jakby nigdy nie miał rodziców. – Mam brata, ale... Ech, on też do mnie nigdy nie dzwoni.

Zaproponował, żebyśmy wyszli na zewnątrz, bo ludzie poczują dym i zaczną zadrećcać go o papierosy. Więc założyliśmy na siebie kilka dodatkowych warstw, czapki i rękawiczki i poszliśmy posiedzieć na dworze.

Znaleźliśmy jakąś ławeczkę. Muszę wyznać, że powrót do palenia sprawił mi ogromną przyjemność. Przyzwyczailem się już nawet do permanentnych ataków lęku, które odczuwałem w klatce piersiowej, tymczasem papierosy powodowały, że rozluźniały mi się wiecznie napięte barki.

Musieliśmy wypalić chyba po trzy, gdy tak sobie siedzieliśmy.

– Dużo ci jeszcze tego zostało? – zapytałem.

– Od cholery – odparł. – Zrobiłem spory zapas na lotnisku.

– No więc dlaczego wylądowałeś w tym hotelu? – Zwróciłem ku niemu twarz, żeby odwrócić uwagę od notatek.

– Żeby grać na gitarze i brać narkotyki. Byłem przecież w trasie, nie? – Unikał kontaktu wzrokowego. – Nic wielkiego, kilka miejsc w Europie. Pokłóciłem się z moim wokalistą, a reszta tych nieobliczalnych dupków wzięła jego stronę. Zwinąłem więc ich wszystkie dragi i pewnej nocy uciekłem. Wyłączyłem telefon. Jebać ich. – Parsknął.

– Myślisz, że przeżyli?

– Nie. Szczerze? Wiem, że to słabo zabrzmiało, ale mam to gdzieś. Bardziej zależy mi na kumplach, którzy zostali w domu. Tych od picia mam w dupie. Nawet nie tęsknię z moimi rodzicami. Serio. Tęsknię za kumplami, bo oni naprawdę mnie znali.

– Powiedziałeś, że ukradłeś im cały towar? Nie miałeś zamiaru już nigdy wracać do Wielkiej Brytanii?

– Taaak, cały... – Zawahał się. – Nie wiem, czy miałem zamiar wracać.

Postanowiłem nie wnikać w to, co miał na myśli. A on nie wchodził w szczegóły.

Po drugiej stronie terenu otaczającego budynek zobaczyłem grupkę mężczyzn. Dylan, Sasha i Peter nieśli przez parking na plandecce dopiero co upolowanego jelenia. Nie zgłosiłem się na polowanie nie dlatego, że nie umiem

strzelać, ale dlatego, że inni wyrywają się do zabijania bardziej niż ja. Teraz, gdy nie ma już z nami Patricka, może powinienem był się zaoferować.

– Nie wiedziałem, że są tu jeszcze jakieś jelenie – zauważył Adam.

– Ja też nie – odparłem ze smutkiem w głosie.

Peter powiedział innym, że trzeba związać kopyta i powiesić zwierzę na jednej z latarni oświetlających parking. Jeleń miał już podcięte gardło. Widzieliśmy z Adamem okropny krwawy ślad ciągnący się zza hotelu.

Zwierzę pewnie będzie musiało powiesić tak ze trzy czy cztery dni.

Skierowałem naszą rozmowę na Harriet Luffman.

– A gdy przyjechałeś do hotelu, widziałeś tu może jakieś dzieci?

– Masz na myśli tę małą, którą znaleźliście w zbiorniku z wodą? Nie. – A potem dodał: – W zasadzie to nie cierpię dzieci. Więc trzymam się od nich z daleka.

– Dlaczego nie lubisz dzieci? – Zacząłem się śmiać.

– To dziwna historia.

– Jak bardzo dziwna?

Wyjątkowo długo się zaciągał, a potem złośliwie się uśmiechnął.

– Gdy byłem mały, zrobiliśmy sobie z chłopakami seans spirytystyczny. Myśleliśmy, że to wyglupy, aż tu nagle zaczęliśmy rozmawiać z jakimś chłopcem, który zginął w wypadku samochodowym w Australii. Kimkolwiek był, powiedział, że mnie nie lubi. Oczywiście okazało się, że to moi kumple robili sobie ze mnie jaja. Tyle że od tego czasu ciągle wraca do mnie pewien koszmar, w którym ten straszny chłopiec stoi w rogu mojego pokoju.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Przerwałem na chwilę swoje notatki.

– Naprawdę?

– Taaak. Najdziwniejsze jednak jest to, że żadna z moich dziewczyn nie chciała u mnie nocować, bo wszystkie budziły się w nocy i widziały tego koszmarnego chłopca w rogu pokoju. – Spojrzał na mnie. – Wczoraj wpadła do

mnie Tomi... chcieliśmy się trochę zabawić... Nagle usiadła i wiesz, co powiedziała?

– Co?

– Zapytała, czy nie moglibyśmy przenieść się do jej pokoju, bo zobaczyła coś dziwnego.

Mój długopis wisiał nad kartką papieru, ale nie miałem pojęcia, co napisać. Przez chwilę, nie wiedząc czemu, byłem wściekły na Adama.

– Ja... Ja nie wierzę w duchy – powiedziałem.

– Stary, ja też nie. Dlatego mnie to tak męczy. Bo nie wiem, jak to możliwe, że te dziewczyny widzą to, co ja. – Zmarszczył czoło. – Tak czy siak, nie znoszę dzieciaków. I tej małej dziewczynki, którą znaleźliście, sobie nie przypominam. Co zabawne, tutaj akurat nigdy nie miałem koszmarów z chłopcem.

Obok imienia Harriet napisałem: „Wygląda na to, że nic nie wie”.

– Może... – zaczął nową myśl Adam. – Może to nie jest miejsce dla dzieci, hę? Żywych czy martwych...

I dopisałem: „Ale nienawidzi dzieci”.

Dzień pięćdziesiąty ósmy (2)

Wróciliśmy do środka, bo zimno dało nam się już mocno we znaki. Szliśmy do wejścia po śladach krwi. Zatrzymałem się i spojrzałem na podjazd przechodzący w opuszczoną drogę, która gwałtownie skręcała w las.

Adam wspomniał, że gdy był w Genewie, kupił trochę kokainy i takich tam. Z jakiegoś powodu pomyślałem: Czemu nie? Przecież nie muszę już świecić przykładem. Bez żadnego problemu mogę wdać się w barową bójkę, spowodować wypadek samochodowy czy nawet przedawkować narkotyki.

Poszliśmy do pokoju Adama, a po drodze on zapytał, czy będę miał coś przeciwko temu, że zaprosi Tomi.

Odpowiedziałem, że nie, choć trochę miałem.

– Na początku wydawała się trochę sukowata, ale gdy ją lepiej poznałem, okazała się bardzo zabawna – stwierdził.

– Jak uważasz.

– Do tego jest mega seksowna.

Zaśmiałem się. Adam mówi wszystko tym samym sarkastycznym tonem głosu. To bardzo zabawne, bo nie ma o tym pojęcia. Przez cały czas jest śmiertelnie poważny.

– Skoro tak mówisz – powiedziałem.

– Och, daj spokój – zaczął ze mnie drwić. – Kłamiesz, stary. Nie wiedziałem, że taki z ciebie kłamczuch.

Kokainę wziąłem raz, gdy miałem dwadzieścia pięć lat. Z Nadią. Nigdy więcej tego nie robiłem. Ale wiem, że ona brała jeszcze kilka razy. W pracy,

z kolegami, żeby nie zasnąć, gdy opisywali wiece czy konferencje polityczne lub publikowali jakiś odtajniony raport, który musieli przeczytać do dwunastej w południe.

Adam skręcił dla mnie kolejnego papierosa, a ja usiadłem na łóżku, zakładając nogę na nogę. Zapaliłem, a on poszedł po Tomi. W jego pokoju wszystko wyglądało tak, jakby się w ogóle nie rozpakowywał. Jakby chciał wyjechać i się rozmyślił. Nie starał się, żeby było tu przytulnie.

A może się starał. Gdybym miał więcej czasu, to przejrzałbym jego rzeczy, a nie miał ich zbyt wiele. Po krótkiej chwili wrócił z Tomi. Narzuciła na siebie kilka dodatkowych koców.

– Dla mnie też zrobisz takiego? – zapytała, patrząc na mojego papierosa.

Pokazałem na Adama, który siedział na podłodze i skręcał kolejnego. Przemknęło mi przez myśl, że fajnie byłoby zaprosić Tanię, lecz nie byłem pewien, czy chciałyby przyjść. No i czy nie nadużyłbym gościnności Adama.

– Co dziś robiliście, że was wzięło na wciąganie tak wcześnie? – zapytała Tomi. – Zalew emocji?

– Adam opowiedział mi historię o duchach, którą pamięta z dzieciństwa – odparłem.

Tomi usiadła na podłodze pode mną, a Adam przypalił jej papierosa zapałką.

– To nie była historia o duchach – sprostował.

– A w ogóle wierzycie w duchy? – zapytała.

Adam powiedział, że nie.

– Raczej nie – stwierdziłem ja. – A ty?

– Ja jestem ateistką – odpowiedziała Tomi, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Więc duchy i Bóg to dla ciebie to samo? – odparłem ponad głową Adama, który klęczał nad odwróconym lusterkiem przyniesionym z łazienki. Rozkruszał małe kostki białego proszku, które wysypał z torebki.

– Duchy oznaczają dwoistość – odpowiedziała. – Nie ma żadnych badań naukowych potwierdzających, że w ludzkim ciele jest niematerialny byt zwany

duszą. Więc nie wierzę w życie po śmierci. Nie wierzę w Boga. Myślę, że umieramy i już. Ale coś czuję, że się ze mną nie zgadzasz.

Nie wiedziałem, od czego zacząć. Rozpraszał mnie Adam, który stukał kluczem o szkło.

– Nie, nie wierzę w to, co mówisz.

Tomi pokazała na mnie palcem i uśmiechnęła się.

– Religijne wychowanie. Wiedziałam.

– Owszem, wychowałem się w religijnej rodzinie, ale kto ci tego nie powie?

A jednak tylko ja przemawiam teraz na pogrzebach.

Nie wydaje mi się, żebym przyćmił jej satysfakcję.

– A więc wierzysz, że ludzie mają duszę?

– Nauka nie jest w stanie tego wytłumaczyć, ale dlaczego nie.

– Może nie ma żadnego „dlaczego”, może „dlaczego” to dziecinada.

– Przecież piszesz pracę o miejskiej legendzie!

– Robiłam licencjat z historii i antropologii, magisterkę z rozwoju urbanistyki.

Badam rzeczy, które wydarzyły się w przeszłości, i ich wpływ na teraźniejszość, żadne abstrakcje czy nieudowodnione idee. Więc?

Adam znowu usiadł i uśmiechnął się do siebie. Czułem, że przysłuchiwanie się naszej debacie sprawia mu ogromną przyjemność. Przyznam, że była to najnormalniejsza rzecz, w jakiej uczestniczyłem, odkąd tu jestem. Jakbym był w swoim gabinecie, a studenci przychodzili i wychodzili, negocjowali swoje oceny, prosili o przedłużenie terminów. Czasem też chcieli porozmawiać o czymś, co przykuło ich uwagę w jakiejś lekturze. To były moje ulubione rozmowy. Tomi musiała być strasznie upierdliwym typem studentki. Ale zapewne nauczyła swoich profesorów kilku rzeczy.

Usłyszałem, jak Adam wciągnął kilka kresiek. Potem przesunął lusterko w kierunku Tomi, która odgarnęła włosy, nachyliła się i zrobiła to samo. Poprosiłem o czysty banknot, a Tomi zaczęła się ze mnie śmiać. Wciągnąłem dwie kreski i zdziwiłem się, jakie to proste.

Tomi oznajmiła, że pójdzie przynieść coś ze swoich zapasów. Gdy wyszła, Adam wyciągnął się na podłodze i podłożył sobie ręce pod głowę.

– Zarumieniłeś się – powiedział.

Wyjaśniłem mu, że rumieniec jest wynikiem podniesionego tętna z powodu kokainy.

– Mógłbyś iść z nią do łóżka, gdybyś chciał.

– Nawet mnie nie lubi.

Spojrzał na mnie, jakbym właśnie powiedział coś niewiarygodnie dziecinnego.

– Stary, mamy koniec świata.

Wróciła Tomi i przyniosła butelkę Jacka Danielsa.

Pomyślałem: No dobra, nie ma już odwrotu.

Nie pamiętam dokładnie naszych kolejnych rozmów, ale postaram się je przytoczyć najlepiej, jak potrafię.

Adam niewiele mówił, lecz bardzo dużo się śmiał. Myślę, że naprawdę tego potrzebował.

Ja i Tomi wróciliśmy do dyskusji o dualizmie. Szybko walnąłem kilka kolejek. Nie muszę wam chyba mówić, jakie były pyszne. Nie musiałem się w ogóle zmuszać do smaku whiskey.

– Po co poświęcać czas na jakiegokolwiek zabobony i spekulacje, gdy **TYLE SIĘ DZIEJE TU I TERAZ**. To o **WIELE BARDZIEJ** niesamowite i zaskakujące. Rzeczy takie jak odległe galaktyki, czarne dziury i podróże kosmiczne. Na **TO** powinniśmy poświęcać swój potencjał umysłowy, a nie na Kościół! – Gdy mówiła, uderzała pięścią w dywan.

– Nie uważam, żeby zastanawianie się nad tym, dlaczego żyjemy, było marnowaniem potencjału umysłowego! Nad tym, czy mamy wolną wolę, czy bliżej nam do zwierząt...

– Ale nie jest nam bliżej.

– Dasz mi skończyć?

– Jasne! – Wyglądało na to, że świetnie się bawi.

Myślę, że ja też się dobrze bawiłem, bo z minuty na minutę coraz bardziej zapominałem, gdzie jestem.

– Ważne, żeby ludzie czuli, że ich życie ma jakiś sens – stwierdziłem.

– Czyli według ciebie nie ma sensu, jeśli na koniec nie dostaniesz naklejki i lizaka? Jakby życie musiało mieć sens tylko wtedy, kiedy coś po nim następuje? Jaka w tym logika!?

– Jak możesz być ateistką i... i... prawicową libertarianką?

– A skąd ten pomysł, że jestem libertarianką?

Nie pamiętam, co na to odpowiedziałem, ale chyba coś, co ją uraziło. Lecz jednocześnie przyznała, że jest libertarianką i że zawsze głosowała inaczej niż ja. Więc, ostatecznie, jej obrażanie się właściwie nie miało sensu.

Zacząła z nas schodzić kokaina. Każdy z nas wciągnął po dwie kolejne kreski. Tomi zdjęła z siebie koce, a ja usiadłem na podłodze, opierając się o łóżko. Pokój wypełnił się dymem i zrobiło się ciepłej.

– Jest się o wiele zabawniej, gdy sobie wyobrazisz, że narratorem wszystkiego jest facet z serialu *Bogaci bankruci* – powiedziała Tomi.

Zacząłem się śmiać. Dziwnie się czułem z tą prawdziwą wesołością.

Adam zaczął mówić z lakonicznym amerykańskim akcentem:

– Adam spędził dzień na wciąganiu kokainy z dwójką historyków we wschodnim skrzydle hotelu.

Tomi ryknęła gromkim śmiechem, pokazując niemal wszystkie zęby.

– Dylan nie dopuszcza nikogo do kwater dla personelu, bo nie chce, żeby ktokolwiek dowiedział się o jego gigantycznym arsenale broni.

– Co takiego?

– Taka jest prawda! – Tomi dołała nam whiskey. – To popularna miejscówka do polowania. Jest tu bardzo dużo broni, którą goście kiedyś wypożyczyli.

– Ciarki mnie przechodzą na myśl, że ktoś tu może sobie chodzić z bronią. – Adam wyduł usta, zaskoczony. – To nie jest zbyt fajne.

– Eee, co za różnica. I tak za moment nie będą mieli jak jej używać.

– Dlaczego? – spytałem.

Tomi uśmiechnęła się konspiracyjnie.

– Chyba zrobiłam coś złego – wyszeptała.

– Och, błagam, powiedz, że zrobiłaś coś złego – zaśmiewał się Adam.

Choć nie powinno, wszystko to było jednak bardzo zabawne. Adam strząsnął popiół do talerzyka, ale nie trafił, więc roztarł go po dywanie.

– W dniu, gdy to się zaczęło... – Tomi spojrzała na mnie. – ... znalazłam pistolet w szufladzie biurka w pokoju dla personelu i chyba... go zabrałam. Kwatery pracownicze były otwarte i, na serio, było tam od groma broni. Strzelby do polowań, wiecie, do wypożyczania, dla gości.

– Cholera – mruknął pod nosem Adam, spoglądając na drzwi, które były zamknięte.

– Ukradłaś je wszystkie? – zmarszczyłem brwi.

– Oczywiście, że nie! Niby jak?! Ale zabrałam prawie wszystkie kule. Tyle, ile zmieściło mi się do plecaka. To amunicję ukradłam. Nie będą mieli czym strzelać, gdy skończy im się te kilka pudełek, które im zostawiłam.

– Chwila, moment, Tomi. – Machnąłem ręką, żeby rozgonić dym. – Czyli masz całą amunicję, jaka była w tym hotelu, oraz broń?

– Tia. – Zaciągnęła się papierosem Adama, powstrzymując ironiczny uśmiezek.

– Do jasnej cholery, wyjdź za mnie. – Adam wstał i poszedł w drugi koniec pokoju.

Ja byłem bardziej zaniepokojony bronią. Jeszcze nie otrząsnąłem się z szoku.

– I Dylan nigdy nic ci na ten temat nie powiedział? Bo rozumiem, że to jego arsenał, nie?

– Nie chce się przyznać, ile dokładnie tego mają – odpowiedziała. – Zależy mi, żebyśmy wszyscy wierzyli, że mają tu dwie, trzy strzelby na polowania. Nie dwadzieścia. On chyba sądzi, że amunicja została skradziona, gdy goście opuszczali hotel. Że ktoś zabrał ze sobą wszystkie kule i pistolet z jego biurka. Skąd miałby wiedzieć, że broń jest ciągle w hotelu?

– Ale dlaczego w ogóle to zrobiłaś? – zapytałem, zmartwiony ewentualnymi konsekwencjami.

– A dlaczego miałabym tego nie robić? Wiem tylko tyle, że wszystko trafił szlag i że wcześniej czy później nadejdzie moment, gdy będę potrzebowała ochrony. Lepiej, żeby inni zajmowali się teraz polowaniem na sarny i żeby raczej nie mieli powodu, by prześladować mnie.

– Ale nikt nikogo nie prześladowuje, Tomi.

– A co takiego miałeś na myśli, gdy poprosiłeś, żebym dla ciebie szpiegowała?

Zabrakło mi argumentów.

Świadomość, że akurat ona jest jedyną osobą w tym budynku, która posiada tyle amunicji, pozbawiła mnie komfortu. Miałem wrażenie, jakby szykowała się na wojnę.

– Hej, chcecie trochę metamfetaminy? – zaproponował Adam, skonsternowany nowinami Tomi.

Wrócił po chwili z jakimś wyjątkowo dziwnym ustrojstwem, które po dwóch sekundach okazało się czymś na kształt fajki wodnej. Przypalił ją sobie zapalniczką, usta zacisnął na górnej części i zaciągnął się. Zabulgotała woda.

– Jakie to ma działanie? – zapytałem z rezerwą.

Nie byłem ekspertem, jeśli chodzi o twarde narkotyki. Metamfetamina, według mnie, znajdowała się w tym samym worku co kokaina i heroina. Za to marihuana i kokaina to były narkotyki eksperymentalne, których każdy próbuje na studiach i raczej się nie uzależnia, chyba że ma zamiar się zabić.

– Powoduje, że wszystko staje się... – odparł Adam – ostrzejsze, jaśniejsze. Jest jak super speed, ale nie schodzi tak szybko.

– Jasne. – Tomi wzruszyła ramionami.

Zastanawiałem się chwilę i powiedziałem, że chcę spróbować. Zgodziłem się, bo świetnie się bawiłem i nie chciałem jeszcze stąd wychodzić. No więc zapaliłem. I było to zaskakująco przyjemne.

Pamiętam strzępki rozmów, które ciągnęły się przez kolejne godziny, lecz nie warto o nich pisać. Rozmawialiśmy głównie o serialach telewizyjnych i cytowaliśmy nasze ulubione filmy. Tomi opowiedziała zabawną, choć sprośną, historię o swoim byłym chłopaku. Przynajmniej tak mi się wydaje, że była zabawna. Śmialiśmy się z Adamem do utraty tchu. Potem Adam długo opowiadał nam o Alanie Partridge'u. Później Tomi i ja, siedząc obok siebie, przez chwilę rozmawialiśmy o książkach. Adam jeszcze zapalił i zasnął z rękami pod głową i lekkim uśmiechem na twarzy.

Oczy Tomi były szeroko otwarte i lekko zamglone.

Metamfetamina sprawiała, że alkohol smakował jeszcze lepiej. Czułem, że moja skóra zrobiła się sucha i wszystko wywoływało elektryzujące mrowienie, jakby ktoś przypalał zakończenia moich nerwów. Środek ciężkości przesunął mi się wysoko, jakby na poziom szyi, i zrównał z oddechem. Lekko zatęchły dym drażnił mi gardło, więc kilka razy na minutę przełykałem ślinę.

Jakimś sposobem rozmowa zeszła na politykę. Nie pamiętam jak, ale pamiętam za to, gdy Tomi westchnęła i powiedziała:

- Możemy nie rozmawiać o Iraku? Straszny z ciebie smutas.
- Ty na to głosowałeś.
- Głosowałam jak najlepiej dla kraju.
- I co z tego wyszło?

Myślę, że udało mi się ją zirytować. Dotknąłem czulej struny.

– Bardzo to wszystko upraszczasz – stwierdziła, mocniej akcentując słowo „upraszczasz”.

Miałem już spory problem z wypowiedaniem wielosylabowych słów, więc byłem pod wrażeniem jej elokwencji. Poszukała wzrokiem swojego papierosa i zorientowała się, że już go skończyła. Wyciągnęła się na materacu Adama i wzięła długi wdech. Powietrze w pokoju było tak gęste jak w letnią noc na Florydzie.

Tomi otworzyła oczy i powiedziała:

- Mam ochotę na seks.

Nie pamiętam dokładnie, co jej odpowiedziałem, ale pewnie było to coś w stylu „Yyyy, przepraszam, co?” lub jakiś inny nonsens.

– Nie żartuję. Nie składam ci oferty matrymonialnej. Po prostu mam ochotę na seks.

Nadal nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie potrafiłem zdecydować, czy lubiłem ją jako człowieka, czy nie. Seks to była inna kwesta. Poza sympatiami i antypatiami. Wtedy, w tamtym momencie, łatwo było mi to oddzielić. Nie przypominam też sobie, żebym pomyślał o Nadii.

– W czym problem? – spytała Tomi. – Nigdy nie bżyknąłeś libertarianki?

– Nie w tym rzecz.

– Wow, a więc bżyknąłeś? To bardzo ciekawe! Zaskoczyłeś mnie już tym, że wzięłeś metę. Myślałam, że się wycofasz.

– Na początku chciałem, a potem pomyślałem: A co mi szkodzi, do cholery!

– Pewnie! W końcu co możemy teraz zyskać, odmawiając sobie czegoś?

– Po prostu nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł. – Tak, szukałem wymówki. – Podobasz się Adamowi, czułbym się jak dupek.

– Zupełnie niepotrzebnie. Adam mnie odrzucił.

– Co? – zdziwiłem się, zupełnie jakbym nigdy wcześniej nie słyshał tej historii.

– Tak. Mieliśmy iść do łóżka, ale... To było dziwne... Trochę się wystraszyłam, bo byłam pijana i wydawało mi się, że widzę coś w rogu pokoju. Gdy mu o tym wspomniałam i zaproponowałam, żeby pójść do mnie, coś mu odbiło i kazał mi wyjść.

– Co takiego widziałaś?

Chwilę się zastanowiła.

– Nic. Nic nie widziałam. Wiesz, czasem, gdy widzisz w ciemnościach jakiś przedmiot, twój mózg zamienia go w ludzką postać. I to było coś w tym stylu. – Zaśmiała się. – Tak czy owak, faceci biorący za dużo narkotyków nie są dobrzy w te klocki.

– Więc jestem dla ciebie nagrodą pocieszenia, to masz na myśli?

– Hmm, prosiłam też Roba, ale jest gejem, więc... – Wzruszyła ramionami i nie wiedziałem, czy żartuje, czy nie, choć chyba nie żartowała. – No i? Co ty na to? – Uniosła brwi. – Masz zamiar wrócić do swojego pokoju i co? Będziesz pisał?

Spojrzałem na nią. I może to była metamfetamina, może whiskey, ale znów pomyślałem: Co mi szkodzi, do cholery!

Ta decyzja musiała odmalować się na mojej twarzy, bo nagle Tomi wstała i wyciągnęła do mnie rękę. Pozwoliłem jej, żeby przyciągnęła mnie do siebie, i już po chwili staliśmy oboje, chwiejąc się i zataczając. Nasze palce były splecione. Piętą kopnąłem jej szklankę. Tomi zaśmiała się, oparła czoło o moją brodę i została tak przez chwilę. Nie jestem pewien, kto kogo trzymał w pionie. Tak bliski kontakt z drugim człowiekiem, po czasie długiego osamotnienia, spowodował natychmiastowy wyrzut oksytocyny do mózgu, gdzie ta mieszała się z metamfetaminą. Przyłgnęliśmy do siebie jeszcze mocniej. Jej włosy pachniały dymem, a ciało w niczym nie przypominało Nadii, która była niższa i mniejsza. Czuję się za dobrze, żeby to odrzucić. Wyciągnęła dłoń i koniuszkami palców zaczęła głaskać mnie po karku. O mały włos się, cholera, nie rozplakałem.

Co ona czuła? Nie miałem pojęcia. Może nic.

– Idziemy? – zaproponowała, odrywając się ode mnie, choć ciągle mocno trzymałem jej dłoń.

Zostawiliśmy Adama pogrążonego w błogim śnie. Obok głowy postawiłem mu szklankę wody. Byłem na granicy zjazdu, ale jeszcze się trzymałem. Haj zredukował się z poziomu fluorescencji do światła świeczki. Ciągle byłem przytomny, choć moje serce bardzo zwolniło. Nie odczuwałem tak wspaniałej imitacji zadowolenia, odkąd tu przyjechałem, więc byłem wdzięczny Adamowi, że się z nami podzielił.

Tomi przyszła do mojego pokoju i została do wieczora, a potem na noc, która wróciła mnie do życia. Oczywiście nic z tego nie będę opisywał. Miło było nie spać samemu.

Nic wczoraj nie jadłem, więc jestem odwodniony, głodny i nieprzytomny. Nathan przyniósł mi jedzenie, ale jeszcze go nie tknąłem. Muszę się wyspać. Wciąż nie wróciłem jeszcze do sprawy Luffmanów, ale wezmę się do tego, gdy tylko dojdę do siebie.

Kochana Nadio!

Jeśli kiedykolwiek będziesz to czytać, to na pewno będzie Ci ciężko dowiedzieć się o tym, co się wydarzyło. Ale mamy koniec świata. Stwierdziłem, że przez te wszystkie lata byłem przyzwoitym mężem, więc teraz pewnie za bardzo to się nie zmieni. Jeśli poczujesz się z tym lepiej, to wiedz, że zainteresowała się mną z braku lepszej możliwości. Ja być może też.

Pewnie myślisz, że jestem hipokrytą, bo wkurzyłem się, że narzeczony Tani wyjechał. Pewnie myślisz, że nie pamiętam, o co mnie zapytałaś, gdy jechałem na konferencję. Ale słuchałem Cię. I wiem, co powiedziałaś.

Podjeżdżałaś na pewno, że udawałem, że Cię nie słucham. I miałaś rację. Przepraszam. Znałaś mnie na wylot.

*Twój
Jon*

Dzień pięćdziesiąty dziewiąty

W nocy dotarło do mnie, że mógłbym poszukać zapisu z kamer rozmieszczonych w całym hotelu. Wczesnie rano, gdy jeszcze wszyscy spali, poszedłem na spacer. Naliczyłem jakieś dwanaście kamer monitoringu w punktach strategicznych. Jeśli więc były tu kamery i jeśli były regularnie używane, to musiało być też specjalne pomieszczenie, w którym ktoś z obsługi miał wszystko na oku.

Wziąłem klucz uniwersalny, który dostałem od Dylana, i szybko przeszedłem się po wyższych piętrach. Otwierałem i zamykałem po kolei wszystkie drzwi, bez wchodzenia do środka. Odkryłem składzik ze sprzętem do sprzątania, składzik z bielizną, inne magazynki, ale nic, co wyglądałoby jak pokój ochrony. W końcu, na szóstym piętrze, znalazłem otwarte pomieszczenie wypełnione wyłączonymi komputerami.

Nie było przecież prądu.

– Cholera jasna – zakląłem głośno, zamykając za sobą drzwi.

Postukałem w klawisze, na wypadek gdyby któreś z urządzeń było w stanie uśpiania, ale żadne nie działało. Niestety. Na biurku leżało kilka magazynów i dwa do połowy wypite kubki z kawą, w których zaległa się pleśń.

Nie było sposobu, by włączyć prąd bez wiedzy Dylana.

Zostawiłem więc komputery w spokoju i skupiłem się na szufladach oraz szafkach z dokumentami. Nie były zamknięte na klucz.

W szafkach znalazłem całe mnóstwo płyt **CD** ułożonych według dat. Znalazłem te obejmujące okres na tydzień przed pierwszym dniem i uznałem, że muszę je wszystkie zabrać. Nie miałem pojęcia, kiedy dokładnie Harriet

Luffman została porwana. Nie miałem też pojęcia, jak zdołam obejrzeć płyty, ale na wszelki wypadek, żeby nic mi nie umknęło, wziąłem nagrania z dwóch tygodni.

Nagle zauważyłem, że brakuje płyty z jednego dnia. Wróciłem do szafki i przeszukałem jeszcze **CD** z trzech miesięcy. Być może gdzieś się zapodziała. Ale nie znalazłem. I brakowało tylko tego jednego nagrania. Właśnie z tego dnia, pierwszego dnia.

Sprawdziłem inne szafki z nagraniami z innych kamer i potwierdziło się moje przeczucie. Wszystkie **CD** z tego dnia – dnia, gdy wszystko się zaczęło, a raczej skończyło – po prostu zniknęły. Przynajmniej dowiedziałem się, kiedy zniknęła Harriet, więc oglądanie pozostałych materiałów nie miało żadnego sensu.

Wiedziałem też, już z całą pewnością, że ktoś próbował zatuszować sprawę. Co więcej, musiał być to ktoś, kto miał dostęp do tego pomieszczenia. Zawęziłem więc swoje podejrzenia do kogoś z obsługi. Nie mogłem już ufać nikomu z nich. Jediną osobą, którą mogłem bez problemu rozgrzeszyć, był Nathan. Ciężko mi uwierzyć, że mógłby tak gładko odegrać swoją reakcję, gdy znalazł dziewczynkę w zbiorniku.

Wybrałem **CD** z dnia przed porwaniem i po nim, a następnie wyszedłem z pokoju i zamknąłem go na klucz.

Hotel był opustoszały. Samotne chodzenie po korytarzach, w ciemnościach, powodowało przedziwne złudzenia optyczne. Szalony wzór na podłodze mieszał się ze wzorzystą tapetą. Do tego wszędzie wisały lustra. Dźwięk kroków odbijał się echem. Przypomnił mi się Patrick, który biegał piętro wyżej.

Zdałem sobie sprawę, że sam sobie napędzam stracha. Zatrzymałem się i wziąłem kilka głębokich wdechów.

Znów usłyszałem kroki.

W ciemnościach łatwo można było ulec złudzeniu, że się przesłyszałem, ale słyszałem je naprawdę. Nierówny i ciężki krok, jakby ktoś miał problem z poruszaniem się.

– Halo? – zawołałem jak krety.

Kroki ucichły.

Nie wiem, dlaczego zwróciłem na siebie uwagę.

Wpatrywałem się w rozwidlenie na końcu korytarza. Po prawej stronie schody, po lewej kolejne pokoje. Windy znajdowały się gdzieś za moimi plecami, lecz teraz były zupełnie bezużyteczne. Zastanawiałem się, czy zdołam dobiec do schodów.

Znowu rozległy się kroki.

Wycofałem się.

Przyszło mi na myśl, że gdyby udało mi się sforsować drzwi, mógłbym ukryć się w windach. Przez dosłownie jedną sekundę ogarnęło mnie absurdalne przekonanie, że być może to seryjny morderca, Victor Roux. Jego duch, ciągle wałęsający się po korytarzu na szóstym piętrze, na którym został złapany...

Nagle ujrzałem postać: dość niskiego wzrostu, szeroką w barach, lekko opierającą się o ścianę.

– Sasha? – zawołałem.

To był Sasha, brat bliźniak Mii.

Ulga, jaką odczułem na jego widok, nie trwała długo. Zareagował na swoje imię i rzucił się do przodu. Nie wiedziałem, co się z nim dzieje, może był pijany. Odbijał się to od jednej, to od drugiej ściany, wyciągał do mnie ręce i mamrotał coś pod nosem.

– Sasha, wszystko w porządku?

Wtedy zaczął na mnie szarżować.

– Sasha, poczekaj, przestań, wszystko okej? Potrzebujesz pomocy?

Było ciemno i naprawdę ogarnął mnie strach. Jakby odruchowo, przygotowałem się, by przyłożyć mu pięścią w twarz. Nie chciałem jednak zrobić mu krzywdy.

– Sasha, poczekaj! – wrzasnąłem, gdy próbował dosięgnąć mnie rękami.

Starłem się robić uniki, ale drasnął mnie paznokciami w głowę. Upuściłem płyty **CD**, które rozsypały się i narobiły hałasu.

– Sasha! – To był głos Dylana, a już po chwili jego sylwetka pojawiła się na końcu korytarza.

Chłopak odwrócił się na zawołanie i przestał się mną interesować.

Dylan podszedł do nas i złapał Sashę za ramiona. Nawet na niego nie spojrzał.

– Przepraszam za to. Nie zauważyłem, że wyszedł z pokoju.

– Co się z nim dzieje?

– Lunatkuje. Wydaje mi się, że nikt go wcześniej nie widział. Mało kto chodzi po hotelu o tej porze. – Spojrzał wymownie na to, co mi wypadło, i zaczął prowadzić Sashę z powrotem. – Powinieneś się wyspać. Rano będziesz potrzebował dużo energii.

Byłem zbyt zażenowany, żeby zawracać sobie teraz głowę zbieraniem płyt, i wkurzony, że Dylan poznał moje zamiary.

– Czyli on chodzi we śnie po schodach? – zapytałem z lekkim niedowierzaniem. Dylan spojrzał na mnie przez ramię.

– Śpiąc, zapala nawet gaz w kuchence, żeby sobie ugotować jedzenie... Lunatycy wszędzie wejdą.

Gdy już dochodzili do końca korytarza, schyliłem się, żeby pozbierać płyty. Serce waliło mi z jakąś dziwną nieregularnością. Miałem zadać następne pytanie, ale Sasha i Dylan zniknęli mi z oczu.

Chciałem zapytać, gdzie dokładnie lunatycy potrafią wejść podczas snu...

Zdenerwowany i z duszą na ramieniu wróciłem do swojego pokoju. Zamknąłem drzwi na klucz i na zasuwkę. Położyłem płyty na biurku, obok dokumentów i laptopa, który rozładował się dawno temu. Rano wyruszamy w poszukiwaniu jedzenia. Może w sklepie uda mi się znaleźć działającą baterię albo tę gdzieś naładować. Warto spróbować.

Zanim wątła struga światła wpadła przez okno do mojego pokoju, obudziłem się dwa razy. Byłem przekonany, że ktoś próbuje otworzyć zasuwkę. W obu przypadkach w pokoju panowała cisza. Ale nie sądzę, żeby wszystko mi się przyśniło. Dźwięk był zbyt wyraźny. Słyszałem też płacz dziecka gdzieś

w oddali i wmawiałem sobie, że to Yuka Yobari chodzi z niemowlęciem po korytarzach.

Dzień sześćdziesiąty

Jeszcze nigdy wcześniej tak bardzo nie bałem się wyjść na zewnątrz. Od dwóch miesięcy siedzimy w tym samym miejscu. Mogłoby się wydawać, że przez to będzie nam bardziej zależało na kontakcie ze światem. Ale nikt nie chciał wychodzić. Mieliśmy jeszcze zapasy jedzenia, przynajmniej na jakiś czas, tyle że nieubłaganie zbliżała się zima i Dylan chciał, żebyśmy byli zabezpieczeni aż do wiosny.

Ostatnia ekspedycja w poszukiwaniu pożywienia odbyła się wtedy, kiedy Dylan, Peter i Sasha przynieśli z lasu jelenia, którego potem zamroziliśmy. Nie było więc potrzeby, żeby znów wychodzić.

Jedynie wizja pierwszej kolonii osadników w Pensylwanii, których dotknęła klęska głodu, bo nie mieli żadnych upraw, wizja ludzi, którzy rozkopywali własne cmentarze i jedli trupy – tylko to zmuszało mnie do tej wyprawy. Ich też zaskoczyła zima. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Podobnie, jak oni, nie mogliśmy polegać na nas samych, na pogodzie czy na tym, że ziemia wyda jakieś plony.

W skład ekspedycji wchodziłem ja, Adam, Tomi, Rob i Mia. Spotkaliśmy się z Dylanem w holu. Poprosił, żebyśmy przynieśli broń, którą ewentualnie udało nam się zdobyć. Strzelby myśliwskie miały większy zasięg. Ja oczywiście nie miałem żadnej broni, więc, podobnie jak reszta, dostałem mały nóż kuchenny.

Mieliśmy też zabrać ze sobą puste plecaki. Wzięliśmy dwa samochody. Kobiety poprosiły nas, żebyśmy przynieśli im z wyprawy jak najwięcej tamponów i podpasek.

– Myślicie, że ktoś w mieście jeszcze żyje? – zapytał Rob, bo nikt inny by tego nie zrobił.

Spojrzeliliśmy na siebie.

– Nie słyszeliśmy o żadnych atakach bombowych na Szwajcarię, więc może ktoś żyje – powiedziała Tomi.

– Ale je z pewnością widzieliśmy – dodałem. – Te wybuchy, znaczy się.

– Na tym etapie – rzekła i wzruszyła ramionami – musimy się raczej martwić, żeby nie zabili nas ci, którzy przeżyli.

– Skąd w was ten brak optymizmu? – Rob zaczął się śmiać. – Przecież mamy tu nasz własny mały świat...

– Po prostu chodzi mi o to – odparła Tomi – że promieniowanie nie jest naszym największym zagrożeniem. Ono nie głoduje i nie odbija mu palma. Mam nadzieję, że wszyscy widzieli film *Droga*?

– Gdy złapią nas kanibale, obiecacie, że mnie ktoś zabije, okej? – Mia spojrzała na nas.

– Mnie też – podchwyciła Tomi.

– Nikogo nie zjedzą żadni kanibale! – Nie wytrzymałem.

– Mądrze gada. – Dylan kiwnął na mnie głową. – Kończmy te rozmowy i ruszajmy. Chciałbym wrócić przed zmierzchem. Nie powinno nam to zająć więcej niż kilka godzin. Jedziemy do sklepu spożywczego i z powrotem. Tylko tyle.

Ruszyliśmy w stronę samochodów.

Dylan pojechał swoim razem z Tomi, Mią i Adamem, a ja zaoferowałem, że mogę poprowadzić volvo. Towarzyszył mi Rob. Myślałem, że jazda samochodem dobrze wpłynie na moje skołatane nerwy, ale od tak dawna nie siedziałem za kółkiem, że gdy Dylan wystartował sprzed hotelu, wystraszyłem się, że wszystko zapomniałem. Jednak pamięć mięśni wróciła. Objechałem budynek i skręciłem w las.

Im dalej odjeżdżaliśmy od hotelu, tym lżej się czułem.

– Dziwne to wszystko – odezwał się Rob, werbalizując moje myśli.

– Nie wiem, co gorsze – powiedziałem, patrząc na kontrolkę paliwa. – Czy żeby wszystko było opuszczone, czy...

– Żeby byli tu jeszcze jacyś ludzie.

– Dokładnie.

– Hmm, jeśli w ciągu kilku miesięcy ludzie upadli tak nisko, żeby zjadać się nawzajem, to nasz gatunek nie zasługuje na przetrwanie – stwierdził z drwiącym uśmiechem.

Lubiłem Roba. Był bardzo wycofanym człowiekiem, do tego stopnia, że mógł uchodzić za nieśmiałego. Ale trzeba było go lepiej poznać. Miał błyskotliwe poczucie humoru, wspaniały uśmiech i bardzo jasne, ożywione spojrzenie. Spędzał dużo czasu w lesie, gdzie fotografował resztki dzikiej natury. Miał dość drogi aparat fotograficzny. Gdy zapytałem o sprzęt, powiedział, że robił dyplom z fotografii.

– Będzie dobrze – przekonywał, chyba bardziej siebie niż mnie.

– Widziałeś słońce dziś rano?

– Tak, to, co teraz nazywamy słońcem.

– Pomyślałem, że może coś więcej niż karaluchy wyjdzie dziś na światło dzienne.

Rano na niebie pojawiła się w chmurach mała szczelina. Kilkoro z nas czym prędzej wybiegło poszukać plamy światła na ziemi. Stanęliśmy na niej i w absolutnej ciszy patrzyliśmy w górę. To była moc, choć światło nie było na tyle silne, żeby poczuć na twarzy ciepło. Niemniej jednak sam fakt, że się pojawiło, możliwość popatrzenia na nie przez krótką chwilę, przepełnił mnie nadzieją. A teraz musieliśmy gromadzić nadzieję, robić zapasy na przyszłość, aż do następnego pęknięcia w grubej warstwie obłoków.

– Jak to się stało, że tu jesteś? – zapytałem.

– Pomyślałem, że zatrzymam się na tydzień i porobię zdjęcia wszystkim ptakom mieszkającym nad jeziorami. Kaniom czarnym, berniklom białolicym, gęsiom zbożowym czy ptakom śpiewającym... W tej okolicy żyje bardzo dużo

gatunków. Mam w pokoju przenośną drukarkę do zdjęć i chciałbym wydrukować kilka, zanim zupełnie skończy się prąd.

– Staram się teraz o tym nie myśleć – powiedziałem.

– O elektryczności?

– Tak. Kiedyś się na pewno skończy. Nie wiemy, co nas jeszcze złego czeka. Tak jak z internetem.

– Nie będzie to bardziej stresujące niż brak wi-fi za dawnych czasów. – Uśmiechnął się Rob.

Przyspieszyłem nieco, gdy Dylan skręcił w prawo. Rob otworzył okno i wystawił głowę, żeby popatrzeć na odcinek drogi prowadzący w stronę gór. Jak dotąd nie widzieliśmy żadnego samochodu ani żadnych ludzi. Przypomnieli mi się znajomi, którzy postanowili odejść stąd piechotą pierwszego dnia. Jak długo zajęło im pokonywanie tych dróg bez samochodu? Bałem się, że w każdej chwili możemy minąć kogoś rozjechanego przez samochód.

– Niedobrze mi – poskarżyłem się, coraz bardziej podenerwowany perspektywą spotkania jakichś ludzi. – A jeśli ktoś na nas napadnie?

– Że niby jacyś bandyci?

– Tak. W Szwajcarii bardzo dużo ludzi posiada broń.

– Jestem zaskoczony, że w hotelu jest jej tylko tyle.

– Jest dużo więcej, ale nie ma amunicji.

Zmarszczył brwi, a ja zamilkłem na chwilę, zanim zdecydowałem się na kolejny, ryzykowny krok. Ale przecież nie miałem wobec niej żadnych zobowiązań.

– Tomi zabrała większość amunicji. Po kilku eskapadach na polowanie musiało nam zostać niecałe pudełko.

– Dlaczego to zrobiła?

– Ma broń, jedną z hotelowych. Pomyślała chyba, że lepiej będzie, żeby nikt nikogo nie zabił.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Ja, ty, Adam i ona.

– A Dylan?

– Nie sądzisz, że gdyby wiedział, natychmiast by coś wykombinował, żeby dostać się do jej pokoju?

Spojrzał na mnie zaniepokojony.

– Może trzeba mu powiedzieć.

– Nie wiem. Z pewnością Tomi powiedziała nam o tym w sekrecie. Może najlepiej byłoby, żeby nikt z nas nie miał broni.

– Niby tak, ale na przykład dziś by się przydała...

– Tak, przydałaby się. – Źle zmieniłem bieg i szarpnęło samochodem. – Cholera.

Obaj przestaliśmy się odzywać. Myśleliśmy o tym samym. Z jednej strony Tomi bez wątpienia miała rację. Kobieta, mieszkająca sama w pokoju, na pewno czuła się bezpieczniej z bronią. Może nawet jej bezwzględnie potrzebowała. Istnieje dowód na to, że w pewnym momencie w hotelu był morderca. I nadal może być pośród nas. Jakim prawem mieliśmy mówić młodej kobiecie, czego powinna, a czego nie powinna się bać? Z drugiej zaś strony jej posunięcie było bardzo wyrachowane, ponieważ pozbawiła nas możliwości obrony przed dokładnie tym samym. I w tym tkwił problem.

– Może powiemy to jakoś dyskretnie... – zacząłem myśleć na głos. – Może Dylan nie zareaguje bardzo źle... Może będzie chciał z nią porozmawiać na osobności i będzie wobec niej łagodny... Przecież nie szykujemy się na jakieś obłączenie. Nie jesteśmy... dzikusami.

– Pewnie, to daleko posunięta perspektywa – zgodził się ze mną. – Choć izolacja dziwnie wpływa na ludzi.

– Jest nas zdecydowanie za dużo, żebyśmy skończyli jak w *Lśnieniu*.

– W *Lśnieniu* wystarczyło, że jeden facet oszalał.

Przypomniała mi się Harriet Luffman w zbiorniku na wodę.

Tuż przed wjazdem do miasta Dylan skręcił w prawo.

– Dlaczego to zrobił? – spytałem.

– Co zrobił?

– Skręcił.

– Duży sklep spożywczy jest pod miastem. Na przedmieściach. Wokół nie ma żadnych domów. Myślę, że dlatego Dylan go wybrał. To bezpieczniejsze rozwiązanie.

Ulżyło mi na myśl, że będziemy w jakiejś odległości od miasta. Dało mi to złudne poczucie bezpieczeństwa, zanim okazało się, że nigdzie już nie jest bezpiecznie.

Umierające drzewa po obu stronach drogi rozrzedziły się i wjechaliśmy na parking przed ogromnym supermarketem. Dylan zaparkował z brzegu, a ja tuż za nim. Widziałem, jak wygląda przez okno i ocenia sytuację.

Miejsce wyglądało na opuszczone. W pobliżu nie było żadnych porzuconych samochodów.

Wysiadłem.

Tomi miała rozpięty plecak, który przewiesiła sobie przez ramię, tak żeby mogła szybko do niego sięgnąć. Na pewno miała przy sobie pistolet.

– I co o tym myślisz? – zapytałem Dylana, który ze strzelbą w rękę przyglądał się sklepowi.

– Myślę, że ze dwie osoby powinny zostać w samochodach – zdecydował. – Na wypadek, gdyby trzeba było odjechać w pośpiechu.

– Strzelba też zostaje – powiedział Adam.

Dylan kiwnął głową na zgodę.

– Ja w takim razie zostaję w volvo – zaproponował Rob.

Wręczyłem mu kluczyki.

– Pod żadnym pozorem nie przychodźcie po nas – ostrzegł Dylan. – Bez względu na wszystko. Dajcie nam godzinę. Jeśli do tego czasu nie wrócimy, to odjeżdżacie. Jeśli wyjdzie ktoś inny, też odjeżdżacie. Rozumiecie?

Adam i Rob wymienili spojrzenia.

A my ruszyliśmy przez parking w stronę sklepu. Mia trzymała jedną rękę na nożu, który miała przyczepiony do paska od spodni. Tomi szła bardzo blisko mnie, tuż za moim lewym ramieniem. Nie przeszkadzało mi to. Publiczna

przestrzeń zupełnie pozbawiona życia mroziła krew w żyłach. Czułem, jakby ktoś mnie obserwował, ale nie miałem jak tego sprawdzić.

– Nie podoba mi się ta cisza – powiedziała Tomi.

– Mnie też nie – zgodził się Dylan. – Gdy wejdziemy do środka, będziemy musieli się rozdzielić. Mia, idziesz ze mną. Tomi z Jonem. Spotykamy się przy wejściu. Żadnego wałęsania się w pojedynkę. Jeśli cokolwiek się stanie, róbcie hałas.

– Może umówimy się na jakiś sygnał? – zapytała Mia.

– Moim sygnałem będzie głośny wrzask. – Zmusiłem się do uśmiechu.

– Czy jeszcze ktoś oprócz mnie tak kurewsko się boi? – dopytywała Mia.

– Sram po gaciach, jeśli ci to w czymś pomoże – powiedział Dylan.

– Okej, dobrze, że nie tylko ja.

Podeszliśmy do wejścia i zauważyliśmy, że drzwi automatyczne są otwarte. Dylan wszedł pierwszy, bardzo powoli. Myślałem, że przywita nas smród zgniłego jedzenia, ale nie było aż tak źle. Pewnie niewiele go już zostało. Dział ze świeżym jedzeniem był niemal pusty. Trochę popsutych produktów, niektóre nadjedzone. Rozglądaliśmy się dokoła, lecz większość już została rozkradziona. Pewnie dawno temu.

Spojrzałem na wysoki sufit, a potem na Dylana, który kręcił głową. Niepokoił się.

– Nie podoba mi się to.

Popatrzyłem w lewo, w stronę kas, a potem na tabliczki informacyjne z nazwami działów.

– My pójdziemy do działu aptecznego – powiedziałem.

Dylan skinął głową i poszedł z Mią do działu z jedzeniem w puszkach.

Wrażenie, że ktoś nas obserwuje, stawało się coraz bardziej dojmujące. Cieszyłem się, że Tomi jest obok. Tylko ona, jako jedyna, miała odpowiednie narzędzie, żeby się skutecznie obronić. Przeszliśmy przez alejkę ze świeżymi produktami, skręciliśmy w lewo do działu z wyposażeniem kuchni i skierowaliśmy na tył sklepu.

– Masz broń? – spytałem cicho.

– A jak myślisz? – Uniosła brwi i wymownie machnęła prawą ręką obok otwartego plecaka.

– Uważam, że powinnaś powiedzieć Dylanowi o kulach.

– Dlaczego?

– Ponieważ my też musimy móc się jakoś obronić.

– A co ze mną i moją możliwością obrony przed innymi?

– Nikt cię nie chce dopaść, Tomi!

– Wiesz, jacy się mężczyźni!

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że nie będziesz decydował za mnie! – syknęła.

– Podobnie jak ty nie będziesz decydowała za innych!

Nagle oboje się zatrzymaliśmy. Wydawało mi się, że słyszę jakiś ruch. Tomi o mało co nie upuściła plecaka, lecz w mgnieniu oka miała w ręku pistolet. Jej postawa i sposób, w jaki trzymała broń, wyglądały bardzo pewnie. Chciałem wierzyć, że gdyby musiała do czegoś trafić, nie chybiłaby.

– A ty w ogóle umiesz się tym posługiwać? – zapytała, wskazując wzrokiem na pistolet.

– Minęło już trochę czasu... – urwałem. – Pewnie niezbyt.

– Więc sam widzisz.

Pokazała głową kierunek, gdzie znajdował się dział apteczny, i ruszyliśmy dalej. Zatrzymała się i podniosła butelkę z płynem do płukania tkanin. Zaśmiała się i odstawiła ją z powrotem.

Poczekalem na nią.

– Teraz wszystko wydaje się bez sensu.

– Wczoraj myślałem o kolekcji kaktusów, którą Nadia trzymała w przedpokoju. Nie były prawdziwe, tylko dekoracyjne.

Tomi wpatrywała się we mnie.

– Chcesz zapytać, po co w ogóle kupowaliśmy dekoracje? – Rozłożyłem ręce.

Uśmiechnęła się.

– Może poszukamy czegoś dla ciebie. Skoczmy do działu dekoracji domu w drodze powrotnej. To będzie dodatkowa przygoda.

Doszliśmy do alejki z lekami. Dostarczyłem do lady, Tomi też. Ale w szufladach nic nie było, podobnie jak na półkach. Wyjąłem kawek papieru z kieszeni i przeskanowałem go wzrokiem. Była na nim w pośpiechu sporządzona przez Tanię lista potrzebnych rzeczy.

– Hej.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Tomi kopie w zamknięte drzwi. Był na nich metalowy zamek z ponumerowanymi przyciskami, jak w sejfie. Zajrzałem do kilku szuflad, ale wszystkie leki zostały już zabrane.

– Chyba nikt tu jeszcze nie zaglądał – stwierdziła.

Czekałem, podczas gdy ona przez chwilę się zastanawiała. Gdyby odstrzeliła zamek, zaalarmowałaby całą okolicę, i to nie tylko o naszej obecności, ale przede wszystkim o tym, że ma broń.

– No i? – powiedziałem.

– Daj mi chwilę. – Przekręciła gałkę, wypróbowała kilka numerów, nacisnęła guzik zerujący i spróbowała ponownie.

– Nigdy nie zgadniesz – oznajmiłem.

– Pozwól mi jednak spróbować.

– W środku mogą być antybiotyki. Zaczyna nam ich brakować.

– Wiem! Przestań mi objaśniać rzeczywistość.

Oparłem się o ladę i rozjarzałem po alejkach – to w jedną, to w drugą stronę.

– Dobra. Możemy powiedzieć, że znaleźliśmy ten pistolet. Jeśli to cię martwi.

– Na serio, wszedłbyś w to?

– Tak, ale tylko pod warunkiem, że sama o tym powiesz Dylanowi, ja się nie chcę wtrącać. Nie lubię podejmować decyzji za innych.

– Jesteś po prostu nie do zniesienia. – Westchnęła i spojrzała na broń. – Powiem, że znalazłam ją w hotelu. Nie ma szans, żeby Dylan nie rozpoznał własnego pistoletu... A tym drugim problemem... zajmę się w odpowiednim czasie.

Skinąłem głową na znak zgody.

Zaczęła mierzyć do metalowego zamka, gdy nagle usłyszałem głos zza moich pleców:

– Jon?

Dzień sześćdziesiąty (2)

Usłyszałem swoje imię.

Cieszyłem się, że nie mam broni, bo na dźwięk głosu, który nie należał do Tomi, na pewno strzelałbym na oślep. Nogi niemal odmówiły mi posłuszeństwa. Lecz gdy Tomi odwróciła się z impetem i zaczęła mierzyć powyżej mojej głowy, instynktownie zanurkowałem pod ladę. Wyrazy uznania, że nie pociągnęła za spust.

– Jon?

– Kim, do kurwy nędzy, jesteście!? – wrzasnęła Tomi.

Przestałem zasłaniać rękami głowę i odwróciłem się, wciąż klęcząc. Trochę mi zajęło, zanim rozpoznałem twarze, które, przerażone, wyglądały zza lady. Nagle mnie olśniło. Choć za nic nie mogłem przypomnieć sobie ich imion. Wiedziałem jednak kto to. Znałem ich!

– Tomi, czekaj! – Wstałem. – Jessie? Al!

Na ich twarzach pojawił się uśmiech. Jessie, czyli Jessica Schrader, przeszła przez ladę, żeby mnie uściskać. Była około sześćdziesięcioletnią profesorką o sympatycznej twarzy. Pochodziła z Detroit, ale wykładała na... University College w Londynie? W każdym razie na pewno gdzieś w Londynie.

Gdy mnie objęła, poczułem, że jest znacznie silniejsza, niż sądziłem. Niemal mnie uniosła.

Tuż za nią stał dobiegający sześćdziesiątki Albert Polor, profesor specjalizujący się w historii Ameryki Łacińskiej. Przestał do nas mierzyć ze strzelby.

– Co tu robicie?

Wypuściłem Jessie z objęć, a Tomi zrobiła krok do przodu w moim kierunku, ciągle w stanie gotowości.

– Tomi, wszystko w porządku. Znam ich. Przyjechaliśmy na tę samą konferencję.

– Skąd to masz? – Wskazała na broń Ala.

Przycisnął strzelbę mocno do piersi, jakby w odruchu bezwarunkowym.

– Znalazłem ją.

– Wyjechaliście kilka miesięcy temu. Co się stało? – zapytałem.

– Dotarliśmy tylko tu – odpowiedziała Jessie. – Zrozumieliśmy, że już po nas. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak daleko jest miasto. W końcu trafiliśmy do tego miejsca. Panował chaos, wszystko było splądrowane, ale... znaleźliśmy broń.

Zerknęła na Ala. Wychwyciłem ich spojrzenia. Zrozumiałem, że musieli tą bronią już kogoś zabić. Przeszedł mnie dreszcz i przysunąłem się bliżej Tomi.

– Zostaliśmy tu, a sklep stał się naszym schronieniem – ciągnęła dalej. – Zgromadziliśmy zapasy żywności i przepędziliśmy kilka gangów. Teraz jesteśmy sami, od jakiegoś czasu. Mam nadzieję, że nie szukacie tu niczego do jedzenia?

– Właściwie to szukamy.

– Nam już niewiele zostało. – Jessie pokręciła głową.

– Macie więcej broni? – spytała Tomi.

– Mamy kilka takich strzelb – odpowiedział Al. – Ciągle przyjeżdżają tu jakieś szajki z miasta. To znaczy... tak nam się wydaje, że z miasta. Nie są duże, ale dobrze zorganizowane. Wiedzą, że nic tu prawie nie zostało, ale chcą się dostać do naszych zapasów.

– Jest bardzo źle?

– Chyba tak źle, jak można było tego oczekiwać – odparł Al.

– Co jest za tymi drzwiami? – dopytywała dalej Tomi.

– Więcej lekarstw – odparła Jessie. – Jeśli o to chodzi, to mamy spory zapas. I jak dotąd nie musieliśmy z niego korzystać. Trzymamy go na wszelki wypadek.

Zapadła krótka cisza i z głębi sklepu usłyszałem jakiś hałas. Kątem oka zobaczyłem Dylana i Mię idących w naszą stronę. Dylan trzymał strzelbę. Uderzyła mnie myśl, że może nie być naładowana.

– Dylan, wszystko okej! – Zamachałem do niego. – Są w porządku!

– Kim jesteście? – zawołał.

– Są z konferencji! Znam ich!

– Jezu. – Dylan opuścił broń.

Zobaczyłem, że Mia miała wyładowany plecak. Dylan od razu zauważył, że Tomi trzyma pistolet, lecz nie skomentował tego. Przypuszczam, że nie chciał o tym dyskutować przy obcych.

– Byliście tu przez cały czas? – dopytywał, lustrując ich wzrokiem z góry na dół.

– Raz wybraliśmy się w stronę miasta, ale to zbyt niebezpieczne – odpowiedział Al.

– Jak było?

– Nie za duży ruch. Ludzie zabarykadowani w domach. Słysząc dużo strzałów, gdy zaryzykujesz pojawienie się na drodze w pobliżu domostw lub na przedmieściach. Przypomina to strefę wojenną. Zanim skończył się prąd, mogliśmy jeszcze czasem skorzystać z internetu. Teraz nasze telefony zupełnie padły.

– Pojawiły się jakieś nowe informacje? – Mia sięgnęła po swój telefon, niepewna, czy ma go włączyć. – U nas od dawna nie ma internetu.

– Ciągłe jesteście w hotelu? – zapytał Al z niedowierzaniem, a ja poczułem się urażony tą uwagą. – Dlaczego?

– A wy ciągle siedzicie tutaj? Dlaczego?

– Wracając do internetu... – przerwała nam Mia. – Co się dzieje? Ktoś jest jeszcze online?

– Tak, zdarza się. Oczywiście nie wszędzie jest internet, a już na pewno nie w dużych miastach. Ale jeszcze miesiąc temu ludzie korzystali z mediów

społecznościowych. Byli aktywni na Twitterze czy Messengerze, choć głównie szukali członków rodziny.

Przeszyło mnie jakieś elektryzujące uczucie – to nadzieja rosła w moim sercu.

– Czy twój telefon ciągle działa? – zwróciłem się do Tomi.

– Tak.

– Proszę, czy mogłabyś sprawdzić na Facebooku konto mojej żony? I jej profil na Twitterze?

– Jasne.

– A czy mogę skorzystać z twojego telefonu? Błagam! – Klasnąłem dosłownie w dłoń, ogarnięty irracjonalnym, powalającym strachem, że odmówi. – Błagam, tylko na minutkę.

– Stary, spokojnie. – Od razu podała mi telefon. – Nie ma problemu.

Zabrałem go na stronę i zupełnie przestało mnie obchodzić, co się dzieje wokół. Przeskoczyłem przez ladę, spoconymi rękami włączyłem sprzęt. Nie wiem, dlaczego odszedłem tak daleko od grupy, ale chyba potrzebowałem w tym momencie prywatności.

Za plecami słyszałem lakoniczną wymianę zdań. Nie wiedziałem o czym, zanim nie wróciłam – dotyczyła zamkniętych drzwi i leków.

Telefon włączył się i uruchomiłem przekaz danych, modląc się, żeby udało się połączyć z siecią. Pokazały się dwie kreski. To najlepszy zasięg, jaki widziałem od pierwszego dnia!

Połączyłem się. Wszedłem od razu na Twittera, bo to tego serwisu Nadia używała najczęściej.

Ostatni post zamieściła w nocy, zanim wszystko się zaczęło. Albo raczej skończyło. Udostępniła nagłówek opublikowany przez CNN o załamaniu rozmów między prezydentem a pozostałymi członkami Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Dziwnie było teraz na to patrzeć. Pamiętam, że przedtem miewałem katastroficzną wizję polityki, ale bez przesady. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek się ziści. Nawet gdy towarzyszyłem Nadii w marszach i protestach antynuklearnych, wydawało mi się, że to powrót do lat

sześćdziesiątych, kiedy to szalała społeczna histeria. Nigdy nie brałem jej na serio.

Poza tym nie było żadnej innej aktywności Nadii na Twitterze, więc zalogowałem się na swoje konto na Facebooku.

Trzy wiadomości. Ani jedna nie była od Nadii.

Serce biło mi jak młotem, nie mogłem ustać w miejscu z podekscytowania, więc odchodziłem coraz dalej od moich towarzyszy. Sprawdziłem wiadomości. Jedna była ogłoszeniem publicznym od Facebooka do jego użytkowników. Dwie pozostałe od byłych studentek, które zaprosiły mnie do grona znajomych po ukończeniu studiów. Przeczytałem je najpierw. Zauważyłem, że studentki wysłały je do bardzo wielu osób.

Pierwsza wiadomość, od Millie Santiago, brzmiała: „Czy ktokolwiek widzi tę wiadomość???”.

Druga, od Alice Reader: „Czy ktoś jeszcze żyje? Błagam, odpowiedzcie mi! Jestem w St. Cloud!”.

Wysłano je ponad miesiąc temu...

Wiadomość od Facebooka była dłuższa. Było to oświadczenie, że dwadzieścia cztery godziny temu niektóre kraje rozpoczęły ataki nuklearne. Poprzez wciśnięcie ikonki znajdującej się poniżej można było dać znać rodzinie i przyjaciołom, że jest się bezpiecznym. Spojrzałem na swoją oś czasu. Tylko cztery osoby oznaczyły się jako bezpieczne. Nikt z mojej rodziny, najbliższych przyjaciół czy kolegów z pracy. Z tych czterech osób, dwie do mnie napisały.

Wróciłem do wiadomości i napisałem do Millie oraz Alice: „Tu Jon, jestem w L’Hotel Sixième w Szwajcarii. Przez większość czasu nie mam dostępu do internetu, ale, proszę, dajcie znać, czy u was wszystko okej, i jeśli to możliwe, spróbujcie powiadomić moją rodzinę: Nadię Keller z San Francisco lub Iana i Margaret Kellerów z Greenwood w stanie Missisipi. Nie wiem, kiedy znów będę online, ale jeśli to możliwe, bądźmy w kontakcie. J.”.

Chyba tyle wystarczy.

Sprawdziłem skrzynkę mejlową, mając nikłą nadzieję, że może Nadia coś wysłała, ale skrzynka zaśmiecona była automatycznymi subskrypcjami ze stron z biletami, ze sklepów i cotygodniowymi newsletterami. Nic więcej. Mejl nie działał tak szybko, żeby stać się odpowiednim narzędziem w razie nagłego wypadku.

Gdyby podjęła próbę skontaktowania się ze mną, to z pewnością za pomocą esemesa lub nagrałaby się na pocztę głosową. A ja rozwaliłem swój telefon...

Zanim się wylogowałem, wysłałem do Nadii wiadomości na Facebooku i Twitterze: „Proszę, daj mi znać, że u Ciebie i dzieci wszystko w porządku. Ja żyję i ciągle jestem w Szwajcarii. Bardzo Cię kocham, bądźcie bezpieczne. J.”.

Postałem tak jeszcze chwilę. Byłem na tyle daleko, że nie słyszałem, co się wokół dzieje. Ciągle tliła się we mnie resztką nadziei. Wyłączyłem internet, a potem też telefon Tomi. Kiedy zaś odwróciłem się, zobaczyłem, że wszyscy mierzą do siebie z broni.

– Ooo! Hej! Hej, co tu się dzieje?

– Nie ruszaj się stamtąd – syknęła na mnie Jessie. Machnęła przy tym strzelbą i wymierzyła mi ją w twarz.

Nigdy wcześniej nikt do mnie nie celował. Nie słyszałem krzyków ani Tomi, ani Dylana. Widziałem jedynie zakończenie broni. Potem spojrzałem w oczy Jessie. Były ciemne i bezkresne jak lufa, na którą patrzyłem.

– Co ty wyprawiasz?

– Te leki będą nam potrzebne – powiedziała Jessie. – Zabierajcie się stąd!

Za nią stał Al, który miał na muszce Tomi, podczas gdy Dylan mierzył do Ala. Zresztą podobnie jak Tomi.

– To nie wracacie z nami do hotelu? – Spojrzałem na nich i zobaczyłem bezwzględność na twarzy Ala.

– A dlaczego mielibyśmy wracać? – odpowiedział, nie spuszczać oczu z Tomi.

– Bo jest bezpiecznie! – krzyknąłem.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie. Tu mamy przynajmniej zapasy i dobry widok na każdego, kto wchodzi. Skradziono nam nasze torby już pierwszego dnia, zaraz jak tylko tu dotarliśmy, a potem... Teraz już nic nie jest takie samo jak kiedyś.

– Ludzie, to jakieś szaleństwo! – Zrobiłem krok do przodu, ale Jessie machnęła bronią w moim kierunku.

– Nie ruszaj się!

– Umiesz się tym w ogóle posługiwać, mała? – spytał Al, swój wzrok kierując to na Dylana, to na Tomi, która nie ustępowała na krok.

– Za moment się przekonasz, jeśli nie odłożysz broni. – Tomi nie dawała za wygraną.

Nie mogłem uwierzyć w to, co się właśnie działo.

– Jessie, Al, przecież jesteśmy przyjaciółmi – powiedziałem.

– Mówisz poważnie? – Jessie roześmiała się. – Jest koniec świata, Jon. Dorośnij.

I w tym momencie jej głowa eksplodowała. Fontanny krwi wokół, kawałki czaszki...

Rzuciłem się na podłogę i nakryłem głowę rękami. Niestety, nie widziałem, co zdarzyło się potem. Rozległy się dwa kolejne strzały. Niesamowicie głośne strzały. Patrzyłem na Jessie. Jej głowa leżała w kałuży krwi, a oczy, na wprost otwarte, wpatrywały się we mnie. Al upadł na plecy, strzelba z łoskotem walnęła o podłogę, wystrzeliwując jedną zbłąkaną kulę, która o jakieś pół metra minęła Tomi.

Tomi kuciała. Po pierwszym strzale padła na ziemię i to z tej pozycji oddała strzał prosto w klatkę piersiową Ala.

Cała nasza czwórka zamarła, podczas gdy Al charczał, a jego płuca wypełniały się krwią.

Dylan osłaniał Mię, strzelbę trzymał przy boku. Nie wiedziałem, czy wystrzelił choć raz.

Po minucie wstałem i podeszedłem do Ala, który konał w cierpieniach.

– Nie możesz czegoś zrobić!? – Spojrzałem na Tomi, która wstała i sprawdzała, czy wszystko z nią w porządku.

– Nie będę tracić następnej kuli – odparła.

– Ale on nie może oddychać!

Tomi spojrzała na mnie dokładnie tak, jak wcześniej Jessie. „Dorośnij”. I jak gdyby nigdy nic podeszła do drzwi z zakodowanym zamkiem i strzeliła. Zamek rozpadł się na kawałki. Otworzyła go kopniakiem i weszła do środka.

Al zakrztusił się, wyciągnął rękę, jakby chciał po coś sięgnąć.

– Ludzie, chodźcie tu! – zawołała Tomi. – Mnóstwo tu rzeczy!

Dylan poszedł za nią, cały czas potrząsając głową, jakby chciał szybko uciec od tego, co się właśnie wydarzyło.

Mia opierała się o najbliższą ścianę. Cała się trzęsła.

Nie poszedłem za nimi. Usiadłem na podłodze za Albertem Polorem z Uniwersytetu Nowojorskiego i ująłem go za rękę. Spojrzał na mnie, z trudem łapiąc oddech, a jego uścisk robił się coraz słabszy i słabszy, aż w końcu zupełnie ustał. Obok mnie leżała Jessie Schrader z University College w Londynie, która umarła natychmiast. Zdałem sobie sprawę, że siedzę w jej krwi. Strzał Tomi był tak precyzyjny, jak zapowiadała.

Dzień sześćdziesiąty (3)

Szukaliśmy jedzenia, ale prawie nic nie znaleźliśmy.

– Przynajmniej nikt nie zejdzie na gripę, podczas gdy będziemy umierać z głodu – zauważył Adam, patrząc na pudełka z lekami, które przynieśliśmy z zaplecza apteki.

Dylan był większym optymistą i chciał, żebyśmy udali się do miasta. Ale pozostałym zupełnie nie spodobał się ten pomysł. Stwierdziliśmy, że wystarczy atrakcji jak na jeden dzień.

Wziąłem z działu z elektroniką kilka baterii do laptopa. Trudno było stwierdzić, która będzie pasowała do mojego maca. Jeśli w ogóle któraś będzie się nadawała. Zabrałem więc różne rodzaje, a do tego wszystko, co miało logo Apple'a. Zwinąłem też przenośną ładowarkę, tak mi się przynajmniej wydawało.

Wracałem razem z Tomi i Dylanem. Tomi prowadziła. Chciałem być przy tym, jak Dylan zacznie wypytywać ją o pistolet. Nie byłem pewien, czy chcę poprzeć Dylana, czy być po stronie Tomi. To była kwestia oksytocyny... To ona spowodowała, że zacząłem czuć do Tomi sympatię. Tak, owszem, uratowała nam życie, ale zastrzeliła też dwójkę moich kolegów. A jednak czułem, że muszę ją chronić, choć z drugiej strony to mnie irytowało.

– Skąd go masz? – zapytał Dylan, gdy tylko ruszyliśmy z parkingu i wjechaliśmy do lasu.

– Nie pamiętam – odparła. – Znalazłam tego dnia, gdy wszystko się zaczęło. Zobaczyłam pistolet i stwierdziłam, że może mi się przydać. Nie pomyślałam, żeby spytać, do kogo należy.

– Dobrze, ale gdzie go znalazłaś?

– Powiedziała, że nie pamiętam.

– Należy do mnie.

– I tak masz już sporo sztuk broni – powiedziała Tomi z udawaną przymilnością. – Po co ci następna?

Dylan zawahał się. Z jednej strony chciał odzyskać swój pistolet, z drugiej zaś zaczynało mu brakować amunicji, a nie chciał zdradzać szczegółów aktualnego stanu hotelowego arsenału.

– Ile dokładnie tego mamy w hotelu? – rzuciłem z tylnego siedzenia.

– Trochę mamy – odparł. – Goście mogli wypożyczać ją na polowania. Rozdałem parę sztuk, gdy szliśmy ostatnio upolować jelenia, ale zebrałam potem wszystko z powrotem. Nie chcę, żeby zbyt dużo ludzi miało przy sobie broń.

– Dlaczego jej po prostu nie rozdać?

Tomi zerknęła na mnie, zaskoczona.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – stwierdził Dylan i spojrzał na strzelbę leżącą na jego kolanach.

– Dlaczego? – Nie odpuszczałem.

– Im więcej broni w niepowołanych rękach, tym większe ryzyko wypadku.

– No cóż, ja swojej nie oddam – oznajmiła Tomi.

– W porządku. Nie powinniśmy jednak dawać broni wszystkim. Przecież ich dobrze nie znamy. To się może źle skończyć.

– Ale czy akurat ty powinieneś o tym decydować? – Upierała się Tomi, wykorzystując mój argument z wcześniejszej rozmowy.

– Ktoś musi. A wy ufacie im na tyle, żeby mieć pewność, że nie stracą nad sobą panowania? – Przerwał na chwilę, po czym dodał: – Poza tym to mogłoby sprowokować ludzi do popełniania samobójstw. Nie wiemy, ile osób zmaga się ze strachem przed bólem. A ja nie chcę się tego dowiedzieć. Podobnie jak nie chcę się dowiedzieć, kto chowa urazę z jakiegoś powodu i kto jest sfrustrowany skąpymi racjami żywnościowymi.

– Pesymista – rzuciłem.

– Raczej realista. – Dylan westchnął i podjął decyzję. – Okej, Tomi, zatrzymaj pistolet. Widać, że umiesz się nim posługiwać. Jak stoisz z amunicją?

– Została mi jedna kula, może dwie. Tyle, ile było w magazynku.

– Okej.

Zdawało mi się, że Dylan mrugnął potwierdzająco. A potem zamilkł.

Nasze spojrzenia spotkały się we wstecznym lusterku, gdy Tomi sięgnęła ręką, żeby je poprawić.

Dylan to zauważył, ale nie zwrócił na to szczególnej uwagi.

Wytarłem dłonie o spodnie. Niestety, krew już zaschła.

I znów zaczął boleć mnie ząb, prawdopodobnie dlatego, że zgrzytałem z powodu stresu.

Samochód przed nami zahamował z piskiem opon, więc i Tomi musiała dać ostro po hamulcach. Niemal wyrwało mnie z siedzenia i walnąłem twarzą w zagłówek fotela, na którym siedział Dylan. Ekspłodowały poduszki powietrzne. Złapałem się za nos, całe ręce miałem zalane świeżą krwią. Nie pomyślałem, żeby zapiąć pas.

– Kurwa mać! – krzyknąłem, a gdy w końcu otworzyłem oczy, okazało się, że Tomi i Dylan wysiedli już z samochodu.

Złapałem za klamkę i omal nie wypadłem, tak bardzo się spieszyłem.

Złamałem sobie nos, tego byłem pewien.

– Co, do cholery? – wrzasnął Dylan.

– Patrzcie! – Adam wskazał ręką na drzewa obok drogi.

Niczego nie zauważyłem, dopóki nie pokazał dokładnie krzyża wrytego na jednym pniu. Spojrzałem dalej i, mimo bólu przyszywającego moje czoło i oczy, zobaczyłem kolejny krzyż i kolejny...

– Ktoś zjechał z drogi i zostawiał ślady – stwierdził Adam.

– To pułapka – powiedziała Mia.

– Albo ktoś nie chciał się zgubić w drodze powrotnej – rzucił Dylan.

– Ile czasu zajęłoby dotarcie tu z hotelu na piechotę? – zapytała Tomi. – Jeśli ten ktoś w ogóle szedł z hotelu...

– Nie wiem dokładnie, ale więcej niż jeden dzień. Jazda samochodem też trochę trwa.

– A jak daleko stąd na piechotę do miasta? – Wciągnąłem nosem krew.

– Pojęcia nie mam. Nigdy nie szedłem tam pieszo.

– A gdybyś tak spróbował oszacować?

– Nie wiem, autem to szybko, ale na piechotę... Teren nie jest płaski...

Wszyscy spojrzeli po sobie i wtedy Tomi krzyknęła:

– Jon, co ci się stało z twarzą? Dobrze się czujesz?

– Nie zapiąłem pasów.

– Lepiej usiądź. – Dylan położył mi rękę na ramieniu.

– Nie, nie, wszystko okej. Idę z wami.

– A... gdzie my idziemy? – Na twarzy Mii pojawił się grymas.

– Musimy to sprawdzić, nie? Może ktoś żyje, może potrzebuje pomocy. – Tomi trzasnęła drzwiami. – Jak chcesz, to zostań i popilnuj samochodów.

Tomi weszła do lasu, a ci z nas, którzy uważali się za odważnych, mieli szansę to udowodnić i ruszyć za nią.

Mia i Adam zostali przy autach.

– Co sprawiło, że zbczyli z drogi? – Rob szedł za mną i snuł rozważania.

– Zimno. Lepiej założyć obóz na zalesionym terenie. – Spojrzałem przez ramię. – Albo strach.

– Proszę, przyda ci się. – Rob sięgnął do kieszeni i wręczył mi chusteczkę.

Przyłożyłem ją do twarzy i zacząłem tamować krew.

Przeszliśmy w milczeniu jakieś piętnaście metrów, aż zobaczyliśmy najpierw Tomi, a potem Dylana. Zostałem trochę w tyle, bo zatopiłem się w myślach o Alu i Jessie, i o jej spojrzeniu, zupełnie pozbawionym człowieczeństwa. Jakbym był obcym, wrogim szabrownikiem.

Podeszliśmy z Robem bliżej, a ja zapytałem:

– I co? Znaleźliście coś?

Zero odpowiedzi.

Przyspieszyliśmy kroku, zaniepokojeni ich milczeniem. W końcu dołączyliśmy do nich. Tomi miała opuszczoną broń.

Zabrałem chusteczkę z twarzy i zbolałymi oczami rozejrzałem się po polanie.

Kimkolwiek byli dwaj mężczyźni leżący na ziemi w objęciach, w stanie prawie całkowitego rozkładu, na pewno próbowali zbudować sobie schronienie z gałęzi i liści. Obok leżały śpiwory. Tylko tyle mieli.

Z boku, po prawej stronie tego prowizorycznego schronienia, zauważyłem dwie własnej roboty kule do chodzenia. Zdałem sobie sprawę, że z urazem kostki czy jakąkolwiek inną kontuzją nie mieli żadnych szans. Zamarzli na śmierć, zanim dotarli do najbliższego domostwa, nie mówiąc już o mieście.

Dylan wszedł w środek obozowiska i rozpiął jeden z suwaków.

– Tu jest jedzenie – powiedział, trzymając w ręku pudełko. – A tu leki przeciwbólowe na receptę, zdjęcia i sprzęt do gotowania. Nie byli z hotelu. Wygląda na to, że przyszli z miasta.

Nie wiem, jak udało się mu to zwerbalizować. Porcja zimnych wniosków.

Spojrzałem na Tomi, która zawsze miała coś do powiedzenia, ale tym razem tylko patrzyła w przestrzeń.

Dylan podniósł oba śpiwory i przerzucił je sobie przez ramię.

– Przynajmniej jest jedzenie – odezwałem się.

– Trochę konserwowanego łososia, warzyw i makreli. I napoje gazowane. – Dylan ponownie przeszukał wzrokiem obozowisko, próbując nie patrzeć na ciała. Starał się zachować dystans, słyhać to było w jego głosie. – Jest nawet kilka opakowań żelków Haribo i chrupek. To dobra wiadomość.

– Więc ludzie uciekają z miasta... – odezwała się Tomi.

W sumie powiedziała coś, o czym wszyscy myśleli, ale bali się powiedzieć głośno.

Skinęła głową, jakby chciała sama przed sobą potwierdzić ten straszny fakt, po czym odwróciła się i poszła w lewo, zostawiając nas z rozmyślaniami nad tym, co to dla nas oznacza.

Chciałem wziąć od Dylana jeden ze śpiworów, ale odrzucił moją propozycję pomocy.

A potem opuściliśmy to straszne miejsce.

W drodze powrotnej do hotelu Tomi prowadziła samochód w milczeniu. W zasadzie znaleźliśmy to, czego szukaliśmy, ale trudno było zdobyć się na jakikolwiek optymizm, biorąc pod uwagę to, co widzieliśmy. Absolutny brak nadziei. Może właśnie dlatego nie chcieliśmy opuszczać hotelu, bo podświadomie czuliśmy, że nic nas tam, na zewnątrz, nie czeka.

Raz czy dwa pomyślałem sobie: mając to wszystko na uwadze, czy skończenie ze sobą byłoby aż takie złe? Czy naprawdę chcę zobaczyć, jaki my, ludzkość, zgotujemy sobie koniec? Czy chcę zobaczyć, jak bardzo będzie złe, zanim, jeśli w ogóle, stanie się lepiej?

Jednak myśli te mnie zmierziły. Doszedłem do wniosku, że dopóki mogę się do czegoś przydać, to zostanę. Nie zrezygnuję ot tak ze swojego życia. Ale powoli zaczynałem rozumieć tych, których to wszystko przerosło. Bo przerastało nas to. Gdy spadały bomby, mogłem być w San Francisco albo w Missisipi z moimi rodzicami. Ale nie byłem. Wylądowałem w jednym z niewielu miejsc, które uchowały się przed całkowitym zniszczeniem. I w tej chwili wydawało mi się, że popadanie w destrukcyjną rozpacz byłoby niewdzięczne.

Wiele razy chciałem zapytać Tomi, jak się czuje, ale coś mi mówiło, że nie chce teraz ze mną rozmawiać. Nie mogłem pojąć, dlaczego czułem większy smutek z powodu samobójstwa dwójki osób znalezionych w obozowisku niż wobec moich znajomych, których zastrzeliła.

Patrzyłem, jak prowadzi. Trzymałem się za opuchnięty nos i rozmyślałem o tym, jak pokiwała wtedy głową. Wtedy, kiedy opuściła polanę w lesie. Był to gest pełen grozy. Skinienie głową. „A więc tak to wygląda”. Kolejne skinienie. „Nic tu nie ma”. Skinienie. „Nigdy nie nadejdzie żadna pomoc”. Skinienie. „Możemy liczyć tylko na siebie”.

Dzień sześćdziesiąty pierwszy

Wczoraj, gdy wróciliśmy z wyprawy, rozproszyliśmy się po hotelu. Właściwie unikaliśmy siebie nawzajem. Nawet w restauracji prawie nikt ze sobą nie rozmawiał. Tylko nieliczni zachowywali się normalnie – państwo Yobari i może jeszcze kilka zaprzyjaźnionych ze sobą kobiet. Ale nie osoby, z którymi byłem blisko.

Tania stwierdziła, że nie mam złamanego nosa. Od razu potem poszedłem do łóżka i przespałem całą noc. Jak kamień. A obok mnie Tomi, która obiecała czuwać na wypadek, gdybym miał wstrząśnienie mózgu.

Dziś rozmawiałem z Peterem, singlem po czterdziestce, którego miałem za Francuza, a który okazał się Niemcem. Zgodził się na rozmowę, pod warunkiem że odbędzie się ona w jego pokoju, czystym i schludnym. Peter miał bardzo bladą, pooraną bruzdami twarz. Nigdy przedtem takiej nie widziałem. Wyglądała, jakby była wyciosana z kamienia.

Tania zgodziła się tłumaczyć oraz zapisywać odpowiedzi Petera, ponieważ nie chciał rozmawiać po angielsku (a wiem, że mówi w tym języku).

Zredagowałem notatki Tani. Tak oto wygląda zapis rozmowy z Peterem:

Ja: Więc zatrzymałeś się w tym hotelu sam?

Peter: Tak. Nie widzę w tym nic złego.

Ja: Nie, oczywiście, że nie. A gdzie wcześniej mieszkałeś?

Peter: W Oranienburgu.

Ja: Gdzie to jest?

Peter (przewracając oczami): To małe miasteczko pod Berlinem.

Dojeżdżałem do Berlina do pracy.

Ja: Okej, więc czym się zajmowałeś?

Peter: Byłem psychologiem dziecięcym. Specjalizowałem się w przesłuchaniach sądowych dzieci. Nadzorowałem, czy są przeprowadzane zgodnie z prawem.

Zupełnie się tego nie spodziewałem, więc zawahałem się. Tania przestała pisać i powtórzyła po angielsku jego odpowiedź.

Peter: W czym problem?

Ja: W niczym, przepraszam. Po prostu to ciekawe. Dowiadywać się, co ludzie robili wcześniej, zanim tu trafili. A dlaczego ty tu przyjechałeś i zatrzymałeś się w tym hotelu?

Peter: Chciałem spędzić trochę czasu w samotności. Miałam zamiar zapolować na jelenia.

Ja: Czyli bez żadnego konkretnego powodu?

Peter: Żona oznajmiła mi, że chce się rozwieść. Powiedziałem, że wyjadę na dwa tygodnie, żeby mogła wyprowadzić się podczas mojej nieobecności.

Ja: Udało ci się skontaktować z nią po tym... gdy to się stało?

Peter: Nie.

Ja: Przykro mi.

Peter: A mnie nie.

Ja: Okej. A więc jak długo byłeś już w hotelu, zanim nadszedł ten feralny poranek?

Peter: Dwa dni. Potem nastąpił koniec.

Ja: Co pamiętasz z tego dnia?

Peter: Wstałem późno, około południa. Wcześniejszej nocy wróciłem z miasta taksówką o trzeciej nad ranem. Jak wiesz, wielu gości już

wcześniej tego dnia wyjechało.

Ja: Więc przespałeś koniec świata?

Peter (ignorując mój komentarz): Spakowałem się... Nie mam za dużo rzeczy, jak widzicie... I wyruszyłem stąd na piechotę. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że podróż do miasta nie ma żadnego sensu. Szczególnie że i tak nie można było dostać się na lotnisko. Przeszedłem dopiero z półtora kilometra, zawróciłem więc i wróciłem do mojego pokoju. Czekałem, aż nadejdzie pomoc (rozłożył ręce). Wszyscy wciąż czekamy.

Ja: Pamiętasz może, jak inni się zachowywali?

Peter: Jacy inni?

Ja: No ci, którzy zostali. Czy pamiętasz, co robili tego dnia? Dylan, Sophia, Nathan i reszta?

Peter: Nie, bo wtedy ich nie znałem. Pilnowałem swojego nosa. Są ważniejsze rzeczy, niż ciągle obserwowanie obcych ludzi.

Ja: Okej. Może ujmę to inaczej... Pamiętasz może, czy ktoś zachowywał się jakoś podejrzanie?

Peter (po dłuższej przerwie): Nie.

Ja: Pamiętasz jakieś dzieci ze swojego pobytu?

Peter: Dwoje japońskich dzieci. Była też kobieta z niemowlęciem, którym teraz zajmuje się para Japończyków. I jeszcze dziewczynka z rudymi włosami. Właściwie rudoblond.

Ja: W jakim wieku?

Peter: Słucham?

Ja: W jakim wieku była dziewczynka?

Peter: Nie wiem. Osiem lat? Maksymalnie dziesięć.

Ja: Gdzie ją widziałeś?

Peter: Jak jadła śniadanie tego ranka, tuż przed końcem świata.

Ja: Zwróciła twoją uwagę z jakiegoś konkretnego powodu?

Peter: Nie. Po prostu pamiętam, że była. I tyle.

Ja: Pamiętasz może jej rodziców?

Peter: Jej ojciec wyglądał na smutnego człowieka.

Ja: Był czymś przygnębiony?

Peter: Nie. Wyglądał jak smutny człowiek.

Ja: Dlaczego zwróciłeś na to uwagę?

Peter: A dlaczego nie?

Ja: A matka? Co powiesz o jej matce?

Peter: Nie widziałem matki.

Ja: Powiedziałeś przecież „rodzice”.

Peter: Nie, to ty powiedziałeś „rodzice”, ja powiedziałem „ojciec”.

Ja: Czyli była tylko z ojcem?

Peter: Na śniadaniu była tylko z ojcem, może jej matka była gdzieś nieopodal. Nie miałem powodu, żeby się nad tym zastanawiać.

Ja: Jak dużo wiesz o historii tego hotelu?

Peter: Wiem, że zatrzymał się tu słynny seryjny morderca. Poza tym wiem, że hotel jest stary.

Ja: Czy przydarzyło ci się coś dziwnego podczas twojego pobytu tutaj?

Peter: Oprócz wojny nuklearnej?

Ja: Tak, oprócz tego.

Peter: Czasem mam wrażenie, że w hotelu jest więcej osób, niż nam się wydaje. To ogromne miejsce. I pobudza wyobraźnię. Do tego słychać wiele dziwnych hałasów. Jakieś huki i trzaski w nocy. Ale myślę, że to tylko stare rury, nic więcej.

Ja: Widziałeś kogoś, kogo nie znasz?

Peter: Nie. Jeszcze nie.

Ja: Masz dzieci.

Peter: Nie.

Ja: Chciałeś w ogóle mieć dzieci?

Peter: Nie. Moja żona chciała. Ja nie.

Ja: Dlaczego?

Peter: Widziałem, co się dzieje, gdy ludziom wydaje się, że nadają się na rodziców, a tak naprawdę się nie nadają. Ludzie są tacy aroganccy. Myślą, że każdy może być rodzicem. Mają dzieci w wieku dwudziestu lat albo i wcześniej, zanim dowiedzą się, czym jest dorosłość. Wszystko to, czego nie przepracujesz podczas dogłębnej introspekcji i terapii, przenosisz na dzieci. Nigdy nie uważałem, że mogę być dobrym ojcem. I wydaje mi się, że wiele osób się do tego nie nadaje.

Przerwałem na chwilę. Z jakiegoś powodu jego odpowiedź bardzo mnie dotknęła i zareagowałem irytacją.

Ja: Lubisz dzieci?

Peter: To zależy od dzieci. Nie jest tak, że ich nie lubię z zasady. Niektóre dzieciaki są fantastyczne, a inne nie. W dużej mierze zależy to od ich rodziców.

Ja: Jak myślisz, dlaczego ktoś zamordował dziewczynkę i zostawił ją w zbiorniku na wodę?

Peter: Nie mam pojęcia. Nie jestem psychologiem kryminalnym. Ale zazwyczaj sprawcami są rodzice.

Ja: Uważasz, że zabili ją rodzice?

Peter: Za zamordowaniem kobiety stoi najczęściej jej partner lub mąż. W przypadku martwego dziecka najczęściej są to rodzice.

Ja: Rozmawiałeś czasem z dziećmi Yobarich?

Peter: Nie.

Ja: Dlaczego nie?

Peter: Nie znam ich rodziców. I nikt mnie nie prosił, żebym się udzielał zawodowo.

Ja: Myślisz, że mogło to być morderstwo z litości? Chodzi mi o tę dziewczynkę ze zbiornika... Świat się kończy, rodzice chcą zaoszczędzić jej cierpienia, coś w tym stylu...?

Peter (wzruszając ramionami): Jest to jakaś teoria... Ale jeśli tak się stało, to ktoś to sobie bardzo źle wykombinował.

Ja: Dlaczego?

Peter: Będziemy potrzebowali tyle dzieci, ile to możliwe. Inaczej nasz gatunek wymrze.

Tu nastąpiła pauza, bo zerknąłem w notatki, czy mam więcej pytań. Wtedy Peter ostentacyjnie zapytał, czy to już koniec. Po chwili Tania i ja opuściliśmy jego pokój. To był koniec rozmowy.

– Dziwny człowiek – zaśmiała się. – Dasz wiarę, że pracował jako psycholog?

Również się roześmiałem.

– Nie.

Gdy wracałem, spotkałem Nathana czekającego pod moimi drzwiami. Spisał swoją historię o tym, jak wylądował w pracy w tym hotelu. Zaskakująco dobrze to zrobił. I było to jeszcze dziwniejsze, niż zapamiętałem. Oto jego historia.

Nathan

Kocham Cię nad życie.

Muszę odejść. Nie próbuj mnie szukać.

Szkoda, że nie mogę tego wyjaśnić.

Twój Harold (Tata)

Tak naprawdę to mój ojczym. Zostawił liścik o takiej właśnie treści. Mama znalazła go rankiem w Wigilię Bożego Narodzenia, dziesięć lat temu. Nie powiedziała o nim żadnej z moich sióstr. Były wtedy za małe, żeby zrozumieć. Jednak z jakiegoś powodu uznała, że ja, wtedy trzynastolatek, jestem już wystarczająco dorosły, żeby wszystko pojąć.

Gdy tylko się obudziłem, wiedziałem, że coś jest nie tak. Przeczuałem, że gdy opuszczę łóżko, wydarzy się coś strasznego, więc nie wstawałem do drugiej po południu. Dopiero wtedy zszedłem na dół.

W salonie grał telewizor, a moje siostry siedziały na podłodze.

Mama siedziała przy stole w jadalni. Przed nią leżał liścik, ale na początku go nie zauważyłem. Natomiast od razu zwróciłem uwagę na wyraz jej twarzy. Jakby patrzyła w odległą przyszłość. Cofnięcie się do przeszłości z pewnością przyniosłoby jej ulgę.

– Wszystko okej? – zapytałem.

– Czy twój tata mówił coś wczoraj wieczorem? – odezwała się, odwracając kartkę w moją stronę, tak żebym mógł ją przeczytać. – Słyszałam, że o czymś rozmawialiście, ale nie chciałam podsłuchiwać. Pomyślałam, że to dobrze dla was, że znów rozmawiacie.

– Nie, nie mówił nic ważnego. Pytał o szkołę i takie tam.

– O coś w szczególności?

– Nie – skłamałem.

– I wydawał się zupełnie normalny?

– Najnormalniejszy pod słońcem. – Zmusiłem się do uśmiechu, oszukując się, że to tylko zwykłe pytania.

Widać było, że płakała. Widziałem na jej policzkach ślady łez. Dziwne, bo wyglądała jakby młodziej. Jednak o nic nie pytałem, bo najbardziej na świecie chciałem skończyć tę rozmowę.

Zamrugnęła szybko oczami i dwoma palcami podsunęła karteczkę w moją stronę.

– Odszedł na zawsze.

Nie musiałem czytać, wiedziałem, że już nigdy nie wróci. Wiedziałem to od chwili, w której się obudziłem. A tak szczerze, to wiedziałem od poprzedniego wieczoru. Czuję, że coś jest nie tak, i teraz wszystko złożyło się w całość. Odszedł. I nigdy nie wróci.

Dobrze. Co za kurewska ulga, pomyślała moja trzynastoletnia dusza.

– Więc co, znów słoneczna Szwajcaria, jak ostatnio? – raczej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Szwajcaria? – Zmarszczyła brwi.

– Hmm... – Zapomniałem, że przecież nie powinienem był tego wiedzieć. – Nie wiem... Po prostu zastanawiam się, gdzie jedzie większość facetów, żeby przeżyć kryzys wieku średniego. Może do Vegas.

– Ach.

Za każdym razem, gdy wierzyła w moje kolejne kłamstwo, coraz bardziej traciłem dla niej szacunek. Jestem wytrawnym kłamcą i nie wywoływało to we mnie żadnego współczucia, a już na pewno nie wobec mamy. To takie smutne nie dostrzegać, kiedy twój własny dzieciak cię oszukuje.

I żeby była jasność, cała ta historia jest prawdziwa.

Choinka stojąca w salonie rzucała na podłogę to czerwoną, to znów niebieską poświatę.

Podniosłem karteczkę.

– Wróci – powiedziałem i ruszyłem w stronę schodów na górę.

Gdy byłem już w swoim pokoju, odtworzyłem w myślach załamanie nerwowe, jakie ojciec przeszedł wczorajszego wieczora, gdy rozmawialiśmy.

Załamanie ojca przyszło zaraz po kryzysie emocjonalnym, jaki ostatnio przeżyła matka. Mama – oddana chrześcijanka – przestała modlić się i chodzić do kościoła, gdy zdała sobie sprawę, że Bóg nie zapobiegnie likwidacji firmy należącej do taty. Przecież wpłacała pieniądze na Kościół i spędzała długie godziny, siedząc na niewygodnych krzesłach i słuchając, o czym tam mówią. Według jej rozumowania właśnie dlatego Bóg powinien był wspomóc ją w potrzebie, bo przecież nigdy wcześniej Go o nic nie prosiła. Nie wpadła na to, że Bóg ma lepsze rzeczy do roboty, niż wchodzenie w kłopoty z australijską wyższą klasą średnią.

Uznała więc, że Boga nie ma.

Wieczorem, dzień przed liścikiem, siedziałem przy stole w jadalni i kończyłem wypracowanie. Bliźniaczki były na recitalu klarnetowym. Mama robiła coś w kuchni, a tacie zaczęło odbijać. Pojawił się w pokoju jak zjawą i usiadł obok mnie. Miał ten niepokojący wyraz twarzy i załzawione oczy.

– Możemy pogadać?

– Nie wiem, możemy?

Cisza.

– Tak, jasne – dodałem. – O co chodzi?

– Czy możesz... przestać przez moment pisać?

Odłożyłem długopis i odwróciłem się na krzesło o dziewięćdziesiąt stopni.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. – Położył ręce na stole, a po chwili je stamtąd zabrał.

Cieszyłem się wtedy, że nie jest moją prawdziwą rodziną, a jedynie prawnym opiekunem. Harold wyglądał jak częściowo roztopiona figura woskowa. Kiedyś

może i miał mocno zarysowaną szczękę, ale szybko zamieniła się ona w zwisający drugi podbródek. Jego niegdyś błękitne oczy stały się rozmyte jak mętna woda w kranie.

– Gdy wtedy wyjechałem na tydzień...

– Miesiąc – poprawiłem go.

– To nie był miesiąc.

– Owszem, był. Byłem tu, nie wiem, czy pamiętasz.

Lekko się zniecierpliwił.

– Dobrze, niech będzie miesiąc. Chcę ci opowiedzieć, gdzie byłem i co mi się przydarzyło.

Podniosłem brwi, ale nie zachęcałem go.

– Pojechałem do Szwajcarii, to hotelu Sixième...

O rany, zaczyna się, pomyślałem.

– Nie wiem dlaczego, wybrałem na chybił trafił. Musiałem wyjechać i pomyśleć. Byłem tam kilka nocy. Nie piłem, nic z tych rzeczy. Prawie nie ruszałem się z pokoju. I po kilku dniach coś... coś się stało.

Zgarbiłem się lekko, szykując się na cios.

Umiera? – pomyślałem.

Trudno było tak nie myśleć, patrząc na wyraz jego twarzy. Było to coś między zachwytem a rozpaczą.

Może mama i on się rozwodzą?

Może miał romans?

Chociaż jest zbyt dużym nudziarzem, żeby mieć romans.

Po chwili zastanowienia oznajmił:

– Odnalazłem Boga.

Nie chciałem, żeby widział moją reakcję. Zachowałem więc dystans, całkowitą rezerwę.

– Znalazłem Boga, gdy leżałem wtedy w łóżku. Nie spałem i nagle poczułem straszliwy ból. Potworne katusze, synu. Nie zrozumiesz tego. Myślałem, że dostanę zawału serca, nie mogłem się nawet ruszyć, żeby zadzwonić po pomoc.

Byłem pewien, że umrę, ale spojrzałem w dół... – Wziął głęboki wdech. – I zobaczyłem, że coś wychodzi z mojej piersi. Miało długie szpony wbite w mój tułów. I to coś, ten demon, ten demon wyłaził na zewnątrz. A ból... był nie do zniesienia.

Poczułem na ramionach gęsią skórkę. Zakryłem ręką usta i patrzyłem na niego.

– W końcu wyszedł, a wyglądał jak kościotrup lub jaszczurka, coś pomiędzy. Pełzał przez pokój, w róg, i potem odwrócił się. On... to coś... to coś miało wielkie zęby, warknęło na mnie i... zniknęło.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Trochę przerósł mnie poziom jego szaleństwa. Przede mną siedział facet, który każdą cholerną dyskusję zaczynał od słów: „Co masz na poparcie swojego zdania?”. Był ateistą, w dodatku zaciekłym. Był typem, który powiedział swoim dzieciom, że rozpadamy się na ziemię i proch, że nie ma żadnego Boga ani zajączka wielkanocnego, ani Świętego Mikołaja.

Mój ojciec, Harold Adler, ateista, oznajmił:

– Wtedy dowiedziałem się, że Bóg istnieje. Musi istnieć. I ogarnął mnie głęboki spokój. To było... objawienie. Wszystkie troski, wątpliwości i ból, całe zło, wszystko to zniknęło wraz z tym demonem. Nie potrafię tego lepiej oddać słowami. To był spokój. To było objawienie.

Cisza, która potem zapadła, zaczęła się niepokojąco przeciągać. Nie miałem, kurwa, bladego pojęcia, co zrobić, co powiedzieć. Nie wierzyłem w Boga, zresztą sam wcześniej o to zadbał.

– Objawienie... – powtórzyłem, bo miałem tylko trzynaście lat i bardzo chciałem, żeby ten samolubny gnojek sam mi powiedział, jak mam na to zareagować.

– Bardzo chciałem, żebyś to wiedział. To dla mnie ważne. – Pochylił głowę.

– Rozumiem. – Kiwnąłem głową, jakbym cokolwiek zrozumiał. – Odnalazłeś Boga. Świetnie. Dobrze się z tym czujesz?

W tej chwili nienawidziłem go bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nienawidziłem go bardziej niż mamy. Oboje mnie zdradzili, ale po nim nie spodziewałem się aż takiej degrengolady.

Ten facet kochał matematykę, wzory, naukę. Dlaczego nie mógł przelecieć jakiejś dwudziestolatki, kupić durnego samochodu lub iść się uchlać? Ale nie... on musiał odnaleźć Boga. Cholerne Boga. Ze wszystkich rodzajów buntu musiał akurat wybrać ten najobrzydliwszy.

Ty pojebie, pomyślałem, a było to drugie w kolejności najgorsze słowo, jakie znałem. Gdybym nazwał go tym najgorszym, nawet w myślach, to wiedziałem, że miałbym potem wyrzuty sumienia.

– Może masz... do mnie jakieś pytania?

Pierwszy raz w życiu chciałem mu przyłożyć. A nigdy nie byłem agresywny. Nigdy niczego takiego nie zrobiłem. Bywałem zły, ale nigdy bym nikogo nie skrzywdził fizycznie.

– Nie – skłamałem.

Powinienem był zapytać, czy powiedział już o tym moim siostrom. Miały po osiem lat. Może by to kupiły. Powinienem był go zapytać, dlaczego nie pomyślał, że to był kurewski paraliż senny. Powinienem był mu przypomnieć, jak uraczał mnie i siostry opowieściami o sennych koszmarach i nocnych zjawach, żeby uświadomić nam, że one nie istnieją. Ciekawe, czy kiedykolwiek zastanowił się, jak czuje się dziecko wychowane przez skrajnie racjonalnego ojca, który wytykał nieścistości w każdej naszej dziecięcej fantazji i skrupulatnie banalizował wszystko, co uznawaliśmy za magię. Powinienem był zapytać go, jakim cudem udało mu się jeszcze bardziej nas poniżyć. Jeszcze bardziej rozczarować. Powinienem był zapytać, dlaczego nie wpadł na to, że może skończenie ze sobą byłoby, kurwa, najlepszą rzeczą, jaką mógłby zrobić w tym, kurwa, momencie dla naszej rodziny.

Ale nic nie powiedziałem.

Piekły mnie policzki. Wziąłem długopis do ręki.

– Nie, nie mam żadnych.

Wyglądał na zdruzgotanego. Miał przynajmniej na tyle przyzwoitości w sobie. W pewnym sensie jego samopoczucie wynagrodziło mi to, że mu nie przywaliłem.

– No dobrze, ja... hmm... cieszę się, że udało nam się pogadać.

Spojrzałem na niego, a mój wzrok mówił: „Nie udało nam się”.

Tata wstał jakoś dziwnie ze swojego krzesła i ruszył do wyjścia. Zanim przeszedł przez salon, zatrzymał się i powiedział:

– Naprawdę cię kocham, pamiętaj o tym.

Zdecydowałem się na skinienie głową. Miałem nadzieję, że to w jakiś sposób wyrazi moją pogardę wobec niego za to, jaką porażką był jako ojciec.

Gdy tylko Harold wyszedł z pokoju, zabrałem się ze swoim wypracowaniem na górę. Nie mogłem znieść myśli, że będę musiał tego wieczoru obcować jeszcze z którymś z rodziców. W ciągu ostatnich miesięcy oboje sprzeniewierzyli się wszystkiemu, w co wierzyli. W tamtej chwili nienawidziłem ich najbardziej na świecie.

Okazało się, że wtedy widziałem mojego ojczyrna po raz ostatni.

Zabrałem list do swojego pokoju, a mama nawet nie zaprotestowała.

„Nie próbuj mnie szukać”.

Nie wiem, dlaczego ruszenie z miejsca zajęło mi aż dziesięć lat. Nie wiem też, co właściwie skłoniło mnie do przyjazdu i pracy tutaj. Od jakiegoś czasu sprawdzałem wolne posady. Pojawiały się i znikwały. Ale dopiero po dziesięciu latach podjąłem decyzję.

Gdy się wyprowadzałem, mama dała mi do zrozumienia, że wie, że już nie wrócę. Zostawiłem ją rozpaczającą nad dwoma stratami zamiast jednej.

Hmm, w sumie trzema, jeśli wliczyć w to Boga.

Dzień sześćdziesiąty drugi

Nie wiem, co myśleć o historii Nathana. Bardziej pochłania mnie zastanawianie się nad tym, dlaczego wszyscy znaleźliśmy się właśnie w tym miejscu. Trudno mi sobie wyobrazić, że można odnaleźć tu Boga, tak jak to zrobił ojciec Nathana. Z tego, co widzę, Najwyższy ostentacyjnie milczy. Gdyby Bóg istniał i nie był interwenientem, to z pewnością byłby bardzo rozczarowany swym nieudolnym eksperymentem, którego skutki właśnie ponosimy.

Oczywiście, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że dla podkoloryzowania opowieści Nathan skłamał. Lecz nie bardzo wiem, dlaczego miałby to robić. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy można „zarazić się” chorobą psychiczną, odziedziczyć ją, mimo braku więzów krwi. Zatrzymam jednak te rozmyślenia dla siebie. Nie ma żadnych dowodów na to, że Nathan jest szalony.

Po spokojnym poranku spędziłem większą część popołudnia z Dylanem i Nathanem na dachu. Chcieliśmy do końca zdjąć pokrywę ze zbiornika na wodę. Dylan, obwiązany liną tworzącą prowizoryczną uprząż, balansował na krawędzi zbiornika. Ja stałem na szczycie drabinki, również obwiązany liną, którą Dylan przymocował do haka przyspawanego do całej konstrukcji.

Nie mieliśmy pojęcia, czy hak wytrzyma. Nie mieliśmy też jak tego sprawdzić.

Dziś nie było wiatru i nie było bardzo zimno. Powietrze zdawało się ciężkie i gęste. Spociłem się, po raz pierwszy od tygodni. Ściągnąłem z siebie kurtkę i rzuciłem Nathanowi na głowę.

– Dzięki! – krzyknął.

Złapałem obiema rękami za piłę i szarpałem nią to w prawo, to w lewo.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Dylan.

Ciągle bolała mnie twarz, ale nie przeszkadzało mi to.

– Tak, całkiem dobrze!

Metal zaczął się ślizgać, upuściłem więc piłę i złapałem za górę zbiornika tak mocno, że aż poszarpane krawędzie, powstałe podczas piłowania, wbiły mi się w dłoń. Pomyślałem, że pozostały fragment pokrywy spadnie na mnie i pociągnie mnie za sobą w dół. Albo lina przetnie mnie na pół, jeśli w ogóle wytrzyma. Choć bardziej prawdopodobne było to, że spadnę na dach, a pokrywa mnie przygniecie.

– Jon, na pewno wszystko dobrze? – dopytywał Dylan.

Prawie nic nie widziałem w tym pośpiechu, ale zacisnąłem zęby.

– Taaak.

– Dałbyś radę przesunąć się trochę w lewo?

– Nie, nie, w ogóle nie zwracajcie na mnie uwagi, staram się jakoś ująć z życiem w deszczu spadających narzędzi! – krzyknął Nathan z dołu.

– Więc je teraz pozbieraj i odsuń się na bok. Za chwilę zrzucimy trochę żelastwa.

Pokazaliśmy sobie środkowe palce.

Dylan przykucnął na kawałku pokrywy przymocowanej jeszcze do zbiornika i do końca ją odpiłował. Ćwiartka koła omal nie wpadła do środka, ale szybko przesunęliśmy ją w stronę krawędzi, gdzie na chwilę się zatrzymała, aż w końcu zaczęła spadać.

Runęła na dach z takim łomotem, że aż zaboląły mnie zęby. Potem spojrzeliśmy z Dylanem na siebie. Udało nam się skończyć pierwsze z czterech karkołomnych zadań.

Przyznaję to ze wstydem, ale po raz pierwszy w życiu poczułem się jak mężczyzna. W dosłownym tego słowa znaczeniu.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, a groza związana z wyprawą po jedzenie zupełnie się rozmyła.

Nathan krzyknął coś radośnie.

Zacząłem schodzić z drabiny i nagle poczułem na karku coś zimnego. Patrzyłem uważnie pod nogi, żeby precyzyjnie trafiać stopami w szczebelki. A gdy podniosłem głowę, obraz mi się rozmazał, bo okulary pokryte były kroplami wody.

– Jasna cholera, deszcz pada! – wrzeszczał Nathan. – Jasna cholera!

Nie mogłem w to uwierzyć. Zgramoliłem się z drabiny i stanąłem na dachu z rozłożonymi ramionami. Odchyliłem do tyłu głowę, a lodowate krople deszczu spadły na moją twarz. Nathan robił dokładnie to samo. Zdjąłem okulary i schowałem je do kieszeni.

Dylan wspiął się po krawędzi zbiornika, dotarł do drabinki i zaczął schodzić.

Staliśmy tak w tej krótkiej ulewie. Przez siedem, może osiem sekund naprawdę solidnie lało, musiałem więc zakryć oczy ramieniem. Potem deszcz zaczął słabnąć. Cały trząśłem się z zimna, ale byłem tak szczęśliwy, że nie zwracałem na to uwagi.

– Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę tak podjarany gównianą pogodą!
– krzyknął Nathan.

– Wiem, co masz na myśli! – Podniosłem kurtkę i przewiesiłem ją sobie przez ramię. – To było cudowne! Może to dobry znak?

– Nie sadzę, żeby miało się to często powtarzać – powiedział Dylan bardzo smutnym głosem. – Ale cieszę się, że udało nam się zdjąć pokrywę ze zbiornika.

– Muszę się przebrać – odezwałem się.

– A pomożesz mi jeszcze to usunąć? – Dylan pokazał na kawał metalu leżący na środku przejścia.

– Ja to zrobię, ty idź. – Nathan wygonił mnie machnięciem dłoni. – Już i tak dużo się dziś nadźwigałeś, strongmanie.

Z kamiennym wyrazem twarzy uderzył się w pierś.

Roześmiałem się i na odchodnym stuknęliśmy się ramionami.

Gdy dotarłem do swojego pokoju, zobaczyłem, że drzwi są otwarte.

Zanim opiszę, co zobaczyłem w środku, chcę postawić sprawę jasno: nie ma takiej szansy, żebym wychodząc, nie zamknął drzwi na klucz. Nikt już nie zostawia otwartych drzwi. Czasem nawet wracam się dwa, trzy razy i sprawdzam, czy są zamknięte.

Wiedząc, że coś jest nie tak, uchyliłem drzwi, rozejrzałem się na boki i lekkim kopnięciem nogi otworzyłem je na oścież.

– Czy jest tu ktoś? – krzyknąłem przerażony faktem, że ktoś może strzelić mi w twarz, gdy tak stoję w drzwiach do własnego pokoju.

Żadnej odpowiedzi i żadnych odgłosów.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak zwykle, z jedną różnicą: zniknęły walizki Luffmanów. Zrobiłem szybki rekonesans, czy nie zginęły czasem jakieś cenne rzeczy. I wcale nie martwiłem się o pieniądze... Pieniądze były teraz bezużyteczne. Nie to, co pasta do zębów, krem czy maszynki do golenia. Wszystko jednak pozostało na swoim miejscu. Żadna z moich rzeczy nie została zabrana.

Usiadłem na brzegu łóżka i spojrzałem na wgniecenia w dywanie, które zostawiła ciężka walizka. Podążyłem za nimi do przedpokoju, lecz trop urwał się na korytarzu wyłożonym kafelkami. Tam nie było już żadnych śladów.

Nie przeszukałem walizek jeszcze raz, więc nie miałem pojęcia, co straciłem. Być może było to coś kluczowego – jakiś dowód, który umknął mi za pierwszym razem, gdy z Sophią przeszukiwaliśmy pokój Luffmanów. Nie wiedziałem.

Ale to musiało być coś ważnego.

Czyli nie dostrzegłem czegoś szalenie istotnego. W przeciwnym razie walizki nie zostałyby skradzione.

Przepełniony furją, poleciałem jak burza na dach. Ciągłe byłem mokry i drżałem z zimna. W rękę trzymałem płaszcz. Nathan i Dylan byli już na klatce schodowej i znosili na dół kawał metalu. Dylan wpadł na pomysł, że można coś z niego zbudować.

– Zostawiłeś coś na górze? – zapytał Dylan, gdy mnie zobaczył.

– Ktoś włamał się do mojego pokoju. – Głos trząsł mi się z zimna.

– Co takiego? – powiedzieli jednocześnie.

– Zniknęły dwie walizki. Drzwi były otwarte, a na pewno je zamykałem na klucz, gdy wychodziłem. Jest szansa, że jakaś kamera nadal jest w tym miejscu włączona?

Dylan pokręcił przecząco głową.

Nathan był skonsternowany. Gdy położyli żelastwo na podłodze, spytał:

– Drzwi nie były zamknięte na klucz?

– Były, jak wychodziłem.

– Ale tylko ja mam klucz uniwersalny – stwierdził Dylan. – No i tobie dałem drugi.

– Kto jeszcze może mieć taki?

– Nikt. Zabrałem wszystkie klucze personelowi dzień lub dwa po ataku. Tobie dałem jeden i prosiłem, żebyś nikomu o tym nie mówił, właśnie na wypadek takich sytuacji. Twój klucz nie został skradziony? Nie zgubiłeś go?

– Nie, jest w kieszeni w moim płaszczu. Sprawdziłem. – Zdałem sobie sprawę, że wszystko jest rozmazane, bo okulary wciąż mam w kieszeni. – Zniknęły dwie walizki. Ktoś tak po prostu wyszedł z nimi z mojego pokoju.

– Przykro mi to mówić, stary, ale myślę, że jednak nie zamknąłeś drzwi na klucz... – Dylan położył ręce na biodrach.

– Zamknąłem na pewno!

– No to jak ktoś się tam dostał? – zapytał Dylan bardzo spokojnie, jakby mówił do dziecka.

– Nigdy nie zostawiam otwartych drzwi, Dylan. Nigdy!

– Ale ten jeden raz musiałeś to zrobić.

– Nie ma mowy! Ręczę swoją głową!

– No cóż... – Nathan rozłożył ręce. – Nie ma śladów włamania, stary, więc nie ma innego wytłumaczenia.

Nie wierzyli mi.

– Hej, słuchaj – powiedział Nathan. – Jak skończę z tym żelastwem, to mogę pomóc ci szukać twojej zguby. Oczywiście jeśli chcesz.

– Mogę przeszukać pokoje? – zwróciłem się do Dylana.

– I tak już zacząłeś je przeszukiwać – stwierdził oschle. – Ale żeby wejść do zajętych pokoi, musisz zapytać wszystkich o zgodę.

– Świetnie, dlaczego mieliby się zgodzić, skoro ktoś z nich ma moje walizki?

Dylan wzruszył ramionami.

Czułem, że traktuje mnie protekcjonalnie i mnie nie wspiera. Odwróciłem się na pięcie i zszedłem na dół do mojego pokoju. Cały się trząsałem. Zmieniłem koszulę, założyłem inny płaszcz i wyszedłem. Sprawdziłem, czy dokładnie zamknąłem drzwi na klucz. Przekręcałem zamek wte i wewte parę razy, ciągnąłem za klamkę.

– Nigdy nie zostawiam otwartych drzwi – powiedziałem do siebie.

Poszedłem na górę, prosto do pokoju Tomi. Była w dziwnym nastroju i nie chciała ze mną rozmawiać. Gdy otworzyła drzwi, rzuciła:

– Możesz wpaść kiedy indziej? Jestem zajęta.

– Płakałaś?

Westchnęła i zamknęła mi drzwi przed nosem, więc domyśliłem się, że dziś w nocy będzie spała u siebie.

Tania miała dużo pracy, więc nie chciałem zawracać jej głowy.

Nikt, kogo zapytałem, nie przyznał się, że wie cokolwiek na temat walizek. Najlepiej kontynuować skrupulatne przeszukiwanie pokoi.

Wróciłem więc do siebie, zaryglowałem drzwi i zdrzemnąłem się.

Kilkoro z nas zeszło na dół na kolację. Lauren Bret i jej dziewczyna, Lex, zatrzymały mnie i zapytały o internet i czy widzieliśmy kogoś podczas naszej wyprawy po jedzenie. Żadnej z nich nie znam zbyt dobrze. Jedyne, co wiem, to że obie są Francuzkami około trzydziestki i że przed atakiem nie były parą, ale teraz są razem.

Lauren ma długie, jaskrawoczerwone włosy z lekkim odrostem u nasady. Jest bardzo wysoka. Wyższa ode mnie. Ale ma okrągłą, dziecięcą twarz, która wyraża wieczną troskę. Włosy Lex są krótsze, w kolorze blond, również

z niewielkim odrostem. Jest bardzo dziewczęca, drobna. Stereotypowa Francuzka. Nie mówi tak dobrze po angielsku jak Lauren. Szczerze mówiąc, żadna z nich nie zna za dobrze angielskiego.

– Czy ktoś...? – Lex udała, że wali kogoś w twarz, i pokazała na moje obrażenia.

– Zostaliśmy zaatakowani, ale nie, to stało się... hmm... bo nie zapiąłem pasów w samochodzie.

Obie wyglądały na nieco rozczarowane.

– Wi-fi? – zapytała Lauren, odruchowo odwracając swój telefon, który leżał na stole.

Wymówiła to „fi-fi”, co było urocze.

– Nie wiem, czy działa tu wi-fi, ale internet w telefonie Tomi działał w sklepie. Przypuszczam, że im bliżej miasta, tym lepszy sygnał.

Lex powiedziała coś po francusku i obie chwyciły się z rękę.

– Może uda nam się skontaktować z naszymi rodzicami – dodała Lauren.

– Nie ruszałbym się stąd bez samochodu.

Lex znów powiedziała coś po francusku. Gdy rozmawiała z Lauren, podszedł do nas Peter i usiadł obok nich, dokładnie naprzeciwko mnie. Holender, Nicholas van Schaik, usiadł koło Petera. Nikt się chyba zbyt dobrze nie znał, a sądzę, że było im miło nie rozmawiać wyłącznie po angielsku. Musieli czuć się pod presją, tym bardziej że nastąpił widoczny podział na dwie grupy: tych, którzy mówili, i tych, którzy nie mówili w moim języku.

Tomi spojrzała na nas, zawahała się i usiadła z boku, przy innym stoliku.

Atmosfera zrobiła się napięta. Lex mówiła coś pod nosem i obie z Lauren spojrzały najpierw na Tomi, a potem na mnie.

– O co chodzi? – zapytałem i zacząłem się zastanawiać, czy przynieść sobie dolewkę kawy, czy wody, czy może w ogóle odejść od stolika.

– Chce wiedzieć na kogo głosowałeś? – powiedziała Lauren.

– Co?

– Na kogo głosowałeś. – Peter kaszlnął. – Trzy lata temu.

– O proszę, teraz znasz angielski? – odciąłem się.

– Znam angielski i francuski. Ona chce wiedzieć na kogo głosowałeś w ostatnich wyborach.

– Na kogo ja... co?

– Chodzi o waszego *président* – powiedziała Lex, jakby rzucając mi to słowo w twarz. Pokazała na Tomi. – Ona nam powiedziała. A ty?

– Hmm... – Spojrzałem przez ramię na Tomi, która udawała, że nas ignoruje, i wpatrywała się w talerz, ukrywając spojrzenie za włosami. – Ja... nie głosowałem na niego. Ani ja, ani moja żona.

Wszyscy pokiwali głowami, jakby chcieli pokazać, że mnie akceptują.

Widziałem, że Dylan sprawdza jeszcze ostatnie osoby w swoim rejestrze i idzie do kuchni po ciepły posiłek. Wolałbym, żeby został na sali.

Lex powiedziała coś po francusku. Brzmiało gniewnie.

– Wszystko okej? – spytałem.

– To jej wina – odpowiedziała Lauren, wzruszając ramionami. – Tak mówi Lex. Świat się skończył przez ludzi takich jak ona.

– To chyba trochę nie fair – odparłem.

– Dlaczego? – syknął van Schaik, rozglądając się po sali. – Gdzie jest sól?

– Nie możecie zwać winy na jedną osobę, tylko dlatego...

Lex rzuciła swoje sztucce i krzyknęła coś, czego nie zrozumiałem. Usłyszałem, jak Tomi wstaje za moimi plecami. Też wstałem, żeby spróbować je jakoś rozdzielić.

Peter spojrzał na Tomi i na mnie, lecz nie wydawał się zainteresowany całą tą awanturą.

– Dajcie spokój, to dziecinada! – Spojrzałem na Francuzki.

Tomi przewiercała mnie wzrokiem.

– Mogę wyjść, proszę bardzo.

– Jaka wkurzona, patrzcie ją! – powiedziała Lauren bez cienia sympatii. – Przez ciebie wszystko straciliśmy. Głupia, pierdolona...

Musiała użyć jakiegoś przekleństwa w swoim języku, bo go nie zrozumiałem.

– Dobrze. Wy też macie mi coś do powiedzenia? – Tomi skrzyżowała ramiona, podniosła brwi i spojrzała na van Schaika i Petera.

Z wyrazem absolutnej pogardy na twarzy Holender splunął na podłogę.

– Taka jest prawda!

– Pierdolicie się! – wrzasnęła Tomi, wzięła swój talerz i zamaszystym krokiem wyszła z restauracji.

– Gdzie jest ta sól? – spytał znów van Schaik.

Lex usiadła, usta jej drżały. Po chwili wstała i wyszła. Lauren podążyła za nią. Wszyscy się na nas gapili.

Nie chcąc siedzieć z van Schaikiem i Peterem, który w ogóle nic nie powiedział i tylko gapił się na swoje jedzenie, zabrałem swój talerz, przeszedłem przez jadalnię i usiadłem razem z Nathanem i Tanią przy moim stoliku przy oknie.

Włosy Tani zaplecione były w długie warkoczyki, które owinęła wokół głowy.

– Przyznaję to niechętnie – powiedziała, rozdłubując sałatkę z fasolki po talerzu – ale mają trochę racji.

Nie miałem siły z tym dyskutować. I nawet nie wiedziałem, czy mi się chce.

Dzień sześćdziesiąty drugi (2)

Nie miałem zamiaru rozwodzić się na temat tego, co stało się, gdy tylko opuściłem restaurację. Ciężko to opowiedzieć tak, by nie brzmiało stroniczo. Ale to ważne. Szczególnie po awanturze podczas kolacji. Uważam, że historia ta dokładnie pokazuje atmosferę, jaka w tym czasie panowała w hotelu.

Między członkami wyprawy po jedzenie panowały stosunki napięte i przepełnione smutkiem. Do tego straciłem zaufanie do całej grupy po kradzieży walizek. Każdy był dla mnie potencjalnym podejrzanym.

Zdałem sobie również sprawę, że nie-Amerykanie gromadzą w sobie pokłady gniewu. Winią nas, Tomi i mnie, za to, co się stało. Patrzą na nas i w niej widzą osobę, która przyczyniła się do tego wszystkiego, a we mnie kogoś, kto nie zrobił wystarczająco dużo, by temu zapobiec.

Może nie zrobiłem wszystkiego, co mogłem. W zasadzie nie ma żadnego „może”. Nikt z nas nic nie zrobił.

Van Schaik musiał mnie śledzić, odkąd wyszedłem z restauracji i skierowałem się w stronę klatki schodowej.

Bolał mnie ząb. Bolał mnie nos. Nie miałem ochoty na towarzystwo, więc na jego „Hej!” w pierwszym odruchu odwarknąłem:

– Czego chcesz?

Dopał mnie na schodach i od razu było widać, że ma ochotę na bójkę. Nietrudno też było zgadnąć dlaczego. Ludzie różnie reagują w czasie kryzysu. Jedni zapadają się w siebie, inni chcą się na kimś wyżyć. Jak ten podział rozkłada się na płęć, to chyba oczywiste. Van Schaik był podminowany od pierwszego

dnia, podobnie jak Peter, choć ten w nieco mniejszym stopniu. Zawsze gdzieś pod powierzchnią kotłowała się agresja. Ponieważ nikt z nas nie mógł nic poradzić na koniec świata, van Schaik postanowił walczyć ze wszystkimi i wszystkim po to tylko, żeby zachować iluzoryczne poczucie kontroli.

Było to bardzo męczące.

Nie przyjął zbyt dobrze mojej reakcji i powiedział:

– Wydaje ci się, że jesteś lepszy od nas, co?

– Nie, Nicholasie, nie wydaje mi się, że jestem lepszy. – Wchodziłem dalej po schodach, a on cały czas szedł za mną.

– Myślisz, że nie widzimy, co robisz?

Odwrociłem się, bo nie chciałem, żeby był blisko mojego pokoju. Spojrzałem mu prosto w twarz.

– Co? Co takiego robię?

– Trzymaj się z daleka od Lauren i Lex czy Sophii. Od nich wszystkich.

– Słucham? – Zmarszczyłem brwi.

– To ja słucham. – Zrobił krok w moją stronę. – Widzimy, do czego zmierzasz. Dbasz tylko o czubek własnego nosa.

– Słuchaj, Nicholasie, naprawdę nie wiem, co takiego, według ciebie, zrobiłem...

– Nie zwracaj się do mnie, jakbym był jakimś jebanym dzieckiem. – Wysunął do przodu brodę. – Jesteś z Tanią, pieprzysz tę małą Tomi, a teraz próbujesz dobrać się do innych, jakbyś był tu jedynym mężczyzną!

Nagle dotarło do mnie, o co mu chodzi. To z pewnością nie był najlepszy odruch, ale zacząłem się śmiać. Może przez ten dziwny holenderski akcent nie traktowałem go jako poważnego zagrożenia.

– Mówisz serio?

– Śmiejesz się ze mnie teraz, tak? – I popchnął mnie z całej siły, uderzając w klatkę piersiową.

– Jezu, co z tobą?

– Jesteśmy ostatnimi ludźmi, a ty chcesz mieć wszystkie kobiety tylko dla siebie.

– „Mieć” wszystkie kobiety? Zwariowałeś?

Nie powinienem był z nim w ten sposób rozmawiać. Powinienem był potraktować go poważnie. Lecz jego koncepcja, jakobym miał zamiar stworzyć tu jakiś harem, była dla mnie po prostu zbyt śmieszna, żeby podejść do tego na serio. Nawet zapomniałem o bolącym zębie.

– A jak myślisz, dokąd to zmierza? – Położył ręce na biodrach. – Jesteśmy ostatnimi ludźmi.

– Tego akurat nie wiemy.

– A co jeśli trzeba będzie zacząć robić dzieci, hę?

Dotarł do mnie w końcu ciężar jego słów, więc postanowiłem dać temu spokój.

– Naprawdę o tym ostatnio rozmyślałeś? Uważasz, że będziemy musieli odtworzyć populację i że ja jestem dla ciebie zagrożeniem?

– Wszyscy mamy swoje potrzeby – powiedział, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. – Dałeś jasno do zrozumienia, że kobiety same do ciebie lgną.

– W ogóle nie przeszło mi to przez myśl.

– Kłamiesz. Obserwuję cię. I chcę, żebyś sobie to zapamiętał: mam cię na oku.

– Szczerze, Nicholasie, w dupie mam to, co zrobisz.

Złapał mnie z przodu za koszulę i walnął w twarz.

Mój nos może nie był złamany, ale bolał mnie, więc nawet ten niezbyt mocny cios wywołał zawrót głowy. Podniosłem pięści, żeby się bronić, ale zamiast uderzyć ponownie, rzucił mnie na ścianę. Zatoczyłem się i wylądowałem plecami do klatki schodowej. Od razu zrozumiałem, że popełniłem błąd. Mógł rzucić mnie ze schodów i wmówić wszystkim, że to był wypadek. Szarpał mnie za kołnierz od koszuli i nagle rozpełtała się między nami prawdziwa walka. Zataczaliśmy się po półpiętrze, a ja desperacko starałem się odciągnąć nas od

schodów. W końcu go podciąłem i obaj upadliśmy na podłogę. Byłem na górze, ale nie chciałem go uderzyć.

– Nie ruszaj się! – krzychałem.

– Hej! Hej, chłopaki, co tu się, do kurwy nędzy, wyprawia?!

Spojrzałem na dół betonowych schodów i zobaczyłem Adama i Nathana. Odetchnąłem z ulgą.

Wstałem i otrzepałem się. Sprawdziłem, co z moją twarzą. Na szczęście nie krwawiłem.

Van Schaik zrobił dokładnie to samo.

– Chyba przerwaliśmy wam coś dziwnego – odezwał się Nathan, żeby przełamać napięcie.

– To tylko nieporozumienie – powiedziałem, spoglądając na Holendra.

Ten burknął coś pod nosem i jak gdyby nigdy nic zaczął wchodzić po schodach.

Nathan miał na twarzy wypisany jeden wielki znak zapytania.

– Nawet nie pytaj! – Potrząsnąłem głową.

– Niezły z niego skurwiel – powiedział Adam. – A skurwiele tak mają, z zasady.

– Wiesz co? Też myślałem, że to po prostu... zwykły skurwiel, jak mówisz. Ale jemu się roją w głowie szalone pomysły. – Znów złapałem się za nos. – Może powinienem powiedzieć Dylanowi, żeby miał go na oku.

– Stary, Dylan nawet go nie zabrał na polowanie na jelenia. – Adam podniósł brwi. – On wie.

– Co powiedział? – zapytał Nathan, gdy dotarli w końcu na półpiętro.

– To na serio strasznie dziwne.

– No to teraz już musisz nam powiedzieć. – Nathan otworzył drzwi na korytarz. – Mam w pokoju jakieś tabletki przeciwbólowe, chcesz?

– Nie, dzięki, nie uderzył mnie mocno.

Obaj poszli ze mną do mojego pokoju. Usiadłem na łóżku obok Nathana, a Adam usiadł na podłodze po turecku. Niezbyt mi się podobało, że Nathan pali

w moim pokoju, ale nic mu nie powiedziałem. Adam napełnił szklankę i podał mi ją pod nos. Po raz pierwszy cieszyłem się, że woda była lodowata.

– Kto zaczął? – spytał Nathan. – Bardzo mało prawdopodobne, że ty, ale, jak mawiają, cicha woda...

– Wbił sobie do głowy, że w końcu będziemy musieli zaludnić ponownie planetę i że sytam ze zbyt wieloma kobietami, co jest nieprawdą, bo sytam tylko z jedną.

Obaj spojrzeli na mnie.

– Zaludnić ponownie planetę? – powtórzył Adam.

– Taaak. Gadał coś o tym, że jesteśmy ostatnim ludźmi, którzy przetrwali.

– Stary, ale to mroczne... – Adam gestem poprosił o papierosa. – Kurwa.

Istny mrok.

Nathan milczał.

Spojrzałem na niego.

– Wiem, że nikt nie chce tego głośno powiedzieć.

– Czego? – zapytaliśmy z Adamem w tym samym momencie.

– No cóż, a jeśli będziemy musieli...?

– Nie. – Przyłożyłem szklankę do policzka. – Dostałem wiadomości od moich studentów. Gdzieś tam są jeszcze inni ludzie.

– A ile jeszcze umrze od choroby popromiennej? Pewnie większość z nas. A wtedy... będziemy musieli pomyśleć o dzieciach, żeby ludzkość nie wyginęła.

– Stary, naćpałeś się?! – wykrzyknął Adam.

– Nie, mówię serio. Wiem, że nikt nie chce o tym myśleć... Ale jesteśmy gatunkiem, który za moment wyginie, i w pewnym momencie trzeba będzie się nad tym zastanowić.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Nie sądzę, żeby jakieś kobiety tutaj chciały rodzić dzieci w takim świecie.

Nathan wzruszył ramionami.

Adam spojrział na mnie.

– Co? – Popatrzyłem na Nathana.

– Co z czym?

– Co to miało znaczyć? – spytałem, wzruszając ramionami tak jak on.

– To znaczyło... – Znów wzruszył ramionami, a potem poprosił gestem o zwrot papierosa. – Nic. Nie wiem. Po prostu tak sobie zrobiłem.

Zacząłem czuć się nieswojo.

Nathan rozłożył ręce.

– Mówię tylko, że nie zawsze będzie chodziło o to, czego my chcemy, ale też o to, co jest konieczne.

– Serio, a co dokładnie sugerujesz? – dopytywał Adam.

– Niczego nie sugeruję. Nicholas to kutas pierwszej klasy, chce pobzykać. I to jest tak oczywiste, że chce pobzykać, że nigdy mu się to nie uda! Ale przyszłość naszej planety to zupełnie inna sprawa. Dużo poważniejsza. No bo, tak hipotetycznie, co zrobimy, gdy okaże się, że gatunek ludzki wymiera, a żadna z kobiet nie chce mieć dziecka? Oto jest pytanie! I ja je tylko wypowiadam na głos!

– To może zatrzymaj je dla siebie, co? – powiedział Adam po cichu. – Bo zalatuje gwałtem.

– Nie. Jezu. Nie to miałem na myśli. Chodziło mi... – Zaciągnął się papierosem. – W zasadzie to nie wiem, o co mi chodziło. To znaczy, chodziło mi o to, że powinniśmy myśleć o przyszłości.

Zamilkliśmy.

– A jeśli, tak hipotetycznie – odezwał się Adam po głębszym namyśle – któraś z kobiet zaszłaby w ciążę i zechciała się jej pozbyć?

– Ale żadna nie zaszła – powiedziałem.

– Wiem, przecież powiedziałem „hipotetycznie”... Przecież ludzie uprawiają tu seks, prawda? – Spojrzał na mnie. – A co jeśli Tomi zajdzie w ciążę?

– Nie zajdzie – oparłem nazbyt szybko, bo przeraziła mnie ta perspektywa. – Starczy jej pigułek jeszcze na pół roku, ma spory zapas. I, chłopaki, na serio, sugerujecie, że zmuszanie kobiet do posiadania dzieci to dobry pomysł? Kto by chciał teraz rodzić?

Obaj wzruszyli ramionami. Byłem przerażony wizją tego, że którakolwiek z kobiet mogłaby się o tym dowiedzieć – trzech facetów siedzi sobie w pokoju i dyskutuje o ich funkcjach rozrodczych, jakby po upadku cywilizacji przestały być ludźmi.

– Mia też ma pigułki – powiedział nagle Adam.

– Bzykasz się z Mią? – spytał Nathan zaskoczony.

– Od czasu do czasu. Nigdy nie zostaje na noc. I to mi się w niej podoba.

– Wow.

– A ty?

– Ja i Lauren – oznajmił Nathan z kamienną twarzą – kiedyś się upiliśmy i trochę pobaraszkowaliśmy. Jeszcze zanim zaczęła być z Lex. Ale to było chyba tylko pijaństwo, nic więcej. Myślę, że Dylan to robi z Sophią. Często szepcą coś do siebie.

– Naprawdę? – odstawiłem szklanę.

– No. Myślę, że jeszcze przed tym wszystkim byli ze sobą blisko. To miejsce w ogóle było jak jeden wielki burdel. W pewnym momencie wszyscy bzykali się ze wszystkimi.

– Ale Sophia miała przecież męża – zauważyłem.

– I co? – Nathan wzruszył ramionami.

Wstałem.

– To mi przypomniało, że miałem porozmawiać z Sophią. Muszę iść.

– O czym?

– Zgodziła się opowiedzieć mi swoją historię. Powiedziała, żebym przyszedł po kolacji.

Adam kiwnął głową w stronę biurka.

– Do twojego pamiętnika?

– To nie jest pamiętnik, tylko kronika.

– Okej, okej. – Uśmiechnął się złośliwie.

Nathan wstał i poklepał mnie po ramieniu.

– Stary, piszesz memuary. Ale nie martw się, żaden krytyk ich nigdy nie przeczyta.

Odprowadziłem ich do drzwi i pomachałem na pożegnanie, gdy szli korytarzem. Po kręgosłupie przebiegł mi dreszcz. Patrzyłem na nich obu – na Nathana z jego historią o zaginionym ojcu oraz na Adama z jego dziwnym chłopcem pojawiającym się w rogu pokoju – i trudno mi było pozbyć się wrażenia, że nie jesteśmy tu przypadkowo. Wiem, że to jeden ze sposobów, w jaki umysł próbuje odzyskać kontrolę nad rzeczywistością. Robi to poprzez poszukiwanie znaczeń w przypadkowym i bezlitosnym wszechświecie. Tak czy siak, to miejsce było dziwne. My, którzy zostaliśmy w hotelu, znaleźliśmy się w nim na skutek niezwykłych wydarzeń, przeczuć, znaleźliśmy się tu, ponieważ zboczyliśmy z naszych utartych tras. Jakby ten budynek przyciągnął nas tu z różnych odległych zakątków świata. A kiedy w końcu tu dotarliśmy, ten świat się skończył.

Nie wiem, co chcę przez to powiedzieć. Po prostu takie mam uczucie.

Dzień sześćdziesiąty drugi (3)

Gdy pożegnałem się z Nathanem i Adamem, przeprowadziłem wywiad z Sophią. Chciałem to zrobić już od pewnego czasu.

Sophia wolała pracować podczas naszej rozmowy. Przygotowywała większe porcje jedzenia do zamrożenia. Rozpraszało mnie to w robieniu notatek, ale jej pomagał fakt, że była w ruchu. Ostrzegła mnie, że nie czuje się komfortowo podczas osobistych zwierzeń.

– Ale jeśli nie opowiemy o tym teraz, zanim umrzemy, przepadnie to na zawsze – powiedziała.

Siedziałem naprzeciwko srebrnego blatu kuchennego, pod płytą grzewczą, i pisałem. A Sophia szykowała jedzenie. Kuchnia była ogromna, przeznaczona dla wielkiego zespołu. Za Sophią ciągnęły się liczne rzędy lodówek, szafek, kuchenek i piekarników.

Związała włosy z tyłu głowy i podwinęła rękawy fartucha aż do łokci. Gdy mówiła, nie patrzyła na mnie.

– Pytałeś, dlaczego zostałam szefową kuchni, więc pomyślałam, że usatysfakcjonuje cię moja historia. – Spod lady wyciągnęła torebkę cukierków, każda kulka zapakowana w oddzielny papierek. Przysunęła ją w moim kierunku.
– Nikomu ani słowa.

Rozejrzałem się szybko, mimowolnie uśmiechnąłem i poczęstowałem jednym cukierkiem.

– Weź więcej, bo już nigdy ich nie zobaczysz.

Wziąłem więc całą garść i schowałem do kieszeni. Gdy zacząłem robić notatki, jedną kulkę włożyłem do ust. I była to najpyszniejsza rzecz, jaką jadłem od tygodni... Od eksplozji cukru niemal zakręciło mi się w głowie. W tej samej chwili pomyślałem o swoich córkach i nagle poczułem straszliwy smutek.

– Moi rodzice służyli w armii, więc często się przeprowadzaliśmy. Miałam jakieś siedem lat, gdy stacjonowali w Kosowie. Krótka. Było to piękne miejsce, ale czasem, hmm... jak to mówicie... czasem było nieprzewidziane.

– Nieprzewidywalne, tak?

– Tak, nieprzewidywalne, tak myślę. Nie było tam spokojnie. Pewnego wieczoru, w drodze do domu, ojciec został napadnięty przez grupę mężczyzn. Chcieli, żeby oddał im swój portfel. Ponieważ był dumnym człowiekiem, a może głupim, odmówił.

– Jak twój ojciec się nazywał?

– Samuel Abelli. To włoskie nazwisko, moi dziadkowie pochodzili z Włoch. Miał wtedy jakieś trzydzieści pięć lat. Byłam późnym dzieckiem, urodziłam się siedem lat po mojej siostrze.

Zanotowałem imię, a Sophia ciągnęła dalej swoją opowieść. Gotowała zupełnie głównie z puszkowanych warzyw. Bardzo skrupulatnie racjonowała mięso, przez co ciągle chodziłem głodny, ale takie oszczędności miały sens przed zbliżającą się zimą.

– W grupie mężczyzn było dziecko. Chłopak wyglądający na jakieś szesnaście lat, jak mówił ojciec. Dzieciak trzymał pistolet, a reszta skandowała: „Zastrzel go, zastrzel go”. Ojciec rzucił się do ucieczki, lecz potknął się o krawężnik. Upadł i właśnie w tej chwili chłopak strzelił do niego. Trafił w tył nogi. W tym miejscu. – Odchyliła się do tyłu i pokazała na udo.

– Czekał. Czy to jest na pewno historia o tym, jak zaczęłaś pracować w kuchni? – Znów się zawahałem i podniosłem głowę.

– Tak, ale wysłuchaj jej do końca.

Powstrzymałem uśmiech, a gdy nasze spojrzenia znów się spotkały, uniosła wymownie brwi.

– Przepraszam, zamieniam się w słuch.

– Nie powinnam była cię karmić słodyczami. Teraz będziesz zbyt podekscytowany.

Wiedziałem, że nie mówi poważnie, choć nie uśmiechała się, gdy żartowała.

Roześmiałem się. Przypomniałem sobie o cukierkach w kieszeni i zjadłem następnego. Trzeba było rozgryźć twardą powłoczkę, żeby wypłynął kwaskowaty środek o jabłkowym smaku. Na pewno nie wpłynie to dobrze na moje zęby.

– Mój ojciec przebiegł jakiś kilometr. Powiedział, że zadziałał instynkt przetrwania. Nie czuł w nodze żadnego bólu. Wbiegł do hotelu i ubłagał recepcjonistkę, żeby go nie wydała. Schował się, a dziewczyna go nie zdradziła. Mężczyźni pobiegli dalej. Zamiast iść do szpitala, ojciec wrócił do domu... ponieważ... W sumie nie wiem, dlaczego nie poszedł do szpitala. Może właśnie z powodu dumy albo wstydu. Nie umiem powiedzieć.

– I nie wezwał policji?

– Nie miało to żadnego sensu. Chyba nie chciał też, żeby aresztowano tego chłopca. Wiele dzieci było wtedy przestępcami. Może nie poszedł do szpitala, bo bał się, że jego towarzysze broni wezmą odwet.

– Co się wtedy działo w Kosowie?

– Miałam siedem lat. Nie rozumiałam, co się dzieje.

Zrobiłem notatkę „Sprawdź Kosowo”, ale po chwili sobie przypomniałem, że przecież nie ma jak. Nie mieliśmy ani gazet, ani biblioteki, żadnych źródeł. Era nieograniczonego dostępu do informacji skończyła się. Spojrzałem na słowa „Sprawdź Kosowo” i przekreśliłem je.

– Co się wydarzyło potem?

– Przez kilka dni nie działo się nic. Ale w końcu w nogę wdało się zakażenie. Ojciec nie chciał, żeby matka dowiedziała się, jak bardzo źle to wygląda. Ona ciągle pracowała. Zawinał więc wszystko bandażem i nie chciał nikomu pokazać. Lecz raz przyłapałam go w kuchni, jak przemywał ranę. Chciał obejrzeć ją w lustrze. Postawił nogę na stole i w ten sposób próbował coś

dostrzec. Gdy weszłam, nie miał szans ukryć przede mną rany. Zapytałam, co się stało, więc powiedział, że został postrzelony i że nie może wyjąć kuli.

Zaczynałem rozumieć, do czego zmierza. Przestałem pisać i po prostu słuchałem dalej.

– Powiedziałaś, że spojrzę na to. Ojciec uznał, że jestem za mała, ale to nie był dla mnie problem. Widok krwi nie robił na mnie wrażenia. Wzięłam z kuchni nóż i zapytałam, jak wygląda kula. Ojciec wziął potężny łyk jakiegoś płynu. Nie pamiętam, co to było.

Następny cukierek był o smaku czarnej porzeczki lub czegoś w tym stylu. Przypominał mi egzotyczne wycieczki. Odpłynąłem, myśląc o zapachu ciepłych, rozłożonych na plaży ręczników, ziarenek piasku pod stopami. Wróciłem na ziemię, gdy z ust Sophii padły słowa „nóż kuchenny”.

– Opisał ci wygląd kuli? – powtórzyłem to, co usłyszałem jako ostatnie.

– Powiedział, że jest mała i srebrna. I że rozpoznam ją, bo nie jest częścią nogi.

– I miałaś wtedy siedem lat?

– Może osiem, może dziewięć, na pewno nie więcej. Ojciec położył się na stole twarzą do dołu i zagryzł pasek. Wzięłam nóż i zaczęłam grzebać w ranie. Strasznie krzyczał, ale nie pozwalał mi przerywać bez względu na wszystko. Nie przypominam sobie, żeby krew mnie jakoś zniechęcała do działania. Wiedziałam, że muszę pomóc ojcu.

Równiutko pokroiła warzywa, wrzuciła je do garnka, a potem dodała wywar i na koniec coś, co wyglądało jak kasza bulgur.

– Znalazłaś kulę? – spytałem.

– Nie, znalazłam gwóźdź.

– Co?

– Niektórzy ludzie grasujący na ulicach przestali używać amunicji. Ładowali broń gwoździami i małymi kawałkami metalu. Dlatego ojciec dostał infekcji. Z powodu gwoździa, nie kuli. Gdy go wyjęłam, ojciec w końcu poszedł do szpitala.

– Wszystko było z nim w porządku?

– Powinien był iść wcześniej. Wyleczył się, ale blizna bolała go potem do końca życia. Zatrzymałam ten gwóźdź. Ciągle go mam, na górze, w swoim pokoju.

– Czy twój ojciec jeszcze żyje?

– Masz na myśli, czy żył, zanim to się wydarzyło?

Nie chciałem tego tak ujmować, ale potaknąłem głową.

– Nie, zmarł cztery lata temu.

Po kuchni zaczął rozchodzić się aromat jedzenia. Ogień płonął. Pachniało jak za dawnych czasów. Ten zapach, niebędący zapachem środka do dezynfekcji, uruchomił we mnie nostalgię, na którą nie byłem przygotowany.

W oczach stanęły mi łzy. Sophia spojrzała na mnie.

– To od dymu – powiedziałem.

Nie było żadnego dymu.

– Umarł na atak serca – ciągnęła dalej. – Uważał to za zabawne, że zatrzymałam gwóźdź. Dlatego uważam, że przez tę historię wylądowałam w kuchni. To właśnie w tym miejscu poczułam się jak dorosła. Zrobiłam dla ojca coś, z czym sam sobie nie mógł poradzić. – Westchnęła. – Cieszę się, że nie dożył spotkania z moim byłym mężem i w ogóle tego wszystkiego.

– Mówiłaś, że ten hotel należał do twojego męża?

– Spróbuj – powiedziała. – Podejź tu.

Wstałem, obszedłem płytę kuchenną i stanąłem obok kuchenki. Sophia podała mi łyżkę. To był smak innego życia.

– Jeszcze trochę pieprzu – zaproponowałem.

– Tak, też tak myślę. – Kiwnęła głową.

Wróciłem i usiadłem na swoim miejscu.

– Dlatego tu pracuję – powiedziała.

– Ale nie było go, gdy to wszystko się zaczęło?

– Nie. – Jakby lekko się zawahała.

– Więc gdzie był twój były mąż przed dniem, w którym nastąpił atak?

– Tego nie musisz wiedzieć. Zaczynasz wtykać nos w nie swoje sprawy. – Odwróciła się i skupiła całą uwagę na zupie. – Wystarczy na dziś. Już i tak dużo ci opowiedziałam.

– A nie chcesz opowiedzieć o swojej matce?

– Nie.

– Okej, w porządku. Dziękuję za rozmowę.

– Znalazłeś coś nowego w sprawie dziewczynki? – Wbiła we mnie groźne spojrzenie.

– Jeszcze nie. A co?

– Po prostu jestem ciekawa. Nie wiem, dlaczego marnujesz na to aż tyle energii.

– Nie marnuję na to energii.

– Ludzie widzą, że węszysz. – Wzruszyła ramionami.

– Zamordowano tu dziewczynkę.

– Wiesz, że nie istnieje już dobro i zło. To, co zdarzyło się przedtem, nie ma już żadnego znaczenia.

– Nie wierzę w to – powiedziałem, może trochę zbyt agresywnie.

– Nie przyjedzie tu nikt, kto wyegzekwowałby prawo. Nawet jeśli znajdziesz zabójcę, co się nie stanie, to przecież nikt go stąd nie zabierze. Chyba że ty teraz zaczniesz stanowić prawo?

– Nie. – Zmarszczyłem brwi. – Po prostu czuję, że ludzkie życie ciągle jeszcze dla mnie coś znaczy. Znaczy więcej niż... przetrwanie za wszelką cenę.

– Jesteś jedyną osobą, która tak myśli – stwierdziła, nie patrząc na mnie.

– Nie sędzę.

Uśmiechnęła się, ale chyba bardziej do siebie niż do mnie.

– Nie wiem, może cukier spowodował, że tak uważasz. A może jesteś po prostu naiwny.

– Co robiłaś tamtego dnia?

– Na początku chciałam stąd wyjechać, ale uświadomiłam sobie, że nie ma dokąd jechać.

– Zauważyłaś coś dziwnego?

– Dziwnego... – Nie potrafiłem stwierdzić, czy drwi sobie z tego, czy nie. – Nie. Byłam szczęśliwa, że większość wyjechała, bo w końcu zrobiło się cicho.

– Lubisz dzieci? – zapytałem, niepewny swego tonu, nawet gdy już wypowiadałem te słowa.

– Nie mogę mieć dzieci – odparła, jakby chciała zamknąć temat.

Nie wiem, może chciała się mnie w ten sposób pozbyć, sprawić, bym poczuł się nieswojo. Tak czy siak, zebrałem swoje rzeczy i poszedłem na górę przepisać notatki. Chwilę mi zajęło otrząśnięcie się z chłodu w jej głosie. Zapisałem natychmiast: „Chyba że ty teraz zaczniesz stanowić prawo?”. Na papierze brzmiało to równie wrogo jak wtedy, kiedy to mówiła. Zastanawiałem się, co miała na myśli, skąd w ogóle u niej taki sposób myślenia.

Potem zapisałem jej kolejną wypowiedź, tak na wszelki wypadek, żebym nie zapomniał. Mogła mi się później przydać. „Nawet jeśli znajdziesz zabójcę, co się nie stanie...”. Długo nad tym rozmyślałem.

Nawet jeśli znajdziesz zabójcę, co się nie stanie...

Dzień sześćdziesiąty trzeci

Następnego wieczoru poszedłem sprawdzić, co u Tomi, ale nie otworzyła mi drzwi. Może jej nie było. A może nie chciała mnie widzieć.

Wróciłem do siebie, żeby zabrać klucz uniwersalny, ponieważ rozważałem dalsze przeszukiwanie hotelu. Jednak kradzież walizek bardzo podkopała moje morale, a ciężko mi było zdecydować się na sprawdzanie pokoi moich najbliższych współtowarzyszy.

Do tego Sophia wspomniała o właścicielu hotelu, który bardzo mnie interesował. Może powinienem poszukać o nim jakichś informacji...

Sprawdziłem baterie przyniesione z supermarketu, ale mój laptop nadal nie działał. Podłączyłem przenośną ładowarkę, lecz nic z tego, żadnej oznaki życia. Zostawiłem więc to wszystko na łóżku. Choć wiedziałem, że nie połączę się z internetem, to jednak bardzo chciałem zobaczyć jakieś zdjęcia tej rodziny.

Właśnie miałem wychodzić z pokoju, gdy usłyszałem pukanie do drzwi.

To była Tomi w towarzystwie dzieci Yobarich. Dziewczynka miała na imię Ryoko i miała około siedmiu lat, a chłopiec to Akio, sześciolatek. Szczerze mówiąc, przez cały czas unikałem nawet patrzenia w stronę tych dzieciaków. Za każdym razem, gdy je widziałem lub słyszałem strzępki ich rozmów, musiałem w sobie zwalczać potężną falę rozpacz. Nie miały w ogóle pojęcia, co się wydarzyło. Zastanawiałem się, czy gdy dorosną, będą pamiętać, jaki był kiedyś świat.

– Chcesz wyjść na dwór pobawić się z nami? – zapytała Tomi jak gdyby nigdy nic, jakbym nie próbował skontaktować się z nią od jakiegoś czasu.

– A co z ich rodzicami?

– Chcieliby sobie zrobić wolny wieczór, a te francuskie suki są zajęte. Ale spoko, mogę się zająć dziećmiakami.

– Jezu, Tomi, przy dzieciach nie używa się takich słów jak „suki”. – Próbowałem ściszyć głos.

– Przecież nie rozumieją, co to znaczy. Wyluzuj!

– Suki! – pisnęła wesoło Ryoko.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– Dobra, tylko wezmę płaszcz.

Uświadomiłem sobie, że Tomi mogłaby odpowiedzieć na parę pytań dotyczących właściciela hotelu.

Gdy zamknąłem drzwi, poczułem, jak mała rączka łapie za trzy palce mojej dłoni. To była Ryoko. Chciałem odruchowo zabrać rękę. Poczułem, że podłoga umyka mi spod stóp. Serce zaczęło walić, a do oczu napłynęły łzy.

Spojrzałem na Tomi, która czekała na Akio niedaleko klatki schodowej. Uśmiechnęła się.

Pozbierałem się, ująłem rączkę Ryoko i cała nasza czwórka wyszła przed budynek. Dzieci nie mówiły za bardzo po angielsku, lecz ku mojemu zdziwieniu Tomi znała trochę japoński. Usiedliśmy na trawie na skraju lasu i patrzyliśmy, jak Ryoko i Akio się ganiają.

– Nie wiedziałem, że lubisz dzieci – zauważyłem.

– Wolę je od dorosłych – odpowiedziała Tomi.

Spostrzegłem u Ryoko pewien brak symetrii w twarzy, ale nie potrafiłem tego dokładnie określić. Miała dziwną urodę.

Nie umiałem się odprężyć, dopóki nie znalazły czegoś interesującego w ziemi i nie zaczęły kopać dziury. Dzięki temu siedziały w jednym miejscu.

– Chciałem się ciebie zapytać... – zacząłem niezobowiązująco. – Powiedziałaś, że gdy zbierałaś materiały do swojej pracy o historii tego miejsca, nie znalazłaś wiele informacji o właścicielach.

– Nie ma na ten temat za wiele w oficjalnym obiegu. Nawet kiedy hotel przejmowały różne firmy... Poszperałam trochę i okazało się, że firmy już nie istnieją lub dawno zbankrutowały. Podejrzany brak jakiegokolwiek dokumentacji, nie sądzisz? Dostałam obsesji. Dlatego zaczęłam ten projekt. – Rozejrzała się na boki. – Wiesz, jak to jest...

Potaknąłem. Podejrzana dokumentacja była czasem jedyną rzeczą, która mnie nakręcała do działania, gdy siedziałem sam w pokoju hotelowym nieróżniącym się od innych pokoi hotelowych. I nieważne, w jakim byłem stanie czy kraju, ponieważ każdy dzień zaczynałem od takiej samej saszetki z kawą rozpuszczalną w elektrycznym miniczajniku.

– Pomyślałeś kiedyś o tych wszystkich opuszczonych bibliotekach? – zapytała z wyczekującym uśmiechem.

– O Boże, nie.

– Wyobrażasz to sobie? Warto wrócić do Stanów choćby z tego powodu. Ta wizja naprawdę mnie kręci.

Roześmiałem się.

– Balach Braun? – Przypomniałem sobie w końcu.

– Baloche. Znalazłam kilka artykułów o tym, że przejmuje hotel. To było duże wydarzenie ze względu na złą prasę w latach dziewięćdziesiątych. Sam rozumiesz, morderstwa, duchy... Zdaje się, że miał nieciekawą reputację.

– Co masz na myśli?

– Był notowany, do tego to utracjusz, który odziedziczył fortunę... Drugorzędny celebryta w Europie. Pewnie tylko dlatego to jedyny właściciel, o którym cokolwiek znalazłam.

– Wiesz, że był mężem Sophii?

– No coś ty! – Chwyciła mnie za ramię.

– Tak! – Byłem uszczęśliwiony jej entuzjazmem. – Był jej mężem, albo nadal jest, nie mam pewności. Nie udało mi się tego z niej wyciągnąć.

– To dlatego tu pracuje?

Kiwnąłem głową.

– Dobry jesteś. Cholera... Teraz to już w zasadzie nie ma znaczenia, bo i tak nigdy nie skończę tego projektu, ale... To wszystko jest bardzo ciekawe.

Przez chwilę patrzyliśmy, jak dzieci się bawią.

– Nie chcę być wścibska... – powiedziała Tomi, starannie dobierając słowa. – Choć w końcu jestem specjalistką w dziedzinie nauk społecznych, więc w sumie muszę być wścibska. Chodzi o to, że nie wylogowałeś się z Facebooka.

– Jezu, Tomi...

– Spokojnie, nie czytałam twoich wiadomości – parsknęła. – Chcę tylko powiedzieć, że twoje dzieciaki są naprawdę urocze. Młodsza córeczka wygląda zupełnie jak ty. A starsza zupełnie nie, to wykapana matka.

– Bo nie jestem jej biologicznym ojcem. To córka mojej żony.

– Nadii?

– Tak, Nadii.

– Bardzo przypomina Tanię.

Nie wiem, po co zrobiła tę uwagę, czy chciała coś przez to powiedzieć, czy nie... Tak czy siak, poczułem się nieswojo. Nie pociągnęła jednak dalej tego tematu.

– Jak mają na imiona? – spytała.

Zacisnąłem zęby.

– Ruth i Marion. Marion to ta młodsza.

– Przepraszam, nie chciałam zaglądać na twój profil. – Zamilkła. – Nie, jednak chciałam. Jestem ciekawska i mam problem z wyznaczaniem granic. Zazwyczaj je przekraczam.

– Nic się nie stało. Tylko... – Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Ciężko ci?

Pokiwałem głową. I znów patrzyliśmy na dzieci.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało. – Odezwałem się w końcu. – Nie wiem, dlaczego nagle wszyscy cię za wszystko obwiniają. Życie w zamknięciu rzuca się im na mózg.

– Nie nagle. Rzucają takie komentarze od pierwszego dnia. Nie tylko oni zresztą. – Wzruszyła ramionami. – Mam to gdzieś. Co mi zrobią? Nie boję się ich.

Przesunąłem dłonią po suchej trawie, która jeszcze została.

– Nie wiem, dlaczego ludzie teraz wywlekają takie sprawy. Już po wszystkim. Już po wyborach.

– Mam nadzieję, że nie masz zamiaru powiedzieć czegoś w stylu „To nie twoja wina”?

– No cóż... – Nie byłem pewien, co chciałem powiedzieć. – Nie można obwiniać poszczególnych jednostek. To wina zbiorowa.

– Czyli jednak częściowo mnie obwiniasz? – Zrobiła dziwny gest ręką.

Zastanowiłem się chwilę.

– Częściowo tak.

– Jezu! Nie wierzę.

– A czyja to wina, jak sądzisz?

– Na pewno nie moja.

– Nie powiedziałem, że twoja, tylko że zbiorowa!

– Czyli uważasz, że wszyscy, którzy głosowali jak ja, chcieli wojny nuklearnej i końca świata? No jasne, jakie to przekonujące. Jesteś potwornie przemądrzałym dupkiem, więc nic dziwnego, że nikt nie chciał głosować tak jak ty.

– A jednak niektórzy chcieli.

Zamilkła.

Czułem, że wygrałem tę potyczkę, ale czułem też, że nie jestem do końca sprawiedliwy. Rozmawialiśmy o świecie, którego już nie było. Jaki sens miało teraz szukanie winnych?

Dzieci krzyknęły, a ja omal nie podskoczyłem z wrażenia. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że to był śmiech. Okazało się, że Akio znalazł jakiegoś robaka i podbiegł do nas z wijącą się dżdżownicą, która wisiała na jego palcach.

Tomi powiedziała do niego coś po japońsku, może żeby odłożył ją z powrotem, i chłopiec położył stworzenie delikatnie na ziemi.

– Dobrze wiedzieć, że robaki jeszcze żyją – stwierdziłem.

Nie odpowiedziała.

– Przepraszam, to nie twoja wina.

– Nie mogę uwierzyć, że wszyscy są tacy prości i uważają, że to przeze mnie się tu znaleźli. Świat nie spieprzył się przez mój jeden głos na wyborach. Już dawno temu zaczął schodzić na psy. I wszyscy na to patrzyli. – Wyrwała garść trawy i pozwoliła jej wolno opadać z ręki. – Wszyscy zachowywaliśmy się jak tchórze i nikt nie zrobił tego, co trzeba. Więc nie wiem, dlaczego tak się prześcigacie w obwinianiu mnie.

– Bawimy się w adwokatów diabła...

– Odpierdol się.

– Każdy wiedział, że to głupie i niebezpieczne głosować na kogoś takiego. Do tego jeszcze ci fanatycy religijni!

– Ale to nie my użyliśmy broni jądrowej, co nie?

– Nikt nie wie, kto zaczął! Nie zorganizujemy teraz żadnej komisji do oceny tego faktu.

– Nie rozumiem. – Potrząsnęła głową. – Co, twoim zdaniem, mam powiedzieć?

Przez chwilę tylko na nią patrzyłem. Czuję, że się nad nią znęcam. Zdałem sobie sprawę, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu jestem na nią zły. Byłem przepelniony wściekłością, od której od jakiegoś czasu chciałem uciec, lecz gdy rozmawiałem lub patrzyłem na Tomi, nie umiałem się powstrzymać. Sypianie z nią tylko pogorszyło sprawę. Tak, obwinałem ją. Tak, uważałem, że to jej wina. W pewnym sensie sam siebie chciałem przekonać, że zaplanowała to wszystko, że głosowała na tych szaleńców, a oni pomogli jej nas tu umieścić. Odseparowali mnie od żony i dzieci, pewnie na zawsze. Chciałem wierzyć, że miała jakiś złowrogi motyw i chciała zniszczyć ten świat. Miałem kogoś, kogo mogłem o wszystko obwinić.

– Na serio, co mam, twoim zdaniem, powiedzieć?

Tym razem lepsza część mnie przegrała.

– Może „przepraszam” byłoby na miejscu.

– Idź do diabła. – Wstała.

– Już jestem w piekle! – krzyknąłem za nią i skrzywiłem się.

Wiedziałem, że zachowałem się jak drań, ale byłem zbyt dumny, żeby za nią pójść. Dzieci Yobarich widziały, że odchodzi, ale jakoś nie przeszkodziło im to w dalszej zabawie. Ryoko krzyknęła coś do mnie po japońsku. Nie zrozumiałem, ale uśmiechnąłem się do niej szeroko. Zaśmiała się, ewidentnie usatysfakcjonowana moją reakcją, i zanurkowała między drzewa.

Dzieci nie muszą wszystkiego rozumieć. Po prostu wiedzą, kiedy jesteś szczęśliwy w ich towarzystwie, a kiedy nie.

Uśmiechałem się za każdym razem, gdy któreś z nich spojrzało na mnie. W końcu nie mogłem się już dłużej uśmiechać. Wyglądały na takie szczęśliwe. Były tak beztroskie, bo nie miały o niczym pojęcia. Zazdrościłem im tego, bo nie zdawały sobie sprawy, że wszystko straciły. I było mi smutno, bo nigdy nie dowiedzą się, jaki ten świat był przedtem.

Czasem zastanawiałem się, co o danej porze dnia robiłbym w poprzednim życiu. Dziś pewnie byłbym w pracy, siedziałbym w swoim gabinecie i czekał na studentów chcących omówić swoje elaboraty. Zapewne coś bym sobie też poczytał. Teraz nie sposób znaleźć czegokolwiek do czytania po angielsku. Posłuchałbym również muzyki, a tu ostatni raz słuchałem czegoś tylko dzięki Tani. Nie mogę po prostu pójść i kupić sobie kanapki i często przerastają mnie emocje, gdy zbyt długo rozmyślam nad smakiem pizzy. Te dzieci nie wiedzą, że wszystko stracone.

Podeszła Ryoko i usiadła obok mnie.

– Hej – powiedziałem. – Co tam masz?

Nic nie przyniosła. Wyciągnęła rączkę i zaczęła mnie poklepywać po ramieniu, jakbym też był dzieckiem. Potem pokazała na siebie i coś powiedziała.

Z jej tonu wywnioskowałem, że było to coś w stylu „Nie jest tak źle”. Uśmiechnęła się do mnie. A później wstała i dołączyła do brata.

Nagle usiadł obok mnie ktoś inny. Poderwałem się, ale to była tylko Tania.

– Przepraszam, widziałam, że to była dla was ważna chwila. Nie chciałam przeszkadzać.

– Dzieci mają w sobie taką czystość... – westchnąłem. – To strasznie bolesne.

– Wiem. I w sumie bardzo im zazdrozczę.

– Ja też. Boże, czuję się jak palant.

– Nie przejmuj się, nikomu nie powiem.

– Hej, patrz. – Przypomniałem sobie o cukierkach w kieszeni. – Chcesz? Sophia dała mi trochę ze swoich sekretnych zapasów.

– Wspaniale. – Poczęstowała się i pokazała na dzieci. – Chyba powinieneś się tym z nimi podzielić.

– Mam zamiar zwabić je cukierkami do środka. Nie znam japońskiego.

– Dobry pomysł. – Słysząc było, jak cukierek uderza o jej zęby. – Widziałam, że przed chwilą rozegrał się tu jakiś dramat.

Zaczynał zapadać zmierzch, ale nie było zimno. Szelest liści ocierających się o siebie był hipnotyzujący.

– Taaak, pewnie mogłem to lepiej rozegrać.

– Jest coś między wami, między tobą i Thomasem?

– Thomasem?

– Przepraszam, Tomi. Nie lubię jej, więc nazywam ją Thomasem.

– To trochę wredne. – Zaśmiałem się.

– No więc jest coś między wami?

Zbyt długo ociągałem się z odpowiedzią i z zaprzeczeniem.

– To jest...

– Nie przejmuj się. Wszyscy wiedzą.

– „Nie przejmuj się. Wszyscy wiedzą”? Dzięki, od razu mi lepiej. – Poczułem, jak się rumienię. – Nawet się nie przyjaźnimy. To tylko... sam nie wiem...

Nie wiem, skąd ta potrzeba przeproszenia jej.

– Nie musisz się tłumaczyć. Każdy chce sobie czasem ulżyć, a ona jest bardzo ładna. Jeśli oczywiście lubi się taki typ. Myślę, że może nawet być bardzo miła... jeśli tylko nic nie mówi. Jak sobie z tym radzisz, kneblujesz ją?

Znów się roześmiałem, nie mogłem się powstrzymać.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Teraz naprawdę jestem wredna.

– Pewnie trochę przesadziłem – przyznałem. – W jednej chwili próbowałem ją przeprosić, a w drugiej zacząłem ją obwiniać o tę apokalipsę. Nie jestem z tego jakoś szczególnie dumny.

– Myślisz, że to jej wina?

– Nie. – Zastanowiłem się chwilę. – Z racjonalnego punktu widzenia nie. Ale gdy na nią patrzę i gdy o tym rozmawiamy, nie jestem w stanie się powstrzymać.

– Czyli jednak ją obwiniasz.

– Nie, nie o to chodzi. To byłoby szaleństwo myśleć, że wszystkiemu jest winna jedna dziewczyna. Nie sądzisz?

– Nie. Po prostu fajnie jest znaleźć kozła ofiarnego.

– Czyli uważasz, że się na niej wyżywam?

– Z medycznego punktu widzenia... – Przewróciła oczami, jakby użycie słowa „medyczny” było w tym przypadku przesadą. – ...przeżywasz coś w rodzaju żałoby.

Jej słowa mnie zaszokowały. Zmarszczyłem brwi.

– Przecież nie ma pewności, że Nadia i dzieci nie przeżyły.

– Nie, nie chodzi mi o rozpacz po stracie konkretnej osoby. Chociaż niewiedza bywa jeszcze gorsza, w każdym razie z psychologicznego punktu widzenia. Mam na myśli rozpacz po stracie poprzedniego życia, całego świata. Każdy tu przeżywa żałobę i nikt sobie z tym nie radzi.

Przypomniałem sobie etapy żałoby: poczucie winy, złość, rozpacz, odrętwienie. I nagle moje reakcje, które uważałem za irracjonalne, przestały być

irracjonalne. Utwierdziłem się też w przekonaniu, że zachowałem się wobec Tomi jak skończony palant, bo i ona przecież opłakuje swoją własną stratę.

– Poświęciłam bardzo dużo czasu, pragnąc, żeby wróciło moje stare życie. Czas spędzony w domu z... z moim chłopakiem, wspólne oglądanie telewizji. Wiesz, czego najbardziej mi brakuje?

– Czego?

– Pizzy.

Roześmiałem się niemalże histerycznie. Zwróciło to uwagę dzieci, które również wybuchły śmiechem, jakbym opowiedział im jakiś dowcip.

– O mój Boże – wydusiłem z siebie, ledwo łapiąc oddech. – Dokładnie o tym samym przed chwilą myślałem.

– Wydaje się, że to drobiazgi, ale... – Położyła dłoń na ustach, próbując uspokoić oddech. – Nie myślałam o niczym wyjątkowym. Czasem chciałbym zamówić pizzę, ale teraz nie jest to możliwe. Może już nigdy nie będzie. Czy jeszcze kiedykolwiek przyjdzie mi posmakować normalnego jedzenia? Na przykład burgera. Boże, nawet brokuła...

Wyciągnąłem rękę i położyłem jej na plecach, ale ją strąciła.

– Przepraszam.

Tania potarła oczy. Nie patrzyła na mnie.

– Ja ich popilnuję. A ty idź i zobacz, czy u niej wszystko okej.

– Wolę, żeby u ciebie było wszystko okej.

Nie skomentowała tego. Wyrwałem kilka kolejnych garści trawy i pozwoliłem, żeby porwała je wieczorna bryza.

Przyszła do nas Ryoko i zaczęła coś mówić, drapiąc się po twarzy, jakby coś bardzo ją swędziało.

– Co się stało? – Miałem nadzieję, że może będzie potrafiła mi to jakoś inaczej wyjaśnić.

Ujęła moją dłoń, przyciągnęła do swojej twarzy i wyjęła sobie prawe oko.

Gdy położyła je na mojej dłoni, byłem w takim szoku, że prawie przestałem oddychać.

Jasnobrązowe oko wyglądało, jakby było zrobione ze szkła. Spojrzałem na twarz Ryoko, mrugnęła wyczekująco. Po prawej stronie miała różową zapadniętą dziurę, a po lewej oko promieniujące radością.

– Ja... – próbowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem znaleźć właściwych słów.

Tania wzięła ode mnie oko i uśmiechnęła się.

– Miała siatkówczaka, nowotwór złośliwy oka. Sztuczne oko trzeba od czasu do czasu przemyć. To właśnie próbowała ci powiedzieć.

– Oczywiście... – Kiwnąłem głową, ciągle wstrząśnięty tym, że miała w dłoni oko dziewczynki.

– Wyczyszczę je. Ty idź do środka.

Ryoko spojrzała na nas, a ja poczułem się winny, że okazałem strach. Pogłaskałem małą po policzku, wyglądała na zaskoczoną.

– Przepraszam za swoją reakcję – powiedziałem. – Masz piękne oczy.

Ryoko powiedziała coś, co brzmiało bardzo radośnie, i potarła skórę poniżej pustego oczodołu. Myślę, że zrozumiała, co powiedziałem.

Tania zaśmiała się pod nosem.

Dzień sześćdziesiąty trzeci (2)

Dywany w holu były brudne, coraz bardziej poprzecierane i pokryte brązowymi, ciemnymi smugami. Powinienem skrzyknąć kilka osób – trzeba by je wymyć. Z jakiegoś powodu gromadzący się brud działał na mnie depresyjnie i destrukcyjnie.

Usłyszałem „Psst”, jakby ktoś chciał mnie zawołać, więc zacząłem rozglądać się dokoła, żeby zlokalizować ten dźwięk. Za kontuarem recepcji nie było nikogo, ani w restauracji czy na schodach. Zapadał zmrok, więc większość osób zapewne była w swoich pokojach.

– Psst! Jon!

Szept dobiegał z baru. W drugim końcu sali, za barem, dostrzegłem dwie sylwetki. Podeszedłem do wejścia i, mrużąc oczy, zapytałem:

– Tomi?

– Ciii! Chodź tu.

Przeszedłem przez salę.

– Co tu robicie?

Tomi. I Mia.

– Co tu robicie? – powtórzyłem pytanie, zdezorientowany szeptami i przywoływaniem Tomi oraz tym, jak dziwnie wyglądała Mia.

– Powiedz mu – nakazała Tomi, kładąc rękę na biodrze. – No powiedz mu, co właśnie usłyszałyśmy.

– Co **JA** usłyszałam.

– Co takiego?

– No więc... – Tomi obniżyła głos. Słysząc w nim było zniecierpliwienie. – Przyszłam tutaj, żeby побыć w samotności po tym, jak obwiniłeś mnie o koniec świata, pamiętasz?

– Ja...

– I usłyszałam, jak Dylan i Sophia rozmawiają w kuchni. Brzmiała to jak tajna narada, więc stanęłam tu, przy drzwiach, ale nic nie mogłam zrozumieć. Akurat Mia wybierała się na spacer, więc poprosiłam ją, żeby mi przetłumaczyła.

– Przetłumaczyła co?

– Nie chcę się w to mieszać... – Mia próbowała wtopić się w półki.

– Za późno. Powiedz mu, co usłyszałaś. No już! – nakazała ostro Tomi, a gdy Mia nie odezwała się słowem, odwróciła się do mnie i rzekła: – Mia usłyszała, jak Dylan i Sophia rozmawiają o jakimś wypadku, który za żadne skarby nie może wyjść na jaw.

– Są tam jeszcze? – Pokazałem z niedowierzaniem na drzwi do kuchni.

– Co? Nie, oczywiście, że nie. Wyszli, a my padliśmy na podłogę, żeby nas nie zauważyli.

– Mogę już iść? – zapytała Mia. – Sama możesz mu powiedzieć to, co ci przetłumaczyłam.

– Dobrze, idź sobie! Ale czekaj, czekaj... – Tomi chwyciła Mię za ramię i spojrzała jej groźnie w oczy. – Jeśli powiesz o tym komuś, będziesz miała poważne kłopoty.

– Komu miałabym powiedzieć? Kurwa, jesteś nieźle szurnięta. – Mia wyrwała się z uścisku i odeszła.

Tomi oparła się o bar.

– Więc, Mia powiedziała...

– Czy możemy nie rozmawiać w tych ciemnościach rodem z powieści o Philipie Marlowe?

Poszliśmy więc na górę do jej pokoju, gdzie zostałem poczęstowany drinkiem. Musiała mieć sporo butelek w zapasie. Ku mojemu zaskoczeniu

weszła też w posiadanie tabliczki czekolady do wypieków. Rozerwała opakowanie i wpakowała sobie do buzi dwa rzędy.

– Nie bądź zazdrosny – powiedziała z pełnymi ustami. – Czekolada do wypieków jest obrzydliwa.

– Skąd ją masz?

Potrzebowała chwili na przełknięcie.

– W zamrażarkach mają mnóstwo żarcia. Całe sale jedzenia. Przekupiłam Nathana. Chcesz trochę?

– Czym go przekupiłaś?

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Chcesz czy nie?

– No cóż, nie odmówię.

To było dziwne uczucie. Czekolada smakowała okropnie, a jednocześnie wiedzieliśmy, że jest najpyszniejszą i w ogóle jedyną czekoladą, jaką jeszcze kiedykolwiek zjemy. Pochłonęliśmy więc całą.

– Według Mii rozmawiali o tym, że możesz w końcu coś odkryć. Sophia się tym martwiła, a Dylan ją uspokajał. Stwierdzili, że będą mieli oko na sytuację i rozwój wypadków. Nie wiem, czy dokładnie tak to ujęła.

Czułem. Wiedziałem. Przez cały czas wiedziałem. Od początku wyczuwałem coś dziwnego w ich zachowaniu.

– Wspominali coś o walizkach? – spytałem.

– Nie. To znaczy... ja i tak bym nie zrozumiała. Ale myślę, że Mia wspomniałaby o tym, gdyby coś na ten temat powiedzieli.

– Czyli walizki są ciągle gdzieś w hotelu...

Na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmieszek.

– A ty ciągle masz klucz uniwersalny. Fakt, byłoby bardzo podejrzane, gdyby ci go teraz zabrał.

– Powinniśmy zacząć przeszukania. – Byłem bardzo podekscytowany.

– Za moment będzie ciemno i nie chcę pałętać się po korytarzach. Szczególnie po tych wszystkich popieprzonych historiach o tym miejscu.

– Okej, czyli umawiamy się na rano?

– A skąd ta pewność, że będę ci pomagać w szpiegowaniu ludzi? – zapytała, zdejmując buty i kładąc stopy na łóżku. – Jesteś zwykłym kutasem. Powiedziałam ci o wszystkim tylko dlatego, że trzeba znaleźć mordercę dziewczynki. Tak nakazuje przyzwoitość. Ale nie będę twoją Scully. A teraz idź już sobie.

Ciągle trzymałem szklankę z drinkiem, więc odłożyłem ją powoli na toaletkę. Jeszcze nawet nic nie zdążyłem wypić.

– Słuchaj, przepraszam za to, co powiedziałem.

– Nie wątpię, ale idź już sobie.

Zauważyłem, że obok mojej szklanki stoi kaktus.

– Skąd go masz?

Spojrzała tam, gdzie pokazywałem.

– Aaaa, to nic takiego.

– Nie było go tu wcześniej. Nie widziałem go.

– Możesz już iść?

– Zabrałaś go ze sklepu?

– Tak, zabrałam – westchnęła. – Wzięłam go ze sklepu, bo opowiadałeś mi o tych głupich dekoracjach. Ale nie dostaniesz go.

Oblała się rumieńcem i zaczęła skubać paznokcie.

Poczułem się okropnie, miałem poczucie winy i prawie zrobiło mi się jej żal.

– To nie twoja wina – powiedziałem.

– Wiem o tym!

– Nie, chodzi mi o to, że ja uważam, że to nie twoja wina.

– Proszę, idź sobie.

– Nie. – Usiadłem na jej łóżku i zauważyłem, że znieruchomiała. – To, co powiedziałem, było niedopuszczalne.

– Wiem.

– Chcę, żebyś wiedziała, że w ogóle tak nie myślę. Powiedziałem to w złości. Ale to nie na ciebie jestem zły. To po prostu taka bezsensowna złość na... na

wszystko! Jestem wściekły na wszystko, okej!

Lekko zmarszczyła brwi i potarła oczy.

– Nie obchodzi mnie to, co mówisz. Nie jestem twoim chłopcem do bicia.

– Wiem o tym.

– No to co tu jeszcze robisz? Mówiłam już z pięć razy, żebyś się wynosił.

Weź sobie tego cholernego kaktusa, jeśli chcesz.

– Nie jestem tu z powodu tego pieprzonego kaktusa.

– Na pewno nie jesteś tu też dla mnie. Po prostu sam chcesz się lepiej poczuć.

No i boisz się, że nici z seksu. Mam dość tego, że traktujesz mnie jak śmiecia.

Masz sporo problemów ze sobą, ale idź i rozwiąż je z kimś innym!

Wyciągnęła się i popchnęła mnie, dosłownie zepchnęła z łóżka.

Nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Zdałem sobie sprawę, że miałem w niej przyjaciela i być może nieodwracalnie wszystko popsułem. Bez żadnego powodu.

Znów skrzyżowała ramiona, wpatrywała się w podłogę, twarz miała surową, a oczy zaszyły jej łzami.

Chciałem znów ją przeprosić, ale wycofałem się.

– Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc. Naprawdę to dla mnie bardzo ważne. Mam nadzieję, że o tym wiesz – powiedziałem w końcu.

Oczywiście nic nie odpowiedziała. I nawet tego nie oczekiwałem. Poczułem się niezręcznie i bardzo smutno. Zrozumiałem, że nie mam już nic do powiedzenia, i sobie poszedłem.

Słońce zachodziło teraz bardzo szybko, więc w ciągu godziny zrobiło się tak ciemno na korytarzu, że bez świeczki czy choćby zapałki nie byłbym w stanie wrócić do swojego pokoju. W drodze powrotnej minąłem się z Tanią, która właśnie odprowadzała dzieci. Akio krzyknął coś do mnie, a ja mu pomachałem. A potem oboje, chłopiec i dziewczynka, też do mnie pomachali.

Tania nie powiedziała ani słowa.

Nie mogłem przestać myśleć o kaktusie. Gdy tylko mi się przypominał, czułem ukłucie w piersi. Zrozumiałem, że moja dotychczasowa koncepcja bycia

przydatnym okazała się nieco ograniczona. Jediną rzeczą, jaka nam, ludziom, została i jaka może motywować nas do wstania rano z łóżka, jest dobroć, drobne przejawy ludzkiej dobroci, które powinniśmy sobie wzajemnie okazywać. A ja w swoim odruchu bycia pomocnym, przydatnym, posuwającym sprawy naprzód prawie zupełnie o tym zapomniałem.

Może już wcześniej się zmieniłem. Nadio, wiem, że z pewnością źle o mnie nie myślałaś. Może już dawno zapomnieliśmy o dobroci. Może to był nasz problem. Dokąd zmierzamy bez niej?

Dzień sześćdziesiąty trzeci (3)

Zabrałem mojego laptopa z łóżka, bo chciałem się zdrzemnąć. Z ciekawości go otworzyłem. I nagle się zaświecił. Byłem w szoku! Przenośna ładowarka zadziałała! Z przyzwyczajenia chciałem połączyć się z wi-fi, ale po kilkudziesięciu próbach poddałem się.

Na biurku leżała sterta płyt **CD**, najpierw jednak przejrzałem zdjęcia na dysku. Czytałem kiedyś o badaniach, w których stwierdzono, że po rozstaniu, śmierci, separacji widok ukochanej twarzy działa na mózg niemal jak kokaina. I faktycznie tak było. Obejrzałem dokładnie wszystkie zdjęcia i ciągle pragnąłem nowych, takich, których jeszcze nie widziałem. Bałem się, że nie zapamiętam wszystkich szczegółów wystarczająco dokładnie. Żadne zdjęcie nie oddawało tego, że Ruth śmiała się dokładnie tak samo jak Nadia, a Nadia śmieje się jak dziecko, często zresztą robiłem sobie z tego żarty. I tego, że Marion uwielbia śpiewać. Nie mam jednak nagrań z ich śmiechem czy śpiewem...

Patrząc na zdjęcia nie mogłem znaleźć żadnego podobieństwa między Tanią i Nadią, wbrew temu, co stwierdziła Tomi. Poza tym, że obie były czarnoskóre.

Usłyszałem kroki kierujące się w stronę klatki schodowej.

Bez chwili wahania wstałem i zaryglowałem drzwi.

Miałem setki zdjęć moich córek, setki zdjęć Nadii i tylko kilka moich rodziców. Jakieś stare zdjęcie mojej mamy i parę bardziej aktualnych mojego ojca i jego żony. Miałem też zdjęcia ze swoimi studentami oraz te z wakacji, z różnych krajów i miast, które już nie istniały. Rzym – ciekawe, co się stało

z Rzymem? Szkocja zniknęła jako pierwsza. Znałem kilka osób z Uniwersytetu Edynburskiego, które pewnie już umarły na chorobę popromienną.

Chciałbym mieć wydruki tych zdjęć, choćby jednego, z Nadią, ale nie było tu żadnych drukarek. Znowu ograniczał mnie czas.

Ustawiłem sobie zdjęcie naszej czwórki – mnie, Nadii, Ruth i Marion – jako tapetę, a potem zacząłem przeglądać godziny nagrań z hotelowych kamer. Dobrze mi to robiło. Przypominało prawdziwą pracę. W mojej pracy wszystko trzeba było dokładnie przejrzeć, nie tylko to, co wydawało się ważne. Czasem przypis, odręczna notatka na marginesie, jakieś dodatkowe refleksje stawały się punktem zwrotnym.

Przez kilka godzin oglądałem przypadkowych ludzi wchodzących do windy i z niej wychodzących. Widziałem Nathana, który obsługiwał tuziny klientów w barze, Mię i Saszę wychodzących na niezliczone przerwy na papierosa. Widziałem, jak przyjeżdżają Luffmanowie i jak meldują się w recepcji. Zatrzymałem film.

Rodzice Harriet wyglądali zupełnie normalnie. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale była to przeciętna biała rodzina z Europy. Dziewczynka wyglądała na mniejszą, niż ją zapamiętałem. Ale niewiele. Miała blond włosy i dużo piegów. Puściłem film dalej. Zanim odeszli od kontuaru, recepcjonista wręczył im jakiś papier i klucze.

Pauza.

Nie przypominam sobie, że bym dostał coś oprócz kluczy. Powiększyłem obraz. Chciałem zobaczyć, co to jest. Nie było to menu, bo wiem dokładnie, jak ono wygląda. Nie była to też informacja turystyczna, bo te ciągle jeszcze wszędzie się walały. Była to złożona na pół biała kartka A4.

Puściłem film.

Pan Luffman wziął kartkę i cała rodzina ruszyła w stronę wind.

Na szczęście nagrania z wind były podpisane „Winda”. Przewinąwszy materiał do tej samej daty i godziny, patrzyłem, jak chodzą po hotelu. Gdy weszli

do windy, pan Luffman już więcej nie spojrział na kartkę. Trzymał ją po prostu w prawej ręce, a potem wysiedli.

Czy coś mi umknęło? Wszystko wydawało się zupełnie niewinne. Mógł zostawić tę kartkę gdziekolwiek. A może była w walizce? Musiałem to sprawdzić.

Z tym nowym poczuciem sensu założyłem płaszcz i znów poszedłem do pokoju 377.

W hotelu panowała cisza. Zawsze było cicho, gwarniej robiło się tylko wtedy, kiedy musieliśmy się gdzieś przemieścić, na przykład iść na śniadanie. Nawet jeśli opuszczaliśmy swoje pokoje, w tak ogromnym hotelu można było chodzić po korytarzach i nikogo nie spotkać.

W pokoju 377 było pusto. Wyglądał tak, jak go zostawiłem.

W szafie nie było nic, a gdy zajrzałem do komody, przypomniałem sobie, że nie przeszukałem całego pokoju. Tylko wydawało mi się, że to zrobiłem, ale było inaczej. Gdy przeglądałem walizki, weszła Sophia, a potem razem opuściliśmy pokój.

W szufladach były ubrania: parę koszul, bluzek, stanik, kilka par skarpetek i jedna para męskich dżinsów. Przeszukałem kieszenie i znalazłem kawałek papieru złożony na osiem.

Usłyszałem kroki na zewnątrz. Ktoś wychodził z jakiegoś pokoju. Daskoczyłem do drzwi, przymknąłem je, ale nie zamknąłem całkowicie. W dłoni mocno ścisnąłem karteczkę. W końcu kroki ucichły. Rozwinąłem ją.

Był na niej tylko numer telefonu.

Sprawdziłem, co jest na drugiej stronie. Nic. Tylko ten numer.

Nieważne. I tak odniosłem sukces. Miałem numer telefonu!

Włożyłem ubrania z powrotem do szuflad i sprawdziłem, co jest na stolikach nocnych. Była tam Biblia, ale nie w języku angielskim, broszury dotyczące obsługi hotelowej oraz okolicznych atrakcji. Nic więcej.

Ale miałem numer telefonu!

Zabrałem karteczkę do swojego pokoju i zarygnowałem drzwi. Starłem się opanować, żeby nie skakać z radości. Zacząłem przeglądać mój własny zestaw ulotek, żeby sprawdzić hotelowe numery. Ten z kartki na pewno był numerem hotelowym, ale nie był udostępniany gościom. Podniosłem słuchawkę i dopiero wtedy przypomniałem sobie, że przecież nic nie działa...

Schowałem kawałek papieru do kieszeni i znów podszedłem do drzwi. Chciałem zejść na dół do recepcji. Tam na pewno były jakieś materiały dla personelu, do których mógłbym zajrzeć, a wtedy nie musiałbym z nikim o tym rozmawiać.

A jednak coś mnie powstrzymało.

Odsunąłem zasuwkę i już miałem otworzyć drzwi, kiedy coś mnie powstrzymało. Gdy położyłem rękę na gałce, poczułem falę przerażenia, że ktoś na mnie czyha po drugiej stronie drzwi. Nie słyszałem nic niepokojącego. Może jedynie czyjeś kroki, ale to akurat było ciągle słychać. Może usłyszałem oddech, szelest, szuranie po kafelkach. Wiedziałem jednak, że ktoś stoi tuż pod moimi drzwiami.

Nie mogłem cofnąć ręki, więc nachyliłem głowę i tylko nasłuchiwałem.

Nic. Zastanowiłem się przez chwilę. Wsłuchiwałem się tak intensywnie, że mój umysł zaczął sam produkować dźwięki. A może to był wiatr. Może bicie mojego serca. Może krew krążąca w żyłach.

Chciałem coś krzyknąć, ale powstrzymałem się.

Przecież wiedzieli, że tu jestem.

Powiedziałem do siebie, żebym nie był głupi. W hotelu było tylko dwadzieścia osób i znałem je wszystkie.

Sięgnąłem ręką do zasuwki i powolutku, milimetr po milimetrze, ją zasunąłem. Zrobiłem kilka kroków za siebie i czekałem.

Nic się nie wydarzyło, ale nie mogłem pozbyć się przekonania, że ktoś tam był. I zaraz przypomniało mi się to, co powiedział Peter: „Czasem mam wrażenie, że w hotelu jest więcej osób, niż nam się wydaje”.

Dzień sześćdziesiąty czwarty

Resztę wieczoru spędziłem w swoim pokoju. Ciągle budziłem się w nocy, bo wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś szarpie za zasuwkę.

W pewnym momencie nawet krzyknąłem:

– Kto tam?

Oczywiście nikt nie odpowiedział.

Pomyślałem, że może to odosobnienie wpływa w taki sposób na umysł.

A jednak, gdy obudziłem się po raz trzeci, ktoś walił do drzwi.

Nie wiedząc, czy to sen, czy jawa, trzęsąc się ze strachu, krzyknąłem:

– Kto tam? Idź sobie!

– Jon? Jon, otwórz te pierdolone drzwi!

Wydawało mi się, że to Nathan, ale nie byłem pewien.

Zdezorientowany, poszukałem zapalek i świeczki. Z nożem w jednej ręce, a świeczką w drugiej otworzyłem drzwi. I to był Nathan. Trzymał zapaloną latarkę i od razu pomyślałem, że musiało stać się coś poważnego, skoro zużywa baterie.

– Adam, kurwa, przedawkował! – powiedział, chwycił mnie z koszulę i zaczął na siłę wyciągać z pokoju.

– Cholera! – Wybiegłem bez chwili wahania, nawet nie zamknąwszy drzwi. Ruszyłem za Nathanem w stronę klatki schodowej. – Co brał?

– Nie wiem. Heroinę? Coś, co wstrzykujesz sobie strzykawką w ramię. Nie wiem, kurwa! Nawet nie wiedziałem, że ma heroinę!

Zbiegłem po schodach i mnie olśniło.

– Gdzie Tania? Dlaczego po nią nie poszedłeś?

– Poszedłem, ale nie ma jej w pokoju!

– Co?

Rozłożył szeroko ręce, oświetlając wszystko dokoła.

– Nie wiem. Nie ma jej w pokoju.

– Nie pomyliłeś numeru?

– Wiem, w którym pokoju mieszka, kretynie! I nie ma jej tam!

– Cholera.

– Musimy iść do jej gabinetu.

Nathan złapał się rękami za głowę, jakby myśli rozsadały mu umysł, a potem ruszył biegiem do gabinetu Tani. Drzwi były zamknięte.

Odstawiłem świeczkę i szarpnąłem za gałkę. Spróbowałem wyważyć drzwi, uderzając w nie z całej siły ramieniem. Ale nic to nie dało. Drzwi nie ustępowały, tylko bark mnie rozboleł.

– Zamierzasz wyważyć drzwi?! – krzyknął Nathan.

– A masz lepszy pomysł?

– O Boże, on umrze. On umrze – powtarzał blady z przerażenia.

– Czekał... – Próbowałem się skupić.

– Nie mamy czasu, Jon!

– Czekał! Idź po Tomi!

– Po co?

– Ona ma pistolet. Strzelimy w zamek!

– Ma broń?

– Po prostu idź po nią!

Zrobił, co mu kazałem. A ja znów zmierzyłem drzwi wzrokiem. Nie byłem typem mężczyzny, który umie wyważać drzwi, ale znów spróbowałem. I znów nic to nie dało. Obiłem sobie stopę, bo kopnąłem w nie ze trzy razy, wciąż na próżno. W filmach wygląda to na łatwiznę. I może dla innych jest łatwe.

Nathan przyprowadził Tomi, która warknęła do mnie:

– Powiedziałaś mu o mojej broni?

– Tomi... nie miałem wyboru!

– Jezu. – Wycelowowała w drzwi i perfekcyjnie trafiła w zamek.

Nathan i ja zakryliśmy uszy, ale łomot i tak niemal rozsadził nam głowy. Hałas rozprzestrzenił się na korytarze. Wpadliśmy do środka i wszyscy w tym samym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że nie mamy pojęcia, co trzeba podać przy przedawkowaniu heroiny. Poza tym niewiele widziałem w słabym świetle świeczki.

– Nath, czego potrzebujemy?

– Widziałem w *Pulp Fiction*. Adrenaliny.

– Raczej tego nie mamy... Czy mamy?

– Potrzebny nam Narcan – rzuciła szybko Tomi.

– Co?

– Potrzebny nam Narcan! Jak to się nazywa... nalokson! To trzeba podać!

– To coś takiego jak adrenalina, tak?

Żachnęła się.

– To sprej do nosa. Można go kupić w sklepie, do kurwy nędzy!

Wszyscy zaczęliśmy szukać. Ale to Nathan miał latarkę, więc on znalazł lek. Wziąłem nieodpieczętowaną strzykawkę i we trójkę pobiegliśmy na górę. Adam może nie był moim najlepszym przyjacielem, ale spędziliśmy razem miły czas, który sprawił, że to piekło stało się choć na chwilę znośne.

Poza tym śmierć kolejnej osoby byłaby jak umieranie resztek nadziei. I to nie naszej osobistej nadziei, ale tej ogólnej, zbiorowej. Po prostu nie mogliśmy pozwolić, żeby ludzie się poddali... Przecież wiedzieliśmy, jak się nazywają, razem próbowaliśmy przetrwać i nawzajem się wspieraliśmy. Nie mogliśmy pozwolić, żeby Adam ot tak się z tego wypisał.

Przynajmniej tak uważałem.

– Wyczuwałem jeszcze puls, ale był bardzo, bardzo słaby – powiedział Nathan, gdy biegnęliśmy do pokoju Adama.

Panowała śmiertelna cisza. Zdziwiło mnie to, że wystrzał nikogo nie obudził. A może obudził, tylko bali się wyjść i sprawdzić, co się dzieje. Ja bym się bał.

– Jesteś pewien, że wziął heroinę? – upewniła się Tomi.

– Wyglądało jak heroina.

Wbiegliśmy do pokoju 414. Wokół ust Adama zobaczyliśmy ogromne ilość spienionej śliny. Leżał w pozycji bocznej. Nathan prawdopodobnie tym uratował mu życie. Gdyby go nie ułożył w ten sposób, Adam pewnie udusiłby się własnymi wymiocinami, zanim zdążylibyśmy przybyć.

Nathan zatrzasnął drzwi i wręczył mi Narcan.

– Nie zrobię tego! – krzyknąłem.

– Błagam, ja nie mogę! Nie umiem! – Nathan był niemal we łzach.

Nie było szans, żeby to zrobił.

Nigdy w życiu nikomu nie robiłem zastrzyku. Spojrzałem na Tomi, ale zaczęła potrząsać głową.

– Nie ma mowy... Igły...

– O mój Boże. – Trzęsącymi się rękami zerwałem opakowanie ze strzykawki.

– Nie wierzę, że zmuszacie mnie do tego. Kurwa!

Tomi wyrwała Nathanowi latarkę i zamiast niej dała mu broń. Ja zbadałem ramiona Adama. Oba miał całkowicie pokryte tatuażami syren i róż. Przez to nie można było znaleźć żył. Nie miałem pojęcia, co robić.

– Nad czym tak myślisz? – zapytała Tomi. Jej oczy były szeroko otwarte.

Potrząsałem głową, próbując znaleźć jakąś odpowiedź. Byłem przeciwieństwem lekarza. Moja praca nigdy nie ocierała się o śmierć i życie. Byłem historykiem. Zajmowałem się słowami, książkami i ludźmi, którzy od dawna byli martwi. Nie wiedziałem, co robić, gdy ktoś umiera na moich oczach.

A przecież Tania mogła zniknąć tak każdej nocy...

– Jon, nad czym się zastanawiasz? Zrobisz to? – Głos Tomi wyrwał mnie z odrętwienia.

– Spróbuję – odpowiedziałem.

Nathan wycofał się pod ścianę, cały czas przyciskając do piersi pistolet Tomi, jakby to była jakaś maskotka. Wziąłem Narcan. Tomi pomogła mi zbadać ramiona Adama, a ja wbiłem igłę w opakowanie leku i napełniłem strzykawkę.

Żyły Adama nie pokazały się nawet po zawiązaniu paska na jego bicepsie. Ale zacharczał i wypluł jeszcze więcej śliny. Przynajmniej wiedzieliśmy, że jeszcze oddycha. To już było coś.

Panowałem względnie nad rękami, ale gorzej było z oddechem.

– Naciśnij lekko strzykawkę! – poinstruowała mnie Tomi.

– Co?

– Sama nie wiem... Sprawdź, czy nie ma powietrza. Wyciśnij trochę płynu. Tak jak robią na filmach!

Zrobiłem, co kazała, choć bez przekonania, że to ma w ogóle jakiś sens.

Na jego ręce nie widać było nawet najmniejszej żyły. A poszukiwania tej, do której wstrzyknął sobie narkotyk, z pewnością bym się nie podjął. Dostęp do naczyń w zasadzie nie istniał, więc wszelkie próby byłyby dziurawieniem martwego ciała.

– Chryste. – Tomi usiłowała sprawdzić puls, ale potrząsała tylko głową. – Nie umiem stwierdzić... może to mój własny puls. Jeśli jeszcze żyje, to ledwo.

– Pomóż mi go odwrócić!

Oboje przekręciliśmy z ogromnym trudem Adama na plecy. Docisnąłem go do materaca i usiadłem na nim okrakiem. Strużka potu wpadła mi do oka. Lekko zapiekło. Mrugnąłem kilka razy. Miałem dreszcze. Od stresu.

– Mogę go zabić. – Spojrzałem na Tomi i powtórzyłem: – Mogę go zabić.

Chwyciła mnie za ramię.

– Jon, on i tak umiera.

– Nie wiem, gdzie mam to wbić!

– Nic nie widać przez te tatuaże... – Tomi zmarszczyła brwi. – Otwórz mu usta. Coś mi się przypomina, że widziałam to kiedyś w telewizji. Jeśli nie można znaleźć żył na ramionach lub na dłoniach, można się wbić pod językiem. Tam są bardzo duże i widoczne żyły.

Tomi położyła latarkę na łóżku, objęła palcami czoło Adama i pociągnęła jego głowę do tyłu. Wykrzywiłem twarz i o mało nie zemdlałem, tak mi waliło serce. Otworzyłem jego bezwładną szczękę najszerzej, jak się dało,

i spróbowałem opanować odruch wymiotny. Wyciągnąłem jego język, ale był dość oporny, więc włożyłem mu do ust więcej palców, a potem wbiłem igłę w dużą niebieskozieloną żyłę pod językiem. Zrobiłem to bez żadnego zastanowienia. Nie zawahałem się. Po prostu wbiłem igłę. Na palce pociekło mi trochę krwi. Zrobiłem zastrzyk.

– Jezu, nie pamiętam, czy odmierzyłem właściwą ilość leku – powiedziałem, siadając na nogach Adama.

Słyszałem, jak Nath cicho płacze. Osunął się na podłogę po ścianie.

Tomi puściła głowę Adama. Zaskoczyło mnie kilka łez płynących po jej twarzy. Usiadła na podłodze, głęboko oddychając.

Spojrzeliliśmy na siebie.

Nie przyjedzie żadna karetka. Nie przyjdzie lekarz. Nie można zadzwonić na pogotowie. Byliśmy tylko my.

Po kilkudziesięciu sekundach zauważałem, że Adam się zmoczył.

– O cholera. – Zacząłem się szamotać, chcąc wstać. – Cholera!

Adamem nagle szarpnęło, usiadł i, przeraźliwie krzycząc, wypluł mi prosto w twarz mieszaninę śliny i krwi.

Tomi i Nathan też krzyczeli. Ja chyba też.

Sturlałem się z łóżka.

Tomi zerwała się na równe nogi, chwyciła Adama na wysokości klatki piersiowej, żeby nie upadł, i mocno zablokowała uścisk.

Gdy tamta dwójka się szamotała, ja leżałem na podłodze, niemal ślepy od szoku. Dywan potwornie śmierdział. Zdołałem usiąść i zwiesiłem głowę między kolanami, łapiąc powietrze.

Adam leżał na łóżku i charczał. Opadł na bok, oczy miał zamknięte, cały się trząsał. Jego skóra ciągle miała szarawy odcień, ale wyglądał o wiele lepiej. O wiele lepiej niż wtedy, gdy tu przyszliśmy. Na tyle dobrze, żeby usiąść i wystraszyć nas na śmierć.

Rozejrzałem się za strzykawką w obawie, że się na nią nadziałem. Na szczęście rzuciłem ją na drugi koniec łóżka, a teraz leżała pusta na podłodze.

Tomi przykucnęła i położyła rękę na moim ramieniu.

– Wszystko okej?

– Tak. Myślę, że tak... Nie jestem pewien. A co z nim?

– No cóż, żyje.

Rozejrzeliśmy się po pokoju. Wszędzie porozrzucone były akcesoria do zażywania narkotyków. Nie byliśmy tu od czasu tamtej pamiętnej imprezy. Gdybyśmy tu byli, zauważylibyśmy ten nieład. Ten pokój nie wyglądał zachęcająco.

– A ty jak się masz? – Tym razem Tomi spytała Nathana. – Nathan, już jest okej. Myślę, że nic mu nie będzie.

– Taak, ja tylko... myślałem, że on umrze. – Nathan próbował wstać, ale poddał się i znów usiadł na podłodze, oparty o drzwi.

– Dobrze się spisałeś – powiedziała Tomi, głośno wzdychając i pocierając mnie po ramieniu.

– Nie, to ty się dobrze spisałaś. Zastrzyk pod język? Nigdy bym na to nie wpadł.

– Tak, to było genialne – dodał Nathan.

Wzruszyła ramionami, a ja zdałem sobie sprawę, że bezwiednie chwyciłem ją za rękę. Szybko więc ją puściłem i powiedziałem:

– Najlepiej będzie, jak zabierzemy stąd wszystkie narkotyki. Następnym razem może być za późno.

Nathan wstał.

– Tak, dajcie mi latarkę. Rozejrzę się.

Starłem krew z policzków i zobaczyłem, że pot spływa mi po całej twarzy. Ogromne krople potu.

– Gdzie jest Tania? – spytała Tomi.

– Nie wiem. Nathan mówił, że nie było jej w pokoju.

– Dlaczego w środku nocy nie było jej w pokoju? – Zamilkła na chwilę i dodała: – Właśnie uratowałeś komuś życie. Ilu z nas może się tym pochwalić?

– Pewnie niewielu. Ale to się może zmienić, gdy dłużej tu pobędziemy.

Nathan znalazł paczkę papierosów i poczęstował mnie jednym.

Odmówiłem machnięciem ręki i wstałem.

– Muszę się napić wody.

Spojrzałem na leżącego na łóżku mężczyznę. Oddychał płytko i ciężko.

Strzykawka wciąż leżała na podłodze. Podniosłem ją, a Tomi przykryła Adama kocem. Nie wiedział, że tu jesteśmy, ale oddychał. A przecież mogłem go zabić, przedawkować lek lub wpuścić powietrze do żyły. Ale nie mogłem myśleć w ten sposób. Wcześniej czy później zaczną zdarzać się wypadki. Nie zawsze uda nam się powstrzymać samobójstwo i nie zawsze będziemy w stanie przywrócić kogoś do życia. Nie możemy pozwolić sobie na ciężar winy.

– Myślę, że zebrałem większość narkotyków – powiedział Nathan, przewieszając sobie torbę przez ramię. – Skąd wiedziałaś o Narcanie?

Tomi zrobiła grymas.

– Na pierwszym roku odpadła jedna koleżanka... Przechodziła trudny okres. Wtedy trochę o tym poczytałam, tak na wszelki wypadek.

– Wiedziałaś, że go tak poderwie i zacznie krzyczeć?

– Nie. Nie wiedziałam, że naprawdę tak się dzieje.

– Wystraszyłem się na śmierć – powiedział Nathan, paląc zachłannie.

– Dobrze, wystraszyłeś się na śmierć! – Zacząłem się śmiać. – Myślicie, że powinniśmy z nim posiedzieć przez parę godzin?

– Myślę, że trzeba zabrać mu też maszynki do golenia. – Nathan zaczął znów przechadzać się po pokoju, podnosząc różne rzeczy z podłogi i sprawdzając szuflady. – Nie możemy tu tego zostawić.

– Czy to nie przesada? – zapytała Tomi.

Wskazałem na Adama.

– Ostatecznie właśnie uratowaliśmy mu życie. Musimy się upewnić, że przeżyje, by się o tym dowiedzieć.

– Taaak. Ale zdajecie sobie sprawę, że może nie być nam za to wdzięczny?

Ani ja, ani Nathan nie potrafiliśmy nic na to odpowiedzieć.

Dzień sześćdziesiąty czwarty (2)

Nathan zaproponował, że spędzi resztę nocy, czuwając nad Adamem, więc ja i Tomi poszliśmy spać. Każde do własnego pokoju. Poza powiedzeniem sobie dobranoc nie zamieniliśmy już ani słowa. Przespałem chyba ze trzy godziny i obudziłem się, gdy zaczęło świtać. Zamiast spać dalej, ubrałem się i wyszedłem z pokoju.

Walizki były gdzieś w hotelu i zamierzałem poświęcić cały dzień na ich poszukiwanie.

Zanim się do tego zabrałem, miałem jeszcze do załatwienia dwie rzeczy. Najpierw udałem się do pokoju Tani. Zapukałem lekko, zastanawiając się, czy aby Nathan w panice nie pomylił pokoi. Lecz nikt nie otworzył drzwi. Zapukałem raz jeszcze, a potem poszedłem dalej. Fakt, że jej nie było, uspokoił mnie, ale i trochę zmartwił.

Następnie udałem się do pokoju Adama. Nathan nie spał, siedział na podłodze przy łóżku Adama, który nadal był wśród żywych. Według Nathana obudził się, zjadł trochę czekolady i poszedł dalej spać.

Ruszyłem na dalszą przechadzkę po hotelu. Ostatnimi czasy nie wstawałem tak wcześnie. Na niższych piętrach wpadające światło było przyćmione, wyglądało jak wisząca wewnątrz budynku szara mgiełka. Zdziwiłem się, bo z holu dobiegł mnie dziecięcy śmiech, a gdy tylko wyszedłem z klatki schodowej, wpadłem na panią Yobari i jej dzieci.

– Dzień dobry – powiedziałem i spojrzałem wymownie na Ryoko i Akio.

Akio zrobił minę i odpowiedział:

– Cześć.

– Cześć! – zawołała głośno Ryoko.

– Cześć, cześć – odparłem i stanąłem przed nimi. – Nie wiedziałem... przepraszam, nie wiedziałem, że twoje dzieci mówią po angielsku.

– Nie za dobrze – odparła pani Yobari, odwijając i zawijając oliwkowozielony szal. – Nie uczyły się zbyt intensywnie angielskiego, a teraz będzie im potrzebny. Ale szybko się uczą. Ja zaczęłam za późno i dlatego mówię, jak mówię.

– Ależ twój angielski jest fantastyczny – zapewniłem ją.

Zignorowała komplement. Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z nią tak długo. Była drobną kobietą koło pięćdziesiątki, o sportowej sylwetce. Miała nienaganne maniery, poruszała się ze spokojem i z precyzją, jakby ćwiczyła jogę lub jakiś taniec. Gdy mówiła, ton i rytm jej wypowiedzi przypominał mi sposób mówienia terapeutów. Może dlatego, że jej głos był taki spokojny.

– Zawsze schodzicie na dół tak wcześnie?

– Dzieci mogą się wtedy spokojnie pobawić, a ja pomedytować i porozciągać się. Poza tym uczę je. Będę też uczyć Gen, gdy podrośnie.

– Zmieniłaś jej imię? – Nie wiem dlaczego, ale zaskoczyło mnie to.

– Nie będzie pamiętała swojego starego imienia, a francuskie imiona, takie jak Chloë właśnie, niełatwo nam wymówić.

Przerwała, a ja postanowiłem nie drażnić tematu. Po samobójstwie matki dziecko było teraz pod ich opieką. Mieli prawo nadać mu takie imię, jakie chcieli.

– Medytacja i dzieci nie idą w parze, przynajmniej dla mnie.

– Miałeś dzieci?

– Dwójkę. Sześć i dwanaście lat, trochę starsze od twoich.

Użyła czasu przeszłego... Nie wiem, może z trudem nadążała za mną w rozmowie albo po prostu mnie dopadła nagła tęsknota za dziećmi. Nie byłem w stanie nic więcej powiedzieć.

Pani Yobari poprawiła szal i rzekła:

– Zabiorę je na górę, żeby zdrzemnęły się jeszcze przed śniadaniem. Mogę potem dotrzymać ci towarzystwa?

– Muszę przejść się po paru pokojach... Ale, w sumie, tak, będzie mi bardzo miło.

Pokiwała głową, że to żaden problem, i zabrała dzieci na górę.

– Pa pa! – krzyknęła Ryoko już na klatce schodowej.

– Do zobaczenia! – zawtórował jej Akio.

Pomachałem im na pożegnanie i czekałem na panią Yobari.

Gdy wróciła na dół, zapytałem:

– Przepraszam, ale nigdy nie poznałem twojego imienia.

W przeciwieństwie do nas nie nosiła płaszcza, tylko kilka warstw szali oraz sandały, a do tego czarne rajstopy. Włosy miała schludnie ściągnięte do tyłu. Z nas wszystkich zachowywała się najnormalniej.

– Mam na imię Yuka. – Rozejrzała się po holu. – Musimy tu posprzątać.

– Ooo, czytasz w moich myślach!

– Trzeba to doprowadzić do cywilizowanego stanu.

– Tak, mnie też to drażni. Myślałem o tym wczoraj.

– Zrobimy to, ale mówiłeś, że musisz czegoś poszukać, tak?

– Tak.

– Czego?

– Z pokoju skradziono mi dwie walizki.

– To straszne. Wiesz, kto je wziął?

– Mam pewne podejrzenia, ale żadnego dowodu, oczywiście.

Nie wiedziałem, jak mam się czegoś więcej dowiedzieć o nieuchwytnym właścicielu hotelu ani też jak sprawdzić numer telefonu, który znalazłem w pokoju Luffmanów. Poszedłem więc do biura przy recepcji. Miałem również nadzieję, że znajdę jakiś rejestr wykroczeń, szczególnie kradzieży czy jakichś agresywnych zachowań.

Yuka otworzyła kilka szuflad i zapytała:

– Dlaczego tutaj szukamy walizek? Chyba coś przede mną ukrywasz...

Usiadłem na obrotowym krześle, patrząc na stertę formularzy wypełnionych po francusku. Nie miałem pojęcia, czego dotyczą i jaka jest ich treść.

Nie było w zasadzie żadnej możliwości, by Yuka Yobari miała coś wspólnego ze śmiercią dziewczynki. Choć w tamtej chwili niewiele mnie to już obchodziło. Byłem tym wszystkim taki zmęczony...

Opowiedziałem jej więc o moim śledztwie dotyczącym ciała znalezionego w zbiorniku na wodę. A ona słuchała. Wyraz jej twarzy prawie się nie zmieniał.

– A więc... – powiedziała wolno – szukasz nie tylko walizek. Tak naprawdę chodzi o znalezienie mordercy tej biednej dziewczynki.

– Tak. W walizkach był dowód, jestem tego pewien. Ale oprócz walizek znalazłem też to. – I wyciągnąłem kartkę z zapisanym numerem telefonu. – Gdybyś pomogła mi dowiedzieć się, co to za numer, byłbym bardzo wdzięczny.

– Okej. Do roboty, znajdziemy ten numer. – Poznawszy szczegóły, zamknęła szuflady, które przeszukiwała, i udała się do biura obok.

– Mało kogo obchodzi ta sprawa. – Poszedłem za nią.

W biurach śmierdziało wilgocią, ale wyglądały na nietknięte. Po prostu nie było w nich zbyt wielu rzeczy, które mogłyby pomóc w przetrwaniu. Na tablicy korkowej na przeciwległej ścianie wisiały różne pocztówki, przysyłane przez pracowników z wakacji. Było tam też zdjęcie z Hawajów. Pod nim fotografia kogoś z rodziną na łodzi.

– Myślą, że mają inne, ważniejsze zmartwienia. – Znalazła klucze do szafek z dokumentami i zaczęła je otwierać. – Myślą, że nie trzeba już zachowywać się po ludzku. Ale trzeba.

– Zgadza się. Jeśli znajdziesz coś na temat właściciela, to daj znać, proszę. Kimkolwiek był, bardzo mnie interesuje.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Baloch Braun, tak twierdzi Tomi. Był mężem Sophii. Wiesz której? Szefowej kuchni. A może nawet byli jeszcze małżeństwem, gdy to wszystko się zdarzyło. Nie mam pewności.

– Mylisz, że to może mieć coś wspólnego z dziewczynką?

– Nie wiem. Sądzę, że może mieć coś wspólnego, ale tylko dlatego, że Sophia i Dylan dziwnie się zachowują. Przepraszam, nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Tego szukasz? – Wręczyła mi zielony segregator.

W środku było kilka koszulek z odręcznie napisanymi listami telefonów dla szefów różnych działów: technicznego, ochrony, restauracji, obsługi hotelowej i tak dalej. Położyłem obok kartkę z numerem i zacząłem przeszukiwać spis.

– Mam! – wykrzyknąłem. – *Suite royale*.

– To w tym hotelu jest apartament królewski? – Skrzyżowała ramiona. – Gdybym wiedziała, to bym się tam przeniosła.

– Nie widziałem go w głównym rejestrze. Luffmanowie nie mieszkali w tym apartamencie, kto więc tam mieszkał? – Poderwałem się z krzesła i przyniosłem z holu spis rezerwacji.

Zaczęliśmy go przeglądać.

W spisie oficjalnych rezerwacji nie było apartamentu królewskiego. Była jedynie żółta karteczka przyklejona na górze strony ponad datą, przy której widniał znak zapytania. Na karteczce napisano *Suite royale* i dokładne daty zameldowania, w sumie osiem dni.

– Właściciel, o którym mówiłeś? – powiedziała Yuka.

– A któż inny mógłby zarezerwować pokój bez podawania żadnych szczegółów, oprócz kilku dat na karteczce samoprzylepnej? – Potarłem oczy. – Ale dlaczego Luffmanowie dostali numer telefonu do Baloche’a Brauna? I dlaczego nie ma apartamentu królewskiego w oficjalnym spisie, gdzie widnieją wszystkie pokoje?

– Dowiemy się. – Uśmiechnęła się. – A teraz poszukam, czy nie ma tu czegoś jeszcze.

Yuka wydawała się mieć więcej motywacji do działania niż ja. Przeszukaliśmy biura centymetr po centymetrze. Zajęło nam to półtorej godziny. Potem moja towarzyszką zaproponowała krótką przerwę na spacer, zanim pójdziemy poszperać w pokojach dla personelu. Sądziłem, że w jej towarzystwie będę lepiej odebrany. Nie wzbudzała w nikim poczucia zagrożenia.

Szliśmy przez chwilę leśną drogą i przekonałem się, że to, co wcześniej uznałem za mgłę, faktycznie nią było. Powietrze było gęste od wilgoci. Prawie nic przed sobą nie widzieliśmy. Nie było wiatru. Nie było słycać szmeru drzew.

– Jak to się dzieje, że twoje dzieci są takie szczęśliwie? – zapytałem. – Nie wiem, czy gdyby były tu moje dzieci, byłbym w stanie udawać przed nimi, że wszystko jest w porządku. A twoje są takie radosne.

– Mówiłeś, że twoje są starsze. Gdy dorastają, zaczynają widzieć w nas ludzi i nie da się już dłużej ich oszukiwać. Gdy są młodsze, jest o wiele łatwiej. Nie mądrzą się. Szybko przyzwyczajają się do zmian. Nie przywiązują się do niczego, poza nami.

– Masz jeszcze jakieś starsze dzieci?

– Haru, mój mąż, i ja byliśmy wcześniej w innych małżeństwach. I oboje mamy dzieci z tamtych związków. – Nie rozwinęła tego tematu.

– Masz rację – powiedziałem i przesunąłem ręką po mokrych liściach, które umierały, choć jeszcze nie były martwe. – Pomiędzy mną a moją żoną nie układało się dobrze i staraliśmy się to ukryć przed dziećmi. Lecz czasem Ruth, starsza córka, patrzyła na mnie z nienawiścią w oczach, a ja wiedziałem, że ona wie, że ją oszukujemy. Nie sądzę, żeby przeżyły.

Pierwszy raz powiedziałem to na głos.

– Były w mieście?

– Tak, choć nie wiem, czy akurat tam był atak... Ale wszedłem do internetu, gdy byliśmy wtedy po jedzenie... Nie dostałem od nich żadnej wiadomości. Gdyby żyły, któraś na pewno skontaktowałaby się ze mną. Minęło już tyle czasu... – Zdjąłem okulary i złapałem się za nasadę nosa. – Jakim cudem zachowujesz ten optymizm?

– Wychowano mnie inaczej niż was, Amerykanów. – Wzruszyła ramionami. – Rodzice dorastali w czasie okupacji. Po drugiej wojnie światowej Tokio było w ruinie. Nic nie zostało. Jedzenie można było kupić tylko od grup przestępczych. Wszędzie było pełno żołnierzy. Gdy rodzice byli dziećmi, widzieli, jak ludzie umierają na ulicy. Byli zabijani przez Chińczyków za

kradzież ryżu. Historia uczy nas, że można zbudować cywilizację od zera. Wierzę więc, że znów się to uda.

Chwilę mi zajęło, zanim coś powiedziałem, ale jej słowa wywołały uśmiech na mojej twarzy.

– Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, że w Stanach uczą nas, że naszymi przodkami byli gburowaci, samowystarczalni kowboje.

– Kowboje niczego nie zbudowali.

Zaśmiałem się, bo miała rację. Spojrzała na mnie, jakbym był dzieckiem we mgle.

Zatrzymała się i zdecydowanym ruchem zawróciła.

– Wracajmy do środka. Powalczmy o sprawiedliwość dla tej dziewczynki.

Okrążyliśmy hotel i skierowaliśmy się w stronę wejścia dla personelu.

– Muszą lepiej poznać angielski – powiedziała Yuka. – Gdy dorosną, będą musiały mówić tak dobrze jak ty. Gdybyś czasem zajął się Ryoko i Akio, byłabym ci bardzo wdzięczna.

– Dobrze, z wielką przyjemnością.

– Szkoda, że nie ma tu innych dzieci. Potrzebują towarzystwa. Uwielbiają rozmawiać z innymi dziećmi.

Poszliśmy otworzyć tylne wejście i nagle stanęliśmy twarzą w twarz z Tanią.

– O, nie spodziewałam się was tutaj – powiedziała, jakbyśmy to tylko my byli w niewłaściwym miejscu.

– Gdzie byłaś? – warknąłem, może zbyt ostro. – Szukaliśmy cię w nocy!

– Jeden... Sasha źle się poczuł i Mia poprosiła mnie, żebym przy nim posiedziała. Już z nim wszystko okej... A coś się stało?

– Adam przedawkował! Omal nie umarł. Musieliśmy włamać się do twojego gabinetu i wstrzyknąć mu Narcan.

– Jezu, nie mogliście mnie poszukać?

– W tym hotelu jest z tysiąc pokoi. Gdzie mieliśmy cię szukać? Chodzić od drzwi do drzwi, podczas gdy on umierał?

Rzuciła mi groźne spojrzenie i westchnęła, jakby to była moja wina, a przedawkowanie Adama okazało się spiskiem przeciwko niej. Zauważyłem, że nie miała przy sobie żadnych leków. Ale nic nie powiedziałem.

– Pójdę do niego – stwierdziła. – Przykro mi. Nie sądziłam, że jednej nocy będą dwa nagłe przypadki.

Przeszła między nami, zapięła bluzę i ruszyła w stronę głównego wejścia.

– Hej! – krzyknąłem za nią. – Pomogę ci naprawić zamek w drzwiach. Musieliśmy się włamać.

– Poradzę sobie.

Obróciłem w dłoniach klucze, a Yuka powiedziała:

– Ciekawe dlaczego wychodziła tylnymi drzwiami?

Dzień sześćdziesiąty czwarty (3)

Yuka i ja szukaliśmy apartamentu królewskiego cały poranek. Zrobiliśmy sobie przerwę na śniadanie, a potem wznowiliśmy poszukiwania, i tak do wczesnego popołudnia. Udało mi się zadać jej kilka pytań, aż w końcu poszła zająć się dziećmi.

Nie znaleźliśmy żadnego pomieszczenia, które mogłoby uchodzić za apartament królewski, ale nie miało to znaczenia. Wystarczyło, że miałem jakiś trop. Ciężko było to wyjaśnić, a jeszcze trudniej za tym nadążyć, coś jednak było na rzeczy.

Przeszukaliśmy też kwatery pracownicze, ale walizek tam nie było. Sasha wrogo zareagował na propozycję wejścia do jego pokoju, więc po prostu wtargnęliśmy tam, rozejrzeliśmy się, czy nie ma walizek, i w pośpiechu wyszliśmy.

Perspektywa powtarzania tego samego schematu za każdym razem nieco mnie zniechęcała, lecz nie mogłem się poddać. Podsłuchana rozmowa Dylana z Sophią utwierdziła mnie w przekonaniu, że byłem na dobrej drodze – przynajmniej w ogóle była jakaś droga.

W restauracji Sophia dała nam dwa kubki gorącej wody i podzieliliśmy się z Yuką jedną torebką zielonej herbaty. Pozostali przyszli po swój lunch. Wiedziałem, że Yuka nie mogła być zamieszana w tę zbrodnię. Lecz może widziała coś pierwszego dnia, postanowiłem więc i ją podpytać.

– Jak znalazłaś się w tym hotelu?

– Mieliśmy rezerwację gdzie indziej w mieście, ale okazało się, że zaszła jakaś pomyłka i ją anulowano. Zapłacili nam więc za przeniesienie się tutaj.

– Więc jesteście tu przypadkiem?

– Tak.

Zamilkłem. Znów ogarnęło mnie to dziwne uczucie uciskające pierś. Uczucie, że wszystkich nas tu przygnała niewidzialna siła.

– Gdzie pracowałaś?

– Byłam project managerem w American Express. Tam też poznałam Haru.

– W Japonii?

– Nie. – Spojrzała na mnie wymownie. – We Frankfurcie.

– Okej. Jasne. – Zapisałem coś szybko. Chciałem odwrócić uwagę, bo moje stereotypowe myślenie wydało mi się nietaktowne. – Czyli wasze dzieci są dwujęzyczne?

– Tak, mówią też płynnie po niemiecku.

– Pamiętasz coś z dnia ataku?

Zastanowiła się chwilę, zakręciła w kubku torebką z herbatą dokładnie trzy razy i wyjęła ją na spodek.

– Spakowaliśmy się i poszliśmy do recepcji, gdzie czekaliśmy na dalsze instrukcje. Pamiętasz, kazali nam czekać.

– Tak, chyba pamiętam.

– Czasem wydaje mi się, że pamięć mnie zawodzi.

– Doskonale to rozumiem.

Objęła kubek dłońmi, żeby je rozgrzać.

– Potem zdecydowaliśmy, że jednak lepiej nie wyjeżdżać. Nie mogliśmy zabrać stąd dzieci, nie było samolotów, żadnego transportu. Nie było jak wrócić do domu. Nie wiem nawet, czy Frankfurt w ogóle przetrwał. Więc zostaliśmy.

Usiadłem i wziąłem łyk zielonej herbaty. Postanowiła coś przede mną ukryć – widziałem to w jej twarzy.

– To wszystko, co pamiętasz?

– Trudno sobie przypomnieć ten dzień ot tak.

Miała rację.

Sprawdziłem swoje notatki i zapytałem:

– Przypominasz sobie, czy widziałaś może wtedy Dylana lub Sopię?

– Nie.

– A Nathana, Mię lub Saszę?

– Pamiętam, że widziałam, jak Mia i Sasha trzymali się za ręce w barze i oglądali telewizję. – Wskazała na bar. – Nie przypominam sobie, żebym widziała Nathana.

Napisałem sobie krótką adnotację, żeby porządnie przepytac Nathana. Oraz Saszę i Mię, jeśli w ogóle będą chcieli ze mną rozmawiac.

– Czy wydarzyło się coś podejrzanego? – zapytałem. – Może coś dziwnego?

– Poza samym bombardowaniem nie. – Odwróciła wzrok i skończyła herbatę.

– Nie zauważyłam nic dziwnego.

Po lunchu, gdy znudziło mnie już przeszukiwanie w większości pustych pokoi na drugim piętrze, postanowiłem odwiedzić Adama. Nie rozmawiałem z nim od poprzedniej nocy, a i tamto trudno nazwać rozmową. Wiedziałem, że Nathan spędzał z nim dużo czasu, ale nie chciałem, żeby Adam czuł się odizolowany albo żeby wstydzil się przedawkowania.

Pokusa, żeby go unikać, była bardzo silna, lecz był to tylko mój problem, nic więcej. Próba odebrania sobie życia to wołanie o pomoc, krzyk rozpacz, a nikt nie chce się mierzyć z cudzym bólem, skoro ledwo daje sobie radę z własnym.

Przez chwilę pomyślałem, że próba samobójcza mogłaby być też przyznaniem się do winy, ale nie czułem się na siłach, by spekulować, dlaczego miałby czuć się winny. Jeśli w ogóle tak się czuł.

Podkradłem Sopiie jeszcze kilka cukierków i poszedłem do Adama.

Otworzył drzwi, a ja wyciągnąłem rękę z cukierkami, jak harcerka.

– Pomyślałem, że może masz ochotę...

Uśmiechnął się ironicznie, wziął cukierki i wrócił do pokoju, dając znak skinieniem głowy, żebym poszedł za nim.

W środku było znacznie czyściej. A przynajmniej wszystko zostało poupychane po kątach. Wcześniej nie zauważyłem, że miał gitarę elektryczną.

– Grasz? – zapytał, gdy zobaczył, że na nią patrzę.

– Troszkę. – Wystraszyłem się, że każe mi to udowodniać. Ale na szczęście nie chciał.

– Nie mam już żadnych zapasów, jakby co – powiedział i usiadł na łóżku. Położył sobie gitarę na kolanach i oparł się na niej. – Nath wszystko zabrał. A teraz wydziela mi porcje trawy. Straszny z niego dupek.

– Nie po to przyszedłem. Chciałem sprawdzić, jak się czujesz. – Usiadłem na krawędzi łóżka.

– Ciągle tu jestem, jak widać. – Wzruszył ramionami.

Nagle przygniotła mnie świadomość, że opowiadał mi o sobie, ponieważ już wtedy planował się zabić.

Złapałem się na tym, że rozmyślałem o seansie spirytystycznym, o małym chłopcu i że wpatruję się w róg pokoju.

– Przestań na niego patrzeć – powiedział nagle Adam. – Przez to czuję się dziwnie.

– Przepraszam! – wykrzyknąłem, bo nie zdawałem sobie sprawy, że to aż tak widać.

– Nie będę znów próbował, jeśli o to chciałeś zapytać.

– Przede wszystkim chciałem wiedzieć, jak się czujesz.

– Trochę zmęczony. Głupio mi, że to zrobiłem. Szczerze. Wiedziałem, że Nathan może przyjść w każdym momencie, byliśmy umówieni.

– Bolało?

Spojrzał mi w oczy, ewidentnie zaskoczony, że o to pytam.

– Nie – odparł trochę smutno, a potem wrócił do strojenia gitary. – W ogóle nie bolało. Czuję się, jakbym zasypiał. Ale przebudzenie... **TO** bolało.

– Przepraszam. Nie wiedzieliśmy, co robić.

– Nie przepraszaj, stary. – Potarł oczy, a raczej ciemne kręgi pod nimi. – Na serio, nie masz sobie nic do zarzucenia. Byłbym niewdzięcznym dupkiem,

gdybym zaczął wciskać ci jakiś kit na ten temat. Ocaliłeś mi życie. Tomi też, ale jej nie widziałem. Co się dzieje między wami?

Odłożył gitarę na bok, nachylił się do mnie i wziął cukierka.

– Myślę, że ją wkurzyłem – odpowiedziałem.

– Cholera, a co zrobiłeś?

– Ogólnie rzecz ujmując, w pewnym sensie obwiniłem ją o tę całą wojnę... nuklearną.

Przygryzł wargę.

– Taaak. To ma sens. Można się wkurzyć.

Naprawdę desperacko chciałem z nią porozmawiać, jednak unikałem jej. A ona unikała mnie. Nawet posiłki zabierała do pokoju. Sama decydowała o tym, kiedy chce się do mnie odezwać.

– Taaak... Bez wątpienia miała prawo się wkurzyć – przytaknąłem, opierając się o zagłówek łóżka.

– O kurwa! – Przerwał mi Adam. – Te cukierki są przepyszne. Skąd je masz?

– Ach tak, wiem. Od Sophii.

– Spryciara.

– Cieszy się, że może się do czegoś przydać. Codziennie nam gotuje.

– Dziwne, że ludziom wciąż chce się pracować.

– To chyba normalne.

Wziął gitarę i znów położył sobie na kolanach, jakby była dla niego tarczą ochronną.

– Dlaczego obwiniłeś Tomi o wojnę?

– Ponieważ... ideologicznie zgadza się z ludźmi, którzy ją wywołali.

– Skomplikowane słowa. Wygląda na to, że na serio jesteś na nią wkurzony, jeśli używasz takich słów jak „ideologicznie”.

– Ale taka jest prawda.

– Nie sądzę, żeby Tomi chciała tej wojny, stary. Tak tylko rzucam. Gównu wiem o polityce, ale nie sądzę, żeby jakimś manifestem była „Wojna nuklearna we wtorek”.

Jego ton mnie zirytował.

– Wszyscy wiedzieli, że zbliża się wielkimi krokami!

– Nie, nie wiedzieli.

– Nie, nie wiedzieliśmy – przyznałem.

– Powinieneś chyba przeprosić, jeśli kiedykolwiek jeszcze będziesz chciał pobzykać.

– Przeprosiłem. Ale myślę, że będę musiał zrobić coś więcej. – Ponownie spojrziałem w kąt i szybko opanowałem swój wzrok. – Tania ma teorię, że wszyscy cierpimy, bo tłumimy różne emocje, jak podczas żałoby.

– Może ma to sens, biorąc pod uwagę, że większość świata szlag trafił.

– Ona miała na myśli styl życia. Że wszyscy tęsknimy za tym, jak kiedyś żyliśmy.

– Nath uważa, że powinienem z nią porozmawiać o swoich problemach. Ale ona jest lekarzem, a nie psychologiem. To nie fair. Ma już i tak dużo na głowie.

– Pewnie wszyscy powinniśmy porozmawiać z terapeutą.

Skinął głową, a potem oznajmił:

– Stary, wezmę prysznic. Złapiemy się później.

– Jasne.

Wstałem i już chciałem wyjść, lecz zawahałem się.

– Skąd wiesz, że nie spróbujesz ponownie? – spytałem, nie mając pewności, czy nie przekraczam granicy.

Zmarszczył brwi i zagrał kilka akordów. Pękła struna.

– Kurwa!

Próbował ją naprawić, a ja nie byłem pewien, co powiedzieć. W końcu mi odpowiedział:

– Musiałem być przez chwilę martwy, technicznie rzecz ujmując... Tak, jak mówiłem, to było jak zasypianie. Nic nie czułem, nic nie widziałem.

– Tak?

– I tyle. Nic nie widziałem. Musiałem nie żyć, tak? Przez minutę czy coś. I nie było nic. Tylko czerń. Nie czułem upływu czasu, nie byłem sobą, tylko

siedziałem w ciemności. To było po prostu nic. Nic nie było... – Przez jego twarz przemknął cień całkowitego spustoszenia, ale po chwili odzyskał równowagę i znów zajął się struną. – I to mnie przeraziło. Nie spróbuję ponownie.

Żałowałem, że zadałem to pytanie. Spodziewałem się odpowiedzi związanej z jakąś nadzieją.

– Z jakiegoś powodu myślałem, że w końcu będę mógł porozmawiać z tym skurwielem w kącie. – Adam kiwnął głową w stronę rogu pokoju, najbliżej okna, gdzie przy ścianie stał oparty futerał od gitary. – Zawsze miałem wrażenie, że tylko czeka, żebym umarł, że chce... I pomyślałem, że może w końcu powie mi, co się, kurwa, dzieje...

Po raz pierwszy mówił o chłopcu jak o prawdziwej istocie. Nie byłem pewien, co mu na to odpowiedzieć.

Adam roześmiał się do siebie i ciągnął dalej:

– Ale nie, nie było go tam.

– Może on jest w jakimś innym miejscu? – zasugerowałem.

– Może. Ale ja się już nigdzie nie wybieram. – Wstał i zaczął szukać dużego ręcznika. – Widzisz, stary, odkąd tu jestem, dwa razy próbowałem ze sobą skończyć. Próbowałem też w noc przed końcem świata. I obudziłem się, jakbym tylko na chwilę zamknął oczy i zasnął. – Pokręcił głową z irytacją, zarzucając ręcznik na ramiona. – A może ja już nie żyję, stary. Może to już jest to inne miejsce i dlatego nie mogę umrzeć.

Na pół godziny przed tym, jak miałem skończyć pisanie i iść spać, ktoś zapukał do moich drzwi.

– Kto tam? – krzyknąłem, zamierając na krzesło.

– Yuka.

Nigdy nie widziałem jej ani nie rozmawiałem z nią o tak późnej porze. Wstałem i otworzyłem drzwi, a pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, było to, że

rozpuściła włosy. Były dłuższe, niż się spodziewałem. Nagle wydała mi się znacznie młodsza. Wyglądała ślicznie.

– Coś się wydarzyło tamtego dnia – powiedziała. – Po prostu wcześniej nie chciałam ci o tym powiedzieć.

– Chcesz wejść? – zaproponowałem i zastanawiałem się, czy Haru wie, gdzie jest jego żona.

Pokręciła głową i dalej stała w odległości jednego lub dwóch kroków od moich drzwi.

Czekałem, aż coś powie.

Wzięła głęboki wdech i powiedziała ze spuszczonej oczami:

– Ryoko zniknęła na jakiś czas tego dnia.

– Co takiego?

– To nie trwało długo, jakieś dwadzieścia minut. Zeszliśmy po schodach, czekając na wiadomości. Wszędzie były tłumy. Ryoko była zdenerwowana i nie przestawała płakać. Krzyknęłam na nią i kazałam jej usiąść na podłodze i milczeć. Kiedy znów spojrzałem w dół, jej już nie było.

Yuka wydawała mi się bliska łez.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? – zapytałem.

– Bo się wstydziłam. Czy kiedykolwiek zgubiłeś swoje dzieci?

Zgubiłem. I to wspomnienie sprawiało mi fizyczny ból za każdym razem, gdy pojawiała się w mojej głowie. Kiedy Marion miała cztery lata, zgubiłem ją w supermarkecie. Wezwano mnie przez głośniki, żebym ją odebrał. Na szczęście zawędrowała do ochroniarza, a nie do kogoś innego... Pamiętam, jak biegałem od jednej alejki do drugiej, walcząc z odruchem wymiotnym. Wyobrażałem sobie wszystkie najczarniejsze scenariusze i serce omal nie stanęło mi z przerażenia.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Więc wiesz, jak to jest. – Odetchnęła. – To było bardziej przerażające niż bomby. Szukałam jej wszędzie. Po jakimś czasie poszłam do naszego pokoju

i znalazłam ją pod drzwiami. Próbowwała je otworzyć. Płakała i była bardzo przestraszona, ale nic się jej nie stało.

– Czy wiesz, co się wydarzyło?

– Nic się nie wydarzyło. Po prostu się zgubiła. Zwyczajnie uciekła, kiedy na nią nafukałam.

– Dlaczego była taka wystraszona?

– Ma tylko siedem lat. Zgubiła się. Tego dnia wszyscy byli zagubieni. – Spojrzała w stronę klatki schodowej. – Muszę już iść. – Lecz kiedy zobaczyłem jej twarz z profilu, z włosami opadającymi nad ramionami w pewien charakterystyczny sposób, coś sobie przypomniałem.

– Widziałem cię – powiedziałem.

– Przepraszam?

– Wpadłem na ciebie tego dnia.

Wróciła mi pamięć, widziałem wszystko jasno i wyraźnie. To, jak wbiegam na klatkę schodową, żeby dostać się do swojego pokoju, i zderzam się z kobietą, która krzyczy na kogoś, ale nie na mnie. Zderzyłem się z nią z taką siłą, że prawie ją przewróciłem, a teraz już wiedziałam, że to była Yuka, z włosami wypadającymi z upięcia, opadającymi na twarz i ramiona. Niemal nie zwróciła na mnie uwagi. Musiała szukać Ryoko.

– Wychodziłaś z klatki schodowej i wołałaś Ryoko. Wpadłem na ciebie.

Zerknęła na mnie.

– Ja... chyba też to pamiętam.

Przypomniałem sobie, jak wtedy w supermarkecie znalazłem Marion stojącą z ochroniarzem. Tyle że ona nie wydawała się przestraszona. Nawet nie miała świadomości, że się zgubiła. To ja płakałem. Podniosłem ją i płakałem, a ona tylko patrzyła na mnie ze zdumieniem.

Oparłem się o framugę drzwi.

Yuka zapytała:

– Wszystko w porządku?

– Nazywałem Marion „Beeps” – powiedziałem. – Moją córkę. Nazywałem ją Beep-pop, w skrócie Beeps.

I znowu się rozpłakałem, a Yuka trzymała mnie w ramionach.

Dzień sześćdziesiąty czwarty /Dzień sześćdziesiąty piąty

Bardzo późno wczorajszej nocy albo bardzo wcześnie dzisiaj rano – trudno określić porę, gdy jest ciemno – poszedłem do baru, bo nie mogłem spać. Czułem się jednocześnie pusty i ociężały, jakbym nie mógł podnieść moich kończyn i jakby coś przyciskało mnie do ziemi. Nie było już we mnie żadnych emocji. Wyczerpały się. Yuka przytuliła mnie, a mnie wydawało się, że trwało to kilka godzin. Była bardzo drobna, lecz wiedziałem, że tylko dzięki niej trzymam się jeszcze w pionie. Chyba też płakała, ale mogłem sobie to tylko wmawiać, by samemu poczuć się lepiej.

Potem przeprosiłem ją, a ona poszła do siebie.

Kiedy dotarłem do holu, zobaczyłem, że nie tylko ja mam problem ze snem.

Nathan przyniósł jakieś trunki ze swoich zapasów i w skupieniu próbował przygotować sobie koktajl. Otoczył się półkolem świec i wyglądał, jakby urządzał seans okultystyczny, wymachując swoim shakerem.

Na uszach miał słuchawki. Dźwięk rozkręcił tak głośno, że w panującej dokoła ciszy słychać było dudnienie muzyki.

– Cholera – powiedział, kiedy mnie zobaczył.

– Zrób i dla mnie jednego, a ja udam, że nic nie widziałem – zaordynowałem, siadając na jednym z foteli.

– Że niby nic nie widziałeś... – Nathan zastanowił się nad moją propozycją, wzruszył ramionami i postawił drugi kieliszek na barze. – W takim razie zdradzę ci mój sekretny przepis.

– Przepis na co?
– Na to, jak się upić w piorunującym tempie.
– Cieszę się, że jest tu ktoś poza mną – wyznałem, kładąc stopy na niskim stoliku. – Przerazają mnie te ciemności.
– Musisz zdobyć więcej świec, stary.
– Nie mam nic, czym mógłbym pohandlować. Stary.
– Sprzedaj swoje ciało, stary. – Dodał coś z butelki bez żadnej etykiety i mrugnął porozumiewawczo. – Musisz być dobry w te klocki, skoro Tomi się to podoba.

Parsknąłem śmiechem.

– Po pierwsze, Tomi ze mną nie rozmawia, a po drugie, wyjaśniła mi, że nie byłem jej pierwszym wyborem.

– Cóż, teraz to mi się dopiero zrobiło przykro. Na którym miejscu byłem ja na jej liście?

Nalał nam po drinku i usiadł naprzeciwko mnie. Świece rozświetlające kolorowe butelki za barem tworzyły niemal świąteczny nastrój.

Spróbowałem. Drink był doskonały.

– Co w tym jest? – spytałem.

– Tania szkocka i tequila, kropla tabasco i resztkę soku pomidorowego. Nikt nie chciał pić tego gówna.

Roześmiałem się, ponieważ wyobraziłem sobie Nadię, jak się ze mnie nabija.

– Hej, słyszałem plotkę. Czy ten hotel ma apartament królewski? – zapytałem.

Spojrzał na mnie dziwnie i powiedział:

– Nie, nie ma. Stary, gdyby tu był apartament królewski, to każdy chciałby w nim zamieszkać i trzeba by zrobić losowanie.

– Jasne.

– Ale wiesz, ja tu jestem zaledwie od sześciu miesięcy, więc co ja mogę wiedzieć? W każdym razie nigdy o nim nie słyszałem.

Obserwowałem go znad krawędzi mojego kieliszka. Nie wyczułem kłamstwa.

– Czy pamiętasz coś z tamtego dnia? – Staralem się brzmieć nonszalancko. Nie mogłem oderwać wzroku od lustra nad barem, w którym odbijał się ciemny hol za mną. – Wiesz, tak mało pamiętam... Mam spore luki, jakbym stracił przytomność.

– Rozumiem.

– A ty? Ile z tego wszystkiego pamiętasz?

Przepłukał usta drinkiem, jak profesjonalny degustator whiskey.

– Niewiele. Zaspąłem na moją zmianę. Zszedłem i wszyscy po prostu... Cóż, panowało tu istne szaleństwo, to pewnie pamiętasz... A potem straciłem kontrolę i tu film mi się urywa. Nie wiem, co się ze mną działo. Wszystko pozostaje niewyraźne.

– Ja nawet na chwilę oślepiłem. Straciłem wzrok.

– Co ty gadasz? – Zmarszczył brwi. – Od razu mi lepiej. Myślałem, że tylko ja mam halucynacje.

– Halucynacje? Że niby ta wojna naprawdę nie wybuchła?

– Nie, wiedziałem, że akurat to stało się naprawdę. Nie w tym rzecz, ja... – Wypił resztę swojego drinka. – Przez chwilę myślałem, że widzę mojego tatę...

Zupełnie mnie zamurowało i poczułem chłód na plecach. Nagle świece na barze nie wyglądały już jak lampki choinkowe.

Nathan pokręcił głową.

– W tłumie kłębiącym się przy recepcji... Wydawało mi się, że tam go widziałem. Ale wiesz, minęło już dziesięć lat... Widać to był jakiś inny tata...

– Taaak...

– Co to było? – Nathan wyprostował się i spojrzał w dal, przez moje ramię.

Gdy to zrobił, usłyszałem kroki. Odwróciłem się na krześle i zacząłem ścisnąć kieliszek tak mocno, że aż dziw, że go nie zmiażdżyłem.

– Słyszysz to, prawda? – szepnął Nathan.

– Tak.

– Kto tam? – zawołał.

W holu pojawił się zdezorientowany Sasha ubrany tylko w bokserki. Wyraźnie było widać, że śpi. Zmierzał w kierunku światła. Nie odpowiedział Nathanowi.

Nathan wypuścił oddech, który wstrzymywał, i wstał.

– Jezu, to ty! Kurwa, duch-rezydent. Trzeba cię zaprowadzić do pokoju.

Skończyłem drinka, mając nadzieję, że uspokoi to moje skołatane nerwy. Oznajmiłem, że też muszę trochę pospać. Może wpadam w paranoję, ale był to już drugi raz, kiedy Sasha śledził mnie, lunatykując. Przyjrzałem się uważnie jego twarzy – bezwładne usta, oczy w połowie zamknięte, osłonięte długimi rzęsami – lecz nie było w niej żadnego wyrazu ani też śladu świadomości. Nic nie sugerowało, że mógłby udawać.

Nathan podszedł do niego i delikatnie złapał go za ramiona.

– Chodź, stary. Nie mamy całej nocy. Musimy teraz przejść całą drogę z powrotem do twojego pokoju, żebyś nie napędził stracha innym. Chodź, będzie super.

Nie zachowywał się, jakby właśnie mi powiedział coś ważnego.

Bo może i nie powiedział. W końcu wszyscy ciągle czuliśmy się bezradni i podejrzliwi z powodu szoku wywołanego dniem, w którym świat się skończył.

Ale jednak miałem złe przeczucia.

– Poczekaj! – zawołałem nagle za nimi.

– Ciii, nie masz chyba zamiaru wszystkich wystraszyć – syknął Nathan.

– Poczekaj chwilę.

Podbiegłam do nich, trzymając w ręku ledwo palącą się świecę. Spojrzałem prosto w pustą twarz Sashy.

Jego wzrok było nieobecny.

Nathan przewrócił oczami.

– Co ty wyprawiasz?

Kilka razy strzeliłem palcami przed oczami lunatyka, a potem powtórzyłem to jeszcze parę razy, trzymając świecę tuż przy jego twarzy, oświetlając każdy szczegół, szukając najmniejszego dowodu, że nie śpi.

Brak jakiejkolwiek reakcji. Wycofałem się więc.

– Nic. Przepraszam. To nic takiego.

Nathan spojrział na mnie zaniepokojony, co sprawiło, że zwątpiłem w siebie. Potem poprowadził Saszę przez drzwi do części dla personelu. Zdmuchnąłem wszystkie świece w barze i po raz drugi tej nocy poczułem się zakłopotany.

Nie wiedziałem, skąd we mnie ten nagły pesymizm, ale miałem wrażenie, że moje śledztwo utknęło w martwym punkcie. Rozmowy z ludźmi nie przynosiły takich rezultatów, jakich się spodziewałem. Ponieważ ich wspomnienia były dziurawe i nikomu nie można było naprawdę zaufać. Oprócz nielicznych retrospekcji, snów, które traciły na sile, gdy tylko się budziłem, nie byłem nawet pewien, jak daleko mogę ufać własnej pamięci.

Dzień sześćdziesiąty szósty

Po raz pierwszy usłyszeliśmy o całym incydencie od Dylana. Oczywiście najpierw przyszła do niego kobieta, która brała udział w zajściu. Wezwał więc nas wszystkich do baru na naradę. Widok całej grupy zebranej w jednym miejscu był rzadkością. Uświadomiło nam to, jak niewielu nas zostało i jak bardzo jesteśmy bezbronni.

Byłem zmęczony. Nie udało mi się ponownie zasnąć.

Dylan stał przy barze, podczas gdy wszyscy szukali sobie miejsca, siadając na podłodze lub opierając się o tę czy inną ścianę. Kilka osób przyniosło dodatkowe krzesła z restauracji. Mia stała obok Dylana. Wyglądała na zdenerwowaną.

Ja stanąłem obok Tani.

– Wiesz, o co chodzi?

– Nie. Może o jedzenie?

– Może.

Weszła Tomi i stanęła po mojej drugiej stronie. Bez słowa. Kiedy wszyscy w końcu się zebrali, Dylan zabrał głos:

– Dziś rano miał miejsce pewien incydent. Nicholas van Schaik próbował zaatakować jedną z kobiet. Na szczęście udało jej się go... zneutralizować. Teraz van Schaik siedzi zamknięty w pokoju na górze, dopóki nie zdecydujemy, co z nim zrobić. Pomyślałem, że najlepiej poinformować o tym od razu wszystkich, żeby nie zaczęły krążyć jakieś bezsensowne plotki. Instynkt podpowiada mi, że wszyscy, cała nasza grupa, powinniśmy podjąć tę decyzję wspólnie, zamiast pozostawiać to jednej czy dwóm osobom. Więc... musimy porozmawiać.

Wydawało się, że nikt nie chce zabrać głosu, jednak Tomi zapytała:

– Czy chodzi o Mię? Nic ci nie jest?

Mia uśmiechnęła się.

– Wszystko w porządku, noszę przy sobie nóż, więc...

– Powinien stąd odejść. Nie sądzicie? – zaproponowała Yuka.

– Jeśli go zmusimy – odpowiedział Dylan – to skazemy go na wygnanie, co równa się w zasadzie wyrokowi śmierci. Poza tym może wrócić i spowodować jeszcze większe problemy. Nie możemy zakładać, że tak po prostu sobie odejdzie.

– No więc co? Pozwolimy mu zostać tutaj i korzystać z naszych zapasów? – oponowała Tomi.

– Nadal jest człowiekiem – dobiegł gdzieś z boku głos Sashy.

– Próbował kogoś zgwałcić – warknęła Tomi. – Twoją siostrę!

Cisza.

Dylan ponownie przejął kontrolę nad zgromadzeniem.

– Trzeba to jakoś uprościć. Musi stanąć przed sądem czy tam... trybunałem. Każdy, kto nie chce brać w tym udziału, niech podniesie rękę.

Większość ludzi podniosła rękę.

– Zaraz, zaraz... – odparła Tomi. – To nie będzie proces demokratyczny, jeśli ludzie się po prostu wycofają. Trzeba głosować.

– To również będzie wbrew demokracji, jeśli zmusimy kogoś do podejmowania decyzji, których nie chce podejmować – sprzeciwiłem się cicho.

– Co mówiłeś, Jon? – Dylan wyciągnął szyję w moim kierunku.

– Powiedziałem, że to też nie będzie demokratyczne, jeśli zmusimy ludzi do wzięcia w tym udziału.

Tomi prychnęła szyderczo.

– Gdzie tu uczciwość, skoro nie wszyscy będą głosować?

– A może jakiś kompromis? – zasugerowała Tania. – Wszyscy głosują, ale istnieje możliwość wstrzymania się od głosu.

– Podoba mi się ten pomysł – stwierdził Dylan. – Czy wszyscy się zgadzają?

W pomieszczeniu zapanowała cisza, ale ludzie kiwali głowami.

Adam podniósł rękę.

– Hmm, nie wiem, co wy na to, ale dlaczego nie pozwolimy po prostu zdecydować Mii? Przecież to ona została zaatakowana przez tego kolesia. Czy nie powinniśmy zapytać jej, co chce z nim zrobić?

Wszyscy spojrzeli na Mię, która przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

Lex powiedziała coś szybko, w złości. Nie rozumiałem, ale Lauren przetłumaczyła:

– Ona się pyta dlaczego? Jeśli ten facet jest zagrożeniem dla wszystkich kobiet, to nie chcę, żeby jedna kobieta decydowała, czy jestem bezpieczna, czy nie.

– Zgadzam się! – powiedziała Tomi.

– Tak, też się zgadzam – orzekła Tania.

– Okej, dobrze. – Adam nie wyglądał na zmartwionego. – To była tylko propozycja.

– A więc wszyscy decydujemy – podsumował Dylan. – Poddamy to pod głosowanie. Ale musimy też porozmawiać o różnych opcjach. Przykro mi to mówić, lecz jedną z nich będzie egzekucja.

Podziwiałem go, że miał odwagę to powiedzieć. Nikt inny nie miał, choć ta ewentualność wisiała nad nami, odkąd zaczęliśmy spotkanie. Gdy tylko dowiedzieliśmy się, że popełniono przestępstwo, pierwszą myślą było to, czy będziemy musieli go zabić. Przy ograniczonych, ciągle kurczących się zapasach był to jedyny pragmatyczny sposób działania.

– Jeśli zdecydujemy się go zabić – powiedział Rob powoli, gdzieś z przodu sali – kto niby miałby to zrobić?

– Ja – odparła Tomi bez wahania. – Następne pytanie.

Zerknąłem na nią. Spojrzała na mnie, a jej wzrok mówił: „Jakiś problem?”.

Nie byłem pewien, czy ją podziwiam, czy wręcz przeciwnie. Jednak w pewnym sensie byłem zadowolony, że tak szybko uwolniła nas od tego dylematu. Zazwyczaj zgłaszałem się do wszystkiego. Nie wiem jednak, czy w tym przypadku zgłosiłbym się na ochotnika.

Dylan także odczuł ulgę. W końcu gdyby nie Tomi, to na pewno padłoby na niego lub na mnie. Jakoś nie widzę innego kandydata.

– Okej, więc pierwsza opcja to zabicie go, a druga uwięzienie. Czy powinniśmy brać jeszcze pod uwagę wygnanie?

Odezwał się Haru Yobaru:

– Nie. Masz rację, on na pewno wróci.

– Trzeba to przegłosować – powiedziała Tania.

– Podnieście ręce, jeśli uważacie, że powinniśmy skorzystać z opcji wygnania – zarządził Dylan.

Ku mojemu zaskoczeniu nikt nie podniósł ręki.

– Czy w takim razie coś nam nie umyka? – zastanowił się Dylan.

Peter uniósł rękę.

– Czyli zakładamy, że to zrobił? Tak bez domniemania niewinności?

Mia spiorunowała go wzrokiem.

– Niczego nie zakładamy! On mnie zaatakował!

– Czy ktoś jeszcze to widział? – Peter wzruszył ramionami.

Nikt.

Żołądek wywrócił mi się na drugą stronę. Atmosfera w pomieszczeniu gęstniała. Poczułem, jak Tomi zeszywniała i najeżyła się, a Tania odwróciła się i spojrzała na Petera z pogardą. Podział płci stał się boleśnie oczywisty.

– Chyba sobie ze mnie, kurwa, żartujesz – powiedziała Tomi. – Chcesz, żeby udowodniła ci, że próbował ją zgwałcić?

– Mówię tylko, że sytuacja staje się niebezpieczna, kiedy kobieta może oskarżyć kogoś o gwałt, a my ot tak decydujemy, czy go zabić, czy nie.

– Nie mogę w to uwierzyć... – Tomi pokręciła głową.

– Trafiłam go nożem w kostkę – powiedziała Mia. – Taki dowód ci nie wystarczy?

– To tylko dowód na to, że ty go zaatakowałaś – odpowiedział Peter. – Wybacz mi, ale wyglądasz całkiem dobrze. Nie wyglądasz, jakby ktoś cię napadł. A co on mówi?

– Przyznał się – wtrącił Dylan. – Kiedy go zamykałem, powtarzał: „Dźgnęła mnie”. Wyzywał ją od najgorszych, mówiąc, że sama tego chciała. Został złapany na gorącym uczynku. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

– To nie jest przyznanie się do winy – powiedział Peter, dolewając oliwy do ognia.

– Zarzucasz mi kłamstwo? – Mia skrzyżowała ramiona.

Peter warknął:

– Każdy może kłamać tylko dlatego, że mu się ktoś inny nie podoba.

Po sali rozszedł się szmer obrzydzenia. Nawet Yuka, zwykle obojętna, pokręciła głową.

Myślałem, że Tomi eksploduje. Znowu na nią spojrzałem. Jej wargi drżały od pogardy.

– Dosyć tego! – Dylan zrobił krok naprzód. – Nie możemy lekceważyć kobiet, zakładając, że kłamią w tak ważnej sprawie. Musimy wspierać się na wyżyny. Jeśli ktoś zostanie uznany za zagrożenie dla grupy, to musimy coś na to poradzić, chyba że istnieją wyraźne dowody, że jest inaczej. **WYRAŹNE** dowody. Czy każdy to rozumie?

– Dziękuję! – warknęła Tomi.

– To dotyczy wszystkich tutaj zebranych – powiedział Dylan. – Nie mamy czasu ani możliwości, żeby zorganizować prawdziwy proces. Nie będę marnował wielu dni na słuchanie tego, co on i ona mają do powiedzenia. Więc jeśli nie będzie świadka, który zezna inaczej, będziemy sobie ufać. Nie zakładajmy, że ludzie kłamią z błahych powodów. Jesteśmy małą grupą, więc musimy traktować się nawzajem z szacunkiem. Czy ktoś tutaj ma z tym jakiś problem?

Wszyscy pomachali głowami na znak, że zgadzają się ze słowami Dylana.

Tomi spojrzała na Petera.

– Cóż, w każdym razie dobrze wiedzieć, że są wśród nas tacy, którzy sądzą, że kobiety tylko na to czekają, żeby zrobić kogoś w gwałt.

– Ludzie kłamią – powiedział Peter – z wielu różnych powodów.

– Nazwij nas kłamcami jeszcze jeden pieprzony raz! – Tomi zrobiła kilka kroków naprzód, a Peter odwrócił wzrok.

– Daj spokój – powiedziałem, wyciągnąłem rękę i chwyciłem ją za ramię.

– A więc decyzja podjęta. Chyba że ktoś ma inny etyczny punkt widzenia, którym chciałby się podzielić. Jeśli nie, to powinniśmy głosować. – Dylan rozejrzał się po sali. – Macie okazję, żeby coś powiedzieć. Nikt nie będzie was tu zakrzykiwał, jeśli zrobicie coś z szacunkiem dla innych. Nie spieszcie się, przemyślcie wszystko dokładnie.

Tomi cofnęła się na swoje miejsce, wciąż wściekła. Puściłem jej ramię.

Zerknąłem na Tanię, ale szybko odwróciła wzrok.

Rozwazałem, czy nie podnieść kwestii utylitaryzmu. W końcu każdy głos opowiadający się za uwięzieniem van Schaika byłby ze swej natury wadliwy, z punktu widzenia interesów grupy bowiem marnowanie zasobów na przestępcę byłoby działaniem na szkodę tejże grupy. Lecz opanowałem się, zanim cokolwiek powiedziałem na głos. Odrzucając inne możliwości, staliśmy się społeczeństwem – choć bardzo małym – które karało ludzi śmiercią za wszelkiego rodzaju przestępstwa. I nawet jeśli, być może, było to konieczne, wcale nie byłem pewien, czy podobał mi się kierunek, w jakim zmierzamy.

W poprzednim życiu byłem przeciwny karze śmierci.

Ale milczałem, podobnie jak wszyscy inni.

– No dobrze, przejdźmy dalej – ciągnął Dylan. – Czy możemy głosować poprzez podnoszenie rąk, czy może ktoś chce, żeby głosowanie było tajne?

Nikt nie optował za tajnością.

– W takim razie kto z tutaj zebranych uważa, że Nicholas van Schaik za próbę gwałtu powinien zostać ukarany nieokreślonym czasowo pobytom

w zamknięciu?

Peter podniósł rękę. Kilka innych osób także, w tym Rob, Sophia i, co zaskakujące, Sasha.

– Kto spośród tu zebranych uważa, że za usiłowanie gwałtu powinien on zostać skazany na śmierć?

Wszystkie pozostałe kobiety podniosły rękę. Dylan również. Oraz Adam. Myślałem o powstrzymaniu się od głosu, ale uznałem, że to słabe posunięcie i że lepiej jest okazać solidarność z kobietami. Nawet jeśli wolałem uniknąć podejmowania tej decyzji.

Podniosłem więc rękę i ja.

Po raz pierwszy w życiu głosowałem za karą śmierci.

Nie zdołałem ustalić, ile osób nie głosowało.

– Reszta z was, jak rozumiem, wstrzymuje się od głosu – podsumował Dylan.
– Więc decyzja zapadła. Tomi, czy nadal chcesz wykonać wyrok?

– Oczywiście – powiedziała.

– Dobrze. Dziękuję wszystkim. Czy ktoś chciałby jeszcze coś powiedzieć?

Chyba nie doceniłem stopnia, w jakim ludzie unikają konfliktów, zwłaszcza podczas kryzysu. Oczekiwałem, że więcej osób zaprotestuje przeciwko temu wyrokowi. Nikt jednak tego nie zrobił. Cała debata i głosowanie trwały około dwudziestu minut. Nie byłem pewien, czy to dobrze, czy źle. Może to dlatego, że było nas tak mało i po prostu łatwiej było podejmować decyzje... W końcu demokracja bezpośrednia działa tylko w małych grupach.

Przeszło mi przez myśl, że bardzo chciałbym opowiedzieć o tym wszystkim moim kolegom z wydziału nauk politycznych. Na różnych etapach swojej kariery każdy z nas pisał pracę o demokracji. Teraz doświadczałem tego w praktyce: dogłębne studium przypadku.

Sala zaczynała pustoszeć, a ja spojrzałem w prawo i zauważyłem, że Tani już nie było.

– Szybko poszło – stwierdziła Tomi.

– Znałem takich teoretyków polityki, którzy zapłaciliby każde pieniądze, żeby to zobaczyć – powiedziałem cicho, żeby nikt nie posądził mnie o brak wrażliwości.

Uśmiechnęła się.

– Też o tym pomyślałam.

Dylan i Mia podeszli do nas.

– Czy powinniśmy to zrobić teraz? – zapytał.

Obserwowałem twarz Tomi, ale wydawała się niewzruszona.

– Może być teraz – powiedziała.

– Wszystko w porządku? – Chciałem się upewnić.

– Pytasz, czy mam problem z zabiciem aspirującego gwałciciela? Nie spędzi mi to snu z powiek.

Nie byłem w stanie stwierdzić, czy to była tylko maska, czy też naprawdę jej to nie obchodziło.

– Dziękuję – odezwała się Mia. – I dzięki... no wiesz... za zrobienie tego.

Dylan był bardzo opanowany.

– Nie chcemy, aby ludzie bali się zgłaszać przestępstwa. To bardzo ważne.

Gdy Adam wychodził z baru, zatrzymał się przy drzwiach i powiedział:

– Dajcie mi znać, jeśli będziecie potrzebować pomocy.

Ci z nas, którzy zostali w sali, patrzyli po sobie, nie wiedząc, co dalej robić. Nie było procedury dotyczącej tego, jak zabić człowieka. Musieliśmy ją sami wymyślić. Zacząłem sobie w duchu powtarzać, zupełnie jak mantrę, że mój głos ostatecznie nie miał znaczenia. Że chociaż głosowałem za i zrobiłem coś, czego nigdy bym nie zrobił w zwykłych okolicznościach, mój głos nie był decydujący.

Do teraz nie wiem, czy ta reakcja nie była dowodem na to, że podjęliśmy złą decyzję.

Dzień sześćdziesiąty szósty (2)

Tomi i Dylan poszli na górę, a ja przez jakiś czas siedziałem sam w barze, zastanawiając się, czy towarzyszyć im podczas egzekucji, czy nie. Nie miałem ochoty oglądać, jak morduje się człowieka. Bez względu na to, co zrobił. Ale czułem, że obserwowanie tych wydarzeń jest moim obowiązkiem. Tomi wzięła na siebie rolę kata, potrzebne więc było bezstronne sprawozdanie z egzekucji.

Nadio, wiem, że jeśli kiedykolwiek to przeczytasz, to możesz być bardziej niż rozczarowana moim postępowaniem. Chcę, żebyś wiedziała, że skazywanie kogoś na śmierć nie było dla mnie czymś normalnym. To nie tak, że ludzkie życie straciło na wartości, bo nasz gatunek chyli się ku upadkowi. Wręcz przeciwnie – stało się jeszcze cenniejsze i dlatego wszelkie zagrożenia należało traktować poważnie. Tyle że wtedy... całą argumentację diabli brali... Bo jeśli ludzkie życie jest tak cenne, że musimy zneutralizować realne zagrożenia dla naszej grupy, to dlaczego nie zastosowaliśmy takiego sposobu myślenia o wiele wcześniej?

Może nie jestem aż tak przeciwny karze śmierci, jak dotąd myślałem? Może zabicie van Schaika było aktem człowieczeństwa? Nie wiem.

To nie jest traktat filozoficzny. I nie mnie o wszystkim decydować. Łatwiej było snuć tego typu rozważania wcześniej, gdy abstrakcyjne koncepcje o życiu i śmierci nie dotyczyły mnie bezpośrednio.

Wyszedłem z baru i czekałem w holu, aż Tomi i Dylan wrócą ze strzelbą. Nicholas van Schaik szedł między nimi. Na jego widok poczułem falę głębokiego bólu, choć nie fizycznego – bolała mnie dusza.

Van Schaik był błąd i cały się trzął. Ledwo szedł z powodu paskudnej rany na łydce, którą zadała mu Mia podczas walki. Zauważyłem, że pozwolili mu założyć ciepłą kurtkę, zupełnie jakby szedł na spacer. A przecież miał nigdy nie wrócić...

Z przykrością muszę przyznać, że oprócz naszej bijatyki na klatce schodowej nigdy wcześniej nie rozmawiałem z van Schaikiem. Przesiadywał głównie z Peterem, czasem z Lauren i Lex. Podział między mówiącymi i niemówiącym po angielsku wypłynął po raz kolejny.

– Błagam – wyszeptał, patrząc mi prosto w oczy. Najwyraźniej próbował wcześniej przebłagać Tomi i Dylana, a teraz zwracał się do mnie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Odwróciłem wzrok.

– Nie, proszę! Proszę! Nie chcę umrzeć!

Powiedział coś jeszcze, tym razem po holendersku. Prawdopodobnie to samo.

– Nie musisz z nami iść – rzekła Tomi.

– Czuję, że powinienem.

– Czekaście.

Odwróciliśmy się. Podeszedł do nas Peter. Z rękami w kieszeniach swojego czarnego płaszcza.

– Chcesz się pożegnać? – zapytał Dylan.

Tomi przewróciła oczami.

Peter spojrzał na mnie i Dylana.

– Ja powinienem to zrobić – powiedział swoim chrapliwym głosem.

Van Schaik odezwał się po holendersku lub niemiecku, ale Peter uciszył go gestem.

– Ja powinienem to zrobić – powtórzył po angielsku. – Znam go. Ja powinienem to zrobić.

Dylan zachnął się:

– Naprawdę chcesz to zrobić?

– Powiedziałem, że powinienem. Nie można zabijać człowieka bezosobowo.

Nie byłem pewien, czy ufam Peterowi, ale zdaje się że Dylan tak, bo wręczył mu broń. Może widział w tym gest dobrej woli lub jakiś kompromis po ostrej wymianie zdań w barze.

– Tomi, wszystko w porządku? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie obchodzi mnie, kto to zrobi. Byle trafił.

Tak więc teraz Peter miał wziąć odpowiedzialność za ten czyn. Wyszliśmy wszyscy na zewnątrz i skierowaliśmy się w stronę lasu. Prawdopodobnie nie na tyle daleko, by ludzie w hotelu nie usłyszeli strzału.

Van Schaik zaczął płakać, smutnym, zduszonym szlochem. Przynajmniej tego nikt nie mógł usłyszeć.

Zastanawiałem się, co czuł Peter. Trudno mi było określić jego emocje, nawet gdy siedł tuż obok mnie.

Dylan i Tomi torowali drogę. Usłyszałem ich rozmowę.

– Skoro już tutaj jesteśmy – zaczął Dylan – będziemy musieli porozmawiać o twojej broni.

– Niby dlaczego?

– Wydaje się, że masz bardzo dużo amunicji.

Krótką cisza.

– Mam kilka dodatkowych kul – powiedziała Tomi.

– Nie, to nieprawda. Znam swoją broń. To nie w porządku, że trzymasz resztę osób w szachu.

– Nie trzymam nikogo w szachu – odpowiedziała.

– Tomi... – Głos Dylana był niski. – Nie możesz być jedyną uzbrojoną osobą w tym hotelu.

Wskazała na van Schaika.

– Jeśli to ścierwo dostałoby do ręki naładowaną broń, na pewno sprawa z Mią potoczyłaby się inaczej.

– Ufasz mi?

Zawahała się.

– A jakie to ma znaczenie?

– Gdybym miał naładowany pistolet, myślisz, że użyłbym go do popełnienia przestępstwa?

– Nie... oczywiście, że nie. Ale nie znam wszystkich tutaj.

– Nie mówię o wszystkich, mówię o sobie. Wydaje mi się, że zostałem mianowany przywódcą, a może nawet nie przywódcą, tylko organizatorem. Czy wierzysz mi jako komuś, kto podejmował trudne decyzje dla naszej grupy? Czy wierzysz mi na tyle, żebym miał przy sobie naładowany pistolet?

Podziwiałem, jak to rozegrał. Mógł ją zaatakować, zagrozić jej, ale zachował spokój. Teraz zwątpiłem w to, co wydawało mi się, że o nim wiem. Jak mógł mieć coś wspólnego z martwą dziewczynką? Przypomniałem sobie tamten dzień na dachu i jego szok, wyraz jego twarzy, gdy niósł to małe ciało po drabinie. Czy gdyby wiedział o zwłokach, pozwoliłby nam tam wejść? Dlaczego zainicjował wszystkie działania związane ze zbiornikami na wodę? To nie miało sensu. Co więcej, uratował przecież kobietę. Uratował ją z łap Victora Rouxa, walczył zażarcie o jej życie, tak jak teraz walczył o nas. Choć oczywiście nie miałem żadnego konkretnego dowodu, że to, co mi opowiedział, było prawdą. Coś mi się ciągle tutaj nie zgadzało...

A jednak chciałem mu ufać. Taka była prawda. Bardzo chciałem mu ufać, bo wiedziałem, że bez zaufania jesteśmy zgubieni.

– Ty? I tylko ty? – zapytała Tomi.

– Tak, tylko ja – odpowiedział Dylan.

Powoli skinęła głową.

– Dobrze. Możesz wziąć tyle amunicji, ile chcesz.

– Czy oddasz mi też mój pistolet?

– Pomyślę o tym. Chcę coś mieć przy sobie.

Ku mojemu zaskoczeniu Peter nie wydawał się zainteresowany ich dyskusją, a przecież też musiał ją słyszeć.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że nie powinno się zabijać człowieka bezosobowo? – zapytałem go.

– Dokładnie to, co powiedziałem.

– Czyli?

Posłał mi spojrzenie, jakbym był dzieckiem.

– Wolałbyś być zastrzelony przez kogoś, kto się przejmuje, że cię zabija, czy przez kogoś, kto ma to gdzieś?

– No chyba przez tę pierwszą osobę...

– W takim razie już wiesz, co mam na myśli.

Ptak krzyknął gdzieś w oddali i obaj spojrzeliśmy do góry. Od tygodni nie widziałem ani nie słyszałem żadnych odgłosów dzikiej przyrody. Sam fakt ponownego zobaczenia ptaka na wolności napełnił mnie taką ekscytacją, że dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że trzymam Petera za ramię. Uśmiechałem się. Naprawdę się uśmiechałem i nie był to uśmiech wymuszony ani cierpki.

Ptak umilkł.

– Cholera – powiedziałem do siebie. – Cholera, no dawaj, dawaj. Gdzie jesteś?

Drzewa stawały się coraz gęstsze, ale i tak umierały z braku deszczu i słońca. Dotknąłem jednego z pni, był suchy jak wiór, rozpadał się pod dotykiem dłoni. Zastanawiałem się, czy faktycznie tylko owady przeżyją. Zastanawiałem się, na ile dobrze radzimy sobie z unikaniem choroby popromiennej. Nie byłem nawet pewien, jak działa takie skażenie...

– Tutaj – powiedział Dylan, zatrzymując się nagle, gdy tylko dotarliśmy do kolejnej polanki.

– Błagam! – Spróbował znów van Schaik.

– Jeśli się uspokoisz, wszystko pójdzie dużo łatwiej. – Dylan chwycił go mocno za ramiona i patrzył w oczy tego łkającego mężczyzny. – To się i tak stanie. Będzie szybkie. Im bardziej to przeciągasz, tym bardziej cierpisz. Nie zmuszaj nas do zmagania się z tobą. Jeśli masz jakąś godność, to umrzesz dobrą śmiercią.

Tomi i ja wymieniliśmy spojrzenia. Nawet ona wydawała się trochę nieswoja.

– Nick. – Peter odprowadził van Schaika na bok, ponieważ przemówienie Dylana nie pomogło i skazany dalej cały się trząsał. Peter zaczął coś mówić po niemiecku.

Byłem pod wrażeniem, że w ogóle dał radę z nim porozmawiać, trzymając w ręku strzelbę.

– Co on mówi? – zapytałem Dylana.

– Nie znam niemieckiego.

Van Schaik zadrżał, ale skinął głową i Peter pomógł mu przejść jakieś dziesięć kolejnych kroków. Stał na skraju lasu i opierał swój ciężar na nieuszkodzonej nodze. Patrzył na nas przez kilka sekund, po czym odwrócił się i spojrzał w przeciwnym kierunku.

Zrobiłbym to samo. Gdybym miał umrzeć, wolałbym patrzeć na las niż na swoich oprawców.

Peter podszedł do nas, a na jego twarzy odmalowywała się pogarda. Potem odwrócił się na pięcie i przyłożył strzelbę do swojego policzka.

Widziałem, jak w myślach odlicza. Pięć, cztery, trzy, dwa...

Van Schaik opadł na zranioną nogę, jakby chciał uciec przed strzałem.

– No już! – wrzasnęła Tomi wraz z wystrzałem, który ostatecznie powalił van Schaika.

Wszystkimi nami zatrzęsło, aż musieliśmy zasłonić uszy. Van Schaik padł martwy w liście.

Peter odwrócił się do nas i wcisnął mi strzelbę w rękę. Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i zapalił.

– Oczywiście chciał uciec – stwierdził Peter.

A potem odszedł.

Tomi zrobiła kilka kroków w stronę van Schaika i przykucnęła obok ciała.

Patrząc przez ramię, powiedziała:

– Czysty strzał w głowę.

Zapadła długa cisza. Obserwowaliśmy, jak Tomi ściąga z van Schaika jego ciepłą kurtkę i przymierza.

– Powinniśmy go pochować? – spytał Dylan.

– Nie będę kopać grobów dla gwałcicieli. – Tomi spojrzała na nas i poszła za Peterem.

– Powinniśmy? – Tym razem Dylan skierował do mnie to pytanie.

– Nie czułbym się dobrze, zostawiając go tutaj.

– Jesteś przesądnym człowiekiem, Jon?

– Nie. – Zawahałem się. – Może trochę.

– Wciąż umiesz zacytować Biblię. Nie znam tu nikogo innego, kto to potrafi.

– To zostaje w człowieku na zawsze.

– Chodziłeś do katolickiej szkoły?

Spojrzałem na ciało van Schaika i byłem zaskoczony, że nie czułem żadnej odrazy. Teraz, kiedy już było po wszystkim, jego śmierć nie wydawała się aż tak kontrowersyjna. Łatwiej było mi myśleć, że dokonaliśmy właściwego wyboru. I to ta łatwość mnie przeraziła. Zastanawiałem się, czy zrobiłbym to samo, gdybym dowiedział się, kto zabił Harriet Luffman. Byłaby to oczywiście jedyna rozsądna decyzja – jedyna sprawiedliwa decyzja. Ale czy mógłbym to zrobić?

– Jon?

– Tak? A, nie, nie. Chodziłem do chrześcijańskiej szkoły, ale nie do katolickiej. Dopóki nie skończyłem dziewiętnastu lat, chciałem pracować dla Kościoła, ale chyba głównie dlatego, że tego pragnęli moi rodzice. Potem rzuciłem to i poszedłem na studia.

– Interesujący z ciebie facet. – Westchnął, a potem spojrzał na van Schaika. – Instynkt mi mówi, że powinniśmy go pochować.

– Mój też.

– Ale nie musimy tego robić teraz.

– Możemy wrócić później. Pomogę. Może Rob lub Adam albo ktoś inny do nas dołączy... – Wskazałem na drzewa i dodałem: – Wydawało mi się wcześniej, że slysze ptaka. Od tak dawna żadnego nie było slychać...

– Cholera, mogłoby być więcej ptaków. Moglibyśmy na nie polować – rzucił Dylan.

Nie do końca o to mi chodziło... Pomysł polowania na dzikie zwierzęta, a raczej na pozostałości po nich, trochę mnie zasmucił, ale zachowałem to dla siebie.

Dylan wydawał się być w refleksyjnym nastroju i kiedy ruszyliśmy w stronę hotelu, zmarszczył brwi i zwrócił się do mnie:

– Mogę ci coś wyznać?

– Ale wiesz, że nie miałem żadnych święceń kapłańskich... – Uśmiechnąłem się. – Nie ocalę twojej duszy.

– Bardzo zabawne. Nie, ja... Wiesz, zazdrościłem mu przez chwilę.

– Komu?

– Van Schaikowi. Idealny strzał w głowę i już go nie ma. Nie musi już martwić się o jedzenie, o grupę, o walkę i o to, czy pozostanie przy życiu, ani o użeranie się z pyską blondynką, żeby oddała mu amunicję. Nawet na nas nie patrzył... To musiało być jak zgaszenie światła.

Nie byłem pewien, co powiedzieć.

– Nie martw się – dodał. – Nie będę tego sprawdzał. Po prostu pomyślałem, że... może poszedł w lepsze miejsce. I przez chwilę byłem o to zazdrosny.

– Wierzysz w Niebo?

– Nie jestem pewny.

– Cóż, to rozsądna odpowiedź.

– Ale ty musiałeś w nie kiedyś wierzyć. Co się zmieniło? Straciłeś wiarę? Jesteś teraz ateistą?

– Nie, nie ateistą. Bardziej agnostykiem. Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie będę mieć pewności, więc równie dobrze mógłbym skupić się na pracy, którą mam do zrobienia w tym życiu.

Pokiwał głową.

– I chciałeś trochę pobzykać, prawda?

– O tak. I to jeszcze jak.

Obaj zaczęliśmy się śmiać.

– Jeśli coś może odwrócić młodego człowieka od Boga, to tylko to – powiedział.

Dylan przyglądał mi się przez chwilę, jakby chciał zapytać o coś jeszcze. Może o mnie i o Tomi, a może o moje śledztwo. Ale chyba postanowił to jeszcze przemyśleć.

– Gdzie jest apartament królewski? – zapytałem nagle.

Zawahał się chwilę i zobaczyłem, że stracił rytm kroków, tak jakby moje pytanie fizycznie wytrąciło go z równowagi.

– Nie mamy tu apartamentu królewskiego. Niektóre pokoje są ładniejsze, większe, ale nie królewskie. Dlaczego pytasz?

– Bez kontentego powodu. Mój pokój jest taki mały. Myślałem o przeprowadzce.

– Aha.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, ludzie zaczęli się schodzić do restauracji na lunch. Kilkoro z nich rzuciło nam powściągliwe spojrzenia i ukłoniło się. Wiedzieli, w czym właśnie uczestniczyliśmy.

Tomi, tak jak przypuszczałem, poszła na górę. Dylan pożegnał się ze mną i poszedł do niej po amunicję.

W holu dostrzegł mnie Rob. Podszedł do mnie i wręczył mi papierosa.

– Wpadnę przez ciebie w uzależnienie – powiedziałem, ale pozwoliłem sobie podpalić.

– Jak było?

– Wydawało mi się, że słyszę ptaka – odpowiedziałem.

Jego twarz rozjaśniła się.

– Jaki gatunek?

– Sorry, ale nie wiem. Nie widziałem go, to po prostu brzmiało jak ptak. Nie umiem rozróżnić ich głosów.

– Okej... Czy brzmiało jak gruchanie, kłaskanie czy raczej ćwierkanie?

Uśmiechnąłem się.

– Trochę jakby pipipi.

Nasz śmiech przyciągnął kilka spojrzeń i pomyślałem, że muszę sprawiać wrażenie bezdusznego. Musieliśmy zabić jednego z naszych. Nie potrafię przewidzieć, jaki to będzie miało wpływ na grupę.

Dzień sześćdziesiąty szósty (3)

Mam jeden dzień opóźnienia. Ale najpierw muszę skończyć pisać o dniu, w którym straciliśmy Nicholasa van Schaika.

Wydarzenia nabrały tempa w porze obiadu, kiedy Dylan, Adam i ja wróciliśmy na polanę z łopatomy, żeby go pochować. Rob poszedł z nami, ale odłączył się od grupy, gdy tylko weszliśmy do lasu. Poszedł szukać ptaka, o którym wspomniałem wcześniej. Na twarzy miał uśmiezek, w dłoniach trzymał aparat, a oczami skanował górne gałęzie. Nie widziałem, jak znika.

Gdy zbliżaliśmy się do miejsca, w którym zostawiliśmy ciało, nasłuchiwałem każdego odgłosu ptaków, przyrody, ale tym razem nic nie słyszałem. Tylko wiatr falował w koronach drzew, a szelest uschniętych liści był niepokojąco głośny.

– To tutaj – powiedział Dylan.

Rozejrzeliśmy się, ale nigdzie nie znaleźliśmy ciała. Nie było go tam.

– Wszystkie polany wyglądają tak samo, więc może jednak gdzie indziej... – stwierdził Adam.

– Nie. To jest na pewno to miejsce – upierałem się. – To było tutaj. Jestem przekonany.

Machnąłem ręką po liściach, a Dylan skinął głową.

– Tak, ja i Tomi byliśmy przy tym drzewie. Peter stał tu, o tutaj. A van Schaik tam.

– Więc... – Adam oparł się na swojej łopacie, marszcząc brwi. – W czym rzecz?

Spojrzałem na Dylana.

– To było tutaj – powtórzył. – Popatrzcie! Krew!

I to była krew. Dokładnie tam, gdzie powinna.

– Dlaczego więc go nie ma? Jak? – Adam zaczął podskakiwać w miejscu, szcękając zębami na zimnie. – Ile razy do niego strzeliła? Czołgał się?

– To Peter strzelał. W głowę. – Dylan rozgarnął stopą liście, szukając śladów krwi. – I uwierz mi, nigdzie się nie czołgał.

– Nie żył – powiedziałem, ale potem straciłem pewność siebie. – On nie żył, prawda?

– Na pewno był martwy. Peter strzela bardzo dobrze. Wszyscy to widzieliśmy.

– Więc co się stało? – chciał wiedzieć Adam.

Nagle ogarnęło mnie pragnienie, żeby jak najszybciej wziąć nogi za pas i wrócić do hotelu. Musiało to odmalować się na mojej twarzy, ponieważ Dylan wyciągnął rękę, chwycił mnie za ramię i niskim, spokojnym głosem powiedział:

– Uspokój się. W tych lasach wciąż żyją zwierzęta. Któreś z nich mogło zaciągnąć gdzieś ciało.

Adam nie wydawał się przekonany.

– Że niby wilki? Albo niedźwiedzie? Jakie zwierzę przeciągnęłoby ludzkie ciało?

– Inni ludzie? – wydukałem, oszołomiony. – Nie ma tutaj żadnych wilków. Nigdy ich nie słyszałem.

– Może tak być. – Dylan westchnął. – Promieniowanie mogło wygnać je dalej, na północ. I z rzadka mieliśmy tu niedźwiedzie. W dwa tysiące trzynastym roku był jeden, ale został zastrzelony.

– Czyli w tych lasach nie ma zwierząt, które mogłyby przeciągnąć ludzkie ciało? – powtórzyłem.

– Nie. To raczej mało prawdopodobne.

– Kurwa mać! – Adam położył dłoń z tyłu za głową, oczy miał szeroko otwarte. – Kurwa! Kurwa!

– Uspokój się. Wracamy do hotelu. – Głos Dylana ucichł niemal do szeptu. – Upewnimy się, że wszystkie nasze wejścia są zabezpieczone, i pogadamy o tym.

– Daj spokój, hotel jest taki ogromny, że ktoś mógł się już w nim ukryć, a my nawet o tym nie wiemy!

– Do kurwy nędzy, Adam! – Rzuciłem łopatę. – Pierdol się!

– Tylko mówię...

– Wiem, przepraszam, po prostu... Po co to powiedziałeś? Jezu!

Dylan potrząsnął mną.

– Trzymaj się, stary. Zachowajmy spokój, wrócimy do hotelu i tam zdecydujemy, co dalej. Mamy broń, więc możemy przeszukać to miejsce centymetr po centymetrze, jak w wojsku. Ale nie wolno nam panikować.

Podziwiałem jego postawę. To był najbardziej przerażający moment od pierwszego dnia. Bałem się bardziej niż w sklepie, kiedy to moi koledzy zostali zastrzeleni na moich oczach. Ale to... To był zupełnie inny rodzaj strachu. To był strach przed czymś, czego jeszcze nie widzieliśmy, najgorszy scenariusz, jaki tylko mógł powstać w naszych umysłach.

Atmosfera cały czas gęstniała. Podnieśliśmy łopaty i opuściliśmy polanę. Obejrzałem się, żeby jeszcze raz wszystko sprawdzić, ale ciało ewidentnie zniknęło. I wtedy to do mnie dotarło...

– Nie możemy wracać – powiedziałem.

– Poważnie? A dlaczego? – spytał Adam.

– Rob jest gdzieś tutaj. Szuka ptaków. Nie możemy tak po prostu go zostawić, gdy... – Nie chciałem wypowiadać tych słów na głos.

– Masz przy sobie broń? – spytał Adam Dylana.

– Nie, nic ze sobą nie wziąłem.

– W takim razie nie możemy tu zostać i go szukać.

– Chłopaki... – Rozłożyłem ręce. – Dajcie spokój, przecież to Rob. On o niczym nie wie, trzeba go ostrzec!

– Nic tu po nas. Nie pomożemy mu bez broni, tylko sami wpadniemy w zasadzkę – odparł Dylan, biorąc głęboki oddech. – Wiem, że źle to wygląda.

Lepiej wróćmy do hotelu i się przygotujmy. Nie chcę tu teraz być. Nie wiem, jak wy, ale ja wracam po broń.

Spojrzałem w las i z jakiegoś powodu, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, krzyknąłem:

– Rob!

Adam walnął mnie w pierś.

– Zamknij się, kurwa! Co ty robisz?!

– Jeśli on jest w pobliżu, to nas znajdzie.

– Nie, idioto! Właśnie zdradziłeś, że jest tu gdzieś jeden z nas! Zupełnie sam!

Wpatrywałem się w przestrzeń między Dylanem a Adamem i czułem się osłabiony z przerażenia.

– O kurwa... Nie pomyślałem o tym...

– Daj spokój! – Dylan przejął inicjatywę, ciągnąc mnie za ramię. – Ruszajmy stąd. Możemy się o to spierać w hotelu.

Nic więcej nie powiedziałem. Wciąż wpatrywałem się w drzewa, mając nadzieję, że zobaczę Roba, ale on nie odpowiedział na moje wołanie. Nie widziałem też nikogo innego.

Gdy tylko wróciliśmy do hotelu, poszedłem do baru, przygnieciony poczuciem winy. Dylan i Adam poszli na górę, by zawołać Tomi i omówić kwestię broni oraz przeszukiwania budynku. Oparłem łopatę o krzesło. Po chwili przeszła obok mnie Sophia i zapytała, czy wszystko w porządku.

– Nie widziałaś, czy może Rob już wrócił? – zapytałem. – Przed nami?

Potrząsnęła głową.

– Nie, ale nie było mnie tu przez cały czas. Sprawdź w jego pokoju.

– Tak, to ma sens.

Ale Roba nie było w pokoju. Dylan sprawdził. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu zacząłem się modlić. Modliłem się, żeby Rob nie zginął przeze mnie.

Zamknęliśmy wszystkie wejścia i zaczęliśmy rozmawiać o zorganizowaniu małych grup, które przeszukiwałyby pokoje. Każdy z nas mógł zamknąć swoje

drzwi na klucz, więc nikt się nie martwił nalotem na własny pokój. Cała reszta wydawała się teraz dzikim pustkowiec.

W barze, gdzie wszyscy zebraliśmy się po raz kolejny, Dylan ogłosił, że kilka małych grup będzie przeszukiwać hotel – piętro po piętrze, pokój po pokoju – ponieważ zaistniało ryzyko, że mógł się tu dostać jakiś intruz. Nie wspomniał o tym, że ciało zniknęło.

Wszyscy wyglądali na zmęczonych i wystarczająco zestresowanych pierwszą połową dnia.

– Myślisz, że jest tu ktoś obcy? – zapytał Haru.

– Nie wiemy tego na pewno – odpowiedział Dylan z niezwykłym opanowaniem. – Kilku z nas zauważyło dziś rano coś podejrzanego w lesie. Minęło już trochę czasu, odkąd przeszukiwaliśmy to miejsce. Warto powtarzać to raz na jakiś czas, tak dla bezpieczeństwa.

Odpowiedź zadowoliła chyba pana Yobarię. Za to zdecydowanie mniej Petera, który podniósł rękę.

– Co dokładnie było takie podejrzanego?

– Nie chcę wchodzić w szczegóły.

– Ale ja chcę wiedzieć.

Dylan spiorunował go wzrokiem.

– Nie chcę w to wchodzić, ponieważ być może to nic poważnego i nie można siać paniki.

Nikt inny się nie odezwał, więc Peter wycofał się i tylko pokręcił głową.

Po raz kolejny przeskanowałem całe pomieszczenie, ale nie było ani śladu Roba. Jeszcze nie wrócił, a nie było go już od dwóch godzin. Napotkałem wzrok Adama, który robił dokładnie to samo.

Rob był najłagodniejszym i najlepszym człowiekiem z nas wszystkich. Miałem nadzieję, że nic mu się nie stanie, ponieważ utrata go byłaby naprawdę dotkliwa.

– Czy możemy porozmawiać o czymś innym, korzystając z okazji, że wszyscy tu jesteśmy? – spytała Lauren z odległego kąta, trzymając się za rękę

z Lex. – Czy możemy porozmawiać o racjach żywnościowych?

Kilka osób przytaknęło, w tym Mia i Sophia.

– O co chodzi? – spytał Dylan.

– Zauważyliśmy, że racje stają się coraz mniejsze. Powiedziałeś, że mamy sporo zapasów. Dlaczego musimy już zacząć głodować?

– Zgadzam się – powiedziała Sophia. – Nie widzę żadnego powodu. Przez większość czasu wszyscy chodzą głodni.

– Idzie zima i nie chcemy obudzić się wtedy z zaledwie kilkoma puszkami jedzenia – wtrącił Adam.

– Ale możemy teraz zdobyć więcej jedzenia. Nie rozumiem, dlaczego musimy panikować... Jakie to było słowo?

– Przedwcześnie? – podpowiedziałem.

– Tak. Nie rozumiem, dlaczego musimy panikować przedwcześnie. – Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby Sophia zabierała głos.

Dylan zamilkł, zastanawiając się chwilę.

– Kolejne wyprawy po żywność będą coraz bardziej odległe. Trzeba będzie pojechać do miasta. Będzie to oczywiście bardziej niebezpieczne, a my nie możemy... nie możemy zagwarantować, że wrócimy żywi. Podczas ostatniej podróży natknęliśmy się na ludzi, ludzi z tego hotelu, którzy nas zaatakowali i których musieliśmy zabić w obronie własnej. Trzeba pamiętać, że nie zawsze będziemy mieć tyle szczęście.

– Nie mówiłeś, że ktoś zginął – powiedziała Yuka.

– Mówię to teraz. Dlatego zdecydowałem, że rozsądniejsze będzie cięcie racji żywnościowych, ale... jeśli uważacie, że to błąd, to dlaczego nie zagłosujemy? – Wzruszył ramionami. – Nie chcę patrzeć, jak głodujemy, ale nie chcę też narażać mężczyzn i kobiet, którzy zgłaszają się na ochotnika, aby w poszukiwaniu jedzenia ryzykowali bardziej niż to konieczne. Nie chcę na nich wywierać takiej presji.

Cisza.

– No więc – powiedział Dylan. – Chcecie głosować?

Wiele osób spojrzało na mnie, Mię, Adama i Tomi. Tak jakby próbowali sami siebie przekonać, że obawa o nasze życie jest silniejsza niż narastające uczucie głodu. Nikt jeszcze nie zapytał, gdzie jest Rob. I miałem nadzieję, że uda nam się przejść przez całe spotkanie bez tego pytania.

– Jak często będziemy musieli szukać jedzenia, jeśli nie zmienimy racji? – zapytała Sophia.

– Nie jestem pewny... Powiedziałbym, że co najmniej cztery razy w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Zakładając oczywiście, że kolejne wyprawy będą tak udane jak ta pierwsza.

Adam wydawał się przerażony.

Dla mnie to też było kompletne zaskoczenie.

Tomi spojrzała na mnie zza baru.

– Wiem – dodał Dylan. – Nikt nie chce tego robić, ale na pewno będziemy musieli zwiększyć racje żywnościowe w zimie. Pamiętajcie o tym. Nie wiemy, jaka będzie temperatura. Możemy nawet nie być w stanie stąd wyjechać. Musimy więc mieć więcej jedzenia, niż nam się wydaje.

Sophia kiwnęła głową.

– Zagłosujmy – powiedziała. – To jedyne uczciwe rozwiązanie.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem. – Dylan skrzyżował ramiona. – I dotyczy on uczciwości właśnie. Każdy, kto zgłasza za zwiększeniem racji żywnościowej, musi zgłosić się do mnie na ochotnika do kolejnych wypraw po żywność.

– Nie możesz ludzi do tego zmuszać – mruknął Sasha, ukryty przed moim wzrokiem za siostrą-bliźniaczką.

– To niesprawiedliwe narażać na niebezpieczeństwo tylko pięć lub sześć odważnych osób. Jeśli chcecie zagłosować, to musicie być gotowi na ryzyko związane z takimi akcjami. – Dylan bronił swego stanowiska, wysuwając szczękę do przodu.

– To i tak niesprawiedliwe! – zbulwersował się Adam. – Powinniśmy zrobić grafik. Jeśli myślicie, że będę znów jeździł na wyprawy i ryzykował własny

tyłek dla ludzi, którzy chcą tylko chować się po kątach i jeść więcej, to wypierdalacie, moi drodzy.

– Rozumiem cię, Adam – powiedziała Tomi. – I zgadzam się.

– A co z tymi, którzy mają dzieci? – spytała Yuka.

– Hej, uważasz, że skoro urodziłaś, to masz większe prawa do przeżycia niż my? – warknęła Tomi. – Siadaj!

– A kto będzie opiekował się naszymi dziećmi, jeśli coś nam się stanie?

– Grupa, oczywiście – odpowiedział Dylan. – Nie jesteśmy potworami.

– To nie do przyjęcia – stwierdziła Yuka.

– A ryzykowanie naszym życiem? – Tomi uniosła brwi. – Można nim szastać, ponieważ nie jesteśmy rodzicami, tak?

Cisza.

– Tak uważacie?

– Skręcamy w ślepią uliczkę – wtrąciłem, zanim sytuacja stała się jeszcze bardziej nieprzyjemna. – Myślę, że sugestia Dylana jest sprawiedliwa. Na wyprawy nie mogą jeździć ciągle te same osoby. To niebezpieczne i wymaga dużo wysiłku.

– Powiedziałeś, że Tania nie musi jeździć – zauważyła Sophia.

Tania oparła się o ścianę, ale jej wyraz twarzy był stanowczy.

– Zgłosiłam się na ochotnika, nie pamiętasz?

– Może gdybyś chodziła do szkoły medycznej, a nie rodziła dzieci, twoje życie byłoby cenniejsze – mruknęła Tomi.

– Wychodzi na to, że niektórzy ludzie są bardziej wartościowi niż inni – powiedział Peter.

– Nie wciskajcie mi tego gówna – odrzekła Tomi. – Bycie rodzicem nie czyni cię wartościowym. W przeciwieństwie do umiejętności ratowania życia! Jestem świetnym strzelcem i przywiozłam waszym niewdzięcznym dupskom więcej jedzenia. Więc, przykro mi, jestem bardziej wartościowa niż ktoś, kto kiedyś nie zażył pigułki „po”!

Tym razem sprzeciw był głośniejszy. Atmosfera robiła się coraz gorsza. Grupa zaczęła powoli dzielić się na dwie frakcje. Po jednej stronie stali Dylan, Adam, Tania, Tomi, Mia, ja i niektórzy członkowie personelu. Z drugiej strony były inne młode kobiety, rodzina Yobarich i Peter.

Tomi trzymała jedną rękę za plecami i po jej postawie widziałem, że ma przy sobie pistolet. Wpatrywała się w Petera z otwartą nienawiścią.

– Gdyby tak każdy mógł po prostu zamilknąć na dwie sekundy! – krzyknął Adam. – Dylan przedstawił słuszną sugestię. Głosujmy. Albo wszyscy jemy więcej i wszyscy jeździmy na wyprawy, albo jemy mniej i niektórzy nie muszą jeździć.

– Masz na myśli, że niektórzy będą żerować na innych – powiedziała Tomi.

– Co powiedziałaś? – warknął Peter, podchodząc do niej.

– To, co słyszałeś.

– A gdzie byłaś podczas polowania na jelenia?

– Zamknijcie się! Oboje! – Dylan stanął między nimi, przejmując kontrolę.

Nie zdając sobie z tego sprawy, również zrobiłem krok w kierunku Tomi i czułem się tak, jakby wszyscy w pomieszczeniu to zauważyli. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem. Przecież nie potrzebowała mnie w tej walce. W takich momentach łatwo było dostrzec, jak zwierzęcy instynkt może przejąć kontrolę nad ludźmi i w jaki sposób grupy zamieniają się w plemiona walczące o zasoby i terytorium.

– Głosujmy – powiedział Dylan. – Jeśli chcecie się pozabijać w pojedynku, to zróbcie to w wolnym czasie i daleko stąd. Ale nie zapominajcie, że jeśli ktoś tutaj z premedytacją zrani inną osobę, sprawiedliwości będzie musiało stać się zadość. Przerabialiśmy to dzisiaj.

Kiwnąłem głową.

– Dajcie spokój, ludzie, on ma rację. Zróbmy to uczciwie.

– Tania musi być uwzględniona – powiedział Peter. – Jeśli ma być sprawiedliwie.

– To tak jakbyś się prosił o śmierć z powodu infekcji. – Roześmiała się Tomi.
– Nie żebym cię żałowała...

Tania wtrąciła się, zanim Peter zdążył się odezwać:

– Posłuchajcie, robiłam już podstawowe szkolenie medyczne. Może przed następną wyprawą zorganizuję taką grupę i poświęcę kilka tygodni na przeszkolenie jej. W ten sposób, jeśli zginę, nie będzie musiało to oznaczać...

– ... końca gry dla wszystkich – skwitowała Tomi. – W przeciwieństwie do sytuacji, kiedy zginie ktoś, kto postanowił mieć dzieci i tylko z tego powodu uważa się za lepszego od innych.

– Rozumiemy, rozumiemy! – rzuciłem szybko, kiedy Yuka znów szykowała się do kłótni. – Tania, to świetny pomysł. Jeśli zorganizujemy szkolenie, a grafik obejmie wszystkich, czy będziecie uszczęśliwieni?

Wszyscy spojrzeli po sobie.

– Może nie uszczęśliwieni... – łagodził moje słowa Dylan – ale czy uważacie, że to byłoby sprawiedliwe?

Kilka osób przytaknęło.

Tomi spojrzała na Petera, jakby chciała powiedzieć: „I co teraz?”. Dylan też na niego spojrzał. W końcu Peter westchnął.

– Tak, to byłoby sprawiedliwe. Jeśli będzie dotyczyć nas wszystkich.

– Czy wszyscy się z tym zgadzają? – Dylan upewnił się, wychodząc na środek pomieszczenia.

Nikt nic nie powiedział.

– Dobrze. Głosujemy. Opcja pierwsza: robimy więcej wypraw i zwiększamy racje żywnościowe, pod warunkiem że stworzymy grafik, który obejmie wszystkich. Wszyscy, którzy są za, podnoszą rękę.

Wszyscy z lewej strony sali podnieśli rękę. W rzeczywistości jedynymi osobami, które tego nie zrobiły, byliśmy ja, Adam i Tomi.

– I proszę – powiedział Dylan. – Demokracja w akcji... Czyż nie jest piękna?

A potem opuścił bar.

Dzień sześćdziesiąty szósty (4)

Przez resztę popołudnia chodziłem po holu. Nie mogłem się zmusić, żeby sobie stamtąd pójść, bo cały czas czekałem na Roba. Zrobiłem tylko jedną przerwę, by przebiec się po hotelu, w górę i w dół klatki schodowej. Chodziło o utrzymanie podstawowego poziomu sprawności fizycznej i oderwanie na chwilę myśli. Wpadłem kilka razy na Dylana i grupę, która sprawdzała pierwsze trzy piętra.

Wracając, zatrzymałem się pod pokojem Tomi i zapukałem.

– Tak?

– To ja.

Zachrobotął zamek, zasuwka przesunęła się i drzwi się otworzyły.

– Co tam?

Wyglądała, jakby się zdrzemnęła. Jej włosy były w nieładzie, a oczy lekko czerwone i opuchnięte. Zaskoczyło mnie, jaka była ładna, gdy się wyluzowała.

– Rob wciąż nie wrócił.

– Nie wiedziałam, że go nie ma.

Rozejrzałem się po korytarzu.

– Wyszedł z nami, gdy poszliśmy pogrzebać Nicholasa. Zamierzał poszukać ptaka, którego ja słyszałem dziś rano. I nie wrócił.

– Pewnie stracił poczucie czasu. Poza tym na pewno robi coś fajnego...

– Nie. – Jeszcze jedno spojrzenie na korytarz. – Ciało zniknęło. Nie zakopaliśmy go.

– Jak to, kurwa, zniknęło?

– No zniknęło! Van Schaika nie było tam, gdzie go zostawiliśmy. Ktoś go zabrał. Albo coś.

Zrobiła dziwną minę.

– Niewiele wiem o zwierzętach żyjących w okolicy, ale niby co? Wilki?

– W tych stronach nie ma wilków. I nie ma niedźwiedzi. Dylan jest tego pewien.

– Ktoś jeszcze o tym wie? – Pochyliła się.

– Tylko ja, Dylan i Adam.

Wzięła mnie za rękę, wciągnęła do środka i zaryglowała drzwi.

– Więc myślisz, że tam są jacyś ludzie?

– Muszą być, no bo cóż innego?

– Cholera.

– Wiem.

– A jeśli to ludzie, to jedynym powodem, dla którego zabrali zwłoki, jest...

– Wiem i nawet nie mogę o tym myśleć.

Siedząc na skraju łóżka, potarła twarz, by się obudzić.

– Jak długo go nie ma?

– Jakies cztery godziny.

Spojrzała przez ramię na okno. Robiło się ciemno.

– Co sugerował Dylan?

– Powiedział, że musimy najpierw zabezpieczyć hotel, zanim pójdziemy go szukać.

– Do tego czasu może być już za późno.

– Też tak uważam.

Uśmiechnęła się.

– Przyszedłeś do mnie, bo jestem tu, poza tobą, jedyną osobą z jakimś kręgosłupem moralnym?

– W skrócie... tak. Może. – Nerwowo się uśmiechnąłem. – Wiem, że nie wyprostuje to spraw między nami... Ale to nie w porządku, że go tam zostawiliśmy. Nie ma pojęcia, że jest w niebezpieczeństwie.

– Cóż, chyba wybiła godzina i tak dalej... – Wstała. – Umiesz sobie radzić z bronią, prawda?

– Chyba wybiła godzina, kiedy mógłbym trafić do celu... nieruchomego.

– Super. Dostaniesz broń, którą zabrałam twoim znajomym ze sklepu.

Otworzyła szufladę i podała mi pistolet, z którego Jessie mierzyła do mnie tydzień wcześniej.

Wziąłem go do ręki. Zawsze zapominam, jakie są ciężkie.

– Chcesz powiedzieć Dylanowi, że idziemy? – zapytała.

– Nie sądzę, żeby nas puścił.

– Ale byłoby dobrze, żeby przynajmniej jedna osoba o tym wiedziała.

– Powiemy Adamowi. – Rozejrzałem się po pokoju. – Myślisz, że musimy wziąć ze sobą coś jeszcze?

Rzuciła mi spojrzenie, które sprawiło, że poczułem się malutki.

– Noże, oczywiście.

Adam wybierał się z nami, ale Tomi nie chciała o tym słyszeć. W hotelu musiał być ktoś, kto wiedział, gdzie jesteśmy, i kto rozumiałby powagę sytuacji. Niechętnie, ale się zgodził. Powiedział, że daje nam dwie godziny, a potem posyła po nas Dylana.

– Jeśli nie wrócimy za dwie godziny, to należy założyć, że w ogóle nie wrócimy – stwierdziła Tomi, wywołując u mnie mdłości.

Opuściliśmy hotel, gdy tylko słońce zaczęło znikać za drzewami. Miałem mały plecak z dodatkową amunicją i butelkę wody. Do paska przymocowałem nóż. Tomi przyniosła taśmę maskującą, rolkę drutu, latarkę oraz noże i jeszcze więcej amunicji.

Ona przeżyje nas wszystkich. Właśnie teraz zdałem sobie z tego sprawę. Radzi sobie w taki sposób, w jaki reszta by nie potrafiła. Gonimy z zadyszka z nowym światem, który został nam narzucony. A Tomi stała się tym światem.

Tym razem odgłos naszych kroków na martwych liściach wydawał się znacznie głośniejszy. Im ciszej próbowałem się zachowywać, tym więcej

robiłem hałasu.

– Z pewnością w mieście wciąż jest na tyle dużo żywności, że nikt nie musi się do tego uciekać – szepnąłem.

– I co z tego. Ludzie muszą gromadzić zapasy – odpowiedziała. – Pomyśl. Przez kilka kolejnych dni po wybuchu wojny wszyscy biegną do najbliższych sklepów i zabierają tyle, ile zdołają unieść. Tym, którzy nie mają schronienia lub nie chcą zostać złapani w mieście, nie pozostaje nic innego, jak zerować na padlinie.

– Myślisz, że nam też to się przydarzy?

– Myślę, że Dylan próbuje utrzymać morale i nie można go za to winić. Ale nie sądzę, żeby zostało dużo jedzenia. Prędzej czy później będziemy musieli zacząć napadać na innych albo przenieść się w inne miejsce.

Zatrzymałem się. Myśl o opuszczeniu hotelu sprawiła, że poczułem się dziwnie zdenerwowany. W mniejszym lub większym stopniu hotel zapewniał nam dotąd bezpieczeństwo. W porównaniu z resztą świata mieliśmy dużo szczęścia. Mieliśmy pokoje i zapasy, a nawet trochę luksusów. Teraz to był nasz dom.

Tomi zobaczyła moją minę i również przystanęła.

– Ja też nie chcę stąd odchodzić.

– Myślisz, że będziemy trzymać się razem?

– Pewnie nie. Niektórzy ludzie nie będą chcieli słuchać Dylana. W grupie siła, a ludzie wybierają to, co znają. Jak myślisz, dlaczego my spędzamy wolny czas razem?

– Jak to?

– Jestem tu jedyną Amerykanką poza tobą. Naprawdę myślisz, że bylibyśmy przyjaciółmi, gdyby nie to?

Ruszyłem znów przed siebie. Niepokój narastał.

– Myślę, że nie.

– Dziwnych rzeczy można się o sobie dowiedzieć, kiedy lądujesz w piekle.

– Owszem.

– Wiedziałaś o tym, że jesteś odważny? No wiesz, przedtem... – Spojrzała na mnie.

– Raz dostałem od policjanta. Krzyczał na moją żonę podczas jednej z manifestacji. Ale nie, nigdy nie musiałem robić nic... heroicznego. Nigdy nie skakałem po zamrzniętym jeziorze ani nic w tym stylu.

– Jeszcze wszystko przed tobą.

Poprowadziłem nas na lewo od polany, na której zostawiliśmy van Schaika.

– Myślę, że Rob poszedł w tym kierunku. Nie zwróciłem na to zbytnio uwagi.

– Czy powiedział, dokąd się wybiera?

– Nie. Ale kiedyś opowiadał mi o jakimś jeziorze. To było wtedy, gdy mówił o ptakach, które miał zamiar sfotografować. Myślę, że to może być gdzieś tam. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze nie byłem nad tym jeziorem.

– Nie przejmowałbym się tym. Nie jesteśmy przecież na wakacjach.

Wiatr ustał, więc nie zagłuszał chrzęstu liści pod naszymi stopami. Trzymałem ręce przed twarzą i odgarniałem przed sobą gałęzie.

– Nie powinniśmy tu zostawać, gdy robi się naprawdę ciemno – powiedziałem.

– Ale wtedy nikt nas nie zobaczy – zauważyła.

– Niby tak, tyle że możemy niechcący zastrzelić Roba.

Wydawało mi się, że słyszę coś w oddali, więc zatrzymałem się, czekając na kolejny dźwięk. Tomi też stanęła. Staliśmy do siebie plecami, jakby instynktownie, bo kontakt fizyczny dodawał nam pewności siebie.

– Jak to robisz, że tak dobrze radzisz sobie z tym wszystkim? – spytałem cicho.

– A dlaczego myślisz, że tak dobrze sobie radzę? – Opierała się o moje łopatki, więc poczułem, jak wzrusza ramionami. – Szczerze mówiąc, nie lubiłam za bardzo ludzi ani... bycia częścią społeczeństwa. Lubiłam się uczyć. Uwielbiałam robić różne rzeczy, ale ludzi nie za bardzo.

– Miałaś chłopaka albo...?

– Nie. Nie przepadam za długotrwałymi związkami.

– To zaskakujące.

– Dlaczego, bo jestem atrakcyjna?

– Nie, bo jesteś... To zaskakujące i tyle.

– Nigdy nie odczuwałam potrzeby, żeby być w jakiejś romantycznej relacji. Może jestem aromantyczna, nie wiem. Nigdy nie spojrzałam na kogoś i nie pomyślałam: „Chcę być z tobą”. Patrzyłam na ludzi i myślałam: „Chcę się z tobą przespać, ale potem idź sobie”.

– Nie uważasz, że to brzmi jak choroba?

– Znów wyłazi z ciebie arogancja? – Prychnęła. – Jeśli to nie jest problem dla mnie, to w czym problem?

– Racja. Ale sama powiedziałaś, że twoja postawa może być jednym z powodów, dla których sobie z tym wszystkim radzisz. Na przykład z zabijaniem ludzi i...

– Jak to „radzę sobie z zabijaniem ludzi”. Jak w ogóle śmiesz!

– Ciii! – Schyliłam się trochę, ona też.

Las szeleścił cicho pod wpływem delikatnej bryzy, ale nie dostrzegłem żadnego ruchu. Drzewa stawały się coraz gęstsze i coraz mniej światła do nas docierało. Wyprostowałam się i zacząłem iść dalej. Chciałem dotrzeć do jeziora i wrócić, zanim zrobi się ciemno.

– To było okropne. Nie mówi się takich rzeczy.

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.

– Nie jestem socjopatką tylko z tego powodu, że nie lubię związków. Obchodzi mnie los ludzi z hotelu. Po prostu nie będę marnowała energii, płacząc nad czymś, co i tak trzeba zrobić w konkretnej sytuacji. A już na pewno, do cholery, nie będę płakać nad jakimś gwałcicielem.

– W porządku. Przepraszam. Wiem, że nie jesteś złym człowiekiem.

– To może przestań być dupkiem. Oczywiście, pewne relacje z ludźmi traktuję trochę poważniej.

– Co masz na myśli?

– Wciąż z tobą rozmawiam, prawda? Bóg wie dlaczego.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, nikogo ani niczego nie widząc. Potem nagle Tomi przykucnęła.

Spojrzałem przez ramię, a ona podniosła coś z ziemi.

– Co to? To Roba?

– Pięć franków – powiedziała.

– Mogą tu leżeć od zawsze.

– Wiem, po prostu... – Zaśmiała się. – Tyle ludzi zginęło przez takie coś, prawda?

Zmarszczyłem brwi, a ona obracała monetę, jakby nigdy wcześniej nic takiego nie widziała.

– Tyle ludzi za to zginęło! – powtórzyła, wymachując monetą. – Czy teraz nie wydaje ci się to szalone?

Naprawdę niespecjalnie rozmyślałem o tym, dlaczego to wszystko się zdarzyło. A na pewno nie aż tyle, ile mi się na początku wydawało. Próba przetrwania zabiera dużo energii. Jeśli nie starałem się akurat przetrwać, pisałem. Celowo zajmowałem umysł innymi zadaniami, na przykład próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o dziewczynce ze zbiornika na wodę lub sporządzałem listy praktycznych umiejętności, których należało by się nauczyć. Powód, dla którego to wszystko się wydarzyło, wydawał się nie mieć dla mnie znaczenia. Przestałem sobie zadawać pytania „dlaczego?” i przerzuciłem się na „jak?”.

A jednak wciąż mam wrażenie, że zawodzę Harriet Luffman. Nie jestem ani o krok bliżej znalezienia jej zabójcy. Ale czy nie zawsze wydaje nam się, że czas nas goni.

– To tak jakbyśmy wszyscy obudzili się z tego samego koszmaru. – Tomi wycelowała w drzewa i rzuciła monetę najdalej, jak potrafiła.

Wodziłem za nią oczami, podążałem za jej ruchem i dokładnie w tym momencie uświadomiłem sobie, że szum liści się nasilił.

– O! – powiedziała nagle. – Jest i jezioro.

Przedarliśmy się przez zarośla. Jezioro migotało królewskim błękitem, otoczone przez kołyszące się trawy. Miało jakieś dwa, może nawet trzy kilometry długości i skręcało nieco w lewo. Ale nigdzie nie było tam Roba. Nikogo nie było.

Cieszyłem się, że dotarliśmy nad jezioro, zanim zapadł zmrok. To była jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałem od wielu dni, a może w ogóle odkąd to wszystko się stało. Zapragnąłem tu przychodzić codziennie i biegać dokoła. Gdybyśmy upewnili się, że jest tu bezpiecznie, może i mógłbym...

– Czy powinniśmy je obejść? Starczy nam czasu? – Wpatrywała się w pokrywę z chmur, przez którą przechodziło kilka promieni umierającego słońca. Na powierzchnię jeziora rzucały eteryczną poświatę, która oświetlała nas na krótką chwilę przed zniknięciem.

Drzewa na brzegu stawały się coraz czarniejsze.

– Powinniśmy iść – powiedziałem.

– Widziałeś? Słońce się na chwilę pokazało?

– Tak, czasem wychodzi na moment.

Była smutna, jakby roztargniona.

– Masz rację, chodźmy. Niedługo nic nie zobaczymy.

Odwróciliśmy się, a kiedy ponownie ruszyliśmy w stronę lasu, wpadłem w panikę, że nie uda nam się znaleźć drogi powrotnej.

– Nie sądzisz, że w pewnym momencie mogliśmy zboczyć z trasy? – spytałem.

– Zamknij się i nie strasz mnie! Ale z ciebie mazgaj.

Złapała mnie za ramię lewą ręką. W prawej trzymała pistolet.

Na szczęście w drodze powrotnej nie mieliśmy żadnych problemów i wróciliśmy do hotelu cali i zdrowi.

Od razu zobaczyliśmy Dylana i Adama stojących w wejściu. Czekali na nas.

Dylana aż nosiło ze złości i, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, podbiegł do nas i walnął mnie w ramię.

– Ty pieprzony głupku!

– Dzięki, kapusiu! – Tomi krzyknęła do Adama.

– Zrobiło się ciemno, okej? Nie wiedziałem, czy uda wam się trafić z powrotem.

Pocierając ramię, powiedziałem:

– Musieliśmy przynajmniej spróbować poszukać Roba.

– Cóż, zupełnie niepotrzebnie. Wrócił dosłownie chwilę po waszym wyjściu.

– Dylan wycelował palcem w kierunku baru, gdzie, jak przypuszczałem, siedział Rob.

– Cholera, wszystko z nim w porządku? – zapytała Tomi.

– Z nim tak. Ale u nas nie jest w porządku. Mamy kurewsko duży problem.

Dzień sześćdziesiąty szósty (5)

Ja, Dylan, Adam, Rob i Tomi zaszyliśmy się w barze. Adam stał przy drzwiach, upewniając się, że nikt nas nie podsłuchuje. Tomi poszła do swojego pokoju i przyniosła trochę wódki. Każdy z nas wypił po kilka kieliszków. Cholera, właściwie to prawie skończyliśmy butelkę. Więc przez ostatnie trzy godziny tego dnia byłem pijany. Tak, było aż tak źle.

– Nawiasem mówiąc, prawie kończy mi się zapas – odparła Tomi, stukając w butelkę.

Rob wrócił ze zdjęciami, lecz nie ptaków, tylko ludzi. Nikt z nas nie potrafił ich rozpoznać, ale było tam około ośmiu lub dziewięciu różnych postaci. Trudno było dostrzec ich twarze, lecz wyglądali na mężczyzn. Może była wśród nich jedna kobieta, może dwie.

– Widziałeś ciało? Widziałeś... co z nim zrobili? – spytała Tomi.

– Nie mogłem podejść wystarczająco blisko, by sprawdzić, czy zabrali ciało, zdecydowanie coś jednak nieśli. Mógł to być jeleni lub... Sam nie wiem. Szedłem chwilę za nimi, ale, rozumiecie, trzymałem się najdalej, jak tylko mogłem.

– Czy są tu jakieś domy? – spytałem Dylana. – Nie mogą przecież spać na tym zimnie.

– Są, ale ponad dziesięć kilometrów stąd. Wszystko jest oddalone o kilometry.

– Więc musieli nas obserwować – powiedziała Tomi. – Mało prawdopodobne, żeby natknęli się na nas akurat dzisiaj, gdy zostawiliśmy ciało w lesie.

– Nie wiemy, czy mają ciało – przypomniał Dylan.

Tomi wzruszyła ramionami.

– Owszem, mają. Nie nieśli jelenia. Kiedy po raz ostatni wiedzieliśmy tu jelenia?

– Jest ich dużo – skomentował Adam. – Mam na myśli ludzi.

– Nas jest więcej – powiedziałem, sięgając po wódkę. – Pewnie dlatego nie nawiązali z nami kontaktu ani nas nie zaatakowali.

– Nie możemy nikomu o tym powiedzieć. Nie ma mowy. Przynajmniej dopóki nie zdecydujemy, co robić. – Dylan spojrział na nas wszystkich.

– To chore – stwierdził Adam.

Zgodziłem się z nim.

– Tania codziennie biega, a Yuka chodzi na spacer...

– Kim jest Yuka? – spytała Tomi.

– Pani Yobari. W każdym razie wiele osób chodzi na spacer. Muszą wiedzieć, co im grozi.

– Ale jeśli im powiemy, wszyscy wpadną w panikę. – Dylan obracał płyn w swojej szklance.

– Może nie wpadną. – Tomi wykonała gest ważenia rękami. – Dziś rano musieliśmy stracić gościa i wszystko przebiegło gładko, jak po maśle. Nikt nie wpadł w panikę i nie odstawiliśmy tu akcji rodem z *Władcy much*. Może więc i tym razem będzie dobrze.

– Nie będzie dobrze, jeśli zachowamy to w tajemnicy – powiedział Adam. – Wkurzą się na nas. Ja bym się wkurzył.

Dylan westchnął i wstrzymał oddech na kilka sekund.

– Radzenie sobie z problemami jako grupa to jedno, a powiedzenie im, że jesteśmy obserwowani przez grupę mężczyzn, którzy zabrali ciało... którzy zaczęli jeść ludzi... Bo z jakiegoś powodu wzięli przecież zwłoki.

– Minęły tylko dwa miesiące... – powiedziałem cicho.

– Widzieliśmy ludzi, którzy zabili się w lesie. – Tomi zadrżała. – W mieście jest bardzo niebezpiecznie. Gdybyśmy nie mieli broni, zostalibyśmy zastrzeleni w sklepie przez twoich przyjaciół.

– Znajomych – powiedziałem.

Uniosła brwi.

– Zawsze wiedziałam, że akademicy tylko czekają na wymówkę, żeby zacząć strzelać do siebie nawzajem.

Słumiłem śmiech. Reagowaliśmy nieco histerycznie ze strachu i od alkoholu.

– I tak w sklepie nie było żadnego jedzenia, poza ich zapasami – dodał Dylan, pocierając twarz, i skinął na butelkę.

Tomi mu ją podała.

Dylan wydał mi się zmęczony. Zmęczony podejmowaniem decyzji. Zmęczony koniecznością dowodzenia. Myślę, że wszyscy byliśmy zmęczeni rolami, jakie przyszło nam odgrywać. Tania miała już dość niekończącej się listy dolegliwości, braku lekarstw i ekwipunku. Tomi miała dość krzyczenia na innych, gdy nie mieli racji. Adam dał dość jasno do zrozumienia, że nie chce tu zostać. Ja byłem zmęczony wolontariatem, bo z każdym dniem rezygnacja z tego wszystkiego wydawała mi się o wiele atrakcyjniejsza.

To nie znaczy, że użalam się nad sobą. Nikt z nas się nie użalał. Ale widziałem, że Dylan był wyczerpany.

– Za chwilę wrócę – powiedziałem, wstając.

– Dokąd idziesz? – spytała Tomi.

Adam zmrużył oczy, były przekrwione od alkoholu.

– Ale nie zrobisz nic głupiego, prawda?

– Nie – odpowiedziałem. – Dajcie mi chwilę.

Wszedłem z holu i poszedłem na górę, do mojego pokoju, gdzie napisałem to, co teraz. Trochę też porozmyślałem, głównie o stanie hotelu, ale także o tym, czy to wszystko ma jakiś sens. Czego każdy z nas jeszcze szukał? Zawsze byliśmy napędzani przez iluzję postępu, zmierzaliśmy ku utopijnym ideałom i to niezależnie od tego, czy ideały te wywodziły się z religii, czy z demokracji. Ale to wszystko przepadło. Samonapędzająca się machina spłonęła.

Siedziałem teraz na łóżku, otoczony kartkami papieru, i nic z tego nie miało znaczenia. Zapisywałem to, bo było to jedyne, co umiałem robić. Ponieważ

kiedyś to była moja praca. Tyle że teraz to nic nie znaczyło. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek kiedykolwiek to przeczytał.

Byłoby łatwiej, gdyby Nadia była przy mnie. Gdybym był w San Francisco wtedy, gdy spadły bomby, a my jakimś cudem byśmy przetrwali. Bylibyśmy dla siebie sensem, nasze dzieci byłyby dla nas sensem.

Jakie to bezsensownie hipotetyczne...

Chyba chciałem przez to powiedzieć, że nie wiem, dlaczego każdy z nas wciąż tu jest. Nie wiem, co robię, i nie jestem pewien, czy chcę to robić.

Nie wiem, co robię.

Przez chwilę posiedziałem w swoim pokoju. Kiedy wróciłem do baru, wszyscy byli dokładnie tam, gdzie ich zostawiłem, tylko że teraz mieli na sobie płaszcze. Widać było, że pili dalej. Kiedy wszedłem, Tomi i Rob śmiali się z czegoś. Dołączył do nich w pewnym momencie Nathan. Dylan, Adam i Nath byli zatopieni w głębokiej dyskusji.

– Mam pomysł – powiedziałem, tak ogólnie, do wszystkich.

Tomi nagle przestała się śmiać.

– A ty gdzie poszedłeś?

– Pomyśleć. – Spojrzałem na Nathana, ale Dylan dał mi znak, żebym mówił dalej, więc założyłem, że go już wtajemniczyli. – Powinniśmy stąd odejść.

Adam: „Jesteś stuknięty, stary”.

Tomi: „Yyy, nie ma mowy?”.

Nathan: „To samobójstwo”.

Dylan: „Dlaczego?”.

Usiadłem, nie wiedząc, co dalej robić.

– Chodzi o tę grupę. Nie wiemy, ilu ich jest, ale jest ich na tyle dużo, by wysłać dziewięciu mężczyzn na polowanie. Tyle ludzi są w stanie stracić. To niepokojące.

– Chyba że robią wszystko razem i naprawdę jest ich tylko ośmiu czy dziewięciu? – wtrąciła Tomi.

– Może. Ale wydaje się to mało prawdopodobne.

– Musiałem przestać ich śledzić, gdy tylko zrobiło się ciemno – powiedział Rob. – Ale oni wciąż gdzieś szli, kiedy ich zostawiałem.

Kiwnąłem głową.

– Jeśli obserwują nas od jakiegoś czasu, a możemy przypuszczać, że tak, to wiedzą, ilu nas jest i że większość stanowią kobiety i dzieci. Nie chcę brzmieć pesymistycznie, ale mamy marne szanse przeciwko grupie mężczyzn, jeśli... jeśli zdecydują się zaatakować.

– Prawdopodobnie nie mają broni – powiedziała Tomi bardziej w powietrze niż do mnie.

– Gdyby mieli, użyliby jej. Więc albo jej w ogóle nie mają, albo skończyła im się amunicja.

– Co daje im kolejny powód, żeby nas obserwować. Chcą tego, co mamy. – Dylan potrząsnął pustą butelką.

– Tak czy siak – ciągnąłem dalej – nie sądzę, żeby stać nas było na starcie z nimi. Nie sądzę, byśmy wygrali.

– Czemu? Za dużo kobiet? – Tomi uniosła brwi.

– Nie, Tomi, po prostu nie jesteśmy... Niektórzy z nas, owszem, potrafią strzelać, ale nie wszyscy jesteśmy wojownikami.

– Chociaż niektórzy z nas potrafią walczyć, nie chcę do tego dopuścić – powiedział Dylan.

– Naprawdę jesteś po jego stronie? – Adam wskazał na mnie. – Poważnie, myślisz, że mamy jakieś szanse tam na zewnątrz?

– Kiedyś i tak do tego dojdzie – odpowiedział Dylan, patrząc na mnie. – Jon ma rację. Albo ryzykujemy śmiercią, szukając jedzenia – bo jeśli my zginiemy podczas wypraw po jedzenie, to wszystkich tutaj czeka śmierć głodowa, albo możemy poruszać się całą grupą i szukać bezpieczniejszego miejsca.

– Do tej pory było tu dość bezpieczne. – Nathan złapał za fotel.

– Może są jeszcze miejsca, w których zostały resztki cywilizacji – powiedział Rob. – Mogą być gdzieś całe metropolie albo przynajmniej małe miasteczka, które czekają, żeby nas przygarnąć.

– To jakiś bełkot – warknęła Tomi. – Już jest lodowato, a zrobi się jeszcze zimniej. I ile rzeczy będziemy w stanie unieść, idąc na piechotę, co?

– Mamy samochody – powiedziałem.

– Mamy trzy samochody. Nie wystarczy dla nas wszystkich miejsca, nie mówiąc już o bagażach i jedzeniu.

Cisza.

Dylan sięgnął pod fotel po kolejną butelkę. Nie miałem pojęcia, skąd ją wziął, ale nie pochodziła z zapasów Tomi. Napełnił swoją szklanekę, a potem moją.

– Moglibyśmy wysłać dwie lub trzy osoby samochodem, żeby znalazły jakieś miejsce. Trzeba byłoby zbadać dokładnie teren, udać się do miasta, pojechać najdalej, jak to możliwe. Jeśli gdzieś coś znajdziemy, to wracamy i ruszamy wszyscy.

– **JEŚLI** gdzieś coś znajdziemy? – zachnęła się Tomi. – To bardzo duże „jeśli”.

– Przetrawanie to zawsze bardzo duże „jeśli”, nieprawdaż? – powiedział Rob z zaskakującą lekkością.

Tomi wzięła butelkę od Dylana, kręcąc głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. Wszyscy jesteście szaleni.

– Gdzieś muszą mieszkać jacyś ludzie – powiedział Dylan, kiedy Tomi upiła trochę alkoholu. – Gdzieś musiało przetrwać jakieś wojsko. Może jakiś rząd też przetrwał. Łatwo nam przyszło o tym zapomnieć, ponieważ od dawna nie mamy internetu, ale, Jon, powiedziałeś, że jacyś twoi studenci przetrwali w swoich rodzinnych miastach.

– Cóż, może faktycznie warto to zrobić – powiedziała Tomi. – Musimy wrócić do miejsca, w którym mamy sygnał telefoniczny. Trzeba pogrzebać w internecie, założę się, że coś znajdziemy. Jeśli cywilizacja gdzieś ocalała, to na pewno będzie można to znaleźć w sieci.

Roześmiałem się mimowolnie. Rob także.

– Widziałaś, co działo się w internecie pod koniec? – Uśmiechnął się Rob.

– Wiesz, co mam na myśli. – Zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie. – Wchodziłeś na jakieś strony, gdy ostatnio byłeś online? – zwróciła się do mnie.

– Tak, na Facebooka, Twittera, to wszystko. Ale ja tylko... ja tylko sprawdziłem wiadomości.

– Nie przeczytałeś żadnych newsów?

Poczułem się głupio.

– Nie. A ty coś sprawdziłaś?

– Nie. Nic nie sprawdziłam...

Trudno było uwierzyć, że poczuliśmy się w tym miejscu aż tak bezpiecznie. I nawet gdy mieliśmy szansę sprawdzić, co się dzieje na świecie, nikt z nas tego nie zrobił. W ogóle nikomu to nie przyszło do głowy. Na naszą obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że byliśmy bardziej skoncentrowani na zdobywaniu jedzenia i przetrwaniu. Jednakże nasza obojętność na internet po tym, jak przeżyliśmy bez niego przez kilka miesięcy, była dla mnie zaskakująca.

– Nikt z nas z działającym telefonem nie sprawdził pierdolonych wiadomości... – powiedział Adam powoli.

Wszyscy spojrzeli po sobie i większość z nas znów zaczęła się śmiać.

– Okej, więc oto co robimy dalej. Przynajmniej to jest oczywiste – rzekła Tomi. – Sprawdźmy, czy pojawił się jakiś komunikat.

– Komunikat? – dopytywał Dylan.

– Komunikat rządowy. Doniesienia. Cokolwiek ze strony rządu albo po prostu...

– Coś konkretnego – powiedział ze smutkiem Nathan.

– Kto chce jechać? – zapytał Dylan.

Cisza.

– Okej, łatwiejsze pytanie: Kto może jechać? Kto ma telefon? – Nathan i Tomi podnieśli ręce. Adam pokręcił głową i wymamrotał coś o tym, że bateria się wyczerpała.

– Tomi, zostaniesz tu na posterunku. Ja, Adam i Nathan pojedziemy – zdecydował Dylan. – Adam, jeśli włączymy na chwilę zasilanie, podładujesz

swój telefon. Czyli Tomi zostaje, a ja, Adam i Nathan jedziemy.

Tyle że Tomi nie chciała o tym słyszeć.

– Jadę z wami. Jon i Peter potrafią strzelać.

– Czyli chcesz powiedzieć, że ja się nie nadaję, żeby zostać tu na posterunku?

– zapytał Nathan żartobliwie.

– Z całym szacunkiem... – Dylan spojrzął na niego, ale nie dokończył zdania.

Wszyscy zaczęli się śmiać.

– Czekajcie! – przerwałem, nie mogąc znieść myśli, że wyruszą na wyprawę beze mnie. – Jeśli wracacie do sklepu, chcę jechać z wam. Znajdę tam jakiś nowy telefon.

– Nie ma sensu narażać się na niebezpieczeństwo z powodu telefonu. – Dylan wydawał się niespokojny. – Będzie lepiej, jak zostaniesz. Możemy przywieźć ci, co tylko chcesz. Zrób listę. Ruszamy z samego rana, jak tylko zrobi się jaśniej.

Nie mogłem tego znieść. I byłem zszokowany tym, jak bardzo mnie to rozsierdziło. O mały włos nie rzuciłem szklanką przez salę, ale nie chciałem marnować alkoholu. Zamiast tego wziąłem głęboki oddech, wypilem drinka i powiedziałem:

– Okej, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej.

– Znajdziemy ci ładny telefon, nie martw się. – Nathan kiwnął do mnie głową. – Przyniesiemy ci też ładną, różowo-złotą obudowę. Może ze SpongeBobem.

– Nie pasuje ci, że musisz zostać, co? – Dylan uśmiechnął się.

Nie pasowało.

I to był koniec rozmowy.

Gdy wracałem do swojego pokoju, podeszła do mnie Tomi i zapytała:

– Czy mogę dziś zostać u ciebie na noc?

– Na pewno tego chcesz?

– Tylko nie chcę rozmawiać.

Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł, ale zgodziłem się.

Spałem tej nocy mocnym snem. Obudziłem się tylko raz, przez Tomi, która trzymała się za brzuch i wymiotowała w łazience. Jej skóra lśniła, była prawie przezroczysta, a ona cała się trzęsała.

Mrugając oczami z powodu senności, usiadłem na podłodze obok niej i odgarnąłem jej włosy z twarzy.

– To tylko kac – powiedziałem. – Ja też nie czuję się świetnie.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, spojrzała na mnie ze strachem i zapytała:

– A co jeśli to infekcja?

– Na pewno nie – opowiedziałem, w sumie bez żadnych przesłanek. – Pewnie tylko problem z żołądkiem.

– Problemy z żołądkiem też mogą nas teraz zabić – odparła.

Poszliśmy do Tani, a ona w sposób zdecydowany powiedziała, że Tomi absolutnie nie może wyruszyć nazajutrz na wyprawę.

Dzień sześćdziesiąty siódmy

Po wyjeździe Dylana w hotelu nie było żadnego przywódcy. Dziś rano wykonaliśmy nasze czynności, jakby nic się nie zmieniło. Ale dało się zauważyć puste miejsca. Na przykład to, z którego Dylan prowadził swój rejestr – podczas gdy my jedliśmy szybko śniadanie, on sprawdzał listę obecności. Za barem była przestrzeń, gdzie przesiadywał Nathan, żeby w spokoju posłuchać muzyki. Po obu stronach mnie były wolne krzesła, w których zazwyczaj siedzieli Adam i Nathan, gdzie jedli, palili i rozmawiali. Byli oni częścią „mojej” grupy. Byli moimi przyjaciółmi.

Czas płynął i z każdą mijającą godziną mój oddech stawał się płytszy i ogarniał mnie coraz większy strach. Wycofałem się do mojego pokoju, rozważając, co będzie, jeśli nie wrócę... Usiadłem przy biurku obok okna i czekałem, aż dłonie przestaną mi się trząść. Lecz nie przestawały. Bo Dylan był naszym fundamentem. Nie wiedziałem, co zrobimy, jeśli nie wróci, i jakie będą tego konsekwencje.

Zszedłem na dół i zapukałem do drzwi Tani, żeby sprawdzić, jak się czuje Tomi.

– Tak?

Otworzyłem i zapytałem cicho:

– Czy mogę wejść?

Tania podniosła głowę. Siedziała przy łóżku Tomi.

– Och, myślałam, że to ktoś przyszedł na kolejne badanie. Staram się, żeby ta pani się nie odwodniła.

Tomi spała.

– Wszystko z nią dobrze? – spytałem.

– Nie martw się, twoja dziewczyna będzie żyć.

Zatrzymałem się podczas siadania.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem. – Uśmiechnęła się. – Po prostu drocę się z tobą. Jestem zmęczona.

– Myślisz, że...?

– Co?

– Czy myślisz, że to może być coś... innego niż choroba?

Uśmiezek.

– Nie jest w ciąży, jeśli o to ci chodzi.

– Chryste! – To mnie na moment wytrąciło z równowagi. – Ona nie może...

Nie, prawda?

– To nie są poranne mdłości. To po prostu mdłości.

– Ale nie sądzisz, że ktoś mógł jej to zrobić?

– Nie. – Spojrzała na mnie trochę ostrożnie. – Nie sądzę. I nic na to nie wskazuje.

Oboje byliśmy spięci. Gdy już usiadłem, odczekała prawie pełną minutę, zanim zapytała:

– Wrócili?

Potrząsnąłem głową.

– Może powinieneś zwołać spotkanie, żebyśmy porozmawiali, co zrobimy, jeśli nie wrócą...

Głośno przełknąłem ślinę.

– Dlaczego ja?

– Cóż, jesteś... – Szukała słowa. – Rozsądny? Każdy prawdopodobnie będzie chciał, żebyś to ty przejął dowodzenie, a nie, na przykład, Peter czy Yobari. Peter jest zbyt zamknięty w sobie... A nie widzę, żeby ktoś inny się jakoś bardziej angażował. Choć, oczywiście, nikogo za to nie winię.

– Mogą wybrać ciebie.

– Nie jestem zainteresowana dowodzeniem. Nie, dziękuję.

– Ja też nie jestem!

Uniosła brwi.

– Już dowodzisz. Nie mów, że nie zauważyłeś. Zgłaszasz się na ochotnika do wszystkiego wyłącznie z chęci pomocy? Akurat!

– Nie, robię to po to, żeby się czymś zająć. A co innego mam robić? Usiąść i po prostu... myśleć?

– Niech ci będzie. – Wzruszyła ramionami.

Tomi skrzywiła się przez sen i odwróciła do mnie plecami. Podszedłem do niej i odruchowo chciałem poprawić jej włosy, które sobie przygniotła. Ale byłem świadom, że Tania mnie obserwuje, więc zatrzymałem dłoń w powietrzu i udałem, że muszę zrobić coś przy mankietach mojej koszuli.

– To o czym tak bardzo nie chcesz myśleć? – zapytała. – O kanibalach?

– Głównie o żonie i dzieciach – zająknąłem się na tych słowach, jakby ktoś uderzył mnie w krtąń.

– To nie twoja wina, że byłeś na konferencji – powiedziała.

– Moja – odpowiedziałem.

Spojrzała na mnie rozgrzeszająco, ale ja na to nie zasłużyłem. Musiałem jej wszystko wytłumaczyć.

– Widzisz, ja i Nadia... ostatnio niezbyt dobrze nam się układało – wyrzuciłem z siebie. – Nie byłem dla niej dobrym mężem. Zawsze byłem daleko i dużo pracowałem, a ona była zmęczona, bo cały czas opiekowała się dziećmi. Nie chciałem, żeby tak było... Tyle że same chęci nie wystarczą. Prawie nie uprawialiśmy już seksu, oboje zbyt zmęczeni, więc ubzdurałem sobie, że musiała tego szukać gdzieś indziej... Jakżeby inaczej... Nigdy nie miałem na to żadnego dowodu. Nigdy nie zauważyłem niczego, co potwierdziłoby, że ma romans. Po prostu tak założyłem, ponieważ mnie cholernie trudno było dochować jej wierności... Tak, kurwa, cholernie trudno. Przepraszam. Bardzo przepraszam... Nie wiem, dlaczego ci to mówię... Nigdy nikomu tego nie powiedziałem. Kto by w ogóle chciał tego słuchać? To takie nudne. I takie... przewidywalne.

– Od jak dawna jesteś żonaty? – zapytała całkowicie obojętnie, choć bez wątpienia była zniesmaczona, równie zde gustowana jak ja.

– Jedenaście lat. To nie tak, że przestała być atrakcyjna czy coś... Uważałem, że jest najpiękniejsza, po prostu... Nie, to nie o nią chodziło. To ja. Czułem się czasami jak jej współlokator. Po tym jak urodziła się Marion... nadal uważałem ją za atrakcyjną, ale nie czułem, żeby ona uważała tak samo. A może ta część życia przestała być dla niej taka ważna, bo miała dwójkę dzieci, którymi musiała się opiekować... – Wycofałem się. – Nie. Wiem, to aroganckie. To pewnie chodziło o mnie.

– Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z nią o tym?

– Zawsze źle się to kończyło. Mówiła, że to minie, ale że właśnie przechodzi fazę, w której myśl o tym, że czuje na sobie czyjś dotyk, wzbudza w niej obrzydzenie. Więc przestałem o to pytać. Rany... po co ja ci to mówię... Przepraszam.

Tania wyciągnęła rękę i dotknęła czoła Tomi.

– Jestem lekarką, więc przywykłam do tego. Hmm, no to faktycznie dużo tego, o czym nie chcesz myśleć.

Czułem, że przez to zblazowanie chciała coś zamaskować.

Spojrzała na mnie.

– Czekasz, aż ci powiem, że jesteś złym facetem, bo coś popsuło się w twoim małżeństwie?

Podpierałem połowę twarzy dłonią i nagle łokieć spoczywający na oparciu krzesła osunął się na bok. Chyba mój monolog fizycznie mnie wykończył.

– A jestem?

– Nie dam się złapać w tę pułapkę. – Zaśmiała się.

Ona już nigdy na ciebie nie spojrzy, pomyślałem. Nawet jeśli wcześniej miałeś jakieś szanse, to teraz je pogrzebałeś.

Usiadłem, skrzyżowałem ramiona i odepchnąłem te myśli, ponieważ były nieistotne i dobrze wiedziałem, że nie powinienem nimi zawracać sobie głowy.

Nagle coś mnie uderzyło. Nie wiem, dlaczego aż tyle czasu mi to zajęło, ale właśnie doznałem olśnienia.

– Ty...? – powiedziałem.

– Co takiego?

– Ty i Dylan...?

Jej twarz skamieniała, uniosła ramiona i odchyliła się na krześle, odsuwając się ode mnie.

– Nie miałem o tym pojęcia.

Tomi znów przewróciła się, leżąc pomiędzy nami.

Wyszedłem chwilę później. Zasnąłem dopiero dwie godziny po położeniu się do łóżka. Próbowałem skontrolować oddech.

– Pomóż mi.

Obudziłem się i usłyszałem głos tuż przy uchu.

– Kto to? Kto tam?

Sięgnąłem pod poduszkę po nóż, z którym spałem, i wytoczyłem się z łóżka.

– Słyszę cię!

W pokoju panował mrok, był dopiero wczesny wieczór, więc nie było zupełnie ciemno. Nikogo w nim nie było.

Pot spływał mi po karku, a wszystkie włosy na rękach stały dęba. Byłem pewien, że to usłyszałem. To było takie wyraźne. Nie był to po prostu wyrazisty sen, ale ludzki głos – głos dziewczynki. Nie krzyczała, bo była zbyt blisko.

– Pomóż mi.

Poczułem się głupio, wymachując tak nożem, więc go odłożyłem. Nie mogłem przestać się trząść i poczułem, jakbym miał gorączkę. Jak zwykle pomyślałem, że to może być objaw choroby popromiennej. Bardziej prawdopodobny był jednak kolejny atak paniki. Nie sądzę, żebym poradził sobie z kolejną porcją strat. Straciłem już moje dotychczasowe życie, moją rodzinę, świat, a teraz stracę jedynych ludzi, na których mi zależało i przy których czułem się jak człowiek.

I nadal nie dowiedziałem się, co stało się z Harriet Luffman.

Przez chwilę myślałem, że się rozplączę, ale otrząsnąłem się i zszedłem na dół. Nie założyłem ani swetra, ani płaszcza. Zamierzałem wziąć garść lodu z zamrażarki i nieco się schłodzić.

Na korytarzach było cicho, podobnie jak w holu. Stałem przez chwilę i patrzyłem na wejście. Na noc zaczęliśmy zamykać główne drzwi, więc ludzie nie mogli już tak swobodnie wchodzić i wychodzić jak poprzednio. Do tej pory bardziej się baliśmy konsekwencji bomb niż ludzi, ale opary nuklearne nie wkradną się i nie poderzną nam gardeł. Nie złupią też nocą naszych zapasów żywności.

Wszedłem do restauracji i zobaczyłem Mię siedzącą przy jednym ze stołów. Paliła papierosa. To był w zasadzie mój stół, przy oknie. Skinęła głową, kiedy wszedłem, ale nie zaczęła rozmowy.

Byłem już przy kuchni, gdy zatrzymałem się i odezwałem do niej:

– Mia, mogę cię o coś zapytać?

– Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać, jeśli to nie problem.

Zawahałem się.

– O czym?

– Wiem, że zapisujesz wszystko w swoim pamiętniku, ale nie chcę rozmawiać o tym, co się stało z Nicholasem.

– To nie jest pamiętnik, to jest... – Skrzywiłem się. – Nieważne. Chciałem zapytać, czy wiesz, gdzie jest apartament królewski. Pracowałaś na recepcji, więc pomyślałem, że może...

Zgasła papierosa w popielniczce i westchnęła.

– Nadal masz obsesję na punkcie rozmowy Dylana i Sophii?

– Nie. Po prostu usłyszałem, że jest tu apartament królewski i chciałbym się dowiedzieć gdzie. – Podeszedłem i oparłem się o krzesło stojące naprzeciwko niej. – Dlaczego wszyscy są tacy tajemniczy? Jest tam jakiś zapas wódki czy co?

– Nie bądź głupi.

– Na miłość boską, Mia. – Przesunąłem krzesło na bok, aż przewróciło się z hukiem. Na ten dźwięk podskoczyła. – Po prostu powiedz mi, gdzie on jest!

– To tylko pokój, duży pokój! – Wstała, drżąc. – To nie jest żaden apartament królewski, bo my takiego nie mamy!

– Więc dlaczego jest w rejestrze rezerwacji?

– To był żart! – Kilka łez popłynęło jej z oczu i zdałem sobie sprawę, że się przeraziła. – Na wypadek gdyby któryś z właścicieli chciał tu przyjechać, trzymaliśmy dla nich pokój i nazwaliśmy go apartamentem królewskim. Jest po prostu większy, to wszystko!

– A dlaczego ktoś miałby dostać numer telefonu do tego pokoju?

– Co masz na myśli?

– Dlaczego gość hotelowy miałby otrzymać numer telefonu do tego pokoju?

Pokręciła głową, a w głosie słychać było napięcie, gdy odrzekła:

– Nie wiem. Czasami, gdy goście nie byli zadowoleni z pobytu, zapraszano ich z powrotem na koszt firmy. Baloché dawał im swój numer, żeby mogli do niego zadzwonić w razie jakichkolwiek problemów. Może to dlatego...

– Czyli uważasz... – zawahałem się i nagle poczułem się niesamowicie głupio. – Uważasz, że gość miałby ten numer, bo nie był zadowolony z obsługi?

Pokiwała głową.

– Tak. To wszystko, co przychodzi mi do głowy. A teraz pozwolisz mi odejść?

– Ja... – Cofnąłem się, podnosząc ręce. – Oczywiście, przepraszam, możesz iść. Wcale nie chciałem cię zatrzymywać.

Przepchnęła się obok mnie, a ja spojrzałem na swoje odbicie w oknie. Zastanawiałem się, czy czasem nie tracę rozumu.

– Który to pokój? – zawołałem, zanim wyszła z restauracji.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie jak na śmiecia. Wyglądało, jakby musiała się bardzo powstrzymać, żeby nie podejść do mnie i nie zdzielić mnie w twarz. Uderzyło mnie, że to prawdopodobnie strach ją powstrzymał. Tak czy siak, niewątpliwie zasłużyłbym sobie na to.

– Pokój dziewięćset dziewięć, dupku – prawie wypluła na mnie te słowa, a potem wybiegła z restauracji.

Nie chciałem wchodzić na najwyższe piętra i przeszukiwać pokoju w ciemnościach, jedynie z pudełkiem zapalek, więc odłożyłem to na później. Przecież pokój nigdzie nie ucieknie, a nie chciałem znów wpaść na Mię.

Dzień sześćdziesiąty ósmy

Minęła noc, a oni jeszcze nie wrócili. Nie było więc nikogo, kto stałby na czele grupy. Niewiele spałem, bojąc się, że się obudzę i znów usłyszę głosy w ciemności. Zasnąłem dopiero, kiedy zaczęło robić się jasno, i obudziłem się dość późno w ciągu dnia.

Byłem zmęczony tym paraliżem decyzyjnym, więc kilka godzin temu zapukałem do drzwi moich współtowarzyszy i zwołałem spotkanie w barze.

Wszyscy przyszli. Byli przerażeni i zmęczeni byciem przerażonymi. Patrzyli w pustą przestrzeń, gdzie zawsze stali Dylan, Nathan i Adam, a gdzie dziś ich nie było. Wszyscy spoglądali na mnie w oczekiwaniu, że coś powiem. Pomyślałem wtedy, jak bardzo podziwiam Dylana za to, że za każdym razem stał tu i przyjmował ciężar oczekiwań całej grupy na własne barki, nie okazując przy tym strachu.

– Chciałem z wami porozmawiać, bo chłopaki jeszcze nie wrócili. Jak wicie, wyruszyli, żeby znaleźć dostęp do internetu. Przypuszczam, że oddalili się tylko na tyle, żeby złapać sygnał, może wrócili do sklepu. Chciałem, żeby wszyscy wiedzieli, że jeszcze ich nie ma i że powinniśmy porozmawiać o tym, co zrobimy, jeśli oni... jeśli oni nie wrócą.

– Nie powinniśmy ich poszukać? – zapytał Rob.

– I stracić więcej ludzi? – odpowiedziała pytaniem Sophia. – Nie mamy już trzech osób. Nie chcę stracić więcej, zwłaszcza tych, którzy potrafią strzelać.

– Gdzie jest Tomi? – zapytał Peter.

– Jest chora – odpowiedziałem.

– Czy umrze?

– Nie wydaje nam się.

Pokiwał głową. Trudno było stwierdzić, czy się ucieszył, czy był rozczarowany. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że choroba Tomi mogła nie być spowodowana przyczynami naturalnymi... Może ktoś tutaj próbował ją usunąć. Moimi głównymi podejrzanymi byli Peter i Sophia. Mia też nie lubiła Tomi, a Sashy wciąż nie mogłem rozgryźć.

Lauren podniosła rękę, więc pozwoliłem jej mówić.

– Może powinniśmy wybrać nowego lidera? – zapytała.

– Wcześniej nie wybieraliśmy lidera – stwierdził Peter. – Dylan sam zaczął się rządzić.

– No cóż... może jednak powinniśmy? – Lauren ponownie spojrzała na mnie.

Atmosfera była niespokojna, a ja nienawidziłem tego bycia w centrum. Zerknąłem na Tanię, która z rękami skrzyżowanymi na piersi opierała się o przeciwległą ścianę. Początkowo unikała mojego wzroku, ale potem rozluźniła ramiona i podeszła.

– Czy ktoś z was zainteresowany jest dowodzeniem?

Peter przestąpił z nogi na nogę i rozejrzał się po sali, ale Tania była szybsza i od razu zadała kolejne pytanie:

– Czy jest tu ktoś, kto nie zagłosuje na Jona?

Wszyscy spojrzeli po sobie, a potem na mnie. Nie miałem serca im wyznać, jak bardzo nie chcę przyjąć tej funkcji. Nie mogłem im przecież powiedzieć, że nie ma wśród nas nikogo, kto miałby w sobie taki spokój i opanowanie jak Dylan.

Mia nie spojrzała na mnie, ale też nic nie powiedziała.

Wobec braku sprzeciwu Tania wskazała na mnie.

Peter rzucił mi pełne gniewu spojrzenie, choć nie miał odwagi czy też siły, by je dłużej utrzymać, więc odwrócił wzrok i tylko wymownie odchrząknął.

– Mam pewną sugestię – powiedziałem, nie mogąc się przy tym powstrzymać od patrzenia na Tanię. – Nie sądzę, by wam się to spodobało, ale wysłuchajcie

mnie.

Więc słuchali.

– Myślę, że powinniśmy opuścić to miejsce. Nie wszyscy naraz i nie bez szczegółowego planu. Ale nasz czas tutaj się kończy. Kończy nam się też jedzenie, a ekspedycje stają się coraz bardziej niebezpieczne... Mamy powody, by sądzić, że w pobliżu jest inna grupa ludzi, którzy mogą sprawić nam kłopoty. Tylko Rob ich widział i wygląda na to, że mają złe zamiary. Wiedzą, że tu jesteśmy.

W sali wybuchła wrzawa. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Część z tego skierowana była do Roba, część do mnie.

– Jezu, ocal nas...

– Czy są niebezpieczni?

– Żli?

– Gdzie ich widziałeś?

– Ilu ich jest?

– Skąd wiesz, że nie są przyjaźnie nastawieni? Mogą być tacy jak my...

– Nie mamy wystarczająco dużo broni.

– Czy oni mają Dylana, Nathana i...

– To byłoby samobójstwo.

– Ludzie! – Podniosłem głos. – Wysłuchajcie mnie. Mamy broń i mamy amunicję. Są schowane w kwaterach dla personelu. Powodem, dla którego nic się nie stało, jest to, że prawdopodobnie mamy większy arsenał niż oni.

Zauważyłem, że niektórzy spoglądają na drzwi, i przeraziło mnie to.

– Jeśli uda nam się dotrzeć do miasta i zabierzemy ze sobą zapasy, mamy większą szansę na przeżycie, niż gdybyśmy się starali tu przetrwać zimę. Przynajmniej ja tak uważam. Za chwilę zacznie się jesień, prawda? Gdy nadejdzie zima, utkniemy tu i nigdzie się już nie ruszymy. Oni to wiedzą.

– Ale gdy przyjdzie zima, to oni umrą tam na zewnątrz – powiedział Peter. – I problem sam się rozwiąże.

– Czyli mają więcej do stracenia. Chcesz walczyć ze zdesperowanymi mężczyznami? Bo ja nie.

– Zgadzam się z Jonem – oznajmiła Yuka.

Patrzyłem na nią zszokowany, zresztą nie ja jeden. Nawet jej mąż spojrział na nią wymownie, a ona tylko uniosła brodę.

– Zgadzam się z Jonem – powtórzyła i objęła swojego syna jeszcze mocniej.

– Myślisz, że można stąd bezpiecznie wyjść? – zapytał z niedowierzaniem Haru.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie. Jeśli umrzemy, umrzemy jako rodzina. Ale ja nie będę głodowała, nie będę jak zaszczute zwierzę. Jeśli Jon uważa, że powinniśmy opuścić to miejsce, to myślę, że ma rację. Nie wiemy, co ocalało ani jak wyglądają teraz miasta.

– Dokładnie, nie wiemy... – warknął Peter.

– Więc umrzemy, nie dowiedziawszy się? Jak tchórze? Czy może lepiej zdobyć się na odwagę i spróbować się dowiedzieć? – Wydawało się, jakby z każdym słowem stawała się większa, większa w ramionach. – Nienawidzę tego miejsca, nie chcę tu zostać ani jednego dnia dłużej. To nie jest życie. Nie możemy tu zostać tylko dlatego, że się boimy.

Yuka nigdy wcześniej nie mówiła tak dużo przed całą grupą. Ale miała rację.

To dziwne, biorąc pod uwagę okoliczności, lecz starałem się odsunąć od siebie strach. Wszyscy staraliśmy się to zrobić. Strach był zawstydzający. Lepiej było wierzyć, że robimy rzeczy z głodu, z wściekłości lub – tak jak ja – z prostej potrzeby bycia zajęтым. Chcieliśmy być zmotywowani wszystkim innym, tylko nie strachem. Tymczasem to strach był tym, co nam zostało.

Jej słowa zaszokowały wszystkich. Zapadło milczenie.

– Yuka ma rację – odezwałem się w końcu. – Nie możemy zostać tylko dlatego, że się boimy.

– Bycie przerażonym to żaden argument – powiedział Peter, wysuwając do przodu podbródek. – Przecież tu jest bezpiecznie.

– Już nie jest.

Lauren wzruszyła ramionami i rzekła:

– Zawsze było wiadomo, że będziemy musieli odejść. Równie dobrze można to zrobić, gdy nie ma jeszcze mrozów.

Lex powiedziała coś po francusku, co brzmiało jak zgoda.

– Ile czasu dajemy sobie na czekanie? – spytała Tania, przeszywając mnie spojrzeniem, które sprawiło, że czułem się jak najgorszy człowiek na świecie. – Czy planujesz odejść, zanim wrócą?

– Niczego nie planujemy w tej chwili – powiedziałem. – Po prostu rozmawiamy.

– Powinniśmy ustalić jakiś czas – wtrąciła Sophia. – To nieprzyjemne, ale powinniśmy. Nie możemy na nich czekać wiecznie.

– Tydzień? – zaproponowałem.

Kilka niespokojnych spojrzeń, a potem głos Yuki:

– To za długo.

– Dylan dbał o was i o to miejsce przez cały czas! Chronił nas! – warknęła Tania. – Okażcie trochę szacunku.

– A jeśli umrzemy, czekając? – Sophia uniosła brwi.

– Trzy dni? – zasugerowałem.

Nikt nie chciał odnieść się do tej propozycji.

– Przygotowanie się wszystkich do wyprawy zajmie co najmniej tyle czasu – dodałem. – Mamy teraz tylko dwa samochody, więc będziemy musieli przemieszczać się w jeszcze mniejszych grupach.

– Może jest tu jakaś przyczepa – powiedział cicho Rob – albo... coś, co w hotelu wykorzystują do zaopatrzenia... Gdybyśmy mieli coś takiego, wszyscy moglibyśmy jechać razem. Trzeba by tylko zmieniać się w przyczepie.

– Mężczyźni mogliby się zmieniać – powiedziałem.

– Nie jesteśmy zrobione z porcelany. – Sophia spojrzała na mnie gniewnie. – Też możemy jechać w przyczepie.

– Okej, przepraszam. Wszyscy możemy jechać na zmianę w przyczepie.

– Tylko nie wiemy, czy ją mamy... – stwierdził Peter.

– Dajemy chłopakom tyle czasu, ile potrważą przygotowania. – Pokiwałem głową. – To potrwa kilka dni, więc dokładnie tyle mają czasu. Czy wszyscy się zgadzają?

– I nie wyślemy nikogo, żeby ich poszukał? – spytała Tania. – Nawet nie spróbujemy ich znaleźć, do tego właśnie zmierzasz?

Nie wiedziałem, do czego zmierzam, szczerze mówiąc.

Yuka powiedziała za mnie to, co trzeba:

– Dlaczego nie wysłać jednej czy dwóch osób, żeby objechały okolicę? Skoro i tak czekamy trzy dni, to jeśli do tego czasu nie wrócą, poszukamy ich jeszcze przez kilka godzin, zanim odjedziemy. Co to za problem?

Spojrzałem na Tanię i rozłożyłem ręce.

– Brzmi rozsądnie. Czy to dla ciebie okej?

Tania wyszła.

Reszta tylko wymamrotała zgodę.

Żałowałem wszystkiego, co powiedziałem Tani o moim małżeństwie. Nie zasługiwała na to, bym dokładał jej zmartwień tylko dlatego, że byłem zmęczony poczuciem, że nikt mnie tutaj nie zna, a jedyni ludzie, którzy mnie znali – nawet jeśli tylko trochę – odeszli.

Zasugerowałem, że powinniśmy zacząć gromadzić nasze rzeczy, a potem spotkanie dobiegło końca.

W parę osób poszliśmy zobaczyć, czy rzeczywiście jest gdzieś przyczepa. Nie było.

Wróciłem do swojego pokoju, aby udokumentować spotkanie, i tam, za zamkniętymi drzwiami, miałem kolejny atak paniki. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Tania przyszła do mnie na górę, żeby powiedzieć, że potrzebuje przerwy i że bym posiedział przy Tomi. A potem poszła pobiegać po korytarzach. Już nie biegała po terenie wokół hotelu. Byłbym zaskoczony, jeśli ktokolwiek jeszcze wychodziłby sam na dwór.

Usiadłem na jednym z krzeseł obok łóżka i po raz pierwszy od jakiegoś czasu przypomniałem sobie, jak bardzo bolał mnie ząb. Myślę, że teraz będę musiał powiedzieć o tym Tani. Byłem pewien, że sam wyleci, ale tak się nie stało.

Tomi spała, lecz kiedy wszedłem, otworzyła lekko oczy i przewróciła się na bok, spocona od gorączki. Jedna z zasłon była zaciągnięta, żeby w pokoju nie zrobiło się zbyt jasno. Był to zabieg zupełnie zbędny, biorąc pod uwagę to, co za oknem, ale może Tania zrobiła to z przyzwyczajenia. A może po prostu martwiła się, że będzie obserwowana z zewnątrz.

– Czy jest jakaś woda? – zapytała Tomi.

Podąłem jej szklanekę, którą Tania pozostawiła z boku. Wzięła kilka łyków, po czym oddała mi z ją z powrotem.

– Wścieknę się, jeśli umrę w ten sposób – powiedziała słabo.

– Nie umrzesz.

– Cóż... będę wkurzona, jeśli tak się stanie.

– A my będziemy mieli przechlapane – dodałem. – Jesteś naszym najlepszym strzelcem. Wolałbym, żebyś to ty była przywódcą, gdyby Dylan nie wrócił.

– Cholera... Jasne. – Przewróciła się na plecy i wytarła czoło wierzchem dłoni. – Tylko że inni... inni mają mnie za sukę.

– Nikt tak nie myśli.

– Ty tak myślisz.

– Nie wierzę, że odstawiasz takie szopki, mając trzydzieści dziewięć stopni gorączki... Jesteś niemożliwa. – Pochyliłem się, wziąłem jej rękę i przycisnąłem ją do swojego policzka. – I nie uważam, że jesteś suką. Myślę, że jesteś po prostu... strasznie upierdliwa.

Roześmiała się, ale nagle przestała. Wzięła głęboki oddech.

– Aua, Boże, jak to boli.

Nie mogłem powiedzieć jej tego wprost, ale martwiłem się o nią. I było to nie do zniesienia. Jej dłoń przy moim policzku była gorąca, a mimo to Tomi drżała. Odgarnąłem jej włosy z czoła. Były wilgotne... Bałem się na nią spojrzeć, żeby nie dostać kolejnego ataku paniki.

– Hej! – Tomi ścisnęła nagle moją dłoń.

– Co takiego?

– Skoro Dylan zniknął... Nie chcę przez to powiedzieć, że nie wróci, ale może powinieneś... hmm... przeszukać jego pokój.

Ta sugestia mnie zaskoczyła. Uśmiechnąłem się.

– Nigdy nie odpuszczasz.

– Powinieneś to zrobić, póki wszyscy... no wiesz... są rozbici. I pomyślałam też... że powinieneś porozmawiać z dziećmi. Wiesz, z dziećmiakami Yobarich. Może zauważyły jakieś inne dzieci tutaj...

Ten pomysł miałem już od jakiegoś czasu w głowie, ale wiedziałem, że ani Yuka, ani Haru nie pozwolą mi przepytować dzieci. Zauważyłem, że Yuka zaczęła unikać mnie z jakiegoś powodu. Gdy kilka razy pytałem, czy zaopiekować się dziećmi, wydawało mi się, że szuka różnych wymówek. Możliwe, że po prostu czuła się niezręcznie w związku z moim wybuchem emocji. I w sumie byłoby to zrozumiałe.

– Zaczekam, aż Tania wróci.

– Dam sobie radę, po prostu... zostaw mi tylko trochę wody.

– Nie. Nie ma mowy.

– Naprawdę, wszystko w porządku

– Uspokój się albo zacznę ci coś czytać.

– Boże, proszę, nie rób mi tego. Blee.

– Zrobię to. Nie prowokuj mnie.

– Dlaczego jesteś taki? Zrobiłeś doktorat z bycia nudziarzem.

– Ja przynajmniej swój skończyłem.

– Myślę, że koniec świata można uznać za okoliczność łagodzącą. – Westchnęła dramatycznie i odwróciła się, ale wciąż trzymała moją dłoń. – Aleś ty strasznie wkurzający. Jeśli okaże się, że jesteś ostatnią osobą, z którą rozmawiam przed śmiercią, to naprawdę nieźle się wścieknę.

Dzień sześćdziesiąty ósmy (2)

Mam pewien powracający koszmar. Zawsze nieco się różni. Raz jestem w naszym ogrodzie w San Francisco, innym razem w domu mojego przyjaciela, gdzie umarła moja mama. Ale zawsze kończy się w ten sam sposób – eksplozją. Budzę się w momencie, gdy umieram.

Nie zamierzałem tu o tym wspominać, ponieważ moje sny nie są w większości interesujące. Ale te koszmary zmusiły mnie, żebym znów pomyślał więcej o tamtym dniu, o pierwszym dniu.

Mój laptop się rozładował, więc nie mogłem obejrzeć więcej materiałów, żeby nakarmić czymś moją pamięć. Lecz niektóre wspomnienia zaczęły wracać, być może podsycane przez te nocne koszmary. Być może to dzięki nim uda mi się wszystko połączyć w całość. Właśnie przypomniałem sobie coś nowego, co, moim zdaniem, może mieć ogromne znaczenie.

Hotel już wtedy pustoszał. Każda osoba, którą wówczas zatrzymałem, błagając, żeby dała mi zerknąć w swój telefon, właśnie uciekała. Wróciłem do swojego pokoju, włączyłem laptop i zatopiłem się w wiadomościach i mediach społecznościowych na co najmniej kilka godzin. Potem sygnał zaczął zanikać. Włączałem i wyłączałem wi-fi kilka razy, dopóki strony nie przestały się ładować.

W mediach społecznościowych panował chaos. Byłem zszokowany liczbą ludzi, którzy na Twitterze publikowali swoje doświadczenia z końca świata. Lecz nie było żadnych wiadomości o San Francisco czy Los Angeles. Z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, zanim sygnał się skończył, Kalifornia miała się dobrze.

Londyn zniknął, zabierając ze sobą południe Anglii. Podobny los spotkał Glasgow, a następnie całą Szkocję. O Szwajcarii nie było nic.

Wysłałem mejla do mojego taty i zacząłem panikować, że bateria w laptopie zaraz się rozładuje. Napisałem: „Mam nadzieję, że wszystko u Was w porządku, proszę o kontakt, jeśli macie możliwość. Jestem w Szwajcarii, w pracy, i nie mogę skontaktować się z Nadią. Kocham Was, Jon”.

Mejl nie był emocjonalny. I nie było to też pożegnanie. Nie znosiłem się zegnąć, a z ojcem nigdy nie miałam zbyt uczuciowej więzi. Kiedy pisałem ten mejl, nie martwiłem się. Ojciec był człowiekiem praktycznym, choć smutnym. Z pewnością zaopiekuje się Barbarą. Prawdopodobnie już udali się na południe i próbują przekroczyć granicę z Meksykiem.

Obrazki rodem z horroru przebiegały przez mój umysł. Miliony ludzi zginęły. Miliony. Nie mogłem zrozumieć tej liczby. Ile czasu minie, zanim znikniemy? Ile czasu mi zostało?

Podszedłem do okna i otworzyłem je. Wdychałem świeże powietrze. To był ostatni raz, kiedy wyraźnie zobaczyłem słońce. Niczym niezastłonięte. Nie zwróciłem na to uwagi, a powinienem był to zrobić, zapamiętać kolory i ciepło. Zamiast tego spojrzałem w dół i zobaczyłem, że coraz więcej ludzi wyjeżdża.

Na dole dyskutowały ze sobą dwie osoby. Wyglądały na personel. Oto, co chcę tutaj udokumentować, choć nie jestem pewien, czy to pamięć, wymysł, czy może sen – na pewno widziałem dwie kłócące się osoby. Był to czarny mężczyzna i biała kobieta o rudych włosach. Wyraźnie pamiętam jej włosy. Teraz wiem, że musieli to być Dylan i Sophia.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że pewnie kłócą się o to, czy odejść, czy nie. Stworzyłem sobie w głowie historię: byli parą i jedno z nich chciało wyjechać, a drugie zostać. Kobieta, Sophia, płakała, co nie wydawało się wtedy dziwne, ponieważ płacz, histeria, szloch były jedynymi reakcjami, jakie miały sens.

Co dziwniejsze, stałem po prostu w swoim pokoju, opierając się o framugę okna, cały odrętwiały. Pamiętam, jak pomyślałem wtedy, że powinienem

uciekać, wskoczyć do czyjegoś samochodu albo – kurwa, kto by się tym przejmował? – po prostu ukraść jakieś auto. Mogłem dostać się do miasta, wsiąść do pociągu, a potem odlecieć samolotem. Jeszcze ciągle musiały gdzieś startować samoloty...

Mężczyzna objął kobietę, a ona przestała płakać.

Jeśli zdecydują się wyjechać, pomyślałem wtedy, mógłbym zabrać się z nimi. Gdybym wystarczająco szybko zbiegł po schodach... Ale weszli do środka i nie zauważyłem, by któreś z nich jeszcze wychodziło. A więc zdecydowali się zostać.

W pewnym momencie opuściłem pokój. Windy nie działały, więc poszedłem schodami, odczuwając irracjonalny brak wygody. W holu było cicho, a personel jakby nagle gdzieś zniknął.

Grała przerażająco spokojna muzyka. Musiała tam zawsze lecieć w tle, ale nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. Teraz było to upiorne.

Kilka osób siedziało skulonych w barze, nikogo jednak nie rozpoznałem. Kiedy stałem w drzwiach restauracji, sparaliżowany niezdecydowaniem, z wciąż nierozpakowanymi rzeczami, zauważyłem, że trzymam w ręku paczkę z dwoma ciastkami. Takimi, jakie dostaje się do kawy lub herbaty.

– Jon!

Odwróciłem się. Znałem tych ludzi, choć teraz nie pamiętam, jak się nazywali. To mnie trochę martwi...

Mężczyzna i dwie kobiety. Kobiety były z Nowego Jorku, a mężczyzna z... wydaje mi się, że z Waszyngtonu. Też nie pamiętam. Nie pamiętam nawet ich twarzy, jedynie wydarzenia, które potem nastąpiły. Wyjeżdżali. Mieli ze sobą torby.

– Spadamy stąd. Chodź z nami – powiedział mężczyzna.

– Jedziesz? – zapytała jedna z kobiet.

Powiedziałem okej i wyszedłem z nimi na zewnątrz. Jedno z nich miało wypożyczony samochód, zaparkowany na tyłach hotelu. Teren ten ukryty był za ogrodami. Wsiadłem do samochodu. Nie wziąłem żadnych swoich rzeczy, ale

w tamtym momencie było dla mnie oczywiste, że po prostu muszę wyjechać. To było rozsądne rozwiązanie. Ktoś w końcu powiedział mi, co mam robić.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Pamiętam, że ktoś to powiedział.

– Wciąż nic.

Próbowali dzwonić.

Nagle oszołomienie minęło i skupiłem się na obsesyjnej myśli, że przecież nie mogę wyjechać bez mojego laptopa. Wsiadłem więc z samochodu. Nadal byłem w szoku. Ogrom tego, co się wydarzyło, jeszcze do mnie nie dotarł.

– Gdzie idziesz?

– Nie wziąłem swoich rzeczy! – krzyknąłem.

– Ale już odjeżdżamy!

– Muszę wracać.

– Nie możesz!

Spędziłem cały ranek, szukając kogoś, kto powie mi, co mam robić, a kiedy ktoś taki wreszcie się znalazł, natychmiast poczułem do niego niechęć i chciałem zrobić coś zupełnie odwrotnego. Jak nastolatek.

– Mogę – odpowiedziałem.

– Jedziemy! – Kobieta wymówiła to słowo tak, jakbym był ograniczony umysłowo. Przeciągnęła je tak, że aż wydawało się, że ma więcej niż trzy sylaby.

Popatrzyłem na nich.

– Więc jeźdźcie.

Cała trójka spojrzała na mnie, jakbym zwariował. I może tak było. Samochód odjechał, a ja nie żałowałem, że nie pojechałem z nimi. W głębi duszy wiedziałem, że tak naprawdę nie ma żadnych samolotów. Wiedziałem też, że nie mogę odejść bez mojego laptopa, moich ubrań, moich... rzeczy.

Jak miałbym żyć bez tych przedmiotów? Nie mogłem wyjechać ot tak, bez niczego. A co, jeśli jakiś urzędnik zatrzymałby mnie i poprosił o dowód osobisty? Albo gdybym potrzebował paszportu?

Wciąż miałem w ręku te ciasteczka.

Instynktownie sięgnąłem do kieszeni, by sprawdzić telefon, ale go tam nie znalazłem. Otworzyłem paczkę ciasteczek, zjadłem jedno i powoli zacząłem iść w stronę wejścia. Bałem się, że pochłonie mnie wszechogarniająca rozpacz. Chciałem być blisko mojego laptopa, chociaż wiedziałem, że nie ma internetu.

Byłem odcięty. Zniszczyłem telefon.

Opierając się o ścianę parkingu, zламаłem drugie ciasteczko na pół i zjadłem je. Nie pamiętam, jak smakowało. W ogóle nie smakowało. Na zewnątrz było cicho. Wszyscy wyjechali. Uznałem to za surrealistyczne, niemożliwe do wyobrażenia, że w wielu miejscach na tej planecie, dokładnie w tej samej chwili, umierały miliony ludzi. Bomby nuklearne spadały na miasta, budynki, pomniki i mosty, które przetrwały stulecia. Codziennie patrzyliśmy na nie i uważaliśmy, że są trwałe, a teraz obróciły się w proch. Nawet nie zostaną żadne kości, pomyślałem. Prawdopodobnie nie zostanie nawet nikt, kto by ich szukał.

Historia się skończyła, a ja stałem tu, na jakimś zadupiu, wśród obcych ludzi, jedząc darmowe ciasteczka, bo nie miałem pojęcia, czy zostać, czy nie... Z perspektywy czasu stwierdzam, że to właśnie lęk zatrzymał mnie tutaj. Ryzyko popadnięcia w chaos, te eksplozje, krzyki, ludzkie prochy unoszące się w powietrzu i mieszające się z trującymi oparami – to były obrazy, które mnie tu trzymały.

Czy to było szaleństwo, pozostanie w hotelu? Czy było to tylko czekanie na śmierć?

Próbowałem wyobrazić sobie, że jestem w głowie Nadii. Znałem ją tak dobrze. Gdyby przeżyły, szybko by się spakowała, wsadziła dzieci do samochodu i prawdopodobnie pojechała wzdłuż wybrzeża do swoich rodziców, aż do Portland. Stamtąd wszyscy razem mogliby przekroczyć granicę z Kanadą. Sam bym tak zrobił. Nie słyszałem, żeby Kanada została zaatakowana, a im dalej na północ, tym mniej prawdopodobne, że ucierpią z powodu promieniowania.

Ale nawet jeśli im się udało, to zapewne i tak nigdy więcej się z nimi nie skontaktuję.

Gdyby drogi na wybrzeżu były na tyle przejezdne, by Nadia mogła jakoś dotrzeć do Portland, nie zawahałaby się. Jeśli Kanada przyjmowała uchodźców, amerykańskich uchodźców – co za myśl! – Nadia pojechałaby dalej na północ. Komunikacja na pewno będzie bardzo utrudniona, a internetu mogło nie być nawet w całej Ameryce Północnej. Jeśli tak, to nigdy już się z nimi nie skontaktuję.

Powróciłem do moich fikcyjnych rozważań i pomyślałem, że miliony ludzi na wybrzeżu Kalifornii zmierzają na północ. Może niektórzy na południe, kierując się do Ameryki Południowej, ale wielu z pewnością udałoby się na północ. A co, jeśli wybrzeże było obszarem katastrofy? Ludzie porzucaliby swoje samochody. Kradliby auta innych, napadali na nich, nie mieliby paliwa, kończyłaby im się żywność, walczyliby ze sobą o zapasy i wodę, docieraliby do granicy, organizując się w gangi. Zapanowałaby całkowita anarchia.

Ale Nadia była mądra. Dobrze radziła sobie w sytuacjach kryzysowych. Mogłaby nawet nie jechać nadbrzeżnymi drogami. Mogłaby wyruszyć w głąb kraju, co trwałoby nieco dłużej, ale byłoby o wiele bezpieczniejsze.

A co jeśli wszyscy wpadliby na ten sam pomysł?

I właśnie dlatego, po kilku dniach, musiałem przestać myśleć o Nadii i dzieciach. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Nie mogło ciągle absorbować mojego umysłu. Nie było ich tutaj ze mną. Musiałem utrzymać się przy życiu sam. Mogłem je uratować lub być świadkiem ich śmierci w tysiącach hipotetycznych wyobrażeń, nie zbliżyłoby mnie to jednak ani do prawdy, ani do nich.

Nie wiem, jak długo tak stałem.

Bolało mnie serce, ostrym, nagłym bólem. Pomyślałem, że mam chyba zawał.

Zauważyłem, że przed hotel podjeżdża samochód, który nie zatrzymuje się daleko, na parking, tylko hamuje tuż przy głównym wejściu. Pamiętam, jak pomyślałem, że pewnie ktoś musiał zapomnieć o czymś ważnym. Większość ludzi tego dnia wyjeżdżała, ale to był jedyny samochód, który przyjechał.

Spojrzałem na prawo i zobaczyłem czarnoskórego mężczyznę oraz kobietę z rudymi włosami. Nieśli coś między sobą, lecz znajdowali się zbyt daleko, abym mógł dokładnie określić, co to było. Później zniknęli między otaczającymi hotel drzewami.

Odprowadziłem ich wzrokiem, a potem spojrzałem na samochód, który właśnie przyjechał, lecz nikogo w nim nie było.

Resztę dnia spędziłem w samotności, próbując w kółko połączyć mój laptop z internetem. Co jakiś czas opuszczałem pokój, aby się rozejrzeć, i widziałem, że za każdym razem hotel staje coraz bardziej pusty. Potem wracałem i próbowałem ponownie połączyć się z siecią. Nie położyłem się spać, nawet gdy zaczęło się ściemniać. Obserwowałem z okna horyzont i czekałem. Właśnie wtedy poznałem Dylana, który pukał do drzwi i prosił wszystkich, żeby zebrali się na dole.

Tak wyglądał dzień pierwszy.

Dzień sześćdziesiąty ósmy (3)

Czekałem, aż wszyscy pójdą na kolację, a potem przez wewnętrzne przejście udałem się do kwater dla personelu, które znajdowały się na pierwszym piętrze po prawej stronie klatki schodowej.

Poszedłem długim korytarzem i skręciłem w lewo. Starąłem się iść szybko i cicho.

W pokoju Dylana byłem zaledwie kilka razy, ale nawet wtedy stałem tylko w drzwiach i czekałem, aż obładuje mnie narzędziami, zanim wyruszymy na dach. Jego pokój był mniejszy niż mój. Wszystkie pokoje dla personelu były mniejsze, a niektóre z nich miały nawet łóżka piętrowe. Jednak Dylan i Sasha zostali, choć przecież mogli skorzystać z okazji i przenieść się do bardziej przestronnych części hotelu. Najwyraźniej wygrała siła przyzwyczajenia.

Kiedy dotarłem na miejsce, na wszelki wypadek zapukałem, a potem wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Od razu wiedziałem, że nie ma tu walizek. Gdyby były, bez wątpienia zauważyłbym je. Poczulem się winny. Sam fakt przebywania tutaj był zdradą, był przyznaniem, że mu nie ufam, że nie ufam żadnemu z nich.

Wprawdzie nie było walizek, ale skoro już tu wszedłem, to postanowiłem przeszukać pokój. Nawet jeśli nic bym tam nie znalazł, i tak nikt by się o tym nie dowiedział.

Korytarz na zewnątrz był cichy i spokojny.

Dylan miał wspaniały widok z okna. Okna jego pokoju wychodziły na ogrody, teraz zasłonięte poźółkłymi żywopłotami. W tle widać było gęstwinę

drzew. Słabo pamiętałem, jak to wszystko wyglądało w słońcu, gdy tętniło zielenią.

Łóżko było duże i pojedyncze, nienagannie zaścielone. Na nocnym stoliku leżało zdjęcie starszej czarnoskórej kobiety i młodszej, po trzydziestce, która była na tyle podobna do Dylana, żebym mógł stwierdzić, że to jego córka. Miała krótkie warkoczyki i ten sam uśmiech. Ta druga kobieta musiała być jego żoną.

Miał bardzo mało rzeczy. Otworzyłem szafę i znalazłem w niej trzy czyste białe koszule, kilka par czarnych spodni, kurtkę khaki i zapasowe trampki. W rogu górnej półki leżało kilka paczek tytoniu, a na podłodze, obok butów, pudełko z narzędziami.

Czułem się jak świnia, że zwątpiłem w niego. Przeszukiwałem pokój mojego przyjaciela, który zaginął...

Obróciłem klucze wokół palców, otworzyłem, a potem zamknąłem wszystkie szuflady w małej komodzie stojącej po prawej stronie. Nie było w nich nic oprócz skarpet, bielizny, pary rękawiczek i czarnej czapki. Rozsunąłem wszystko na boki, na wypadek gdyby coś było ukryte pod spodem, ale nic nie znalazłem. Nic nie ukrywał.

Usłyszałem kroki na korytarzu i rozejrzałem się.

Nie było gdzie się schować. Miałem nadzieję, że to ktoś z personelu idzie do swojego pokoju. Teoretycznie nikt nie miał potrzeby tu przebywać.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wejść do szafy. Ale przykucnąłem i szybko spojrzałem pod łóżko, próbując ocenić, czy się pod nim zmieszczę. Tymczasem zobaczyłem tam ciemną walizkę...

Ktoś włożył klucz do zamka i zorientował się, że drzwi są otwarte.

Odwróciłem się w momencie, gdy do pokoju weszła Tania.

– Jezu! – Podskoczyła, upuszczając klucz. – Jezu Chryste, co ty tu robisz?

Kiedy pochyliła się, żeby go podnieść, zauważyłem, że ma zwykły klucz, a nie uniwersalny, taki, jaki dał Dylan mnie. Zauważyłem też dopiero teraz, że na dywanie było kilka wyblakłych szarych śladów, jakby ktoś ciągnął walizkę i nie był w stanie pozbyć się odcisków kół.

– Co ty tu robisz? – zapytałem w odpowiedzi. – Kto jest z Tomi?

– Ja... – Zarumieniła się. – Coś tu zgubiłam. Zresztą nie twój interes.

W każdym razie ja mogę tu być. Ale co ty tu robisz?

– Tak naprawdę też coś zgubiłem. I chyba właśnie znalazłem. – Kucnąłem, chwyciłem za uchwyt i wyciągnąłem walizkę spod łóżka.

Nie miałem wątpliwości, że była to jedna z walizek Luffmanów.

– To nie należy do ciebie!

– Zostało skradzione z mojego pokoju.

Skrzyżowała ręce na piersi, podczas gdy a ja rozpinałem walizkę.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– No cóż... – Otworzyłem pokrywę. Była wypełniona strzelbami rozłożonymi na części. – Coś tu nie gra...

– Dlaczego miałyby ci coś ukraść?

– Ponieważ wie coś o dziewczynce ze zbiornika na wodę, on i Sophia, i Bóg raczy wiedzieć kto jeszcze. – Przesunąłem kilka elementów na bok w nadziei, że pod spodem będzie poprzednia zawartość, ale oczywiście nic tam nie było. – Musiał wszystko wyjąć. Używał walizki jako pojemnika do przechowywania.

– Albo to po prostu jego walizka.

– Nic nie rozumiesz! – Warknąłem. – Tomi słyszała, jak on i Sophia o tym rozmawiają. Coś tutaj się dzieje, to pewne, ale nie przyszło mi do głowy, że walizki znikną z mojego pokoju...

Zamknąłem zamek i obróciłem walizkę. Zawieszki bagażowe Luffmanów na pewno wcześniej tu były, ale musiał je zdjąć. Byłem tego pewien. Byłem pewien, że to jedna z tych walizek.

– Zdjął zawieszki.

– Jon, widziałam tę walizkę za każdym razem, gdy byłam w tym pokoju. Należy do Dylana.

– Nie, nie należy. To niemożliwe!

– Co więcej, twoja dziewczyna szpieguje dla ciebie ludzi, twoich przyjaciół, bo myślisz, że ktoś z nas zabił tę dziewczynkę?

Westchnąłem.

– Wiem, jak to brzmi...

– Myślę, że powinieneś wyjść.

Wepchnąłem walizkę pod łóżko. Dowiedziałem się tego, czego chciałem. Nie musiałem tu stać i spierać się z nią, podczas gdy druga walizka oraz zawartość pierwszej mogły jeszcze być w hotelu. Przeszło mi przez myśl, że może zabrał wszystko do lasu i spalił.

– Na co czekasz? – Tania uniosła brwi.

– Przepraszam, już sobie idę.

– Może powinieneś także oddać te klucze.

– Nie ma mowy. – Nie było sposobu, żeby powiedzieć to bez wrogości.

– Wiem, jak wygląda paranoja – powiedziała.

– Nie zwariowałem.

– Stworzyłeś sobie teorię spiskową z niczego, a to jest podręcznikowa paranoja.

– Nie z niczego! To nie jego walizka!

– A jednak jest w niej zaskakująco dużo jego rzeczy.

Zdjąłem okulary, żeby przetrzeć oczy.

– Nie jestem szalony. Te walizki leżały w moim pokoju przez kilka dni! I nie wiesz wszystkiego... Nie wiesz, co znalazłem na nagraniach z dnia, w którym przybyli Luffmanowie. Dostali kartkę z numerem telefonu, żeby w razie czego mogli skontaktować się z właścicielem hotelu w apartamencie królewskim. Był tam Baloch Braun, mąż Sophii!

– O czym ty mówisz? Jaki apartament królewski?

– To pokój dziewięćset dziewięć, rodzice dziewczynki byli...

– Udowodnij.

Wstrzymałem oddech.

– Co?

– Jeśli masz dowód, że dziwne rzeczy dzieją się w tym hotelu, to mi to udowodnij – mówiła bardzo powoli. – Pokaż mi ten sekretny pokój... Masz

przecież klucze.

– Jeszcze tam nie byłem. Wczoraj się o tym dowiedziałem.

– Cóż, to pójdziesz tam teraz. Chodźmy.

Była bardzo poważna i stanowcza. Nie mogłem odmówić. Uspokoilem się i przytaknąłem. Ruszyliśmy we dwójkę na górę, wspinając się na dziewiąte piętro. Dotarliśmy do wschodniego skrzydła hotelu. Było blisko wejścia na dach. Z tego miejsca budynku prawdopodobnie rozciągały się najlepsze widoki na las, nieprzysłonięte przez schody przeciwpożarowe.

Zdyszany po wspinaczce zacząłem szukać kluczy i zauważyłem, że był to pokój otwierany kartą. Wtedy zrozumiałem, że prawdopodobnie byłem tutaj wcześniej, kiedy sprawdzałem pokoje podczas moich wstępnych poszukiwań. Przypomniałem sobie, jak szybko wsunąłem do środka głowę, upewniając się, że nikt tu nie mieszka, i ruszyłem dalej.

Tania milczała z założonymi rękami. Pchnąłem drzwi i weszliśmy do środka.

Byłem tu wcześniej. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Mia miała rację, nie był to żaden apartament królewski. To był nieco większy pokój niż mój, z ładniejszą łazienką i ładniejszym łóżkiem. Nie było w nim żadnych bagaży, ale sprawdziłem szafę i komodę, i stwierdziłem, że wciąż jest kilka ubrań. Same garnitury. W szufladach znajdowały się poskładane koszule – w kieszeniach nic nie było – oraz skarpetki i bokserki.

Może Mia miała rację co do numeru telefonu... Może naprawdę chodziło o obsługę klienta... Ale jakoś nie potrafiłem zaufać Mii. Mogła kłamać. Każdy z nich mógłby kłamać, żeby coś ukryć.

– Więc właściciel przebywał w tym pokoju... – powiedziała Tania, nie ruszając się z miejsca.

– Właściciele. Chociaż, według rejestru, był tu tylko Baloche.

– Dobrze.

Unikając jej spojrzenia, przeszukałem szuflady w nocnym stoliku i odkryłem, że Biblia miała pozaginane rogi i było w niej pełno zakładek. Złapałem ją i podniosłem.

– To musiała być jego Biblia!

Pokiwiała głową.

– I?

– Pozaznaczał tu jakieś fragmenty. Patrz. – Wszystko było po francusku. – Nie wiem, o co chodzi, nic nie rozumiem. Podkreślił dużo rzeczy w Ewangelii Świętego Mateusza.

– Jon, jesteś wyczerpany – rzuciła ostro. – Po prostu odpuść sobie, okej? Odpocznij. Rozejrzyj się! Tu nic nie ma! I bez twoich urojeń mamy dość zmartwień, z którymi musimy sobie poradzić. – Wyciągnęła dłoń, jakby chciała zabrać broń z rąk szaleńca. – No już, daj mi klucz. Chodźmy.

– Nadal mi nie wierzysz?

– Co to znaczy „nadal”? Pokazałeś mi pokój jakiegoś faceta. Wielka mi rzecz. – Wzięła głęboki oddech. – Słuchaj, wiem, że to nie jest najlepszy moment, komuś w trakcie załamania nerwowego powiedzieć... że ma załamanie nerwowe... Ale mam leki, które nieco cię uspokoją.

– Co?

Rozłożyła ręce.

– Żebyś mógł jakoś funkcjonować.

Nie mogłem w to uwierzyć.

– Poważnie? Myślisz, że jestem chory psychicznie?

– Myślę, że potrzebujesz pomocy, Jon. To wszystko. – Wyciągnęła rękę po raz kolejny. – Daj mi klucz. Pozwól sobie pomóc.

Zrobiłem krok do tyłu i poczułem, że jestem cały czerwony.

– Kto się zajmuje teraz Tomi? – zapytałem, uchylając się od jej żądania.

– Czuje się coraz lepiej. Obudziła się jakiś czas temu.

Zignorowałem jej odpowiedź i odszedłem, zabierając ze sobą klucz i Biblię Baloche'a. Byłem zły na Tanię i nie chciałem powiedzieć czegoś, czego mógłbym później żałować.

– Jon, oddaj mi klucz! – krzyknęła za mną.

Znów ją zignorowałem i poszedłem dalej.

Dzień sześćdziesiąty ósmy (4)

Zostawiwszy Tanię w apartamencie królewskim, wróciłem do pokoju Dylana. Znalazłem tam łopatę. Potem wyszedłem na zewnątrz. Minąłem parking, na którym stałem pierwszego dnia, i ścianę, o którą się opierałem.

Miałem rację. Wiedziałem, że mam rację. Coś się zdarzyło tego dnia. Coś, o czym wiedzieli tylko Dylan i Sophia. I miało to związek z Harriet Luffman i Balochem Braunem. Może reszta personelu też o tym wiedziała. Nie mogłem zaufać żadnemu z nich.

Było ciemniej niż zazwyczaj. Niskie chmury były ponuro szare. Gdybym nie wiedział, jak mało to prawdopodobne, pomyślałbym, że zanoszą się na deszcz.

Przeszedłem przez żółty trawnik obok drzew i zacząłem iść zygzakami przez obrzeża lasu. Nie byłem pewien, czego szukam, ale pamiętałem, co widziałem.

Zwiędłe listowie szeleściło pod moimi stopami. Gałęzie ponad moją głową były cieniutkie, a wszystkie pozostałe na nich liście wisały martwe.

Byłem bardzo rozczarowany Tanią. Sądziłem, że ze wszystkich osób ona jedna mogła mi uwierzyć, ona jedna mogła mieć moralną siłę i dostrzec, jakie to ważne. Przypuszczam, że Dylan mógł jej coś powiedzieć. Może wiedziała, o co chodzi, i przeszła na jego stronę.

Chodziłem wte i wewte, trzymając się skraju lasu. Mocno stąpałem po ziemi, starając się wyczuć jakąkolwiek zmianę w fakturze gruntu. Wiedziałem, że nie mogli przenieść ciała bardzo daleko, nie tego dnia. Choć nieśli je we dwoje, oddalili się pewnie tylko na tyle, żeby być poza zasięgiem wzroku.

Po dwudziestu minutach deptania i krążenia między drzewami natknąłem się na dziwną łatę na ziemi, która nie pasowała do reszty. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że wszędzie coś rośnie. A tu nie rosło nic. Od tamtego dnia nie było przecież zbyt dużo deszczu ani słońca, więc nic nowego nie miało szansy wyrosnąć na rozkopanym terenie.

Wziąłem łopatę w obie ręce i zacząłem kopać.

Zdjąłem wierzchnią warstwę ubrań i rzuciłem je na ziemię. Zlałem się potem, ale nie przestałem przerzucać ziemi, dopóki nie znalazłem się na głębokości około metra. Dzięki pracom, które wykonywałem w hotelu, zrobiłem się bardziej umięśniony. Oparłem łopatę o krawędź wykopanej dziury i próbowałem złapać oddech. Cały byłem pokryty ziemią, ręce miałem czarne.

Spojrzałem w kierunku hotelu, ale widok był prawie całkowicie zasłonięty przez drzewa. Nie można mnie było zobaczyć. Jeśli chcieli się czegoś pozbyć, to miejsce było do tego wprost idealne.

Podniosłem łopatę i kontynuowałem.

W pewnym momencie zacząłem się śmiać. Czego właściwie szukałem? Natknąłem się na dziwny kawałek ziemi i kopałem tu już od ponad godziny, ponieważ musiałem sobie udowodnić, że mam rację. Cóż innego mi to dawało, poza racją? Mogłem sobie tu kopać dziury przez cały następny dnia, tydzień czy miesiąc, ale jakie to miało znaczenie? Nie było tu już nikogo, kto by za mną zatęsknił, kto w ogóle zauważyłby moją nieobecność.

Przerwałem kopanie, dopóki nie przestałem się śmiać. Zdjąłem okulary i rzuciłem je na płaszc. Zdjąłem sweter i koszulę, a potem wróciłem do pracy.

Ręce mi się trzęsły. Nie wiedziałem, jak długo to wszystko już trwało.

Wbiłem łopatę w ziemię i nagle poczułem opór. Wyprostowałem się, wyrzuciłem jeszcze jedną grudę ziemi z dziury i zobaczyłem brązową tkaninę. Odłożyłem łopatę.

Resztę ziemi rozgarnąłem gołymi rękami. Było tam więcej materiału, być może było to stare prześcieradło. Kiedy odkopałem na tyle dużo, by złapać je w garść, zacząłem ciągnąć.

– Wyłaź! – krzyknąłem i coraz mocniej ciągnąłem znaleźisko.

Prześcieradło nagle przestało stawiać opór, a ja zachwiałem się i upadłem do tyłu, lądując z impetem na plecach.

Zaskoczony upadkiem, usiłowałem usiąść, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że leżą przede mną czyjeś zwłoki.

Byłem zbyt wyczerpany, żeby krzyczeć czy wołać o pomoc.

Wokół panowała cisza.

Wyciągnąłem górną połowę ciała z tego prowizorycznego całunu. Siedziało teraz pod kątem czterdziestu pięciu stopni, lekko wyprostowane. Były to zwłoki mężczyzny w bardzo zaawansowanym stadium rozkładu... Ubrany był w garnitur. Z jego twarzy pozostała gnijąca, podziurawiona, bezkształtna masa. Ale nie było żadnych robaków, wbrew pozorom. Śmierdział strasznie, choć nie tak bardzo jak ciało, które wyłowiliśmy z wody. To była sucha zgnilizna. Było to okropne, lecz znośne.

Trudno stwierdzić, jak umarł. Wiedziałem tylko, że został zamordowany. Bo co niby robił w tym miejscu? Gdyby sam się zabił, na pewno zostałby pochowany wraz z innymi mieszkańcami. Wiedzielibyśmy o nim, gdyby jego śmierć była wynikiem samobójstwa.

Myślałem, że poczuje się usatysfakcjonowany, wręcz spełniony. Bo oto znalazłem koronny dowód potwierdzający winę nie tylko Sophii, ale być może i Dylana. Tymczasem poczułem się po prostu smutny.

Usiadłem, próbując odzyskać oddech, stopami przy stopach martwego ciała, w dziurze, którą wykopałem dla nas obu. Byłem odrętwiały. Myślałem, że znajdę jakąś odpowiedź. Ale pojawiło się tylko więcej pytań. Tymczasem Dylana nie było. Nie było też Nathana i Adama, jedynych ludzi, którzy mogliby mi pomóc.

Czy Tomi i ja jesteśmy tu jeszcze bezpieczni? Może ktoś naprawdę próbował ją otruć?

Wyciągnąłem rękę i, nie wysilając się zbytnio, sprawdziłem kieszenie marynarki, w którą ubrany był martwy mężczyzna. Były puste.

Po dłuższej chwili wziąłem głęboki oddech i wstałem.

Ostrożnie położyłem ciało z powrotem w dziurze. Spostrzegłem, że garnitur był w kilku miejscach rozerwany. Mężczyzna mógł zostać dźgnięty nożem, ale nie byłem pewien. Kiedy oglądałem rozdarcia w tkaninie, zauważyłem, że garnitur był z tych drogich. Od Toma Forda. I wtedy mnie olśniło – to mógł być Baloche Braun.

Czy to jego właśnie Sophia ukrywała między drzewami? Co takiego widziałem, kiedy Dylan pomagał jej tego dnia? Garnitur od Toma Forda. To musiał być Baloche. Tyle że jego związek z morderstwem Harriet był raczej niewielki. Więc jeśli nawet to był Baloche, nie mógł mi w niczym pomóc.

Zakryłem twarz prześcieradłem, wziąłem łopatę i wyrzuciłem ją z dziury. Reszką sił sam wyskoczyłem na górę, a potem zacząłem powoli zasypywać zwłoki, choć już nie w ten sam oszalały sposób. Cała siła, cała motywacja właśnie zostały pogrzebane.

Gdy skończyłem, zapadał już zmierzch. Włożyłem okulary i spojrzałem na siebie. Byłem brudny. Nie było sensu ponownie zakładać ubrań. W każdym razie i tak nie czułem zimna.

Przerzuciłem koszulę, sweter i płaszcz przez rękę, i zacząłem wracać do hotelu.

Bolały mnie nogi, a ramiona drżały od nadmiernego wysiłku.

Przeszedłem przez trawnik i spojrzałam w stronę hotelu. Nie widziałem nikogo na wyższych piętrach, ale gdy obniżyłem wzrok do poziomu restauracji, ujrzałem Sophię, która patrzyła na mnie z okna.

Zatrzymałem się i przez chwilę, może dłużej, staliśmy naprzeciw siebie po dwóch stronach szyby. Dzieliło nas jakieś dziesięć metrów. Nawet z tej odległości widziałem, że jest z nią coś nie w porządku. Ramiona miała zapadnięte, a włosy związane z tyłu głowy. Przez chwilę sądziłem, że płakała, albo przynajmniej powstrzymywała łzy.

Nic nie mówiąc, zupełnie pozbawiony sił, nawet na tyle, żeby kontrolować wyraz twarzy, odwróciłem się i obszedłem hotel dokoła, kierując się do

głównego wejścia. Na szczęście nikogo nie spotkałem. Mój wygląd był zapewne mocno niepokojący.

Gdy wróciłem do swojego pokoju, byłem bliski kolejnego ataku paniki. Zapadłem się w sobie. Oparłem się o brzeg łóżka i próbowałem spowolnić oddech. Moja szyja i głowa parowały od gorąca. Mój umysł był w jakiejś malignie i bałem się, że za moment zemdleję. Ale zacząłem liczyć wdechy i wydechy i wtedy się uspokoiłem. Usiadłem na podłodze i oparłem czoło na kolanach, aż minęły największe mdłości i zawroty głowy.

Potem wziąłem zimny prysznic, który, jak sędzę, również pomógł.

Byłem bardzo głodny, ale nie chciałem schodzić na dół, nie chciałem z nikim się spotykać.

Nie wiedziałem, co teraz mam zrobić. Myślałem, że to będzie oczywiste. Myślałem, że wystarczy upewnić się, że mam rację... Tymczasem zaczęło do mnie docierać, że, pomimo wszystkich moich nowych odkryć i poczucia celu, w tym postcywilizacyjnym świecie to, co robię, może nie mieć żadnego znaczenia. Baloch nie żył. Ot co. A martwy człowiek nie mógł mi nic powiedzieć.

Nie powiedziałem tu wiele o sobie. To pierwsza rzecz, jakiej uczą się akademicy podczas pisania prac: trzeba pozbyć się jakichkolwiek osobistych uwag. Niezbyt obchodzi mnie to, że nikt mnie nie pamięta, ale chcę napisać o moich rodzicach, przynajmniej krótko. Także na wypadek, gdybym jednak nie wrócił.

Moja matka, Marion Keller, zmarła, gdy miałem trzynaście lat. Ona i mój ojciec rozwiedli się trzy lata wcześniej. Mniej więcej rok przed tym ojciec poznał swoją nową dziewczynę i przyszlą żonę – Barbarę. Moja matka zawsze miała zbyt wiele klasy, żeby powiedzieć to głośno, ale często sugerowała, że ojciec spotkał Barbarę dużo wcześniej, niż on i moja matka się rozwiedli.

Nigdy tak naprawdę nie przestałem nienawidzić za to ojca. Przez większość swojego małżeństwa robiłem wszystko, żeby nie być taki jak on, i zajęło mi dużo czasu uświadomienie sobie, że tak naprawdę się w niego zamieniłem...

Moja matka zmarła na wylew krwi do mózgu, gdy byłem w domu mojego przyjaciela. Przyjechała po mnie i rozmawiała z jego mamą przez chwilę w kuchni. Nie zwracałem szczególnej uwagi na to, o czym mówiły – razem z Landisem graliśmy w salonie na konsoli – ale usłyszałem, jak zapytała:

– Czy masz aspirynę?

Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak.

Nie wiem skąd, ale wiedziałem. Nie wyglądało to dobrze.

Rzuciłem grę, pobiegłem do kuchni i zastałem mamę opartą o blat. Dłońmi obejmowała czoło, a mama Landisa powiedziała:

– Jon, biegnij do sklepu i kup aspirynę. Skończyła mi się.

Udało jej się zachować spokój.

– Mamo, wszystko w porządku? – zapytałam, wiedząc, że tak nie jest.

Nie patrząc na mnie, z głową skierowaną w dół, odparła:

– Tak, kochanie, nic mi nie jest. Biegnij do sklepu. Nic mi nie będzie.

Nie chciałem jej zostawić, ale chwyciłem torbę, która leżała obok drzwi, i przebiegłem dwie przecznice. Nie byłem zbyt dobrym biegaczem, rozboleły mnie płuca i kiedy dotarłem do sklepu, myślałem, że zwymiotuję z wysiłku i paniki. Kupiłem aspirynę, a mężczyzna za ladą spojrzał na mnie z niepokojem. Pewnie już wtedy wiedziałem, że jest za późno – było to widać na mojej twarzy.

Wracałem jednak biegiem, choć nogi mnie piekły, a stopy rwały z bólu. I tak się spociłem, że ledwie widziałem. Gdy wróciłem, a drzwi wejściowe były wciąż otwarte, pomyślałem, że nie mieli głowy, żeby zamknąć za mną drzwi, ponieważ moja mama umarła.

I nie myliłem się.

To chyba Stephen King powiedział kiedyś, że sumę wszystkich ludzkich lęków odzwierciedlają lekko uchylone drzwi.

Dzień sześćdziesiąty dziewiąty

„Pomóż mi”.

Właśnie to spędzało mi sen z powiek przez wiele nocy, aż w końcu doszedłem do wniosku, że oczywiście nie przemówiła do mnie żadna zjawka dziewczynki. W tym hotelu nie było duchów. Poza tymi, które sami sobie stworzyliśmy.

Zostawiłem otwarte drzwi i nie zasunąłem zasuwki. Rzuciłem pewnego rodzaju wyzwanie. Tyle że nie zadziało. Nic nie szarpało w nocy za klamkę. Nikt do mnie nie krzyczał.

Może głos, który wydawało mi się, że słyszałem, to byłem ja sam? Może Tania miała rację i jednak potrzebuję pomocy? A może po prostu potrzebuję wyjaśnienia, dlaczego wszyscy się tu znaleźliśmy? Może przede wszystkim powinienem znaleźć odpowiedź na pytanie „dlaczego ja?”, a nie uganiać się za jakimiś wyimaginowanymi sprawami.

Na dworze było ciemno, jeszcze ciemniej niż wczoraj.

Opuściłem swój pokój, poszedłem na górę i zapukałem do drzwi Petera. Chyba go obudziłem, a kiedy w końcu otworzył drzwi, tęnym wzrokiem zlustrował mnie z góry na dół i stwierdził:

– Wyglądasz okropnie.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Skrzyżował ramiona.

– Och, nowy lider grupy potrzebuje mojej pomocy.

– Nie chciałem zostać liderem.

– Jasne, jasne, sprawy po prostu ci się przytrafiają. – Opierał się o framugę drzwi. – A co jeśli powiem „nie”?

– Nic złego się nie wydarzy, ale to, co robię, robię w słusznej sprawie.

– Chodzi o twoje dochodzenie? Twój mały projekt? – Uśmiechnął się. – Czego chcesz ode mnie?

Wziąłem głęboki wdech.

– Potrzebuję twojego doświadczenia zawodowego.

Yuka i Haru zgodzili się na półgodzinną sesję w ich pokoju. Yuka robiła notatki, ponieważ wywiad odbył się w całości po niemiecku, i chociaż sam przekazałem Peterowi kilka pytań, to i tak nic nie zrozumiałem. A oto notatki Yuki, słowo w słowo:

P: Skąd to masz?

R: To prezent, żebyśmy byli cicho w pociągu.

P: Czy możesz mi pokazać, jak ją zbudować?

R: Tak! To łatwe, spójrz.

P: Oboje lubicie pociągi?

A: Ja lubię samoloty.

R: Tak!

P: Podoba ci się tutaj?

R: Tak, ale chcę już wrócić do domu.

A: Ja nie chcę wracać do szkoły.

R: A ja tęsknię za szkołą.

P: Tęsknisz za szkołą?

R: Nie tęsknię za szkołą.

A: Tęsknię za moimi przyjaciółmi.

R: Czy świat wyleciał w powietrze?

P: Myślisz, że świat wyleciał w powietrze?

R (śmiech): Nie!

A: Źle to robisz!

P: Sorry, a możesz to dla mnie zbudować?

R: Jak masz na imię?

P: Peter. A ty?

R: Ryoko. To jest Akio. A on nazywa się Jon.

P: Znam go.

R: On jest twoim przyjacielem?

P: Pewnie. Co sprawiło, że myślisz, że świat wyleciał w powietrze?

R: Wszyscy ciągle krzyczą o bombach.

P: Wiesz, co to są bomby?

R: Wyszadzają różne rzeczy w powietrze.

P: My jednak nie wylecieliśmy w powietrze. Wszystko jest z nami w porządku.

R: Więc wkrótce będziemy mogli wrócić do domu?

P: Wszyscy będziemy musieli znaleźć nowe domy. Czy to dla ciebie okej?

R: Hmm.

P: Tęsknisz za swoim starym domem.

R: Za moimi przyjaciółmi. I przysmakami.

P: Też tęsknię za przysmakami.

R: Mamy tu nową siostrę, ale brakuje mi przysmaków.

P: Czyli znalazłaś tu nowych przyjaciół?

R: Tak! Tomi! Jest bardzo ładna i pozwala mówić zabawne słowa.

P: Jakie słowa?

R: Nie mogę ci powiedzieć, bo moja mama jest tutaj. Powiem ci innym razem. Bo nie są zbyt ładne.

P: Jakich jeszcze masz tu przyjaciół?

R: Znam Jona. Pozostali przyjaciele wyjechali.

P: Kto to był?

R: Harry i Sam. Sam był tu ze swoim tatą, miał się nauczyć strzelać do jelenia. Ja tego nigdy nie zrobię. Myślę, że tylko chłopcy to lubią.

P: Więc Harry i Sam wyjechali ze swoimi tatusiami?

R: Sam wyjechał ze swoim tatą jeszcze wcześniej, zanim inni wyjechali.
A Harry wyjechała z mamą i tatą wtedy, kiedy wszyscy krzyczeli.
Pożegnała się ze mną.

P: Harry była dziewczynką?

R: Tak. Ona powiedziała mi do widzenia, ale nie chciała wyjeżdżać, bo się bała.

P: Czy znałaś Harry dość długo?

R: Nie. Uściskała mnie, kiedy płakałam. Mama na mnie nakrzyczała, wszyscy inni też krzyczeli, więc ona mnie przytuliła.

P: A potem wyjechała z rodzicami?

R: (przytakuje).

P: To dlatego uciekłaś? Twoja mama powiedziała, że cię na chwilę straciła z oczu. Gdzie uciekłaś? Poszłaś się pożegnać z Harry?

R: Nie. Poszłam za tą drugą dziewczynką.

P: Drugą dziewczynką?

A: Już skończyłem!

P: Dziękuję, Akio. Jest super. Czy potem stawiasz ją na rozkładanych torach, o tutaj?

A: Tak.

R: Nie, robisz to źle!

A: Połamiesz to w ten sposób.

R: Nie, nie połamie! To jest i tak moje.

(Dyskusja na temat tego, jak najlepiej budować pociągi i jak się nimi potem bawić. Peter rozwiązuje problem, udając, że pociągi latają, i powodując kolizje w powietrzu.)

P: Kim była ta druga dziewczynka, o której wspomniałaś?

R: Kto?

P: Ta, za którą poszłaś, kiedy twoja mama cię nie mogła znaleźć. Widziałaś ją wcześniej w hotelu?

R: Nie. Przyjechała z tatą.

P: Z tatą?

R: Nie wiem, schowałam się. I nie mogłam z nią porozmawiać.

P: Ukryłaś się?

R: Tak, ukryłam się i wtedy mama mnie znalazła.

P: Dlaczego się schowałaś? Czy to była taka gra?

R: (kręci głową).

P: Obiecuję, Ryoko, nie wpakujesz się w żadne kłopoty.

R: Wpakowałam się w kłopoty, bo uciekłam.

P: Teraz nic ci nie grozi. Nie zrobiłaś nic złego. Ten człowiek był przerażający? Czy z tą dziewczynką było wszystko dobrze? Czy chciałaś upewnić się, że wszystko z nią w porządku?

R: Bałam się, więc się ukryłam, a potem mama mnie znalazła.

P: Czy widziałaś już kiedyś tego mężczyznę?

R: (kręci głową): Często mam złe sny.

P: Wiesz, że tu jesteś bezpieczna, prawda? Wszyscy jesteśmy tutaj po to, żeby się tobą opiekować.

R: Kto się zaopiekuje tobą, kiedy dorośniesz?

P: (śmieje się i wskazuje na Jona): On.

R: (śmieje się).

J: Co?

Dzień siedemdziesiąty

Trzeciego dnia postanowiliśmy wysłać grupę poszukiwawczą. Zaplanowaliśmy, że wrócimy po południu. Nie chcieliśmy na dłużej opuszczać hotelu.

Tomi, w tym stanie, nie mogła dołączyć do grupy. Zresztą i tak bym jej nie puścił. Zaczęła już wstawać, rozmawiać i pod koniec trzeciego dnia zeszła nawet na dół po jedzenie. Wiedziałem, że mimo tak silnego osłabienia i tak mogę na niej polegać. A także na Peterze. Wiedziałem, że ochronią pozostałych.

Zgłosiłem się na ochotnika, ponieważ nie miało to już dla mnie większego znaczenia, czy wrócę, czy nie. W tym momencie prawie w ogóle nie obchodziło mnie, czy mi się uda. Nie napisałem nic więcej po rozmowie Petera z Ryoko. Zupełnie straciłem motywację.

Nikomu nie powiedziałem o tym, że w lesie zakopane jest ciało, ani o odkryciu, że dziewczyna ze zbiornika z wodą nie była tym, za kogo ją uważaliśmy. Nie powiedziałem o tym nawet Tomi. Część mnie była zażenowana, że mój trop okazał się do niczego. Ale Tomi miała teraz dość własnych zmartwień, a im mniej wiedziała, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że coś jej się stanie.

Było zimno, zimniej niż zwykle rano. Kiedy wychodziliśmy, pod płaszczem miałem dodatkowy sweter, który sprawiał, że ciężko mi się było poruszać. Moje ramiona i łydki były już sztywne i czułem w nich ból, a do tego bolał mnie ząb. Byłem zmęczony. Tej nocy nie spałem, martwiąc się naszą wyprawą. I ogólnie martwiąc się.

Peter chciał wyruszyć ze mną, ale był jedynym dobrym strzelcem w hotelu, którego nie osłabiła choroba. Co zaskakujące, Yuka również zgłosiła się na ochotnika. Wydaje mi się, że poczuła się dotknięta komentarzami Tomi, że miga się od obowiązków. Była jednak zbyt drobna, by utrzymać którąś ze strzelb, nie mówiąc już o tym, żeby z nią biec lub z niej strzelać.

W końcu padło na Roba.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z hotelu, Rob zapytał:

– Czy wzięłeś mnie zamiast Petera, ponieważ to mniej prawdopodobne, że cię zabiję i powiem wszystkim, że to był wypadek?

Roześmiałem się.

– Dokładnie tak. Wiem, że to pewnie niesprawiedliwe, ale mu nie ufam.

– Cieszę się, że ja nie sprawiam takiego wrażenia.

– Może to twój sekret.

– Może od zawsze byłem najbardziej niebezpieczną osobą w hotelu.

Zaśmiałem się tak głośno, że zapomniałem przez chwilę patrzeć na drogę.

To sprawiło, że zatęskniłem za chłopakami jeszcze bardziej. Moja grupa wsparcia była gdzieś tam, nie wiadomo gdzie. Nie doceniałem tego, jak bardzo mogłem na nich polegać.

– Mamy niewielkie szanse ich znaleźć – powiedział Rob.

– To nie jest dobre podejście.

– Wolę zakładać najgorszy scenariusz.

– Ja nie jestem pewny.

– Czy wojna nuklearna była aż tak zła, jak ci się wydawało?

Zastanowiłem się chwilę.

– Hmm. Nie, myślę, że nie było tak źle, jak sobie wyobrażałem.

– Wyobrażałeś sobie coś bardziej przypominającego początek *Terminatora*?

W każdym razie ja tak to sobie wyobrażałem.

– I tak było dla niektórych ludzi.

Skinął głową i wiedziałem, że obaj myślimy o osobach, które straciliśmy. Przynajmniej wszystko poszło szybko. Ale czy faktycznie, skoro bardziej

prawdopodobne było to, że powoli umierali na chorobę popromienną?

U nas trudno było stwierdzić, czy ktoś cierpi z powodu napromieniowania. Chyba przyzwyczaiałem się, że wciąż coś mi dolega.

– Skoro już tu jesteśmy, moglibyśmy poszukać telefonu – zasugerował Rob.

– Masz swój?

Włączył telefon w kieszeni, aż ekran zamigotał.

– Zawsze możemy się zatrzymać, jeśli zauważysz, że masz sygnał – powiedziałem, patrząc z trwogą na umierający las. – Może jak wyjedziemy z lasu? Byle nie w sklepie. Czuję, że coś się nie uda.

– Ja też czuję, że coś się nie uda.

Uśmiechnąłem się szeroko i zacytowałem:

– „Frost, ty zawsze mówisz, że teraz coś się nie uda”.

Byliśmy jakieś piętnaście minut drogi od hotelu.

– Czy nie powinniśmy przejechać obok sklepu, na wypadek gdyby tam się zatrzymali? – zapytałem.

– Jeśli chcesz.

– Pytam cię o zdanie. Myślisz, że to dobry pomysł?

Westchnął.

– Możemy wpaść w zasadzkę.

– Możemy zostać zaatakowani w każdej chwili.

Przez moment obaj się nad tym zastanawialiśmy, w końcu Rob przerwał ciszę:

– Powinniśmy to dla nich zrobić. Wyobraź sobie, że byłbyś na miejscu Dylana albo Nathana, a twój samochód by się zepsuł i utknąłbyś w tym sklepie, przerażony na śmierć, i nikt z nas nie przyszedłby cię szukać, ponieważ byliśmy zbyt przestraszeni... To nie byłoby w porządku.

– Okej, klamka zapadła. Zrobimy objazd.

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Moje serce przyspieszyło. Czuję się, jakbyśmy już wpadli w pułapkę. Ale Rob miał rację: jak

moglibyśmy potem spojrzeć sobie w twarz, gdyby Dylan, Nathan lub Adam jeszcze żyli, a my nawet nie spróbowałibyśmy ich odnaleźć?

– Jedno kółko – powiedziałem stanowczo i skręciłem w lewo w kierunku sklepu. – Jeśli cokolwiek wyda nam się dziwne, podejrzane lub kogoś zobaczymy, od razu odjeżdżamy. Cokolwiek zbliży się do samochodu, strzelaj.

– To byłby mój pierwszy odruch – odpowiedział, sięgając po jedną ze strzelb, które zabraliśmy ze sobą. – Chociaż nigdy wcześniej nie strzelałem z żadnej z nich. Jest dość ciężka, prawda?

– Poradzisz sobie?

– Celuj w bliżej nieokreślonym kierunku i módl się, tak się to robi?

– Dokładnie. Przygotuj się na odrzut, który szarpnie twoim ramieniem. Przyłóż broń do policzka, to pomoże ci utrzymać stabilność. Spróbuj trafić za pierwszym razem.

– Bez wątpienia będę się starał.

– Nigdy wcześniej nie strzelałeś z broni, więc pierwszy strzał uwolni adrenalinę w twoim organizmie. Ręce zaczną ci się trząść. Prawdopodobnie nie będziesz mógł strzelać ponownie przez kilka kolejnych minut.

– O... – Wziął głęboki oddech. – Nie wiedziałem tego.

Coś ciężkiego spadło na dach samochodu, rozległ się metaliczny dźwięk i obaj aż podskoczyliśmy. Prawdopodobnie była to gałąź. Rob położył dłoń na głowie i wydał policzki. Chwyciłem mocniej za kierownicę, krew napłynęła mi do głowy. Spojrzeliśmy sobie w oczy i uśmiechnęliśmy się, widząc w nich strach.

Zbliżaliśmy się do sklepu, więc zwolniłem.

– Nie zwalnij – powiedział Rob, sprawdzając, czy drzwi są zamknięte. – Zrób to naprawdę szybko.

– Jesteś pewien, że niczego nie przegapimy?

– Land rovera niełatwo przegapić.

Położyłem stopę na gaz i przygotowałem się do ostrego skrętu w lewo na parking.

Rob oparł się twarzą o okno i patrzył na puste, rozciągające się przed nami szarości, podczas gdy ja trzymałem swój wzrok skupiony na krótkim odcinku tuż przed autem. Patrzyłem, czy nie ma rozrzuconych gwoździ, przeszkód i jakichś innych rzeczy – czegokolwiek, co mogło by być przez kogoś celowo podrzucone.

– Tam!

Podskoczyłem, skręciłem w prawo i oderwałem wzrok od drogi.

– Co?

– Tam. – Przyłożył rękę płasko do okna. – Samochód Dylana.

– Kurwa, co robimy?

– Zatrzymaj się!

– Zatrzymać się?! – Wyjechałem już z parkingu. – Nie możemy!

– To jego samochód!

– Widzisz coś jeszcze?

Dwie pary naszych oczu szaleńczo przeszukiwały przestrzeń, sprawdzając, czy nie czai się jakieś niebezpieczeństwo.

– Nie, nic. Zatrzymaj się!

– Nie sędzę, że powinniśmy się zatrzymywać!

– Mogą tam być!

– Kurwa! Kurwa! – Nacisnąłem ostro na hamulce i samochód przejechał parę metrów w poślizgu, rzucając nas obu do przodu. – Kurwa!

Czekaliśmy na coś, na atak, na ruch, ale towarzyszyła nam tylko cisza.

Żaden z nas nie ruszył się z samochodu.

Zawróciłem.

– Rob, powiedz mi, czy coś widzisz!

– Nic nie widzę.

– Czy to na pewno jest samochód Dylana?

Zatrzymaliśmy się obok wozu. Przyglądaliśmy mu się. To był samochód Dylana.

– Kurwa – powtórzyłem, ponieważ wiedziałem, że jeden z nas będzie musiał wyjść.

– Kurwa – powiedział Rob, ponieważ wiedział, że to będzie on.

– Nie będę gasił silnika – obiecałem, próbując ukryć drżenie w głosie. – Weź broń ze sobą, wszystko będzie dobrze.

– Błagam, nie odjeżdżaj beze mnie.

– Nie odjadę.

– Ale mówię serio, bez względu na to, co się stanie, błagam, nie odjeżdżaj beze mnie.

– Nie odjadę, przysięgam.

Drżącymi dłońmi otworzył drzwi i wyslizgnął się. Rozejrzałem się ponownie, ale nic się nie ruszało. Nikt nie zbliżał się w naszym kierunku. Rob uchylił drzwi i podszedł do land rovera, przycisnął ramię do tyłu samochodu i wspiął się na palce, żeby zajrzeć do środka. Nie znalazł tam niczego strasznego, więc spojrział w tył i potrząsnął głową, żeby dać mi znać.

Wróciwszy do bezpiecznego wnętrza naszego pojazdu, zapytał:

– A nie powinniśmy wejść do sklepu?

– Chyba raczej nie rozbili tu obozu – powiedziałem.

– To dlaczego jego samochód nadal tu jest?

– Wiem dokładnie tyle, co ty! – Przełknąłem ślinę, a w ustach miałem sucho.

– Jest nas tylko dwóch. Jeśli zostaniemy napadnięci, to nie mamy zbyt wielu szans, skoro ci ludzie pokonali Dylana, Adama i Nathana.

– Nie możemy tak po prostu ich zostawić.

– Idź i sprawdź, czy w wozie są kluczyki.

– Co? A, tak.

Tym razem był o wiele szybszy, nieco bardziej pewny siebie, kiedy otwierał drzwi land rovera. Położył karabin na siedzeniu i zaczął grzebać pod spodem, potem w schowku, na podłodze, a ja czuwałam w ciszy, z walącym sercem i żołądkiem wywróconym na drugą stronę.

Nie znałem wcześniej takiego strachu. Za każdym razem, gdy myślę, że osiągnąłem szczyt moich możliwości, przychodzi sytuacja, która jest jeszcze gorsza. Czułem się, jakbym był częścią łańcucha pokarmowego.

Rob wrócił i zamknął drzwi.

– Nie ma kluczyków.

– Jasne, inaczej ktoś już dawno ukradłby auto. Nie umiesz przypadkiem odpalić silnika bez kluczyków, prawda?

– Schlebia mi, że w ogóle o czymś takim pomyślałeś.

– Czyli rozumiem, że nie umiesz.

– Nie. Nie umiem.

Zastanawiałem się, czy ja byłbym w stanie to zrobić. Można by poszukać trochę w Google’u. Zdecydowałem, że warto spróbować.

– Spróbuj połączyć się z internetem – zasugerowałem. – Jeśli znajdziesz jakiś samouczek online, to może uda nam się go uruchomić. Może... Jeśli będziemy mieli dodatkowy samochód, wyprowadzenie wszystkich z hotelu zajmie o wiele mniej czasu.

– Myślałem, że nie da się tak odpalić nowoczesnych samochodów.

– Nie mam pojęcia. Ale moglibyśmy spróbować, prawda?

Chichocząc na myśl o absurdalności tego wszystkiego, Rob wziął telefon i włączył transmisję danych.

– Myślę, że dam radę to zrobić przy pomocy jakiegoś tutorialu.

– Trzymiel! – wykrzyknąłem.

– Co?

– Żółte i czarne druty idą razem. Gdzieś o tym czytałem. Trzymiel to właśnie żółte i czarne druty... Jest jeszcze jedno słowo, aby zapamiętać pozostałe dwa kolory, ale wyleciało mi z głowy...

Ekran rozbłysnął i Rob połączył się z internetem. Przeszukiwał YouTube’a. Chciałem wyrwać mu telefon z rąk i sprawdzić wiadomości.

– Czy mogę... potem skorzystać, kiedy skończysz? – zapytałem, gdy wysiadał z samochodu.

- Tak, oczywiście. – Lekko otworzył drzwi. – Tylko, proszę, nie odjeżdżaj.
- Nie odjadę! Pospiesz się, mam złe przeczucie.
- Co masz na myśli?
- Nic, to znaczy... nic takiego. Idź! I pospiesz się!

Skulony, jakby uchylając się od strzału, Rob wrócił do land rovera. Słyszałem, że ma włączony tutorial i że jakiś facet, stojąc na podjeździe przed swoim domem, omawia cały proces. Cofnąłem nieco samochód, żeby widzieć wejście do sklepu. Nic, żadnego ruchu, ale im dłużej kręciliśmy się po tym miejscu, tym ciężiej robiło mi się na żołądku.

Zauważyłem, że nie zabrał ze sobą broni. Zerknąłem przez prawe ramię. Nagle spostrzegłem coś, może kogoś, wycofującego się ze skraju parkingu, z powrotem do lasu.

Nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

– Rob! Rob, spadamy stąd!

Wyskoczył z samochodu Dylana w mgnieniu oka. Wrzuciłem bieg, kiedy Rob był już na siedzeniu pasażera. Patrzyłem na drzewa, słyszałem, jak Rob zamyka drzwi, a zaledwie sekundę później coś trafiło w nasz prawy błotnik.

– Kurwa! – Rob obejrzał się. – Kurwa mać!

Nadepnąłem pedał gazu i zanim dotarliśmy do wyjazdu z parkingu, jechałem już siedemdziesiąt na godzinę. Nagle poczułem, że na coś najechaliśmy, a powietrze z hukiem wyleciało z naszych opon. Prawie zupełnie straciłem panowanie na samochodem. Nacisnąłem hamulec i wycofałem auto w kierunku land rovera. Słyszałem nierówne uderzenia pękniętych opon.

– Co robisz?

– Przejechaliśmy po gwoździach lub czymś takim!

– Kurwa, kurwa, kurwa...

– Ruszaj się!

Złapałem strzelbę z tylnego siedzenia, wysiadłem z samochodu i wycelowałem w dwie postacie – dwóch mężczyzn. Zwolnili bieg, kiedy zobaczyli, że mam broń, i podnieśli ręce do góry.

Dzień siedemdziesiąty (2)

Usłyszałem strzał i mężczyźni padli na ziemię, zakrywając twarze i głowy.

Schyliłem się i szybko skierowałem broń w stronę sklepu, gdzie przy wejściu leżał krwawiący mężczyzna. Trzymał się za udo i krzyczał. Po ilości krwi, która wypływała z jego rany, od razu mogłem stwierdzić, że właśnie wykrawiał się na śmierć.

To Rob go postrzelił.

Nie mogłem dostrzec twarzy mężczyzny. Była zasłonięta przez stojące samochody.

Prawie nic nie widziałem, nie mogłem zebrać myśli ani też przypomnieć sobie, ile zostało mi kul. Skierowałem pistolet w stronę ludzi leżących na ziemi.

– Kim jesteście? – krzyknąłem, a mój głos brzmiał znacznie odważniej, niż mogłem się spodziewać.

Nie odpowiedzieli. Widziałem, że jeden z nich trzymał duże ostrze, ale tylko Rob i ja mieliśmy broń palną.

– Kim jesteście? – spytałem ponownie.

– Nie strzelajcie! – Jeden z nich podniósł wzrok. Nie rozpoznałem go, ale miał szwajcarski lub francuski akcent. – Szukamy jedzenia!

Musiałem wytrzeć pot, który pomimo panującego chłodu ściekał mi do oczu.

– To wy uszkodziliście nasz samochód?

– My tylko szukamy jedzenia!

Ponownie spojrzałem przez ramię na sklep. Rob przestępował z nogi na nogę, celując w postrzelonego mężczyznę. Moje dłonie i ramiona drżały, ale

walczyłem ze sobą, żeby się nieco uspokoić. Nie chciałem, by napastnicy wyczuli słabość, bo wtedy mogliby zechcieć mnie zaatakować.

– Czy to my jesteśmy jedzeniem? – zapytałam. – Gdzie są nasi przyjaciele?

– Nie znamy waszych przyjaciół!

– Przyjechali tym samochodem!

Zawahali się. Podjąłem szybką decyzję i strzeliłem do mężczyzny, który się nie odzywał. Gdy teraz to opisuję, brzmi, jakbym nie miał z tym żadnego problemu. Ale to nieprawda. Nigdy wcześniej nie zabiłem człowieka. Nie strzelałem z broni od ponad dziesięciu lat. Siła pocisku szarpnęła ciałem mężczyzny i krew trysnęła na jego towarzysza, który zaczął krzyczeć. Trafiłem w klatkę piersiową, choć celowałem w głowę...

Wystrzał mną wstrząsnął. Nie mogłem złapać oddechu.

– Kurwa! Wszystko w porządku? – zawołał Rob.

– Nic mi nie jest, po prostu... Nic mi nie jest.

Zwróciłem się do drugiego mężczyzny, nie czując nic poza strachem:

– Gdzie są ci, którzy byli w tym samochodzie?

Nic nie odpowiedział. Upuścił ostrze w chwili, gdy zalała go krew kumpla. Teraz miał zamknięte oczy i mruzczał coś pod nosem, może się modlił, może mnie przeklinał.

– Gadaj!

Otworzył oczy. Zauważyłem, że jego twarz jest brudna, nie miał trzonowych zębów. Ubrany był w kilka swetrów, bluzę z kapturem i rękawiczki bez palców. Jego dzinsy wyglądały na pokryte brudem. Lub zaschniętą krwią.

– Proszę, nie strzelaj – powiedział.

– Powiedz mi, co się stało z naszymi przyjaciółmi!

– Szukaliśmy jedzenia. Tu już nie ma jedzenia.

Mężczyzna leżący na ziemi jeszcze lekko się poruszał, a więc wciąż żył. Aż odskoczyłem. Wydawało się jednak, że to jego ostatnie ruchy. Ręce i dłonie zdrząły jeszcze bezwiednie, a potem zastygł w bezruchu. Przez cały czas mocno krwawił.

– Czy jecie ludzi?

Potrząsnął głową.

– Tu już nie ma jedzenia.

Ruch głową nie był zaprzeczeniem. To była odraza do samego siebie.

– A co się dzieje w mieście?

– Nie możemy tam pojechać.

– Dlaczego?

– Nie możemy.

Spojrzałem przez ramię na Roba. Wciąż mierzył gdzieś pomiędzy wejściem do sklepu a trzecim mężczyzną, choć tamten wyglądał już na martwego.

– Co się stało z ludźmi z tego samochodu?

– Nie wiem. – Nie spojrzał mi w oczy.

– Jak możesz nie wiedzieć?

– Oni uciekli! Obaj uciekli...

– Tylko dwaj? – Broń zaczęła mi ciążyć i rozboleła mnie ramiona.

Nie odpowiedział.

– Jacy dwaj? – naciskałem na niego.

– Nie wiem, dokąd poszli – bełkotał. – Może do miasta.

– Ale powiedziałaś, że nie można dostać się do miasta?

Nie wyjaśnił tego.

– Co się stało z tym, który nie uciekł? – pytałem dalej.

Znowu zamknął oczy i wyszeptał coś po francusku.

– Dlaczego ich samochód nadal tu jest? – krzyknąłem.

– Wiedzieliśmy, że tu przyjedziecie! Wiedzieliśmy, że zatrzymacie się, gdy zobaczycie samochód... Proszę, po prostu szukaliśmy jedzenia... Jesteśmy tak strasznie głodni, nie możemy polować, nie mamy broni. – Jego dolna warga zadrżała i kilka łez spłynęło po policzkach, zmywając brud.

Krew dopłynęła do moich butów, więc cofnąłem się. Kiedy to zrobiłem, wpadłem na samochód, a broń, którą trzymałem cały czas wycelowaną, zmieniła swoje położenie. Mężczyzna natychmiast chwycił ostrze z ziemi i rzucił się

w moim kierunku. Spanikowałem. I nagle rozległ się kolejny strzał. Wszyscy zanurkowali w dół.

Całkowicie ogłuszony, stanąłem pewniej na nogach, a odzyskawszy kontrolę nad bronią, zacząłem strzelać do mężczyzny, dopóki nie przestał się poruszać.

Skończyłem dopiero, gdy zdałem sobie sprawę, że wpakowałem w niego cztery kule i że karabin się zablokował. Wytrząsnąłem zablokowaną kulę na ziemię.

Ktoś coś mówił, ale nie mogłem nic z tego zrozumieć.

Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem Roba, którego twarz była niemal całkiem szara. Potrząsnął bronią i powiedział, jakby zza szyby:

– Celuj w bliżej nieokreślonym kierunku i módl się. – A potem zniknął za samochodem i zwymiotował.

Wziąłem głęboki wdech i przytrzymując go w piersi, odłożyłem strzelbę. Wszedłem w kałużę krwi i przeszukałem kieszenie obu mężczyzn. Trudno mi było poruszać rękami.

– Czego szukasz? – spytał Rob.

– Tego – powiedziałem, podnosząc kluczyki do samochodu Dylana.

Przez jakiś czas obaj opieraliśmy się o auto, nie mogąc się ruszyć.

– Jon, wszystko w porządku?

W końcu tlen zaczął krążyć w moich żyłach. Musiałem chyba na moment przestać oddychać.

– Tak, tak! W porządku. Wszystko w porządku. Nic ci nie jest?

– Nie. Myślę, że nie. Właściwie to nie wiem...

Spojrzałem na dwa ciała i na ostrze leżące na ziemi, a potem na sflaczałe opony naszego samochodu. Bez kół zapasowych nic nie bylibyśmy w stanie zrobić. Musieliśmy zostawić tu samochód i być wdzięczni losowi, że mieliśmy land rovera.

Wziąłem plecak, przejechałem dłońmi po wnętrzu, na wypadek gdybyśmy czegoś zapomnieli, i odjechaliśmy samochodem Dylana.

– Co się stało? – zapytał Rob. – W ogóle nie słyszałem, co mówisz. Przez cały czas myślałem, że zaraz pojawi się ich więcej w tym sklepie.

– Musieli być zdesperowani. Zaatakowali nas, ale nie mieli broni.

– Słyszałem, że z nimi rozmawiałeś...

– Możesz po prostu stąd odjechać?

Wziął głęboki wdech i zobaczyłem, że jego oczy napełniają się łzami.

– Możesz prowadzić? – zapytałem łagodniejszym tonem.

– Tak, daj mi minutę. Potrzebuję tylko minuty.

– Ja to zrobię. – Pokazałem mu gestem, żeby wysiadł.

– Nie musisz tego robić.

– Nic mi nie jest, nie martw się.

Zamieniliśmy się miejscami i ruszyłem. Cieszyłem się, że mogę się na czymś skupić. Koncentracja na jeździe oznaczała, że nie musiałem za bardzo myśleć o tym, co się właśnie wydarzyło.

– Wykonałeś naprawdę dobrą robotę. I to pod presją – powiedziałem, kiedy zjechałem z drogi, żeby ominąć gwoździe rozsypane przy wyjeździe.

Zaśmiał się, jakby histerycznie, i odrzucił do tyłu głowę.

– Nigdy w życiu tak się nie bałem!

– Ja też nie. Naprawdę.

– Ale zastrześliłeś tych ludzi. To było... Byłem w szoku.

– Wiedziałem, że nie możemy ich tam zostawić. Mogliby przyjść po nas. Po nas wszystkich. – Zastanawiałem się, czy pojechać z powrotem do hotelu na następnym rozwidleniu, ale wiedziałem, że musimy kierować się w stronę miasta. – Nie wiem, czy to była właściwa decyzja.

– Mówili coś o naszych?

– Nie – powiedziałem i natychmiast tego pożałowałem. – Przepraszam, to kłamstwo. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Wspomniał o innych, powiedział, że wciąż żyją dwaj, którzy uciekli, i że może pobiegli w kierunku miasta. Nie wiem, co... Nie wyjaśnił dokładnie, co się stało. Mógł kłamać.

– Co? Mówili, że ich widzieli?

– Tak, powiedział...

– Co dokładnie powiedział?

– Powiedział, że pobiegli w kierunku miasta... Powiedział, że uciekli. Nie mówił, którzy z nich.

Krótką cisza.

Rob westchnął, a potem się odezwał:

– Mogli powiedzieć nam więcej, gdybyśmy nie wpadli w panikę.

– Wiem! Po prostu pomyślałem... – Ból od napięcia, nagły i silny, łomotał mi z przodu czaszki. Zjechałem na pobocze. – Przepraszam, potrzebuję chwili.

– Czy powiedzieli, że zabili jednego z nich?

Chwyciłem za klamkę, odblokowałem samochód i szczęśliwie udało mi się z niego wydostać, zanim zwymiotowałem na umierającą trawę. Próbowałem złapać powietrze. Zamknąłem drzwi i oparłem się o samochód, chcąc uciec przed oskarżycielskim tonem Roba.

Ale to nie było oskarżanie. To było tylko zwykłe pytanie.

Usłyszałem, jak Rob otwiera drzwi, a jego stopy stają na ziemi. Podszedł i stanął obok mnie, opierając się o samochód. Przed nami była ściana drzew.

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak, jakbyś zrobił coś złego – tłumaczył.

– Nie, to moja wina. Spanikowałem. – Zaśmiałem się nerwowo. – Ja po prostu... nie wiedziałem, co robić. Byłem przerażony.

– Ja też.

– Nigdy wcześniej nie strzelałeś z broni i za pierwszym razem trafiłeś w cel!
– Uśmiechnął się lekko.

– Tak, udało mi się, prawda? Możesz o tym wszystkim opowiedzieć.

– I tak zrobię.

Podniósł rękę i, śmiejąc się, niezgrabnie przybiliśmy piątkę. Piątka przerodziła się w jeden z tych niezręcznych męskich uścisków, który skończyłby się wzajemnym poklepywaniem po plecach, gdyby któryś z nas był na tyle macho, żeby na to wpaść. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przytuliłem kogoś, kto nie był Tomi. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo za

tym tęskniłem, jak bardzo mi tego brakowało, nawet jeszcze w życiu przed bombami. Czy przytulałem kogoś poza Nadią i dziećmi? Kobiety, z którymi spałem? Nie mogłem sobie przypomnieć. Ale raczej nie.

Zamieniliśmy się miejscami i to Rob prowadził przez resztę naszej podróży.

Dzień siedemdziesiąty (3)

Dotarliśmy właśnie do zewnętrznej części przedmieść. Były tu duże wiejskie domy, sklepiki na rogu i na początku nic szczególnego nie rzuciło mi się w oczy. Uderzyło mnie nawet, że wszystko wygląda zupełnie normalnie, może z wyjątkiem opuszczonych samochodów porzucanych na całej drodze, co utrudniało prowadzenie. Patrzyliśmy na domy, które mijaliśmy, i byliśmy zszokowani, widząc twarze w oknach.

– To dziwne – powiedział Rob.

– Spodziewałem się tu raczej... – Nie mogłem znaleźć słów.

– Strefy wojennej?

– Dokładnie.

Rob zwolnił, manewrując wokół kilku samochodów niezgrabnie pozostawionych wzdłuż drogi. Szybciej niż Rob zauważyłem mężczyzn z bronią. Ubrani byli w ciemnoniebieskie mundury, ale bez żadnych oznaczeń. Kazali nam się zatrzymać i otworzyć okno.

Szturchnąłem Roba łokciem, a on zbladł.

– Chryste.

Do okna podszedł mężczyzna. Przy piersi trzymał karabin. Miał nakrapiane mahoniowe oczy, ciemną skórę i zwrócił się do nas po francusku.

– Jestem Amerykaninem – powiedziałem i poczułem się jak skończony idiota. Miałem tylko nadzieję, że nie zastrzeli mnie z tego powodu.

– Skąd przyjechaliście? – spytał.

– Z hotelu Sixième – odparł Rob. – To tam.

– Wiem, gdzie to jest – odpowiedział, a jego oczy zwężyły się, kiedy spoglądał do wnętrza samochodu.

– Są tam jacyś ludzie oprócz was?

– Jakieś dwadzieścia osób – odpowiedziałem.

– Przez cały ten czas?

Skinęliśmy głowami.

– Co tu robicie?

Wymieniliśmy spojrzenia.

– Straciliśmy kilka osób z naszej grupy. Wyruszyli na poszukiwanie jedzenia i nie wrócili. Baliśmy się... że ktoś ich zaatakował.

– Słusznie. Tam, w lesie, są źli ludzie. – Wyjrzał poza nasz samochód i zrobił do kogoś gest, jakby chciał powiedzieć „W porządku, ci goście są w porządku”.

– Czyli przyjechaliście tu po pożywienie? Czy po waszych przyjaciół?

Przełknąłem ślinę, bojąc się, że wybiorę złą odpowiedź.

– Z obu powodów. Nie zdołamy przetrwać w hotelu przez całą zimę z tym, co mamy. Jaka jest wasza sytuacja tutaj? Czy przyjmujecie ludzi? Jesteś policjantem?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Wszyscy jesteście policjantami. Chodźcie za mną. Zabiorę was do ratusza.

– Musimy zostawić tu nasz samochód?

– Tak. Nikt go nie ukradnie.

Obaj wyszliśmy powoli z pojazdu, a mężczyzna w ciemnym mundurze wskazał głową na naszą broń.

– Nie możecie tu tego wnieść. Broń może zostać w samochodzie, ale nie możecie z nią chodzić po mieście.

Sprzeciwianie się nie miało sensu. Wokół było z tuzin posterunkowych, którzy pilnowali blokady. Nie zaryzykowałbym zrobienia czegokolwiek w ich obecności.

Mężczyzna wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

– Mam na imię Felix.

Uściskałem jego dłoń i trochę się rozluźniłem. Nie mogłem sobie wyobrazić, że człowiek tak uprzejmy wobec ludzi jak on mógłby do kogoś strzelić.

– Jestem Jon. A to jest Rob.

– Jesteś Brytyjczykiem? – Te słowa Felix skierował do Roba.

– W hotelu są Amerykanie, Brytyjczycy, Niemcy, Francuzi – odpowiedział Rob, kiwając głową. – Jest także para Japończyków z małymi dziećmi.

– Około dwudziestu, mówiłeś?

– Teraz mniej.

Felix poprowadził nas wokół blokady, a poza nią widać było miasto, które wyglądało – w przeważającej części – dokładnie tak jak wówczas, gdy wiele tygodni temu wsiadaliśmy pod dworcem do taksówek i jechaliśmy w stronę hotelu. Wciąż było czysto. Budynki nie były zniszczone. Jedyne rzucającą się w oczy różnicą były flagi i oznaczenia. Były naprawdę wszędzie, niektóre po francusku, inne nie. Zwisły z okien i powiewały w ogrodach.

„Niech żyje Saint-Sion. **POKÓJ**”.

– Wcześniej to miasto nie nazywało się Saint-Sion, prawda? – zapytałem niepewnym głosem.

Felix pokręcił głową.

– Zmieniliśmy nazwę. Teraz to jest inne miasto.

– Co jest w ratuszu? – zapytał Rob, gdy zaczęliśmy iść.

– Nasza burmistrz – powiedział Felix. – I rada miasta.

– Co takiego? – zatrzymałem się.

Spojrzał na mnie, jakbym był ograniczony umysłowo.

– Nasza burmistrz i rada miasta. Naszym burmistrzem jest Stephanie Morges.

Rob również patrzył na mnie jakoś dziwnie, ale nie obchodziło mnie to. Poczułem się, jakbym stracił kontrolę nad swoim ciałem, a oczy napełniły mi się łzami. Zdjąłem okulary, zakryłem górną połowę twarzy i nie mogłem powstrzymać łez. Fala bardzo bolesnej ulgi i nostalgii wytrąciła mnie z równowagi i przez chwilę jedyne, co mogłem zrobić, to tylko stać na środku

ulicy i spróbować powstrzymać przytłaczającą potrzebę płaczu. Poczułem rękę na moim ramieniu. To był Rob.

Felix nic nie powiedział.

W hotelu łatwo było oderwać się od starego życia. Myślę, że właśnie dlatego tak bardzo bałem się stamtąd odejść. W hotelu musieliśmy skupić się na przetrwaniu i na sobie nawzajem. Nie musieliśmy myśleć o reszcie świata ani o tym, co straciliśmy. Teraz poczułem miazdzący ciężar straty. Ciężar egzystencjalny. Chodzimy do pracy, krytykujemy naszych polityków za coś, co widzieliśmy w telewizji, czytamy artykuły w internecie, które coraz bardziej biją na alarm, chodzimy z marszu na marsz w poczuciu, że nic się nie zmieni, że rządy niczego się nie boją i że ludzie też nie boją się tak, jak bać się powinni, spędzamy każdy dzień w pracy, rozmawiamy o politykach, których nienawidzimy, o bitwach, które przegraliśmy, martwimy się o swoją przyszłość i o przyszłość naszych dzieci, a potem nagle wszystko znika. Twoja rodzina i twój telewizor, i twoje obawy o przyszłość, i twoja wizja przyszłości, i twoje dzieci. Bo wszystko zniknęło w ciągu jednego dnia, a może zajęło to chwilę dłużej, lecz nie wiedzieliśmy tego, ponieważ zniknął również internet. Wielkie okno zostało nagle zamknięte.

Tęskniłem za tym wszystkim, mimo że wcześniej wcale nie byłem jakoś szczególnie szczęśliwy. Nikt z nas nie był. Lecz obraz naszego poprzedniego życia bolał jak rozgrzebywanie starej rany. Nigdy nie byliśmy szczęśliwi, ale dobrze znaliśmy tamten świat. Wiedzieliśmy przecież, że nic nie trwa wiecznie, wokół było coraz więcej przemocy i wszyscy musieliśmy w jakiś sposób w tym żyć. To nie było szczęście. To nie był pokój. Czasami po prostu bywało przytulnie.

Odsłoniłem oczy.

– Przepraszam – powiedziałem i ruszyliśmy dalej.

Rob milczał.

Felix nie zadawał nam już żadnych pytań.

Nie wstydzilem się swojej reakcji. Kto, do diabła, by się tym teraz przejmował? Mało mieliśmy teraz rzeczy do oplakania?

Zaczęliśmy mijać sklepy, niektóre nawet wyglądały na otwarte. Zastanawiałem się, jak się do tego wszystkiego mają pieniądze i cała reszta. Ludzie chodzili ubrani w normalne ubrania. Kobieta z trójką dzieci przeszła przez ulicę tuż przed nami. Nie mogłem od nich oderwać wzroku. Dzieci były czyste, szczęśliwe, jak to dzieci.

Rob podszedł do witryny sklepu i zajrzał do środka.

– Więc, co tu się stało po... hmm...

Nadal nie znajdowaliśmy słowa, które oddawałoby to, co się wydarzyło. Felix jednak miał na to określenie.

– Ostatniej wojnie? – dokończył. – Wybuchła panika, wiele zamieszek i kradzieży. Przez jakiś czas było bardzo źle, szczególnie po wyłączeniu elektryczności. Ludzie chcieli mieć dostęp do internetu. Myśleli, że wszyscy umrzemy. Fanatycy przekonywali ludzi do samobójstw na ulicy. To był koszmar, istne zło.

– Ale teraz wygląda to całkiem dobrze – zauważyłem.

– Wprowadziliśmy ład i zapanował porządek. Naprawiliśmy budynki i drogi, pochowaliśmy zmarłych, wygnaliśmy każdego, kto zachęcał do przemocy lub fanatyzmu.

– Dokąd?

– Po prostu z miasta. Dlatego mamy patrole na drogach. Mamy też ich trochę na skraju lasu, ale wielu ludzi przeniosło się do centrum, gdzie wszyscy jesteśmy bezpieczni. Wiemy, że ci, których wygnaliśmy, wciąż gdzieś tam są. Nie wszyscy z nich zginęli. Wiemy, że żyją, i zjadają się nawzajem.

Dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie.

– Boimy się, że to właśnie stało się z naszymi przyjaciółmi.

– Czy ktoś nowy pojawił się u was w zeszłym tygodniu? – zapytał Rob. – Dużo nowych ludzi tu przybywa?

– Nie śledzę wszystkich nowo przybyłych. Nie wszyscy mijają mój posterunek. Rada prowadzi spis obywateli, więc jeśli wasi znajomi tu przyszli, będą na liście.

Odważyłem się uśmiechnąć.

– Więc akceptujecie nowych przybyszy?

Felix wzruszył ramionami.

– Musimy się upewnić, że są przydatni i że nie są niebezpieczni. Jeśli spełniają te warunki, nie widzę problemu.

Szliśmy dalej. Zauważyłem, że wyższe biurowce zostały zabite deskami, całkowicie wyciemnione i były strzeżone przez mężczyzn w granatowych mundurach.

– Co się tam dzieje?– zapytałem, wskazując na budynki.

– Produkcja jedzenia. Musieliśmy wymyślić nowe sposoby hodowli, ponieważ... – Felix wskazał karabinem na puste niebo bez słońca. – Deszcz nie jest dobry dla jakości wód. Też jest napromieniowany. Zebraliśmy wodę z pobliskich strumieni i jezior, zanim zostały zainfekowane deszczem. Korzystamy z tego i reglamentujemy zapasy wody w butelkach do czasu, aż ludzie zaczną budować studnie.

Zawahałem się.

– Deszcz jest radioaktywny?

Spojrzał na mnie, jakbym był niedorozwinięty.

– Tak. Na szczęście padało tylko raz. Więc poziom promieniowania w naszych jeziorach jest nadal bardzo niski.

Nie mogłem uwierzyć, że nikt z nas w hotelu na to nie wpadł. Zamknęło mi to na chwilę usta.

Zastanawiałem się także nad tym, co znaczy „przydatni”, ale zachowałem to pytanie dla siebie.

W centrum Saint-Sion znajdował się stary plac. Były na nim budynki z kamienia, a okoliczne domy zbudowano z czerwonej cegły. Droga stała się nierówna i wyboista. Niektórzy z mundurów jeździli konno. Po lewej stronie

znajdowała się duża kamienna budowla z iglicą na froncie. Założyłem, że to ratusz, ponieważ budynek był pilnie strzeżony.

Zatrzymałem się i rozejrzałem wokół placu. Było na nim targowisko.

– Czym się tu płaci? – spytałem.

– Niczym. Jeśli ktoś chce czegoś ekstra, jakiegoś luksusowego przedmiotu, to musi mieć coś na wymianę. Pieniądze nie są już potrzebne. Chcemy, żeby wszyscy mieli równe szanse. Jesteśmy na miejscu. – Felix pokazał gestem, żebyśmy poszli przodem, i skinął głową do strażników po obu stronach drzwi.

Przed nami pojawiły się strome schody, czerwony dywan, pokoje po lewej i prawej stronie, wysokie sufity. Po każdym słowie rozbrzmiewało echo.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział Felix, wskazując na sofy, i zniknął.

Usiedliśmy. Byłem oszołomiony.

– To jest czysty surrealizm – odezwał się Rob na lekkim bezdechu. – Mam wrażenie, że to się nie dzieje naprawdę.

– Tak, to jak scena ze snu.

Obaj roześmialiśmy się nerwowo.

– Nie przypuszczałem, że bycie znowu wśród innych ludzi będzie takie dziwne – wyznałem. – Nie sądziłem, że to się w ogóle stanie.

– Bo było mało prawdopodobne, jak tak dobrze się nad tym zastanowić.

– Bardzo przywykłem do naszej grupy.

Rob wziął głęboki oddech i powiedział:

– Ale moglibyśmy się tu przenieść i tu zamieszkać. W mieście. Pomyśl o nich wszystkich, tam w hotelu... Nawet nie mają o tym pojęcia...

– Ciekawe, co miał na myśli, mówiąc „przydatny”.

Uśmiechnął się.

– Ty też to wychwyciłeś.

– Brzmiało to jak fragment *Opowieści podręcznej*. I nie spodobało mi się.

– Tak, dokładnie to samo pomyślałem.

Wymieniliśmy spojrzenia i poczułem przypływ ciepłych uczuć.

– Cieszę się, że jestem tu z tobą, a nie z Peterem – powiedziałem.

– Cieszę się, że jesteś tu ze mną, a nie z Peterem. Inaczej pewnie byście nie wrócili.

– Albo ci faceci by nas zastrzelili.

Nadszedł Felix. W towarzystwie jakiejś kobiety. Była po pięćdziesiątce, ubrana w ciemne dżinsy i elegancki szary płaszcz. Podała mi rękę, miała mocny uścisk dłoni. Zauważyłem, że ma ostre, wyraziste rysy. Lecz jej uśmiech był ciepły.

– Witajcie, nazywam się Louise Zammit i jestem zastępcą burmistrza. Felix powiedział, że przyjechaliście właśnie samochodem.

– Tak, jestem Jon Keller, a to jest Rob. Przyjechaliśmy z...

– Hotelu, Felix mi powiedział. Nie mieliśmy pojęcia, że wciąż są tam jacyś ludzie. – Spojrzała na Felixa. – Możesz odejść, dziękuję.

Felix kiwnął głową w naszą stronę i wyszedł.

Louise Zammit poprowadziła nas na górę. Szliśmy za nią, aż znaleźliśmy się w jednym z gabinetów z widokiem na plac. Usiadła za dużym biurkiem i gestem zaproponowała, żebyśmy też usiedli. Przyciągnęła ku sobie ogromną księgę i wypróbowała długopis, ale skończył się w nim tusz. Musiała więc na chwilę wyjść, żeby poszukać drugiego, a gdy wróciła, poprosiła, żebyśmy podali jej pełne imiona i nazwiska.

Pytała o hotel, ile osób przeżyło, kim byli, kto co robił, w jakich językach rozmawialiśmy, jakie mieliśmy zapasy i czy w ostatnich miesiącach mieliśmy jakieś gwałtowne incydenty. Zapytała także, ile mamy lat, co uznałem za dziwne, ale stwierdziłem, że pewnie nie ma się czym przejmować.

Nie wspomniałem o dziewczynce, ale opowiedzieliśmy, co się stało z Nicholasem van Schaikiem. Wydawała się tym niewzruszona.

– To zrozumiałe – powiedziała. – Felix powiedział, że szukacie waszych znajomych, którzy zniknęli w ostatnim tygodniu, tak?

Skinęliśmy głowami.

– Trzy osoby. Nathan, Dylan i Adam. Wszyscy są dość mocno zbudowani, rzucają się w oczy, więc trudno ich przegapić – odparłem.

– To brzmi znajomo – powiedziała, przerzucając strony spisu ludności. – Jeden z naszych patroli znalazł w zeszłym tygodniu młodego Anglika o imieniu Adam. Przypuszczam, że był z mężczyzną o imieniu Dylan. Tak, o tutaj... Mamy listę wszystkich przybyszy z waszego hotelu.

Rob wyciągnął rękę i złapał mnie za ramię. Oddech uwiązał mi gardle.

– Żyją! – wykrzyknął.

Louise Zammit kiwnęła głową.

– Tak, nie mieli poważniejszych ran, ale byli dość wstrząśnięci. Żaden z nich nie powiedział nam zbyt wiele. Zakwaterowaliśmy Adama w pokoju w pobliżu miejsca, gdzie zostawiliście samochód. Oczywiście możecie go odwiedzić, jeśli tylko chcecie.

Dzień siedemdziesiąty (4)

Felix, który czekał na nas przed ratuszem, pomógł nam znaleźć adres, a potem znów został przed budynkiem, podczas gdy ktoś wpuszczał nas przez domofon do małego bloku wysokiego na trzy piętra. Było jasne, że dostał rozkaz, żeby nie zostawiać nas samych, dopóki znów nie wyjdziemy z miasta.

Budynek wyglądał jak każdy inny blok mieszkalny w Europie. Frontowy ogród był zadbane, mimo że trawa dawno już zbrązowiała. Wisiały tam też kosze martwych kwiatów, ale wyglądało to raczej wesoło i optymistycznie, a nie smutno. Od wejścia czerwony dywan poprowadził nas ku szerokim schodom. Drzwi do mieszkań były białe, w ogóle wszystko było wyjątkowo czyste.

– Nadal mają elektryczność – zauważył Rob.

– Tak, skoro działają domofony.

Rob i ja poszliśmy na trzecie piętro. Białe drzwi otworzyły się i stanął w nich Adam, blady i chudszy, ale przynajmniej żywy. Uśmiechnął się do nas słabo. Miał na sobie biały szlafrok. Z całych sił powstrzymałem się, żeby nie rzucić się mu na szyję, radośnie jak dziecko. Zamiast mnie zrobił to Rob, starając się go nie przewrócić.

– Boże, wyglądacie koszmarnie – powiedział Adam, chwytając się za brzuch, jakby go coś zabolalo. Jednak uśmiechał się do nas. – Co wam się stało?

– Lepiej powiedz, co się tobie przydarzyło? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– A co mi się nie przydarzyło... – Zrobił minę i wrócił do środka.

Poszliśmy za nim do skromnego, lecz przytulnego mieszkania. Przypominało mi nasze pierwsze lokum, gdy w końcu zamieszkaliśmy z Nadią razem. Na ścianach były bladozielono-białe wzorzyste tapety, jak w sklepie z cukierkami w stylu retro, i meble z ciemnego drewna.

– W kuchni jest herbata – powiedział Adam, jakby to było nic.

– Herbata... – powtórzył Rob.

– Tak, prawdziwa herbata. Czajnik działa i wszystko inne też, choć nie powinniśmy zużywać za dużo prądu, bo inaczej będą musieli nam go wydzielać.

– Adam usiadł w jednym z foteli przy oknie.

Jakby lekko oszołomiony, Rob powiedział:

– To idę... Po prostu zrobię sobie filiżankę herbaty.

– To ja też poproszę – powiedziałem.

– Od kiedy lubisz herbatę? – Adam prychnął.

Usiadłem na drugim fotelu, wciąż czując się, jakbym był we śnie.

– Racja. Nienawidzę herbaty.

– Jest też kawa.

– Kawa?! – wykrzyknąłem. – No to poproszę kawę.

– Już się robi – odparł Rob.

Adam wyjrzał przez okno i zamknął na moment oczy, jakby zmęczenie sprawiło, że jego ciało stało się ciężkie. Nie miał w sobie życia.

– Czy możesz nam powiedzieć, co się stało? – spytałem. – Gdzie jest Dylan?

– Ech... – Bawił się swoją brodą, unikając mojego wzroku i niemal cały czas patrząc w okno. – Wyjechał dziś rano. Dali mu samochód i wrócił do hotelu. Pojechalbym z nim, ale... nie wrócę znowu do tego lasu.

Nie chciałem go dręczyć.

A jednak musiałem.

– Gdzie jest Nathan?

Mimo dźwięku czajnika słyszałem, jak Rob wciąż krząta się po kuchni. To był zadziwiający dźwięk, wrzenie wody. Napełnił mnie ciepłem i prawie zagłuszył moje pytanie.

Adam wstrzymał oddech.

– Nie udało mu się.

Nastąpiły długie chwile ciszy, kiedy żaden z nas nawet nie spojrział na drugiego. Woda zagotowała się i hałas ucichł. Rob zamarł w kuchni. Wszystko ucichło. Minęło trochę czasu od ostatniej śmierci. Ostatnimi osobami, które umarły i które znałem, byli Patrick i Coralie. Wydawało się, że to było wiele lat temu. Nie pamiętam, jak pożegnałem się z Nathanem przed trzema dniami, ale też nie mogę ciągle się tym dręczyć, bo doprowadza mnie to do szaleństwa. Nie pamiętam, czy go przytuliłem, czy nie. Nie sądzę, żebym to zrobił. Myślę, że poszedłem na schody przy frontowym wejściu, żeby im pomachać, ale nie mogę sobie przypomnieć, co do niego powiedziałem.

Adam patrzył w okno, a ja gapiłem się na swoje ręce. Rob został w kuchni. Nie wiem, jak długo wszyscy tak trwaliśmy.

Nie mogłem się rozplakać. Już raz stoczyłem tę bitwę. Gdybym zaczął, nie sądzę, że byłbym w stanie przestać.

– Nie jestem pewien, czy chcę o tym rozmawiać – powiedział w końcu Adam.

– W porządku, nie musisz.

Wstał, poszedł do kuchni i zaczął robić sobie kanapkę z tuńczykiem. Odniosłem wrażenie, że robi wszystko, co w jego mocy, żeby się czymś zająć. Było to dla niego bardzo bolesne. Nie pytałem dlaczego.

Zauważyłem, że ma rany na rękach, popękana skórę na kostkach palców, zadrapania i siniaki, ale starałem się na to nie patrzeć.

Kiedy wrócił i usiadł, powiedział:

– Dorwali nas przeze mnie. Dylan mógł ich zastrzelić, ale nie zrobił tego, ponieważ mieli mnie.

– To nie twoja wina.

– To jest... Może. – Poskrobał fotel. – Mówiłem Dylanowi, żeby ich zastrzelił, ale on nie chciał, bo stałem między nimi. Odłożył broń. I to wszystko. Nie mogliśmy nic zrobić. A było ich tylko trzech.

– Trzech?

– Trzech, którzy nas złapali. W całej grupie było około dwunastu, może dziesięciu facetów, trudno powiedzieć. Dylan zabił dwóch, jak stamtąd uciekliśmy, a potem po prostu nie przestawaliśmy biec, dopóki nie natknęliśmy się na strażników.

– Czy z Dylanem wszystko w porządku?

– Był rozdygotany, ale musiał wrócić, upewnić się, że wszyscy w hotelu mają się dobrze. Wiem, że tamci planowali użyć jednego z nas, aby dotrzeć do hotelu, szantażować was za jedzenie, broń i tym podobne.

– Niczego nie zauważyliśmy.

Rob przyniósł z kuchni trzy kubki, wręczył jeden mnie, a drugi Adamowi.

– Nie wiedziałem, jaką chcesz – powiedział, rozkojarzony. – Jest oczywiście trochę cukru, ale nie ma mleka.

– Czy mogę dostać trochę cukru?

Przyniósł całą torebkę i położył ją obok mojego krzesła. Oparł się o ścianę i zamieszał swoją herbatę, wpatrując się w nią czerwonymi oczami. Miał smutny wyraz twarzy.

– Wszystko w porządku, chłopaki? – zapytał Adam.

Do kawy nasypałem nieprzystojną ilość cukru. Mieliśmy go dotąd tak mało, że teraz był dla mnie jak narkotyk.

– Mieliśmy kłopoty po drodze tutaj, ale Rob mnie uratował.

– Coś takiego... – Adam się rozjaśnił. – Szacun, stary.

– Jestem pewien, że to tylko łut szczęścia.

– Trzech mężczyzn rzuciło się na nas przed sklepem. To tam znaleźliśmy samochód Dylana. Napadli na nas, ale wszyscy już nie żyją.

– Krzyżyk na drogę – mruknął Adam. – Nic wam się nie stało?

– Nie, wszystko w porządku. Czy możesz uwierzyć, że to miejsce istnieje naprawdę?

Adam potrząsnął głową.

– Nadal nie mogę. Obudziłem się dziś rano i nie wiedziałem, gdzie jestem. Dostałem ataku paniki. Normalnie spadłem z łóżka, jak jakiś starzec.

– Tak bardzo przyzwyczailem się do naszego hotelu... – powiedziałem, zerkając na Roba, który skinął głową.

– Nie mogę uwierzyć, że nigdy nie myśleliśmy o opuszczeniu go. To wszystko było tutaj przez cały czas. Gdybyśmy nie byli takimi mięczakami...

Znów zapadła cisza.

– Gdybyśmy byli odważniejsi, to może wszyscy, którzy się zabili, Nathan i wszyscy inni, nadal by żyli. Potrzeba nam było trochę więcej nadziei.

– Myślisz, że dzieje się tu coś dziwnego?

Adam zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– Rozmawialiśmy z jednym ze strażników. Powiedział, że przyjmują wszystkich, o ile są przydatni. I zastępczyni burmistrza wypytywała nas o naszą grupę, o umiejętności wszystkich osób, ile mamy lat. To nie oznacza nic dziwnego, prawda?

Wzruszenie ramion.

– Nie wiem. Zapytano mnie, jaką pracę mógłbym wykonywać, gdy poczuje się lepiej, tylko tyle. Wiesz, mają tu takie zamknięte farmy z tymi czerwonymi i niebieskimi światłami **LED**. Najwyraźniej sprawiają, że nasiona rosną szybciej. Hmm, ale ja... ja w niczym nie jestem dobry... Cóż, poprosiłem Dylana, żeby przywiózł mi moją gitarę. Może mógłbym być dla miasta... Jak to się nazywa?

– Trubadurem? – podpowiedział Rob.

– Tak, trubadurem.

– Chyba raczej lokalnym dupkiem – powiedziałem.

– To też, szczerze mówiąc.

– Nikt nie lubi osoby, która przynosi na imprezę gitarę – dodał Rob.

– Ale ja umiem grać *Wonderwall* i takie tam!

– Nie musisz psuć wszystkim miłej atmosfery, Adam, prawda? – Westchnąłem.

– Nie lubicie... Co? Nie lubicie *Wonderwall*? – Potrząsnął głową. – Co za szok.

Rob parsknął herbatą.

Wpadłem na pomysł.

– Rob, może zostaniesz tutaj, a ja pojedę z powrotem?

– Sam?

– Nie ma sensu narażać więcej osób na niebezpieczeństwo. Zostaniesz tutaj, a ja sobie ze wszystkim poradzę.

Był oburzony.

– Absolutnie nie. Nie po tym, co się stało po drodze.

– Właśnie dlatego chcę, żebyś został! Nie ma sensu narażać nas obu na niebezpieczeństwo.

– Nie ma mowy, wracam z tobą. – Popijał herbatę i przyglądał mi się zbulwersowany. – Koniec dyskusji.

Adam poprawił swój szlafrok.

– Super, naprawdę. Nie chcę tu zostać z kimś, kto nie lubi *Wonderwall*.

Znow się roześmialiśmy.

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy duch chłopca ukazujący się Adamowi też tu jest.

– Cholera, prawie zapomniałem! – Adam wskazał na Roba z niecierpliwością.

– Mamy tu sygnał! Spójrz, mamy internet! Mam też drugi telefon. W ogóle jest tu dużo telefonów do wzięcia.

– Sprawdziłeś wiadomości? – ledwie spytałem. Nagle trudno mi było oddychać.

– Tak i, chłopaki, jest tego od groma!

Już miałem poprosić Roba o telefon, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Adam poszedł otworzyć.

To był Felix.

– Mam wiadomość od Louise Zammit. Powiedziała, że wyszliście w pośpiechu i nie spojrzeliście na pełną listę osób, które przybyły do nas z L'Hotel Sixième. Sądziła, że może was to zainteresuje.

– Czy może przybył ktoś nowy? – Adam spojrzał z wielką nadzieją.

– Czy miał na imię Nathan? – spytał Rob.

– Nie, ostatnia osoba od was przyjechała tu kilka tygodni temu – powiedział Felix, a ja poczułem, jak staje mi serce. – Większość przybyła w ciągu dwóch pierwszych dni, ale pewnie nie od razu ich spisaliśmy. Niektórzy pojawiali się jeszcze kilka tygodni później, kiedy łatwiej było już monitorować wjazd. Potem mało kto tu docierał.

Wręczył mi listę, a ja byłem zaskoczony, widząc tak wiele nazwisk, które znałem. Wiele osób z konferencji tu dotarło, ale większość z nich była na osobnej liście. Zapytałem dlaczego.

– Ta lista jest tylko orientacyjna – tłumaczył Felix. – Są na niej ludzie, którzy przybyli na lotnisko, ale później poszli dalej wzdłuż torów kolejowych. Staraliśmy się zapisać ich nazwiska, na wypadek gdyby inni zaczęli ich szukać. Niestety, spis skompletowaliśmy dość niedawno, a sporo nazwisk dopisano jeszcze później. Wiele osób mogło w ogóle nie zostać zarejestrowanych, bo tylko wtedy przechodzili. Jedyna dokładna lista to ta z ludźmi, którzy zostali.

Patrzyłem na spisy przez dłuższy czas i jedno nazwisko nie dawało i spokoju. To nie miało sensu. Wskazałem na nie.

– Hmm... Przybył tu Albert Polor?

– Tak, jest jedną z osób, które tu zostały.

Ani Adam, ani Rob nie zareagowali, ale to nazwisko było dla mnie szokiem, więc zmusiłem Felixa do potwierdzenia tego faktu:

– Jest tu Albert Polor? – powtórzyłem.

– Tak – odpowiedział. – Nazwy z tym symbolem oznaczają zweryfikowaną tożsamość. Osoby te pokazały jakąś formę dowodu osobistego.

Rob zmarszczył brwi.

– Znasz go?

Podjąłem natychmiastową decyzję i postanowiłem ich teraz nie wtajemniczać.

– To po prostu ktoś z konferencji. Nie sądziłem, że mu się udało.

Felix zapytał, czy może nas odprowadzić do samochodu, a ja odrzekłem, że chcielibyśmy się jeszcze tylko pożegnać.

Zanim drzwi wejściowe Adama się za nami zamknęły, odwróciłem się do niego i powiedziałem:

– Musisz się dowiedzieć, gdzie mieszka ten facet, Albert Polor, i pilnować go, dopóki nie wrócimy.

Wydawał się zdezorientowany moją prośbą.

– Dlaczego?

Rob zniżył głos, żeby się do mnie dopasować.

– Widziałem, że zareagowałeś dziwnie, gdy zobaczyłeś jego nazwisko. Kim on jest?

Moje serce biło nienaturalnie szybko.

– Znam go. Jest jednym z profesorów, którzy wyciągnęli na nas broń, gdy byliśmy po raz pierwszy w sklepie. Tomi go zastrzeliła. Prawdziwy Al Polor nie mógłby tu przybyć, bo nie żyje.

Dzień siedemdziesiąty (5)

Zwrócono nam broń i ruszyliśmy do naszego samochodu. Co najważniejsze, zanim wyjechaliśmy, Felix zdobył dla mnie zapasowy telefon. Zatrzymaliśmy się więc, gdy tylko znaleźliśmy się poza blokadami drogowymi, i kolejną godzinę spędziliśmy, wisząc nad naszymi telefonami w wirtualnym milczeniu.

– Upaństwo wili wi-fi! – wykrzyknął Rob. – Wystarczy koniec świata, a ludzie robią tak oczywiste rzeczy.

Mój nowy telefon połączył się z miejskim wi-fi i od razu otworzyłem wiadomości na Facebooku.

Millie Santiago: „Jon, o Boże, nie mogę uwierzyć, że żyjesz! U nas wszystko okej. Wysłałam kilka wiadomości do Twojej rodziny, ale jeszcze nie dostałam odpowiedzi. Dam Ci znać, gdy będę coś wiedziała. Nie wyobrażam sobie, jak uda Cię wrócić do Stanów... Trzymaj się bezpiecznie. Dobrze wiedzieć, że wciąż tam jesteś”.

Alice Reader: „Dzięki Bogu, ktoś jeszcze żyje! Wracamy na południe, tu już nie ma jedzenia i jest o wiele zimniej niż kiedykolwiek. Nie wiem, kiedy znowu będziemy mieli internet, ale na wszelki wypadek wysłałam wiadomość na Facebooku do Nadii z Twojej lisy znajomych. Tak się cieszę, że się odezwał. Powodzenia!”.

Nic od Nadii ani od taty.

Z braku nowych treści na mojej osi czasu na Facebooku wciąż wyświetlały się posty sprzed trzech miesięcy.

Wszedłem na Twittera i zanim spojrzałem na oś, zauważyłem, że mam wiadomość.

Nawet nie śmiałem się łądzić. Przez długi czas po prostu patrzyłem na powiadomienie – ten mały, niewinny znaczek. Nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzę, gdy już okaże się, że to nie Nadia. Twitter zawsze był jej ulubionym narzędziem. Zerknąłem na Roba, który wpatrywał się uważnie w swój telefon i nawet nie zauważył, co się ze mną dzieje. Moje serce biło bardzo głośno.

– No dalej – wyszeptalem do siebie i stuknąłem w ikonkę.

Wiadomość brzmiała następująco: „Dzieci przerażone, ale mają się dobrze! Internet w kratkę. Dotarcie do moich rodziców jest zbyt ryzykowne, więc próbuję dostać się do Kanady. Kocham, N.”.

– Wszystko w porządku? – zapytał Rob, zauważając wyraz mojej twarzy.

Tym razem nie walczyłem z pragnieniem płaczu. Nie mogłem. To było jak zamroczenie. Jak... sam nie wiem. Nie umiem tego opisać. Mniej więcej jak przesunięcie tektoniczne, jakby w jednej chwili świat się pode mną poruszył i nic innego nie miało znaczenia, tylko ta jedna wiadomość. Nic. Nic nie miało znaczenia, tylko to, że moje dzieci żyją. W oddali słyszałem Roba, jak pyta, co się stało, ale wszystko, co mogłem powiedzieć, to tylko: „Moje dzieci żyją”. Powtarzałem to w kółko, bez przerwy. Przez jakiś czas nic nie miało znaczenia, bo moje dzieci miały się dobrze.

Odpowiedziałem natychmiast, a cała wiadomość brzmiała: „Wracam”.

Wyjechaliśmy z miasta w milczeniu. W końcu ominęliśmy wszystkie przeszkody z porzuconych samochodów i jechaliśmy pustą leśną drogą. Było mi niedobrze, więc starałem się skupić na prowadzeniu. Czułem się źle, że nie ma z nami Adama, ale zasłużył na odpoczynek po tym wszystkim, co przeszedł. Nie mogłem się skupić na jeździe, ponieważ jedyne, o czym teraz rozmyślałem, to jak mam się dostać do Ameryki.

Dwadzieścia godzin temu wszystko wydawało się niemożliwe. Dostęp do internetu obrócił w pył moje teorie o tym, że okno zostało już na zawsze zamknięte. Najbliższa rodzina Roba mieszkała na przedmieściach Londynu, więc

nie spodziewał się żadnych wiadomości. Czytał tylko newsy, a było ich dużo. Na całym świecie na obszarach między głównymi miastami, obszarach, które leżały pod wiatr w stosunku do eksplozji, przeżyli ludzie, którzy teraz organizowali się w większe grupy i przemieszczali się w bezpieczniejsze miejsca. Oczywiście nie wszędzie był internet. Ale nie byliśmy ostatnimi rozbitkami. Świat znów był większy niż nasz hotel, niż miasto.

– Wiesz, że przybył do hotelu w poszukiwaniu swojego ojca? – powiedziałem, przygryzając usta do krwi, martwiąc się o Dylana, uważając na drogę i nie wiedząc, co powiedzieć o Nathanie.

– Adam?

– Nath.

– O?

– Jego ojciec porzucił rodzinę... Nathan mi kiedyś powiedział, że jego rodzice stracili wszystkie swoje pieniądze. Jego ojciec przyjechał do tego hotelu i miał halucynacje. Zniknął wkrótce potem. Zanim przepadł, powiedział Nathanowi, że odnalazł Boga. Nathan wyjechał z domu, a potem wylądował tutaj. Celowo przyjechał tu do pracy. I nawet nie myślał, że może znaleźć tu swojego ojca, raczej, że znajdzie... cokolwiek.

Oderwałem wzrok od drogi, Rob patrzył przed siebie.

– Naprawdę? Powiedział ci to?

– Tak, czasem pracowaliśmy razem fizycznie. A szło nam... nie najlepiej. – Zerknąłem na licznik benzyny, ale wszystko było w porządku. – Po tej historii o jego ojcu pomyślałem, że wszystkich nas w jakiś sposób tu sprowadzono.

– „Sprowadzono”? Co masz na myśli?

– Że... że wszyscy przeżyliśmy koniec świata, będąc w tym konkretnym miejscu i czasie. Czy zastanawiałeś się kiedyś dlaczego?

Rob skubał paznokcie.

– Nie sądzę, żeby istniał jakiś powód.

– Czuję, że istnieje. Chcę wierzyć w jakiś większy sens tego, że udało nam się przeżyć.

– Ta dziewczynka na dachu nie przeżyła, prawda?

– Nie. – Całkowicie porzuciłem swój tok myślenia. – Nie, masz rację. Nie przeżyła.

Ze smutkiem pomyślałem, że Dylan, Nathan i ja nigdy nie dokończymy naszego projektu na dachu. Zrobiliśmy mniej niż połowę, a teraz nie tylko wyjeżdżaliśmy, ale też cały projekt okazał się od początku bezcelowy. Yuka i ja nigdy nie posprzątam holu, żeby znów wyglądał elegancko. Zastanawiałem się, czy w mieście będziemy mieszkać blisko siebie i czy w ogóle długo w nim zostanę, wiedząc, że moje dzieci są gdzieś tam, daleko stąd.

Spodziewałem się, że poczuję niesamowite szczęście, i poczułem... Chyba przedtem po prostu w ogóle nie rozważałem powrotu do Ameryki. Bez samolotów nie miałem pojęcia, jak tego dokonać. Mógłbym próbować podróżować na zachód przez Europę, przez zdewastowane tereny, śmiertelne promieniowanie, i prawdopodobnie umrzeć, zanim dotrę do wybrzeża Portugalii. I nawet gdyby mi się udało, pomimo wszelkich przeciwności, to co dalej?

Ale one żyły. I to wbrew wszelkiemu.

– Jon?

– Przepraszam. – Prawie zatrzymałem samochód i znów spróbowałem skoncentrować się na drodze. – Przepraszam, ja... przepraszam.

Rob położył mi rękę na ramieniu.

– Możemy zatrzymać się na chwilę? – poprosił.

– Po co?

– Tylko na chwilę. Zjedź na pobocze.

Zjechałem, nie za blisko drzew, i upewniłem się, że drzwi są zamknięte. Położyłem karabin na kolanach i zwróciłem się do niego:

– Co się stało? Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Bardzo... źle prowadziłeś.

Zdjąłem okulary, mrugając mocno, jakby to miało ukoić ból głowy i... ból zęba.

– Moje dzieci są żywe... I nie mogę myśleć o niczym innym.

- Myślisz o powrocie?
- Jak mógłbym nie spróbować?
- Polecieć do Stanów?

Przetarłem oczy, głowa mi pulsowała, a ja nie mogłem stwierdzić, czy to był zwykły ból głowy, czy ból od zęba.

– Byłem bardzo szczęśliwy, widząc to miasto, gdzie wszyscy nadal żyją normalnym życiem... cóż, prawie normalnym... A teraz nie mogę nawet tu zostać.

- Nie musisz od razu wyjeżdżać.

Spojrzałem na niego.

- One żyją.

Wciągnął głośno powietrze.

– Cóż, zanim się nad tym zastanowisz, po prostu przetrwaj do końca dzisiejszego dnia. Później pomyślisz o przyszłości i będziesz martwić się wszystkim, czym tylko chcesz.

– Wiem. Rozumiem. – Chwyciłem kierownicę i już chciałem uruchomić samochód, ale zatrzymałem się. – Najpierw muszę ci coś powiedzieć o Dylanie. Wisiało to nade mną i, szczerze mówiąc, nie wiem, czy zwariowałem, czy jestem paranoikiem, czy to tylko ten cholerny ból zęba...

- Boli cię ząb?

– Chodzi o Dylana. – Westchnąłem i spróbowałem przestać dotykać twarzy.

- Co się stało?

– Znasz tę historię z dziewczynką w zbiorniku na wodę?

– Nie pytałem o to za bardzo. Nie chciałem za dużo wiedzieć, szczerze mówiąc. Ale tak, znam.

– Nie wiem, jak miała na imię. Myślałem, że Harriet Luffman, ale dowiedziałem się, że odjechała z rodzicami w dniu, w którym wszyscy wyjechali. Badałem to od jakiegoś czasu. Wydaje mi się, że chciałem po prostu się czymś zająć, ale też uważałem, że trzeba zrobić to, co właściwe. Rozumiesz?
– Spojrzałam na niego, a on skinął głową. – W każdym razie wyglądało na to, że

niektórzy z pracowników byli w to jakoś zamieszani. Nie wiem dokładnie kto, ale Dylan i Sophia zachowują się dziwnie, jakby byli... winni.

– Myślisz, że mieli z tym coś wspólnego?

Staralem się nie brzmieć zbyt paranoicznie.

– Trudno stwierdzić. Ale nawet jeśli dziewczynka nie była tym, za kogo ją uważałem, to nie zmienia faktu, że Dylan i Sophia bardzo się starają coś ukryć.

Wyrząłem przez okno, ale wszystko było w porządku.

– Masz jakiś dowód?

– Przede wszystkim oboje bardzo się starali, żebym niczego nie znalazł. Mój pokój został okradziony, zabrano rzeczy Luffmanów, te, których nie zdołali ze sobą wziąć, a Dylan jest jedyną osobą, która ma klucz uniwersalny.

– Co powiedział na ten temat?

– Powiedział, że musiałem zostawić pokój otwarty.

Potrząsnął głową.

– Już od dawna nikt nie zostawia otwartego pokoju.

– Nigdy nie byłem niczego bardziej pewny: zawsze zamykam drzwi na klucz. Kiedy przeszukałem pokój Dylana, przysięgam, że znalazłem w nim jedną z tych walizek, ale została opróżniona. Przysięgam, że to była ta sama walizka!

Zastanowił się chwilę, a potem powiedział:

– Ale powiedziałaś, że ta dziewczynka nie była tym, za kogo ją uważałeś. Tą Harriet. Dlaczego więc Dylan ukradł walizki Luffmanów, jeśli zamordowana dziewczynka nie była nawet ich córką?

– Nie wiem, żeby mnie zmylić? Walizki zostały skradzione, to wszystko, co wiem.

– I przeszukiwałaś pokój Dylana, kiedy ich nie było?

– Proszę, nie wzbudzaj we mnie jeszcze większego poczucia winy. Musiałem to zrobić.

Zawahałem się, zanim wspomniałem mu o zwłokach, które znalazłem pochowane na skraju lasu, ale w końcu powiedziałem mu także o tym. Potem milczał tak długo, że poczułem się nieswojo. Pewnie pomyślał, że zwariowałem.

Nagle jednak odezwał się, bardzo powoli:

– Nie rozumiem, dlaczego Dylan i Sophia i... dlaczego ktokolwiek miałby zamordować dziewczynkę i tam ją zostawić. To nie ma sensu. – Potarł ramiona, jakby było mu zimno. – Mogli ją pochować w lesie. Po co zanosić ją do zbiornika?

– Dlaczego w ogóle ktoś ją zamordował?

– Cóż, morderstwo czy nie, dlaczego do tego doszło? – Wzruszył ramionami.

– Dlaczego w lesie leży ciało? Nie wiemy. To mógł być ktoś, kto popełnił samobójstwo lub...

– Jeśli ten ktoś sam się zabił, to po co to ukrywać?

Chciałem znów uruchomić samochód, ale Rob zadał mi kolejne pytanie:

– Czy ktoś jeszcze o tym wie? A przynajmniej o tym, że prowadzisz dochodzenie?

– Yuka trochę wie. A Tomi wie prawie wszystko.

Zawahał się, zanim wyraz zaniepokojenia pojawił się na jego twarzy.

– Czy ktoś jeszcze wie, że ona wie?

Popatrzyłem na niego, a potem uruchomiłem silnik.

Dylan nie, pomyślałem. On by jej nie skrzywdził.

A chwilę później przyszło mi do głowy, że tak naprawdę nie mam pojęcia, co by zrobił lub czego by nie zrobił.

Dzień siedemdziesiąty (6)

Nie mogliśmy złapać żadnej stacji radiowej, kiedy jechaliśmy. Próbowaliśmy kilkakrotnie wyłączać odbiornik i włączać go ponownie. Czasami słychać było biały szum, czasami dziwne trzaski, ale żadnych głosów ani muzyki, nic takiego. Fale radiowe były martwe. Pozwoliliśmy, by szum radiowy towarzyszył nam w drodze do hotelu, a potem zostawiliśmy land rover na parkingu na tyłach budynku.

Samolubnie cieszyłem się, że Dylan przyjechał przed nami i to nie my musieliśmy przekazywać smutne wieści o Nathanie. Nie musieliśmy też tłumaczyć trudnej do wyjaśnienia normalności życia w mieście.

Było późne popołudnie. Jeszcze nie zrobiło się ciemno, ale było jakby ciemniej niż zwykle. Pokrywa chmur była nisko, niemal dotykała wierzchołków drzew.

Chciałbym móc powiedzieć, że miałem przeczucie, że coś jest nie tak, ale byłem zbyt rozkojarzony. Wszystko, o czym mogłem myśleć, to moje dzieci, wyjazd do Ameryki i to, jak bardzo nie chciałem stąd odchodzić. Myślałem o Nathanie i o tym, że jego ojciec zniknął tak jak on. O teorii Adama, że wszyscy już nie żyjemy. W tym wszystkim musiał istnieć jakiś sens.

Brak znaczenia – to byłaby najstraszniejsza rzecz na świecie.

Ze strzelbami w rękę, wyczerpani i nie rozmawiając zbyt wiele, Rob i ja obeszliliśmy hotel, kierując się do głównego wejścia. I wtedy coś się wydarzyło. Zanim jeszcze dotarliśmy do drzwi, na zewnątrz wyszło kilka osób: Dylan, Sasha, Tania i Peter.

Zatrzymałem się i instynktownie zbliżyłem do Roba, który nie zauważył nic dziwnego w tej scenie, dopóki nie dostrzegł broni Dylana, a także tego, że Peter i Sasha też byli uzbrojeni.

– Yyy... Cześć? – Podniósł ręce, zapominając, że sam trzyma strzelbę.

Spojrzałem na Tanię i Dylana i natychmiast zorientowałem się, co się stało. Tania stała nieco za Dylanem i nawet nie spojrzała mi prosto w oczy.

– Jon, oddaj mi teraz klucz – powiedział Dylan.

Peter miał strzelbę myśliwską wycelowaną w moją głowę. Zastanawiałem się, czy zastrzeliliby mnie, bez względu na to, co bym zrobił. Prawdopodobnie mógłby to przedstawić jako wypadek.

– Dlaczego? – odparłem.

– Hmm, czy ktoś może mi wyjaśnić, co się tu dzieje? – powiedział Rob tak cicho, że prawie go nie mogłem usłyszeć.

– Nie martw się, to nie ma z tobą nic wspólnego. – Dylan pokazał mi, żeby się odsunął. – Potrzebuję tylko mojego klucza.

– Dlaczego? – powtórzyłem.

– Wiesz dlaczego.

– Nie, nie wiem. – Zrobiłem krok w tył i położyłem palec na spuście strzelby.

W każdej chwili mogłem poczuć uderzenie, dziwne uczucie, kiedy upadam tyłem głowy na beton, moje ciało pochłania śmierć, a na koniec wszystko staje się czarne. Tak w każdym razie powiedział Adam. Zmarł i nic nie zobaczył, tylko czerń. Bez czasu, bez poczucia siebie, bez poczucia miejsca. Żadnego życia po życiu. Po prostu czerń.

Pomyślałem: Nie chcę umrzeć. Proszę. Nie chcę umrzeć.

– Jon, oddaj mi klucz i nic złego więcej się nie wydarzy.

– Jakbyś nie chciał, żeby coś złego się wydarzyło, to nie kradłbyś walizek z mojego pokoju.

– Nie ukradłem tych walizek, wiesz o tym. Byłem z tobą, kiedy zniknęły!

– Wiem, że nie. Ale wiem też, że jedna z nich jest w twoim pokoju. Drugiej jeszcze nie znalazłem.

– Jon, jesteś zdezorientowany – westchnął. – Posunąłeś się za daleko i to jest chore. Straszysz ludzi.

– Nie jestem zdezorientowany.

– Pozwoliłem, żeby to zaszło za daleko.

– Och, ty mi pozwoliłeś? Więc to ty pozwoliłeś mi dowiedzieć się, co się stało tej dziewczynce? Jakie to wspaniałomyślne, Dylan. Dziecko zostało zamordowane, a ty pozwoliłeś mi się tym, cholera, zająć.

Popatrzył na mnie, a jego twarz była pełna bólu.

– Stworzyłeś teorię spiskową.

– No to o czym rozmawiałeś z Sophią? Nie chciałeś, żebym za bardzo się zbliżył, prawda? Hmm, za bardzo się zbliżył do czego? Dlaczego tam, o tam... – Wskazałem gwałtownie głową w kierunku tylnej części budynku, niemalże przesuwając strzelbę z celu. – Dlaczego tam jest pochowane ciało? Tak, tak, znalazłem tam ciało. Wykopałem je własnymi pieprzonymi rękami!

Wszyscy wymienili spojrzenia.

Tania precyzyjnie się na przód grupy.

– Jon, proszę, jesteś dobrym człowiekiem, ale nie czujesz się teraz dobrze. Musiałam to powiedzieć.

Rob przechylał się z jednej strony na drugą, niepewny, czy pozostać przede mną, czy nie.

Słowa Tani zirytowały mnie bardziej niż protekcyjny ton Dylana.

– I owszem – syknąłem. – Bo jestem zszokowany, że wzięłaś jego stronę. Ta dziewczynka była na twoim stole, widziałeś ją, ale na wszelki wypadek chronisz swojego chłopaka...

– Pierdol się – wybuchła.

– Sama się pierdol.

– No już, spokojnie, nie obrzucajmy się nawzajem wyzwiskami, Jon. – Dylan był taki spokojny, jego głos nawet nie zadrżał. – Oddaj mi klucz.

– Ty i Sophia... Wy coś wiecie. Nie jestem głupi. Nie oddam ci klucza, dopóki mi nie powiesz, co się z nią stało.

Po Peterze widać było rosnące napięcie, więc się przygotowałem.

Rob przesunął się tak, żeby mnie w pełni osłaniać. Jego ręce wciąż były podniesione. – Dlaczego po prostu nie wejdziemy do środka i nie porozmawiamy? – zaproponował.

– Nie chcemy, żeby komuś coś się stało, Rob. Przesuń się.

Rob położył karabin na ziemi, ale się nie ruszył.

– Z całym szacunkiem, ale Jon kilka razy dziś ocalił nam życie. Musisz mi wybaczyć, ale nie wierzę, że jest niebezpiecznym szaleńcem.

– Rob, proszę, nie utrudniaj tego jeszcze bardziej...

– Ja chętnie utrudnię parę spraw.

Sasha, Peter i Tania odwrócili się na dźwięk głosu Tomi.

Na początku jej nie widziałem, ale pojawiła się nagle tuż obok wejścia, z pistoletem wycelowanym w Dylana. Zadrżałem, lecz po chwili, gdy wszyscy byli jeszcze zaskoczeni, podniosłem moją broń i wycelowałem w Petera. Tylko do niego mogłem oddać czysty strzał.

Spojrzał mi w oczy, jakby chciał powiedzieć „Nie rób tego, idioto”.

Sasha zamruczał, po czym wycelował pistolet w Tomi.

Przyszło mi do głowy, że właśnie z tego powodu czekali przed hotelem. Ponieważ łatwiej było zabić mnie bez świadków. Uświadomiłem sobie też, być może za późno, że jeśli Dylan i Sophia naprawdę mają coś wspólnego z morderstwem dziewczynki, nie zawahają się i zabijają mnie, żeby ich tajemnica nie wyszła na jaw.

Nawet gdy znalazłem walizkę w pokoju Dylana, nie przyszło mi do głowy, że moje życie może być zagrożone. Nie sądziłem, że Dylan będzie chciał mnie zabić. Teraz już wiedziałem. Teraz już wiedziałem, że za moment wszyscy wylądujemy martwi na ziemi w ogniu śmiertelnych strzałów. A przynajmniej większość z nas.

Odwróciłem wzrok od Petera i skierowałem go na Dylana.

– Naprawdę chcesz mnie zastrzelić z powodu klucza? Tak jak prawdopodobnie zabiłeś tego, kto tam leży pochowany, ktokolwiek to jest?

Widziałem, że Tania patrzy na Dylana, by upewnić się, że ten zaprzeczy. Widać było, że żałował takiego obrotu sprawy, tak jakby właśnie uświadomił sobie, że wszystko poszło nie tak. A teraz wszyscy mierzyli do siebie z broni.

Spotkałem wzrok Tomi. Nie wyglądała na przestraszoną.

Peter patrzył na Dylana i dostrzegłem, że od wątpliwość pochmurnieje mu twarz.

– Czy to, co mówi Jon, jest prawdą? – zapytał.

– Jest? – rzekła Tomi, unosząc brwi.

Dylan pokręcił głową, ponieważ nie zamierzał wyjaśniać kwestii zwłok w lesie.

– To nie musi się źle skończyć.

– Zabijesz mnie przez klucz i to ja niby zwariowałem!

– Nikt nikogo nie zabije! – warknęła Tania. – Na litość boską, Jon, daj mu ten klucz!

– I co, mam o wszystkim zapomnieć?

Nagle, co było zupełnie niewiarygodnie, Peter opuścił karabin i powiedział:

– Nie sądzę, żeby ten człowiek zwariował.

Tania patrzyła błagalnym wzrokiem.

– Proszę, Jon. Proszę, zrób, co mówi, albo przez ciebie zginą ludzie!

– Właściwie to nie musisz nic robić, Jon. – Tomi odchrząknęła i z pogardą spojrzała na Sashę, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. – Założę się, że mogłabym zdjąć dwóch z was, zanim to dziecko zauważy, że ma odbezpieczoną broń.

Sasha spojrzał na swój pistolet, a Tomi odwróciła się i postrzeliła go w stopę.

Wszyscy podskoczyli, Sasha upadł na ziemię, krzycząc, a Tomi kopnęła jego pistolet i skierowała swój w stronę Dylana. Dylan krzyknął coś, ale został zagłuszony przez wrzaski Sashy. W uszach mi dzwoniło.

Ktoś, nie jestem pewien kto, może nawet ja, krzyczał:

– Kurwa! Kurwa, uspokójcie się wszyscy!

– Czekać! Poczekać! – krzyczał Dylan, wciąż celując do Roba.

– To nie jest bezpieczne, kretynie – powiedziała Tomi.

Nie mam pojęcia, jakim cudem nikt, łącznie ze mną, nie wpadł w panikę i nie zaczął strzelać. Może to był szok. Może nikt z nas po prostu nie chciał strzelać i wszyscy byli zbyt zszokowani, by zareagować, gdy Tomi wystrzeliła.

Patrzyłem na Dylana i...

A więc to tak, pomyślałem. Tak to się kończy...

Pamiętam też, że pomyślałem, że może Adam miał rację. Może wszyscy już nie żyjemy. Może poczułbym uderzenie, wszystko stałoby się czarne, a ja obudziłbym się w hotelu, jakby nic się nie stało. Przez chwilę naprawdę chciałem to wiedzieć. Naprawdę chciałem wiedzieć, czy mogę umrzeć.

Ale nie umarłem.

– Przestańcie! Przestańcie! Proszę, przestańcie! – Drzwi do hotelu otworzyły się i wybiegła z nich Sophia z rękami uniesionymi do góry. – Proszę, odłóżcie broń!

Sasha zaklął po francusku, ściskając stopę, z której ciekła krew.

Sophia była na granicy łez.

– Proszę, przestańcie. Nie chcę nikogo skrzywdzić! Proszę! Dylan!

– Sophia... – A potem powiedział coś po francusku, co sprawiło, że Tania ostro spojrzała na niego.

Peter rzucił coś po niemiecku, co brzmiało jak okrzyk. Dylan opuścił broń, ale ciągle rozmawiał z Sophią, która pokazywała to na hotel, to na drzewa, to na mnie...

Tania powiedziała coś do Dylana. Brzmiało to jak oskarżenie.

Tomi nie opuszczała broni. Wciąż celowała w czaszkę Dylana. Szybko skinęła do mnie, jakby chciała powiedzieć „Mam cię”, a ja poczułem falę wdzięczności.

Dylan najwyraźniej powiedział coś, co nie spodobało się Tani. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia, ale ona cofnęła się, wściekła, i poszła pomóc Sashy wstać z ziemi. Przełożyła jedną z jego rąk przez swoje ramiona i ostrożnie poprowadziła go, skaczącego na jednej nodze, z powrotem do hotelu.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Dylan patrzył na Sopię. Widziałem łzy płynące po jej twarzy.

Odwróciła się do mnie i powiedziała po angielsku:

– Jon, przepraszam.

Złapałem w końcu oddech, ale nie opuściłem jeszcze broni. Opierałem się na ramieniu Roba. To było naprawdę coś, usłyszeć, że się nie zwariowało, kiedy powoli człowiek sam już zaczynał wątpić w swoje zdrowie psychiczne.

Dylan patrzył w ziemię, na ślady krwi, które Sasha zostawił za sobą w drodze powrotnej do hotelu.

Dzień siedemdziesiąty (7)

– Chcę zostać – powiedział wyniośle Peter, kiedy podążaliśmy za zrozpaczoną Sophią do baru.

– Nie! – warknął Dylan.

– To nie fair!

– Ja zostaję – rzekła Tomi, biorąc mnie pod ramię, jakby to miało w czymś pomóc.

Dylan spojrzał na Sophię, która oderwała dłonie od twarzy tylko na tyle, żeby powiedzieć:

– Nie obchodzi mnie to, nie obchodzi mnie.

– Ty, wychodzisz. Później ci wyjaśnię. – Dylan popchnął Petera w stronę drzwi i zamknął je za sobą, a potem zwrócił się do Tomi i Roba: – Wy możecie zostać. Nie chcę, żeby ktokolwiek rozpowszechniał plotki na ten temat. I myślę, że wszyscy się zgadzamy co do tego.

– No więc co się stało? – zapytałem, zwracając się do Sophii.

– Jon, przepraszam. – Usiadła, przyciskając palce do skroni. – Wiedziałam, że to koniec, kiedy zobaczyłem, jak wracasz przedwczoraj z lasu. Wiedziałem, że już po wszystkim. Wiedziałam, że będę musiała ci powiedzieć.

Wszyscy odłożyli broń na podłogę.

Moje serce wciąż biło szybko. Po raz trzeci tego dnia przekonany byłem, że zaraz umrę.

Usiadłem na jednym z foteli, a Tomi usiadła obok mnie. Rob i Dylan nadal stali. Dylan unikał mojego spojrzenia i wydawał się zakłopotany. Opadłem

z powrotem na fotel i pomyślałem o wszystkich chwilach, jakie spędziłem tutaj z Nathanem. Bar zawsze był jego miejscem.

Nie chciałem wiedzieć, jak umarł. To była jedna z niewielu rzeczy, których nie chciałem wiedzieć.

– Baloche i ja się rozwiedliśmy – zaczęła Sophia, wciąż pocierając skronie. Miała zamknięte oczy – ponieważ był szalony. Był jednym z tych, co to... Wszystko na początku szło idealne, wręcz doskonale, potem się pobraliśmy, a on się zmienił... niemal w jedną noc. Myślałam, że to moja wina, nie rozumiałam, co się dzieje. W każdym razie... Nie w tym rzecz, Jon. Dylan nie pomagał mi ukryć morderstwa dziewczynki. Pomagał mi, bo w dniu, w którym to wszystko się zdarzyło, Baloche zaatakował mnie... i go zabiłam. Stało się to w kuchni, podczas gdy wszyscy biegali w panice. Dylan dowiedział się o tym tylko dlatego, że przyszedł sprawdzić, czy wyjechałam.

Najpierw przypomniał mi się smak. Cukier i czekolada. I pomyślałem o tych ciasteczkach, które dodają do kawy czy herbaty. Poczułem znów wiatr na twarzy. Znów stałem na pustych miejscach parkingowych, zastanawiając się, co dalej robić, spojrzałem w prawo i...

– Widziałem cię – powiedziałem.

– Co takiego? – zapytał Dylan.

– Byłem na zewnątrz i widziałem was oboje, nieśliście coś, o tam. To było zaraz po tym, jak większość ludzi wyjechała. Tam znalazłem ciało.

– A wtedy, tamtego dnia, nie pomyślałeś, że to dziwne? – spytała Tomi, marszcząc brwi.

– Nie. Wszystko tego dnia było dziwne, więc nic sobie nie pomyślałem. A to wspomnienie... przypomniałem sobie o tym zaledwie kilka dni temu.

Rob obgryzał paznokcie, ale na chwilę przestał i zadał pytanie:

– Zaatakował cię?

– Ja... On... Cóż, ja nie...

– Próbował ją zgwałcić. – Dylan skrzyżował ramiona.

– Dlaczego? – zapytał Rob.

Wszyscy przez chwilę wpatrywali się w niego, więc szybko się wycofał.

– Nie, nie, nie zrozumcie mnie źle, miałem na myśli tylko to, że... Właśnie nastąpił koniec świata, a on postanawia spędzić ostatnie chwile, atakując swoją byłą żonę... To trochę dziwne...

– Gwałty podczas katastrof są udokumentowanym zjawiskiem – powiedziałem. – Przebywanie w pobliżu agresywnego byłego męża w czasie kryzysu sprawia, że prawdopodobieństwo nadużycia jest ogromne, ponieważ tacy ludzie wykorzystują chaotyczną sytuację. Często się to zdarza podczas huraganów lub wojen, kiedy społeczeństwa stają się niestabilne.

– No proszę, dziękujemy, profesorze – powiedziała Tomi.

– Nadia była dziennikarką – dodałem. – Dużo opowiadała mi o tych sprawach.

– Nie tylko o to chodziło – powiedziała Sophia, jakby to nie było wystarczające uzasadnienie. – A może właśnie o to... Walczyłam i nawet nie zdawałam sobie sprawy, co robię. Do momentu aż...

– Włożyła jego rękę do frytkownicy i wbiła mu nóż w szyję – dokończył za nią Dylan. – Właściwie to nawet kilka razy.

– Wow – powiedziałem prawie niesłyszalnie.

– Więc pomogłeś jej ukryć ciało? – upewniła się Tomi.

Dylan skinął głową.

– To była jedyna rzecz, jaką mogłem dla niej zrobić.

– Dylan pomógł mi ukryć Baloche'a i wyczyścić kuchnię. A ja wyrzuciłam nóż. Potem poszłam do pokoju Baloche'a, żeby... sama nie wiem... wziąć wszystko, czego potrzebowałam...

Tomi i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– I nie znalazłaś tam niczego niezwykłego? – spytałem.

Dylan podszedł do drzwi, otworzył je, sprawdził, czy nikt nie podsłuchuje, i zamknął je ponownie.

Sophia zamilkła na dłuższą chwilę.

– Nie. Poszłam do jego pokoju, znalazłem komputer i go wziąłem. Używałam go do sprawdzania wiadomości, dopóki internet nie przestał działać. Nie zauważyłam niczego dziwnego poza mejlami o sprzedaży hotelu. Nie wiedziałam, że planował go sprzedać, ale, z drugiej strony... nie wydawało mi się to jakieś szczególnie niezwykle.

Zapadła krótka cisza, a potem Sophia zaczęła płakać w przeraźliwie przejmujący sposób.

– Przepraszam, Jon – powtórzyła. – Myślałam, że jeśli wszyscy się dowiedzą, że to zrobiłam, to wyrzucą mnie stąd albo zrobią coś jeszcze gorszego. A tu nagle ty próbujesz dowiedzieć się, co się stało z tą dziewczynką... Tak się bałam, że coś znajdziesz.

– Rozumiem – powiedziałem. I nie kłamałem.

– Myślisz, że on mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią tej dziewczynki? – zapytał Rob. – Twój, hmm... Właściciel hotelu?

Sophia pokręciła głową.

– Nie wiem.

– A w jego mejlach nie było nic, co wydawałoby się podejrzanego? – spytała Tomi.

– Nie wiedziałam nawet, że jest jakaś martwa dziewczynka. Dowiedziałam się o tym tego samego dnia, co wszyscy inni – syknęła Sophia. – Nie, nic nie zauważyłam.

– A czy Jon i ja moglibyśmy rzucić na nie okiem?

– Okej, okej, wszyscy trochę wyluzujmy. – Dylan wyprostował się i odchrząknął. – Mam nadzieję, że zachowacie to, o czym tu rozmawiamy, dla siebie.

Zajęło nam chwilę, by zrozumieć, że czeka na nasze potwierdzenie, więc przytaknęliśmy. Zawarliśmy pakt.

– Jon, jestem ci winien przeprosiny – powiedział Dylan.

Czekałem.

– Powinieneś wiedzieć, że pozwoliłem Sophii zabrać walizki z twojego pokoju. A z pokoju ochrony zabrałem płyty **CD** z pierwszego dnia.

W klatce piersiowej czułem łomot, jakbym dostał palpacji.

– Dlaczego?

– Myśleliśmy, że może cię to odstraszy. Wydawało się, że masz na tym punkcie obsesję, skupiałeś się na każdym drobiazgu. Baliśmy się, że w końcu coś odkryjesz. – Spojrzał na Sophię i wziął głęboki wdech. – Ale to tylko pogorszyło sprawę. To był bardzo zły pomysł i nigdy nie powinniśmy byli tego robić.

– Ale gdzie to wszystko jest?

– Przez chwilę leżało w bagażniku mojego samochodu. Tego, którym właśnie przyjechałeś. Po kilku dniach wywiozłem to wszystko w środku nocy i wyrzuciłem w lesie. – Na jego twarzy pojawił się grymas. – Tak jak powiedziałem, nie czuję się z tym dobrze, że nadużyłem twojego zaufania. Przykro mi.

Pokiwałem głową i powiedziałem:

– Nie przejmuj się. Ja też nie powinienem był wchodzić do twojego pokoju. Okazuje się, że wszystko opacznie rozumiałem. Ta dziewczynka nie była nawet tym, za kogo ją uważałem.

Nikt z nas nie wiedział przez chwilę, co powiedzieć.

– Gdybym była przesądna, powiedziałbym, że to miejsce jest przeklęte – zauważyła Tomi.

– Gdybym był przesądny, powiedziałbym, że przypadkowemu obserwatorowi może wydawać się coś zupełnie przeciwnego – powiedział Rob. – Chociaż, oczywiście, przesady to absurd.

Zmarszczyłem brwi i zapytałem:

– Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się dziwnie.

– Miałeś rację, świat się skończył, ale przynajmniej my żyjemy, prawda?

– O Boże... – wyszeptałem i aż serce mnie zabolowało. – Biedny Nathan...

Dylan mi przerwał.

– Jon, ale Nathan jest tutaj. Żyje.

Rob spojrział mi w oczy, a potem obaj poderwali się na równe nogi.

– Nathan tu jest?

– Tak. – Uśmiechnął się. – Nie jest może w świetnej formie, ale wczoraj wrócił. Przedzierał się przez las. Wyglądał jak trup, ledwo szedł. Ale udało mu się wrócić. Myślałem, że na pewno nie żyje, po tym jak ja i Adam go straciliśmy. Spał prawie dwadzieścia cztery godziny. Wkrótce się z nim zobaczysz. Kiedy tylko się obudzi.

– Chryste! – Prawie upadłem na fotel. – Dzięki Bogu.

Tomi położyła mi rękę na ramieniu.

– Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, to poprosił o wódkę. Nie o wodę, ale o wódkę. Dobrze wiedzieć, że obcowanie ze śmiercią w ogóle go nie zmieniło.

– Bóg zdecydowanie musiał mieć w tym swój udział – powiedział Dylan. – Albo temu stukniętemu dzieciakowi udało się jakoś przechytryć śmierć w tych lasach. Powiedział, że skręcił kostkę i miał halucynacje, bo w nocy było strasznie zimno. Był pewien, że umrze z powodu hipotermii. Ale obudził się. I właśnie wtedy nabrał pewności, że przeżyje bez względu na to, czy zdoła iść, czy nie.

Dreszcz przeszedł mi wzdłuż kręgosłupa, ale nic nie powiedziałem o teorii Adama. To nie był czas na podważanie mojego zdrowia psychicznego.

Dzień siedemdziesiąty pierwszy

Poszedłem na górę i spałem przez bardzo długi czas. Nie chciałem robić nic innego ani z nikim rozmawiać. Nie chciałem myśleć o mieście, nie chciałem myśleć o dziewczynce na dachu ani przeglądać mejli Baloché'a z Tomi. Nie chciałem przenieść się do miasta ani wyruszyć w podróż powrotną do Stanów. Chciałem zasnąć na zawsze i już nigdy się nie obudzić w tej rzeczywistości.

Ale obudziłem się – wyglądało na to, że działanie jest naszym przeznaczeniem.

Przez jakiś czas stałem pod nowym gabinetem Tani, zanim zdobyłem się na odwagę, żeby zapukać. Nie wiem dlaczego, ale czułem, że to ja jestem winien jej przeprosiny.

Usłyszałem w środku ruch. Po chwili wyszła Tania i zamknęła za sobą drzwi, prawdopodobnie dlatego, żeby nie przeszkadzać Sashy.

– Jak się czuje Sasha? – spytałem, cofając się o krok na korytarz. – A Nathan?

– Sasha będzie miał kłopoty z chodzeniem. Nie trafiła go w stopę, tylko w lewą stronę kości piszczelowej. To go nie zabije, ale obaj, Sasha i Nath, będą potrzebować większości naszych zapasów środków przeciwbólowych, żeby wrócić do zdrowia. Dałam im obu pigułki nasenne, tyle że nie mogę ich przez cały czas usypiać.

– Ona tylko stanęła w mojej obronie.

– Nie musisz jej bronić. Wiem o tym. – Oparła się o drzwi, krzyżując ramiona. – Więc? Miałeś rację?

– Nie. Myliłem się i to bardzo.

– W porządku, nie mów mi teraz. Później mi opowiesz.

– Dobrze.

– Chcesz wejść do środka?

Zawahałem się.

– Jesteś pewna?

– Wiesz, że zawsze brakuje mi towarzystwa. Nikt nie chce mi przeszkadzać i wszyscy przychodzą do mnie tylko w sprawie problemów żołądkowych, bólów głowy czy przeziębienia. – Westchnęła. – To irytujące.

– Wobec tego chętnie wejdę.

Zerknęła przez ramię i wpuściła mnie do pokoju, w którym spał Sasha. Zraniona noga, owinięta bandażami, była ułożona na stosie książek przyniesionych z baru. Sasha leżał płasko na plecach i głośno oddychał przez usta.

– Nie będziemy mu przeszkadzać? – upewniłem się.

Potrząsnęła głową.

– Odpłynął na jakiś czas. Nath leży obok. Nie ma poważniejszych obrażeń, ale był bardzo głodny i naprawdę wycieńczony. Bardziej niż czegokolwiek potrzebuje nawodnienia.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć jej o radioaktywnym deszczu, ale czy miało to teraz jakieś znaczenie? Tylko jeszcze bardziej przygnębiało... Poza tym wyjeżdżaliśmy stąd.

Siedząc na jednym z krzeseł obok łóżka, podniosła biały płyn w białym tekturowym kubku i podała mi go.

Usiadłem na krześle obok niej i powąchałem.

– Co to?

– Calpol. To lek dla dzieci, głównie cukier i łagodny środek przeciwbólowy. Nie sądzę, żeby istniał amerykański odpowiednik.

– Chyba tego nie potrzebuję.

– Uwierz mi, że potrzebujesz. – Uśmiechnęła się, naląła trochę białej mieszanki do plastikowej łyżeczki i połknęła. – Różowy jest dla młodszych

dzieci, dlatego jest o wiele smaczniejszy. Ale już go zużyłam.

Wziąłem łyk. Był gęsty i bardzo słodki. Jedna z najsmodszych rzeczy, jakie kiedykolwiek próbowałem. Był również, w porównaniu ze wszystkim, co jadłem w ciągu ostatnich kilku miesięcy, przepyszny.

– Okej, cofam to, co powiedziałem. Bardzo tego potrzebuję! To jest pyszne!

– Piję to jak sok pomarańczowy, każdego ranka. Yobaris nie lubią podawać tego dzieciom. Tym lepiej, będzie więcej dla mnie.

– Czy dlatego zawsze jesteś taka spokojna?

– Tak, właśnie dlatego. – Rozłożyła ręce. – To zaleta bycia jedynym lekarzem, możesz być przez większość czasu na haju.

– Naganne zachowanie. Czy mogę jeszcze?

– Proszę. – Podała mi butelkę i plastikową łyżkę.

– Ile można tego wziąć, żeby nie przedawkować?

Ucieszyłem się, słysząc jej śmiech. Ostatnio nasze relacje były dość napięte.

– Trudno jest wyobrazić sobie bardziej frajerską śmierć niż przedawkowanie Calpolu, ale założę się, że tobie by się to udało. – Wypiła łyk wody z butelki stojącej obok łóżka. – Przykro mi, że nie powiedzieliśmy ci od razu o Nathanie. Nie powinniśmy tego odkładać. Wiem, że jesteście blisko... Trzeba było ci od razu powiedzieć...

– Tak, myślę, że jesteśmy przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, nie jestem przyzwyczajony do posiadania tylu przyjaciół w wieku dwudziestu lat...

– Faktycznie, mamy tu tłum młodzieży. Dzięki temu i ja czuję się młodo. Czasami zbyt młodo i tęsknię za rozmową z dorosłymi. – Zazgrzytała zębami. – Przy okazji, jestem ci winna przeprosiny.

Wziąłem kolejną dawkę Calpolu.

– Nie, ty nie musisz mnie przeproszać. Działałaś racjonalnie. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

– Byłam dokładnie w tej samej sytuacji co ty. Mieliśmy ten sam pakiet informacji... No i mogłeś przeze mnie zginąć. Przykro mi z tego powodu.

– W porządku. Choć przyznam, że już sam zaczynałem myśleć, że zwariowałem.

– Taak, nie powinnam była nazywać cię wariatem. – Uniosła brwi. – Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że biali mężczyźni, którym odwała, to częsty temat.

– Prawdopodobnie zaczynało mi odbijać.

– Myślisz?

– Obudził mnie raz w nocy głos dziewczynki, która powiedziała „Pomóż mi” i przez jakiś czas naprawdę myślałem, że przemówił do mnie duch. Zresztą, jakaś część mnie nadal myśli, że już od dawna wszyscy jesteśmy martwi, a to tutaj to jakiś cholerny czyściciel...

– Może zachowaj dla siebie te rewelacje... – parsknęła.

– Uważam, że powinnaś wiedzieć, że twoja diagnoza może była prawidłowa.

– A może nie była. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy, niż ludzie widzący duchy lub tacy, którzy czuli, że już nie żyją. – Kolejny łyk wody i uśmiech. – Na szczęście miałeś w swoim narożniku Thomasa.

– Przestań nazywać ją Thomasem, to niesprawiedliwe.

– Przestaną nazywać ją Thomasem, kiedy przestaniesz się śmiać. – Wyciągnęła rękę i wierzchem dłoni dotknęła czoła Sashy. – Rośnie mu temperatura, będę musiała mieć na to oko. Może uda mi się przekazać go innym lekarzom, kiedy dotrzemy do miasta. Prawdopodobnie mają tam więcej specjalistów. I pewnie jakiś oddział szpitalny.

– Mogłabyś zrobić sobie przerwę?

– Dzień. Wzięłabym jeden dzień wolnego. Co innego miałabym robić? To wszystko, co umiem. – Wskazała na moją twarz. – A tak przy okazji, jak twoje zęby?

Odruchowo zakryłem usta.

– Yyy, w porządku.

– Ból zęba wyczuję w zatłoczonym pokoju. Poza tym, kiedy jesteś zestresowany, to zgrzytasz... Mogę zobaczyć?

– Może później. Przyjdę do ciebie.

Surowe spojrzenie.

– Nie bądź głupi, Jon. Nie zostawiaj tego. Nie możemy dalej tracić ludzi. Zwłaszcza, że można tego uniknąć. Nikt ci nie podziękuje za bycie bohaterem, szczególnie, że nasz zapas antybiotyków na pewno coś na to zaradzi.

– Wiem.

– Mówię poważnie. Mam dość tracenia ludzi. Nie sądziłam, że którykolwiek z tej trójki wróci, a potem jeszcze ty i Rob... W tym rzecz... Nie poradzę sobie, jeśli jeszcze kogoś stracimy. – Oplotła jeden ze swoich warkoczyków wokół dłoni, obserwując Sashę. Potem pochyliła się i podniosła swój odtwarzacz mp3 z podłogi. – Chcesz czegoś posłuchać?

– Mogę sam wybrać?

– Nie.

– No cóż... to dawaj.

Uśmiechnęła się, poszukała piosenki i wręczyła mi jedną ze słuchawek.

– Jak myślisz, co będziesz robił w mieście? Zostaniesz miejskim kronikarzem?

– Nadal będziemy potrzebować ludzi takich jak ja i Tomi, żeby zapisywali wydarzenia. Teraz musimy strzec naszej wiedzy bardziej niż kiedykolwiek. Nie możemy polegać wyłącznie na internecie.

– To dlatego piszesz ręcznie, chociaż masz laptopa?

– A jeśli w ogóle nie będzie prądu, na zawsze? Elektroniczne notatki nikomu się nie przydadzą. – Wzruszyłem ramionami. – Cóż, może i tak nikomu się nie przydadzą...

Zaczęła się piosenka.

– Tego też nie znam – powiedziałem.

– Oczywiście, że nie znasz. To Run the Jewels. – Przerzuciła włosy z jednej strony na drugą, żeby odsłonić twarz i spojrzeć na mnie wymownie. – Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek natknę się na agresywny rap.

Włosy stanęły mi dęba na rękach i karku i przyszło mi do głowy, że nasze pokolenie prawdopodobnie już nigdy nie usłyszy żadnej piosenki wyprodukowanej w ten sposób. Będziemy musieli stworzyć własną sztukę, coś zupełnie nowego. Jestem pewien, że to się stanie, jeśli znajdziemy sposób na przetrwanie. To było największe „jeśli” i nie chciałem się teraz nad tym zastanawiać. Minęły dwa miesiące od końca świata, więc najgorsze było jeszcze przed nami – kiedy brak słońca zabije wszystko, co nie będzie rosło w szklarniach, a promieniowanie dotrze do każdego zakątka naszej planety.

– Moje dzieci żyją – powiedziałem nagle. – Dostałem wiadomość od Nadii.

– O mój Boże, Jon! – Złapała mnie za ramię. – To wspaniale!

– Tak, pojechały do Kanady. – Serce mnie bolało, i to był fizyczny ból. – Nie miały internetu. Nadal chyba nie mają.

– Co zamierzasz zrobić?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Delikatnie uścisnęła moją rękę. Wiedziała, o co chodzi.

– Myślisz, że pojedzie z tobą?

Przez dłuższą chwilę wydychałem powietrze.

– Nie wiem, czy ktokolwiek powinien w ogóle o tym myśleć. To byłoby głupie. Zwłaszcza, że jest tu miasto. Można tu zacząć nowe życie.

– Ale ty musisz spróbować. – Jej dłoń wciąż spoczywała na moim ramieniu, a potem wzięła moją i nasze palce się splotły. – Miałam siostrzenicę. Miała cztery lata. Zrobiłabym to samo, gdybym się dowiedziała, że żyje.

Zapadła krótka cisza, bo akurat piosenka się skończyła. Zaczęła przewijać utwory, szukając kolejnej.

– Zostań tu na chwilę – powiedziała.

Czubki jej palców były zimne, ale dłoń ciepła, a uścisk silny, jak u kogoś, kogo ręce wiedziały, co to ciężka praca.

– Nigdzie nie pojedziesz, dopóki nie spojrzę na twoje zęby – dodała.

Bolało mnie całe ciało, ale przez chwilę mogłem się zrelaksować.

– Nie wiedziałem, że masz siostrzenicę – powiedziałem.

– Bo niewiele o mnie wiesz. – Uśmiechnęła się.

– Chciałbym wiedzieć więcej.

– A nie sądzisz, że tak wyszło, bo ja po prostu nie chcę nic mówić o sobie?

– Niech będzie zatem tak, jak ty chcesz – zaproponowałem.

Sasha drgnął we śnie, a ona pochyliła się i znów dotknęła jego czoła, wyciągając rękę z mojej dłoni.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła Tomi.

– Hej, łamago – powiedziała do mnie. – Sophia dała mi laptopa Baloche’a i hasła dostępu. Chcesz rzucić okiem?

Dzień siedemdziesiąty pierwszy (2)

Dylan włączył ciepłą wodę, prąd i gaz, ponieważ nie miało już znaczenia, ile zapasów teraz zużyjemy. Wszyscy gorączkowo ładowali telefony i laptopy, chodzili ze słuchawkami i słuchali muzyki. Wydaje mi się, że wszyscy w hotelu byli spakowani i gotowi do wyjazdu. W powietrzu czuć było nadzieję. Dylan i Peter spędzili cały dzień, przygotowując plan, kogo, co i w jakiej kolejności przetransportować samochodem. Trzeba będzie zrobić co najmniej tuzin kursów, żeby przewieźć wszystkich. Albo i więcej, biorąc pod uwagę liczbę osób, zgromadzonych rzeczy i ilość jedzenia. Po raz pierwszy trzymałem się z dala od organizacji i czekałem, aż ktoś mi powie, co mam robić.

Tomi i ja spędziliśmy trzy godziny na przeglądaniu laptopa Baloché'a, ale nie byliśmy w stanie znaleźć niczego obciążającego. Mejle w języku angielskim dotyczyły wyłącznie sprzedaży hotelu, a z tych w języku francuskim nawet nic nie zrozumieliśmy. Tomi wydrukowała je i poszła pokazać Dylanowi. Ja wziąłem wydruki mejli pisanych po angielsku do swojego pokoju, gdzie chciałem dokładniej się w nie wczytać.

Nie wiem dlaczego, ale miałem wrażenie, że coś przeoczyliśmy.

W drodze powrotnej do pokoju zatrzymałem się, by zajrzeć do Nathana, który już się obudził i siedział teraz na łóżku. Był bardzo głodny.

– Myślałem, że umrę z głodu – powiedział, jedząc trzecią puszkę mango i czwarty pakowany rogalik. – To byłby najbardziej tragiczny koniec, prawda? Oprócz bycia zjedzonym. Śmierć z głodu... Pomyślałem, że to byłoby takie smutne.

Był niezwykle blady, a pod oczami miał ciemne kręgi. Ale poza tym wszystko było z nim w porządku. Był tu. Tak się cieszyłem, że wciąż jest z nami.

Spytałem, w jaki sposób udało mu się uciec. Na chwilę przerwał jedzenie, jakby nie mógł nic przełknąć...

– Hmm... Prawie udało mi się uciec z Dylanem i Adamem, ale jeden z tych gości złapał mnie i rzucił na ziemię. Myślałem, że już po mnie.

– Co się stało potem?

– Ja... rzuciłem się z pazurami do jego oczu, więc mnie puścił. Biegłem, ale nie mogłem znaleźć pozostałych, a nie mogłem ich zawołać, ponieważ wtedy znaleźliby mnie tamci. Więc tylko cały czas uciekałem. A potem rozpieprzyłem sobie kostkę i... musiałem skakać.

– Czy oni... zjadali ludzi? – Ledwo byłem w stanie o to zapytać.

Pociągnął nosem.

– Nie sądzę, żeby chcieli nas pożreć. Raczej wykorzystać jako przynęty, żebyście oddali im naszą broń, jedzenie i inne rzeczy. Ale... nie miałem pewności, że nas nie zjedzą. W sumie mieli mięso... coś jedli... Pozostawało mieć nadzieję, że to jelenie...

Obaj spojrzeliśmy w okno, a ja pomyślałem, jak bardzo będę tęsknił za tym miejscem.

– A co się z tobą działo? – spytał Nathan.

Zaśmiałem się.

– Och, nic wielkiego. Wiesz, pojechaliśmy do miasta, wróciliśmy, kilka razy robiliśmy co w naszej mocy, żeby nie dać się zabić.

– Próba przeżycia to już nasza praca na pełen etat, co? – zaproponował mi trochę konserwy z mango, ale odmówiłem machnięciem ręki. – Co tam masz?

– Aaa, to? – Przekartkowałem wydrukowane mejle. – Nic takiego. Część mejli właściciela hotelu, które sprawdzamy razem i Tomi. Sprzedawał hotel komuś, kto najwyraźniej zatrzymał się w Saint-Sion podczas negocjacji. Próbujemy się dowiedzieć, czy ma coś wspólnego z tą dziewczynką w zbiornikach na dachu, ale nie sądzę. Myślę, że przez cały ten czas byłem na

niewłaściwym tropie. Nie wiemy nic. Nie znamy jej prawdziwego imienia ani dokładnego czasu śmierci. Nic.

Nathan rozejrzył się po pokoju.

– Nie wiedziałem, że sprzedają hotel. Kto chciałby kupić to miejsce?

– Jakiś Brytyjczyk. W każdym razie po nazwisku zakładam, że jest Brytyjczykiem. A nazywa się... – Przerzuciłem kilka kartek. – Harold Adler.

Z perspektywy czasu wiem, że powinienem był skojarzyć fakty, gdy tylko ujrzałem to imię.

Nathan popatrzył na mnie z zaskakującym wyrazem bólu na twarzy, aż mnie zamurowało.

– Czy to ma być jakiś kiepski żart, stary?

– Yyy... Nie... Skądże... – Nie mogłem wydusić słowa, gdy patrzył na mnie w ten sposób. – Nie, to jest... to jest napisane tutaj, w jego mejlach.

Nathan wyrwał je z moich rąk i wtedy zobaczyłem, że cały się trzęsie.

Spojrzał na mnie i powiedział:

– To mój ojczym. Tak się nazywa, ale nie jest Brytyjczykiem, jest Australijczykiem. To jest mój tata.

Siedziałem w swoim pokoju sam przez długi czas. Nathan zabronił mi mówić komukolwiek o tym, co odkryliśmy, dopóki nie zdecyduje, co z tym zrobi. To było zrozumiałe. Od niego teraz zależało, jak będziemy dalej postępować z tymi informacjami.

Peter i Rob jeździli do miasta i z powrotem z ludźmi i zaopatrzeniem. Tomi, ja i Dylan mieliśmy wyjechać stąd jako ostatni, już po tym, jak zostanie zabrany cały zapas żywności. Państwo Yobari i ich dzieci pojechali jako pierwsi.

Nie wiem, co się teraz stanie. Nie jestem nawet pewien, czy chcę stąd odchodzić.

Dylan przyszedł do mojego pokoju po południu i zapytał, czy możemy porozmawiać. Przyniósł resztkę swojej trawki i zapaliliśmy jointa przy oknie. Zmniejszyło to nieco ból zęba i złagodziło napięcie między nami.

– Pracowałeś tu długi czas. Co myślisz o tym, co powiedziała Tomi? – zapytałem. – Myślisz, że to miejsce jest przeklęte?

Wydawał się rozbawiony tym pytaniem, ale, ku mojemu zaskoczeniu, wzruszył ramionami i powiedział:

– Nie wiem. Może jest. Nie wierzę w czary, ale wierzę w... no wiesz... w karmę. Może w tym miejscu wydarzyło się zbyt wiele... Może za dużo jak na jeden budynek...

– Karmę?

– Tak. Jeśli coś w tym miejscu było przekleństwem, to tylko ludzie, którzy się tutaj zatrzymywali. Może więc trzeba zacząć właśnie od ludzi, żeby coś zmieniło się na lepsze.

Starłem się zapamiętać każdą część mojego pokoju. Czytałem ponownie każdą zapisaną notatkę, każdą karteczkę samoprzylepną z napisem „Trzymaj się”, który miał być dla mnie przypomnieniem. Było ich chyba ze dwadzieścia kilka. Myślałem o przewodźce do miasta, gdzie będę miał dom lub mieszkanie, gdzie będę mógł cały czas korzystać z mojego laptopa, słuchać muzyki, odpowiadać na wiadomości, a nawet przysyłać filmy. Nie mogłem uwierzyć, o ile większy stawał się świat z dostępem do internetu, z dostępem do całej wiedzy.

– A skoro mowa już o zmienianiu rzeczy na lepsze... Przepraszam, że posądziłem cię o to, że byłeś zamieszany w morderstwo tej dziewczynki ze zbiornika na wodę – powiedziałam, czując pierwsze uderzenie po mocnym zaciągnięciu się skrętem. – Nie mogę teraz uwierzyć, że w ogóle mogłem tak pomyśleć...

– Nie, to ja przepraszam za to, że wziąłem cię za wariata. Nie jesteś tego typu facetem. Próbowałem tylko chronić Sopię. To była jej osobista sprawa. Bała się. – Wziął ode mnie jointa, zaciągnął się i skrzyżował ręce. – Zniszczyłem nagrania z kamer bezpieczeństwa w obawie, że policja może to zobaczyć i ją aresztować. Albo ty to obejrzyś i zrobisz coś złego. Wiem.... to głupie, że

martwiłem się o policję. Ale wtedy wciąż myślałem, że w końcu do nas przyjedzie.

– Rozumiem. Nie powinienem był wchodzić do twojego pokoju.

– Nie powinienem pozwolić, by Sophia weszła do twojego. – Zmarszczył brwi. – Jesteśmy małą grupą. Musimy sobie ufać. Powinienem dawać przykład, a nie celować do ciebie z broni.

– Nie będziemy już małą grupą. W mieście jest mnóstwo ludzi.

– Nadal będziemy.

Może był optymistą, przecież nie wszyscy się ze sobą dogadywaliśmy, ale lubię myśleć, że może mieć rację i że będziemy trzymać się razem.

– Rob powiedział mi, że dostałeś wiadomość od swojej żony i że wszystko u twoich dzieci w porządku. Bardzo się cieszę, stary.

– Dzięki.

Wyciągnął rękę i mocno chwycił za moją.

– Dało mi to do myślenia. Wydawało się tak mało prawdopodobne, że twoje dzieci żyją... mówiłeś, że były w mieście... Może więc moja córka też żyje?

– Wysłałeś do niej jakieś wiadomości?

– Zrobiłem to kilka razy, kiedy byliśmy poza hotelem. Ale nie dostałem żadnej odpowiedzi. Lecz twojej rodzinie skontaktowanie się z tobą również zajęło dużo czasu... Nie wiemy, gdzie działa internet, a gdzie nie. Może moja córka też żyje... – Pokręcił głową. – Perspektywa wyjazdu, próba dostania się do Monachium... Nie czuję się z tym dobrze. Ale pozostanie tutaj i niepodejmowanie próby odnalezienia jej powoduje, że czuję się jeszcze gorzej.

Ulżyło mi, że ma takie same dylematy, i uśmiechnąłem się.

– Myślałem o tym samym. Nie wiem, jak mam dotrzeć do Stanów. Prawdopodobnie zginę, próbując się tam dostać, ale... Sam już nie wiem...

– Chcesz, żeby wiedziały, że próbowałeś, prawda? – spytał.

– Tak. Dokładnie. To naprawdę nie ma znaczenia w zaistniałej sytuacji, ale nie chcę, żeby moje dzieci myślały, że po prostu się poddałem i pogodziłem z tym, że więcej ich nie zobaczę.

– Co byś zrobił, gdybyś był mną? – zapytał, napotykając mój wzrok. – Pojechałbyś?

– Nie wiem nawet, czy sam pojadę.

– Ale jeśli byłbyś mną?

Uświadomiłem sobie, że znowu zaciskam zęby i mam spazmatyczny skurcz przesuający się wzdłuż szczęki, przez ucho, aż do karku.

– Wszystko w porządku? – spytał Dylan.

– Tak, wszystko okej, nic mi nie jest. To tylko ten ząb... – Pomacałem go, był nadwrażliwy i bolał. – Na twoim miejscu, jak sądzę, nie robiłbym niczego bez całkowitej pewności.

– Naprawdę, nie pojechałbyś?

– Nie pomyślałbym o próbie powrotu do Stanów, gdybym nie dostał tej wiadomości od Nadii. Po co miałbym to robić? Mógłbym tu zamieszkać. Tak wiele możemy zrobić w mieście. Możemy zacząć od nowa normalnie żyć. Nie wiem, co się tam dzieje. I nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

– Będzie mi smutno, gdy wyjedziesz, Jon. Wszystkim będzie smutno.

– I wcale nie chcę wyjeżdżać. – Nie mogłem uwierzyć, jak bardzo tego nie chciałem. Powiedziałem to głośno i miałem nadzieję, że da mi to jakiś sensowny argument, żeby pozostać. Chciałem, żeby ktoś zmusił mnie do zostania. – Ale po prostu czuję, że muszę. Muszę odnaleźć moją rodzinę.

– Może przemyśl to jeszcze. Przez tydzień lub dwa. Przemyśl to. Skontaktuj się z żoną. Może wolałaby, żebyś był tu, żywy, niż zginął, próbując do nich dotrzeć.

– Kurwa – powiedziałem i miałem ochotę go przytulić. – Masz rację.

Uśmiechnął się.

– I przysięgam, że nie mówię tego z egoistycznych pobudek, tylko dlatego, że chcę, żebyś został.

Na zewnątrz zaczęło padać. Nie jakoś bardzo. Była to unosząca się w powietrzu wilgotna, przebarwiona mgiełka.

– Wiesz, jeden ze strażników w mieście wspomniał, że deszcz jest radioaktywny. Nie możemy tego pić.

Dylan zgasił resztkę skręta bezpośrednio na moim nocnym stoliku.

– Przyszło mi to do głowy jakiś czas temu, gdy rozcinaliśmy te zbiorniki. Po prostu nie chciałem przyznać, że mój projekt jest zupełnie bezsensowny i że wcześniej o tym nie pomyślałem. Deszcz jest radioaktywny. Wydaje się to takie oczywiste. Zasmuciło mnie to.

– Wiem – powiedziałem i zobaczyłem kilka łez spływających wolno po jego policzkach.

Dzień siedemdziesiąty drugi

„Niech żyje Saint-Sion! **POKÓJ**”.

To jest miasto, ale nie jedno z tych, jakie pamiętam. Jest jak mit, który kiedyś słyszałem. Jak marzenie o „społeczności”, z jaką nigdy dotąd nie spotkałem się w społeczeństwie.

Pierwszy dzień poświęcony był przydziałowi mieszkań. Było wiele pustych lokali, po osobach wygnanych z miasta, a także pozostawionych przez ludzi, którzy po prostu uciekli w poszukiwaniu... No właśnie, czego? Samolotu bądź statku, który zabrałby ich w bezpieczniejsze miejsce? Kto to może wiedzieć... Uderzyło mnie, że w ujęciu procentowym największa w historii masowa migracja ludzi musiała mieć miejsce właśnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Zapytano nas, czy chcemy z kimś dzielić mieszkanie lub dom, a jeśli tak, to z kim.

– Ludzie mają prawo żyć na własną rękę – powiedział urzędnik do spraw mieszkaniowych. – Zwłaszcza jeśli są takie możliwości.

Odpowiedziałem, że nie mam problemu z mieszkaniem z kimś, i zacząłem wpisywać na listę różne osoby z hotelu. Roba wymieniłem na pierwszym miejscu, potem Nathana, z którym nie miałem okazji rozmawiać od czasu rewelacji na temat jego ojca. Zastanawiałem się nad Adamem, ale zawahałem się z powodu jego koszmarnych wizji. Wahałem się też nad Dylanem, ponieważ logika wskazywałaby, że będzie chciał zamieszkać z Tanią, a nawet gdyby nie zamieszkał z Tanią, wcale nie byłem pewien, czy chcę wkraczać w ich

przestrzeń. Długo zastawiałem się nad Tomi, aż w końcu dopisałem jej nazwisko w poczuciu winy, że w ogóle się nad tym zastanawiam.

Po wypełnieniu formularza wpadłem na Tomi, która stała przed budynkiem. Strefa oczekiwania stawała się coraz bardziej zatłoczona, bo wszyscy czekaliśmy na decyzje.

– Podałeś moje nazwisko? – zapytała, opierając się o ścianę.

– Oczywiście. – Zauważyłem, że budynek po drugiej stronie ulicy to otwarty na nowo sklep z żywnością i że wokół stoi sześciu uzbrojonych strażników. Więcej niż wokół ratusza. – A ty mnie wpisałaś?

– Nie. Bez urazy. Lubię mieszkać sama.

No i poczułem się głupio. Niepotrzebnie łudziłem się, że w ogóle obchodzi ją, z kim chcę zamieszkać.

Spojrzała na pomarańczową chmurę, która wydawała się o wiele niżej zawieszona i groźniejsza bez otoczenia drzew.

– Czy też wyjechali do ciebie z tą pogadanką?

– O czym?

– Że nie będą tolerować tu sprawiających kłopoty Amerykanów, którzy nie przestrzegają ich zasad?

– Nie. Kilka razy powiedzieli mi, że nie mogę trzymać broni, i tyle. Może nie wyglądam na sprawiającego kłopoty Amerykanina...

Zaśmiała się. Od czasu choroby była dużo chudsza i bledsza. Zaczęła nosić włosy związane w długi warkocz. Pasowała jej ta fryzura. Kiedy zapytałem ją o to, powiedziała, że nie chce, żeby włosy jej się plątały, i stwierdziła, że rozpuszczone za bardzo zwracają uwagę w sytuacji awaryjnej.

Mój ząb znowu strasznie bolał. Przez chwilę myślałem, że jest trochę lepiej, ale w ciągu ostatnich kilku dni dolegliwości się nasiliły. Podejrzywałem, że wzmagają je stres. Ciało ludzkie jest takie dziwne. Kiedy się na chwilę odprężysz, od razu dopada cię fizyczne wypalenie.

Im dłużej tam staliśmy, tym miałem silniejsze poczucie, że chciała mi o czymś powiedzieć.

Czekałem więc.

– Wyjeżdżasz? – zapytała w końcu, bawiąc się warkoczem. – Dylan powiedział, że dostałeś wiadomość od żony.

Słowo „żona” powiedziała bardzo cicho, jakby to było przekleństwo.

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze.

– Żeby zbliżyć się do portugalskiego wybrzeża, będziemy musieli przejechać przez strefy wybuchów, wiesz o tym, prawda?

– Może nieco bliżej uda mi się złapać jakiś samolot.

– I co, polecisz nim?

– Ja... Co masz na myśli, mówiąc „będziemy musieli przejechać”?

– Jeśli naprawdę jesteś na tyle obłąkany, żeby spróbować dostać się do Stanów, to jadę z tobą.

– Ale... dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Tam jest także mój dom. A poza tym, jak ty sobie beze mnie poradzisz?

– Masz rację. – Uśmiechnąłem się trochę, ale nawet tak nikły ruch mięśni powodował straszny ból. – Naprawdę, pojechałabyś ze mną? Teraz? Po przeprowadzce do miasta...? Przecież możesz mieć tu nowe życie...

– Egzystencja to nie wszystko.

Byłem w szoku, że najbardziej pragmatyczna osoba zamierza zrobić coś tak głupiego z mojego powodu, ale wiedząc, że mam ją po swojej stronie, od razu poczułem się bezpieczniej.

– Nie jestem nawet pewien, czy wyjadę – powiedziałem, żeby mimo wszystko nie popadać w jakąś ostateczność. – To niewątpliwie szalony pomysł.

– Ale jeśli choćby pomyślisz o płynięciu statkiem, to nie jadę. Boję się morza.

– Dlaczego boisz się morza?

– Cóż, nie morza samego w sobie. Umiem pływać i takie tam. Boję się głębi... Jest na to naukowe określenie: talassofobia. W szczególności oznacza to strach przed głębinami. Tak naprawdę nie jest to strach przed morzem. To raczej strach przed niewiedzą, co tam się znajduje. Chodzi o to, że unosisz się gdzieś,

gdzie nie widać żadnego ładu, i coś może wciągnąć cię do środowiska, w którym nie umiesz się poruszać i o którym nic nie wiesz. Nie wiesz, co jest pod spodem. A może tam być wszystko, co jest wielkie, tak ogromne, że mogłoby cię połknąć w całości, a ty nawet nie miałbyś szansy zauważyć, że nadchodzi. Nagle przestrzeń pod tobą robi się ciemna, na głębokość wielu kilometrów, i nie możesz tego czegoś zobaczyć, ponieważ dryfujesz i niczego nie kontrolujesz, nie możesz ot tak odpłynąć, tylko walczysz o powietrze, próbując jedynie utrzymać się na powierzchni, z głową w górze... A potem właśnie to coś, wielkości drogi lub całego miasta, po prostu cię pochłania.

Zadrzałem i ukradkiem sprawdziłem nowy telefon, ale nie miałem żadnych nowych wiadomości.

– Hej, przykro mi, że nigdy się nie dowiedziałeś, co się stało z tą dziewczynką – powiedziała Tomi.

Patrzyłem na nią przez dłuższą chwilę i zerknąłem na drzwi wejściowe, żeby sprawdzić, czy są zamknięte. Może to nie była moja sprawa, ale zasługiwała na to, by wiedzieć. Pomagała mi od początku. Jeśli ktokolwiek miał mi pomóc, to tylko Tomi.

Poruszyła się niezgrabnie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Wziąłem głęboki oddech.

– Muszę opowiedzieć ci naprawdę dziwną historię o Nathanie.

Kimkolwiek jesteś, wydaje mi się, że nie powiedziałem ci wszystkiego, a przynajmniej – przez zaniechanie – nie byłem całkowicie szczery na temat tego, jakim jestem człowiekiem. Myślę, że jestem to winien Nadii. Muszę więc opowiedzieć o tym, co wydarzyło się przed moim wyjazdem, ponieważ w ogóle nie powinno mnie tu być. I o tym, że czuję się jak hipokryta, bo staram się teraz znaleźć sposób, jak wrócić do rodziny, a wciąż pamiętam, jak bardzo chciałem od niej uciec.

W noc przed moim wyjazdem zszedłem na dół około dziewiątej, upewniwszy się, że obie dziewczynki są już w łózkach. Nadia siedziała i trochę oglądała telewizję, a trochę zerknęła w swojego laptopa. Odbywały się kolejne marsze – w Nowym Jorku, San Francisco, **DC**, Austin, St. Louis, dosłownie wszędzie – ale tym razem nie poszliśmy. Nie sposób chodzić na wszystkie demonstracje, gdy jest tego aż tyle.

W telewizji pokazywali hasła, wszystkie takie same:

„ZATRZYMAĆ KONIEC ŚWIATA!”

„ZAKOŃCZCIE WYŚCIG NUKLEARNY!”

Tego typu hasła.

Nalałem sobie kieliszek wina i pomstowałem na jednego z nauczycieli Marion, który był pieprzonym faszystą. Nadia siedziała cicho na kanapie. Nie zdawałem sobie sprawy jak cicho, dopóki nie spojrzałem na jej laptopa i nie zobaczyłem, że zalogowała się do mojej skrzynki mejlowej.

– Czegoś tam szukasz?

– Och, ja po prostu... – Nie wysilała się na żadne usprawiedliwienia, wstała tylko i wyłączyła telewizor. – Masz kilka mejli, które wydają się naprawdę pilne. Powinieneś na nie odpowiedzieć.

Czułem, że w pomieszczeniu zaczyna brakować powietrza. Mówienie do niej było jak sterowanie samolotem podczas turbulencji. Wiele z tego, co próbowałem powiedzieć, zawisało gdzieś w martwej przestrzeni i spadało, nawet nie docierając do celu.

Myślę, że powiedziałem coś w stylu:

– Nadia, poczekaj...

Ale poszła do kuchni, zostawiając mnie samego.

Poszedłem za nią, aby dokończyć zdanie, lecz jej wzrok był mocno skupiony na winie, które nalewała sobie do kieliszka.

– Słuchaj, kazałem jej przestać, powiedziałem jej, że to nie na miejscu...

Podniosła rękę, żeby mnie powstrzymać, i wzięła łyk wina. Ale nic nie powiedziała.

– Nadia, daj spokój, nie możesz po prostu...

– Nie mogę po prostu czego? – Kolejny łyk wina i kolejna dolewka. – Wiesz, zabawne jest to, że właśnie przekonałam samą siebie, że już tego więcej nie zrobisz. To dość głupie z mojej strony, nie uważasz? Bo jesteś po prostu jednym wielkim zionącym ego i jeśli jakaś kobieta odsuwa się od ciebie na sekundę, musisz znaleźć na jej miejsce dwie kolejne. Jestem pewna, że czujesz się dużo bardziej błyskotliwy dzięki temu, że sypiasz z dwudziestoparolatkami. Wiesz, jestem zaskoczona, że wciąż masz jeszcze pracę...

– Nie mogę z tobą rozmawiać, gdy zaczynasz wymyślać coś, czego nie ma.

– O co chodzi, Jon? – Położyła dłoń na biodrze. – W jakiż to sposób twoja kompulsywna potrzeba pieprzenia się z każdą studentką, która się do ciebie uśmiechnie, odróżnia cię od innych mężczyzn tego typu?

– Nie mówię, że jestem wyjątkowy, mówię tylko... – Myślałem, że dokończenie tego będzie dla mnie oczywiste, ale tak nie było.

Nadia wzięła głęboki wdech.

Tydzień wcześniej towarzyszyłem jej w jednym z marszów przeciwko broni nuklearnej. Przestaliśmy zabierać ze sobą dzieci, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że gliniarze mają przy sobie sprzęt bojowy. Nadia prowadziła transmisję na żywo, publikując nagranie na swoim kanale na Twitterze. Chciałem już wycofać się z marszu, ale ona musiała podejść na tyle blisko, żeby usłyszeć przemówienia. Obiecała, że wkrótce pójdziemy. Przecisnęła się ze środka drogi na obrzeża tłumu, gdzie było nieco mniej tłoczno. Poszedłem za nią, martwiąc się, jak zawsze. Kiedy znów byłem przy niej, podniosła telefon i zaczęła kręcić gliniarza krzyczącego na kilku demonstrantów. Były to czarnoskóre dzieciaki, oczywiście studenci college'u, a Nadia zaczęła to filmować bez słowa. Nagle policjant odwrócił się i jak nie zacznie na nią krzyczeć: „Nie można filmować, proszę pani!”, a potem jedną ręką wyrwał jej telefon, drugą zaś, w której jeszcze przed chwilą trzymał pałkę, złapał ją za ramię. Jego blada twarz była

przepełniona gniewem. Przyspieszyłem i zobaczyłem, jak studenci krzyczą na gliniarza, żeby ją zostawił, a Nadia krzyczy, żeby oddał jej telefon, bo jest dziennikarką. W końcu tam dotarłem, stanąłem między policjantem a moją żoną i powiedziałem coś w stylu: „Hej, nie dotykaj mojej żony!”, a on wtedy uderzył mnie w bok głowy. Spadły mi okulary i nie mogłem ich znaleźć w tym tłumie.

Kiedy materiał Nadii trafił do mediów społecznościowych, jeden z nauczycieli Marion stwierdził, że być może zasłużyłem na manto od gliniarza, skoro publicznie protestujemy w ten sposób przeciwko rządowi.

Był to ostatni raz, zanim wyjechałem, kiedy czułem, jak bardzo kocham Nadię. Jeśli codziennie nie przypominasz sobie o miłości, łatwo jest o niej zapomnieć. Ten gliniarz mógł mnie zastrzelić, a mój odruch i tak byłby ten sam. Oczywiście, nie miało znaczenia, czy zostałem uderzony w głowę, czy strzelano by do mnie. Nadia była moją żoną.

– Wow. Nie potrafisz już nawet niczego wymyślić – skomentowała teraz moje wahanie.

Wziąwszy ze sobą butelkę czerwonego wina, zostawiła mnie w kuchni i wróciła do salonu, a gdy odwróciłem się, by za nią pójść, zobaczyłem Ruth stojącą w drzwiach. Miała dokładnie taki sam wyraz twarzy jak Nadia. A to bolało już dużo bardziej. Zawiodła się na swoim ojcu. A teraz zawiodła się na mnie.

– Czekaaj. Zaczekaaj!

Pobiegła na górę.

Prawie rzuciłem kieliszkiem o podłogę. Wbiegłem po schodach w momencie, gdy drzwi jej sypialni się zatrzasnęły.

– Ruth, to nie jest tak jak myślisz!

– Idź sobie!

Wiedziałem, że siedziała na podłodze oparta plecami o drzwi.

Nie chciałem tam wtargnąć siłą, a może po prostu się bałem. Stałem więc na zewnątrz, jak gdyby drzwi były zamknięte na klucz.

– Proszę, otwórz drzwi. To nie jest tak, jak ci się wydaje. Wszystko źle zrozumiałaś.

– Jesteś kłamcą! – krzyknęła. – Zostaw mnie w spokoju! Ciągłe kłamiesz!

Nie byłem w stanie wejść do jej pokoju i nie mogłem zejść na dół, więc jeszcze długo stałem na półpiętrze, jak sparaliżowany.

Następnego dnia Nadia przygotowała dla mnie filiżankę kawy. Zauważyłem, że rozlałem czerwone wino na drewnianym blacie i zrobiła się plama.

– Naprawdę sądzisz, że twój wyjazd właśnie teraz nam pomoże? – powiedziała, gdy postawiłem swoją walizkę w korytarzu i zająłem się szukaniem paszportu oraz karty pokładowej.

Szczerze mówiąc, nie pamiętam, co na to odpowiedziałem, ale na pewno pomyślałem, że porozmawiamy o tym wszystkim, kiedy wrócę. Że zajmę się tym, kiedy wrócę.

Wtedy chyba nawet byłem przekonany, że mam czas.

Dzień siedemdziesiąty trzeci

Tego ranka, kiedy szliśmy przez miasto, panowała cisza. Z wyjątkiem nierównego stukotu kuli Nathana o chodnik i odgłosu moich własnych kroków znikającego między niskimi bungalowami na przedmieściach. Miałem przeczucie, że dokonamy jakiegoś odkrycia.

Poprzedniego dnia, kiedy załatwialiśmy formalności, zapytałem o Alberta Polora i powiedziano mi, że to samotnik i lokalny kaznodzieja. Zweryfikowali jego nazwisko przy użyciu karty pokładowej. Podobno można było umówić się na spotkanie i jeśli miało się coś na wymianę, to przepowiadał przyszłość. Ciekawe zajęcie, pomyślałem. Czyż nie wszystkie nasze przyszłości są teraz ze sobą nierozzerwalnie związane? Najwyraźniej zawsze były.

Tomi też chciała wybrać się z nami, ale powiedziałem jej, żeby została w łóżku. Częściowo dlatego, że nie chciałem, by Nathan się dowiedział, że wszystko jej opowiedziałem, a po części dlatego, że im mniej świadków tym lepiej.

Znaleźliśmy dom Alberta Polora, tuż obok dwupiętrowego budynku, którego front został prawie całkowicie zabity deskami. Na drewnie namalowano coś białym sprejem. Zapytałem Nathana, co to takiego.

Zatrzymał się i potarł miejsce pod pachą, które stało się obolałe od kuli.

– „Wracam”.

Przez chwilę obserwowaliśmy dom. Trawnik był wyjątkowo dobrze utrzymany. Na zewnątrz ustawiono donice, pomalowane różnymi kolorami, choć oczywiście nic w nich nie rosło. Nie paliły się też żadne światła.

– Prawdopodobnie uciekł – powiedział Nathan, opierając się o mnie. – Gdy usłyszał, że przybył tłum ludzi z hotelu. Co teraz?

– Sprawdzimy i idziemy do domu.

Skinął głową, jakby to był jakiś genialny pomysł, i obaj podeszliśmy do drzwi wejściowych. Nathan położył na nich rękę, po czym energicznie zapukał cztery razy.

Nic się wydarzyło.

Pomyślałem, że rzeczywiście uciekł.

Nathan właśnie wypuścił powietrze, które przez cały czas wstrzymywał, gdy nagle usłyszeliśmy chrobot zamków. A potem drzwi się otworzyły.

Przed nami stał mężczyzna, ubrany w luźne spodnie od garnituru i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Miał bose stopy. Na jego twarzy malował się uśmiech, lecz oczy zaszklone były łzami. Na głowie miał gęstą czuprynę siwych włosów. Jego policzki zwisały luźno, jak u większości mężczyzn po pięćdziesiątce, widać było jednak, że kiedyś miał mocną, kanciastą szczękę.

Nathan nie odezwał się słowem i przez chwilę martwiłem się, że to nie jego ojczym.

Ale wtedy człowiek nazywający siebie Albertem Polorem uśmiechnął się jeszcze promienniej, otworzył szerzej drzwi i powiedział:

– Wiedziałem, że zajmie ci to trochę czasu, lecz byłem pewien, że przyjdiesz.

Wyglądało na to, że zbierał lampy, chociaż tylko jedna lub dwie z nich były włączone. Przypuszczam, że oszczędzał energię elektryczną. Dom wyglądał, jakby kiedyś należał do starszej osoby, i tak też pachniał. Czuć było również psem i pieczeniem. W kuchni, za blokadą dla dzieci, spostrzegłem białego, puszystego samojeda.

Mężczyzna nazywający siebie Albertem Polorem – który tak naprawdę był Haroldem Adlerem – zaprosił nas, żebyśmy usiedli przy jego wąskim stole, podczas gdy on przygotował dla nas czajnik herbaty. Żaden z nas nic nie

powiedział, odkąd weszliśmy do środka. Czekaliśmy w milczeniu. Patrzyłem na krzyż na ścianie i starałem się dostosować do przebiegu spotkania, które całkowicie odbiegało od moich wcześniejszych oczekiwań. Wyobrażałem sobie pościg w lesie, złapanie uciekiniera i pobicie go na śmierć gołymi rękami. Lub utopienie go, co z pewnością zyskałoby wymiar pewnej poetyckiej sprawiedliwości.

Tymczasem czekaliśmy, aż wrócił z zieloną herbatą. Od razu zacząłem ją pić, mimo że była jeszcze gorąca. Po prostu musiałem czymś zająć ręce.

– Przypuszczam, że masz wiele pytań – odezwał się Harold.

– Co ty nie powiesz, **TATO**? Od jak dawna tu jesteś?

– W tym domu nieco ponad dwa miesiące.

– Nie, nie w tym domu! – Nathan zrobił bardziej wyrazisty, bardziej gwałtowny gest.

– Zatrzymałem się na chwilę w pensjonacie, tym z widokiem na plac. Musiałem mieszkać tam chyba przez jakieś dwa tygodnie, negocjowałem wtedy z Balochem sprzedaż hotelu. – Gdy dmuchał na kubek z herbatą, na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. – Słyszałem, że nie przeżył.

– Dlaczego chciałeś go kupić? – zapytałem.

– Przecież wiesz, że to miejsce jest wyjątkowe – odpowiedział. – Tam się właśnie przebudziłem. Jeśli gdziekolwiek miałbym odbudować swoje życie, to tylko tam.

– To miejsce nie jest wyjątkowe – mruknął Nathan. – Miałeś halucynacje i oszalałeś. Tak to pamiętam.

Harold odstawił herbatę i sięgnął przez stół. Nathan wzdrygnął się, ale widąc ten gest ani trochę nie zbił go z tropu, skoro jego ręka pozostawała ciągle na blacie stołu.

– Wiedziałem, że znajdziesz swoją drogę. A ty wiedziałeś, kiedy nadszedł czas na podróż.

– Musieliśmy wyruszyć w tę podróż, tato. Nie mieliśmy wystarczająco dużo jedzenia, aby przetrwać zimę.

– Mam na myśli hotel. Przybyłeś tam na czas.

– Czas na co?

– Na koniec.

Widziałem, że Nathan ma ochotę chlusnąć mu herbatą w twarz.

– Daruj sobie te bzdury. Nie zamierzam tu siedzieć i tego wysłuchiwać. Jak wtedy, kiedy miałem trzynaście lat. Musisz mi, kurwa, powiedzieć, co się dokładnie stało.

– Wiesz, co się stało.

– Co się stało dziewczynce, którą znaleźliśmy w zbiorniku z wodą!? Dlatego nadal tu się ukrywasz, prawda? Dlatego używasz nazwiska zmarłego profesora i udajesz, że teraz jesteś „księdzem”?

– Och. – Wypił łyk herbaty i zabrał rękę. – Cóż chciałbyś wiedzieć?

– Chryste! – wykrzyknął Nathan, zupełnie jak dzieciak.

– Zabiłeś ją? – zapytałem tonem znacznie spokojniejszym, niż się spodziewałem.

– Jeśli chcecie spojrzeć na to w najprostszy sposób, to tak, zabiłem ją. Ale nie była to ofiara, której złożenie przyszło mi lekko. Na koniec nawet ona sama wiedziała, że robię tylko to, co konieczne.

– Kim ona była? – spytał Nathan.

– Nie znam jej imienia, jeśli o to pytasz. Oddzieliła się od rodziców i czekała z boku drogi, zaledwie trzy ulice stąd. Widziałem, że nawet w tym całym zamieszaniu, panice, była całkowicie spokojna. Czekala na mnie, więc zatrzymałem się i ją zabrałem.

Wróciła pamięć ciasteczek i wspomnienie tamtego dnia. Jak spoglądam w lewo i widzę podjeżdżający pod hotel samochód. Jedyne samochód przybywający w odwrotnym kierunku.

– Co masz na myśli, mówiąc, że było to konieczne?

Harold spojrzał na mnie i poczułem się, jakby dotknęły mnie zimne dłonie lekarza. Tylko święci mogą patrzeć na człowieka z wyrazem błogiego spokoju i zrozumienia, podczas gdy gdzieś w głębi szukają jego słabości, pobudek,

powodu, dla którego skończył na ich ołtarzu, oraz sposobu, w jaki mogą go tam zatrzymać.

– Jon – powiedział, bardzo starając się podkreślić, że zapamiętał moje imię. – Jesteś człowiekiem uduchowionym, czuję to. Wiesz dobrze, że jedyną rzeczą, jaka może nas uratować, jedyną rzeczą, jaka może nas ocalić, jest poświęcenie niewinnych. Udajesz, że nie rozumiesz, ale doskonale wiesz, o czym mówię. Wysłuchałeś głosu, który powiedział ci, że nadszedł czas na podróż.

Odkaszlnąłem i powiedziałem:

– Brałem udział w konferencji.

– Zabiłeś tę dziewczynkę, tato? Do tego doprowadziło cię szaleństwo? Znikasz na dziesięć lat, bo miałeś wizje jak po kwasie, a potem poświęcasz dziewczynkę, żeby uratować świat? – Nathan rozłożył ręce.

– Jak ją zabiłeś? – wtrąciłem. Nie mogłem się powstrzymać, mimo że sprawa nie dotyczyła mnie.

– Nie chciałem, żeby cierpiała, musicie mnie zrozumieć. Zanim weszła do wody, dałem jej tabletki nasenne, dużo tabletek nasennych. Nie urządziłem żadnej ceremonii, nie było na to czasu. Nie było to więc idealne poświęcenie, ale przecież nie mogłem wrzucić jej do zbiornika, żeby po prostu utonęła. Nie jestem potworem.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie było czasu? – zacząłem drapać oparcie mojego krzesła. – Czasu na co?

– Żeby nas uratować.

– Skąd wzięłeś pigułki?

– Zamknij się! – wrzasnął na mnie Nathan. – Przepraszam, stary, ale, kurwa, zamknij się! Po prostu przestań mówić! I wow, tato! – Roześmiał się, ponownie zwracając się do Harolda. – Żeby nas uratować? Naprawdę? I jak ci się to udało? Jak bardzo ocalony teraz jesteś?

– Jesteśmy.

– Nie! Nie możesz ot tak, po prostu, powiedzieć, że przeżyliśmy, ponieważ kompletnie ci odbiło. Nie możesz ot tak, po prostu, patrzeć na wschodzące

słońce i mówić sobie: „To dzięki mnie”. Tak to nie działa!

– Ludzie, którzy byli gotowi na zbawienie, zostali uratowani. Czystość serca i duszy została uratowana. Ci, którzy pili święconą wodę, zostali uratowani. Głosi to każdy fragment Pisma Świętego mówiący o Dniu Sądu Ostatecznego.

– Dlaczego więc tu jesteś? – Nathan warknął z drugiej strony stołu. – Jeśli morderstwo jest grzechem i wszystkie te bzdury, to dlaczego nadal tu jesteś?

Harold uśmiechnął się, ale początkowo swój uśmiech skierował do mnie.

– Widziałem własną śmierć, tak jak widziałem własną podróż. Nie tylko ona złożyła ofiarę. Ja również. Nie powiedziałem, że zostanę tu na długo.

– To dlaczego używasz fałszywego imienia? Miałeś nadzieję, że śmierć cię dzięki temu nie odnajdzie? Że pójdzie gdzie indziej? – powiedział ze złością Nathan, podczas gdy kilka łez popłynęło mu z oczu.

Pauza.

– Może. Może tak sądziłem.

Czułem się, jakby ta rozmowa przykuła mnie do krzesła, uwięziła mnie. Absolutnie nie miałem pojęcia, co robić. Oto człowiek, którego szukałem. I kiedy teraz siedział przede mną, nie wiedziałem, co robić. Odstawiłem pusty kubek po herbacie.

Cisza trwała wystarczająco długo, na tyle długo, że odważyłem się odezwać.

– Widziałeś własną śmierć... Czy możesz więc zobaczyć przyszłość? – zapytałem.

– A co masz? – odpowiedział – Przyjmuję datki.

Nathan, który jakby obudził się z transu, przetarł oczy i wykrzyknął:

– Jon, to jest popieprzone!

– Nie, zrobię to. Powiedz mi. – Wyjąłem z kieszeni resztkę cukierków Sophii, wciąż były zawinięte w papier. Przesunąłem je po stole w jego kierunku. Zostały może ze trzy sztuki. – Przepowiedz mi moją przyszłość.

Wziął je i natychmiast zabrał do kuchni, gdzie biały pies zaczął ujadać na widok swojego właściciela. Kiedy go nie było, Nathan i ja wymieniliśmy spojrzenia.

Nie rozmawialiśmy o tym, co zamierzamy zrobić. Zgłosić się do władz miasta i mieć nadzieję, że wyzna im dokładnie to samo? Liczyć na to, że wszystko zostanie potraktowane poważnie, bez żadnych dowodów, nazwisk, a nawet ciała? Jedyną możliwością było zabicie tego mężczyzny w jego własnym domu. Można było na zimno go zastrzelić i zmierzyć się z niemal pewnym wygnaniem.

Może powodem, dla którego Harold był taki spokojny, było to, że doskonale wiedział, że nic nie możemy zrobić.

Harold wrócił do jadalni z dużym pustym akwarium i włożył do niego gumowy wąż podłączony do jednego z kuchennych kranów.

Bałem się o cokolwiek zapytać, więc Nathan to zrobił:

– Po co ci to?

– Zajrzyj do wody, w której został ochrzczony człowiek, a jego grzechy zostaną ci objawione. I jego przyszłość. – Zjadł jednego cukierka, a potem poszedł odkręcić wodę w kranie. – Synu, chciałbyś być pierwszy?

– Nie, dziękuję.

– Ja to zrobię – powiedziałem, zdejmując okulary.

– Zostałeś już wcześniej ochrzczony. – Harold wyciągnął rękę. – Chodź więc.

Patrząc wstecz, nie wiem, czego się wtedy spodziewałem. Wiedziałem, że mógł mnie utopić, ale wtedy nie byłem już całkowicie przekonany, że w ogóle mogę umrzeć. Pieprzyć to, pomyślałem. Powiedz mi moją przyszłość. Przekonaj mnie, że istnieje. Proszę, przekonaj mnie.

Położyłem obie ręce na stole i spojrzałem w stronę akwarium. Nathan odsunął od nas swoje krzesło, patrząc z otępiałym przerażeniem.

Harold podciągnął rękawy jeszcze bardziej i powiedział:

– Pamiętaj, że zobaczysz tylko to, co możesz zobaczyć. Cokolwiek chcesz ujrzeć, musisz być gotów na uwolnienie tego do wody.

– Jak mam to zrobić?

– Dotarłeś aż tutaj, ponieważ to, co zobaczyłeś w wodzie, pokazało ci drogę. Jestem pewien, że nic ci nie będzie.

Spojrzałem na niego. A on spojrzał na mnie.

– Czy jesteś gotowy? – zapytał.

Skinąłem głową i położył mi obie ręce na ramionach, po kręgosłupie przeszły mi ciarki.

– Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i S...

Wszystko wokół ucichło, ponieważ moja głowa została zanurzona w lodowatej wodzie. Próbowałem oprzeć się o krawędź akwarium, ale czułem się, jakbym miał łokieć wciśnięty w szyję. Byłem za bardzo pochylony do przodu. Nie miałem żadnej dźwigni i w pewnej chwili zupełnie straciłem oddech. W płucach nie miałem już tlenu, a potem zacząłem mieć wrażenie, że dławię się własnymi narządami. Klatka piersiowa jakby ulegała zmiażdżeniu, a w gardle miałem pełno wody. Otworzyłem oczy. Było o wiele ciemniej, niż się spodziewałem.

Zobaczyłem tę chwilę, kiedy ostatni raz byłem całkowicie zanurzony w wodzie. Wyczułem żółtą sukienkę dziewczynki, dziewczynki, która nie miała już imienia, ale która mnie tu przywiodła. Zastanawiałem się, czy doświadczam jej ostatnich chwil, klatka po klatce... Otworzyłem usta, by krzyknąć, wciągnąłem wodę w płuca i gdy przestałem czuć nacisk na ramiona, podskoczyłem w górę.

Mizerne światło jednej z lamp oślepiło mnie w chwili, gdy wyskoczyłem z wody i złapałem oddech. Opadłem na krzesło, wylewając kaskady wody na podłogę.

Harold trzymał moją prawą rękę i ramię w mocnym uścisku. Gdy jęknąłem i wyplułem wodę, obaj nachylili się nad stołem, jakbyśmy siłowali się na ręce lub po prostu obejmowali.

– Miałem swoje chwile zwątpienia, jak każdy człowiek – powiedział Harold, podnosząc głos, podczas gdy ja nadal walczyłem o oddech. Nasze twarze były bardzo blisko siebie. – Ale tylko Bóg mógł wysłać tak godnego przeciwnika do moich drzwi. Aby okazać moją wdzięczność, powiem ci, co powinieneś wiedzieć.

Próbowałem się wyrwać, ale on przyciągnął mnie jeszcze bliżej i powiedział mi prosto do ucha:

– Masz w sobie wewnętrzny konflikt, ale wiesz, że twoje miejsce jest teraz tutaj. Twoja podróż nie może polegać na cofaniu się. Posłuchaj mnie, Jon. Dziękuję, że pomogłeś mojemu synowi znaleźć drogę do mnie. Musisz wiedzieć, że one są wolne. Nie chcą, żebyś wracał!

Usłyszałem tępy odgłos, jakby samochód uderzył w dziecko. Wydobyłem się z jego uścisku i padłem na podłogę. Wyciągnąłem rękę, ale nie mogłem znaleźć okularów. Pies szczekał, przeraźliwy hałas wypełniał cały pokój. To było wszystko, co mogłem usłyszeć. Przetarłem oczy i kontynuowałem rozpaczliwe łapanie powietrza, biorąc nierówne wdechy, podczas gdy po drugiej stronie stołu widziałem Nathana, jak unosi metalową kulę ponad głowę i opuszcza, unosi i opuszcza, i tak wiele, wiele razy.

Nadal kasłałem, bolała mnie cała klatka piersiowa, gdy walczyłem o życie, wdychając i wydychając powietrze. Wszystko, co wtedy słyszałem, to ujadanie psa, któremu towarzyszył jeden widok: Nathana, który zatłukł swojego ojca na śmierć w kałuży wody.

Dzień siedemdziesiąty trzeci (2)

Wziąłem ze sobą samojeda. Wracaliśmy powoli, smycz miałem owiniętą wokół lewego nadgarstka. Pies wydawał się w ogóle nieporuszony śmiercią swojego pana. Albo Harold nie był prawdziwym właścicielem tego psa, albo po prostu psy zawsze były bardziej niestałe w uczuciach niż my, ludzie, chcielibyśmy w to wierzyć.

Nathan musiał wesprzeć się na mnie, bo zostawił kulę na podłodze w jadalni.

Za nami tworzył się ślad wody i, co nie było dziwne, przeszliśmy zaledwie dwie przecznice, a już podjechał do nas samochód patrolowy. Zapewne dlatego, że ja wyglądałem jak człowiek, który prawie się utopił, Nathan zaś jak człowiek, który właśnie popełnił morderstwo, a obaj jak złodzieje, którzy ukradli psa.

Nathan nie pozwolił mi brać winy na siebie. Złożył zeznanie i napisał oświadczenie, więc zostałem zwolniony. On nie. Kiedy mnie puścili, zapytali, dlaczego zabrałem psa. Powiedziałem, że nie chciałem, żeby pies zjadł ciało. Pozwolili mi więc zabrać samojeda do domu, który dzieliłem teraz z Robem. Powiedzieli również, że muszę przyjść do nich następnego dnia i złożyć własne oświadczenie. Najpierw jednak zalecili, żebym udał się do szpitala, żeby tam ktoś obejrzał mój ząb. Pewnie dlatego, że kobieta, która nas podwoziła, zauważyła, że nie mogę przestać pocierać szczęki.

Wszedłem do domu, a Tomi, która czekała w salonie, spytała mnie, co się stało.

– I co to za pies?

Machnąłem ręką, żeby dała mi spokój, i powiedziałem tylko, że muszę się umyć i zmienić ubranie. Następnie zamknąłem się w łazience na piętrze, gdzie była bieżąca woda, i zastanawiałem się, co takiego się właśnie stało. Przez długi czas nie mogłem się zmusić, by spojrzeć na swoje odbicie. Wiedziałem, że moja szczęka jest lekko opuchnięta i ten symptom wizualny z jakiegoś powodu bardziej mnie niepokoił niż ból, z którym miałem codziennie do czynienia. Usiadłem w wannie z gorącą wodą i położyłem telefon na krawędzi.

„Nie chcę, żebyś wracał!”.

Zanurkowałem i wstrzymałem oddech, mając nadzieję, że coś mi się znów ukarze albo że przynajmniej ból w mojej szczęce się trochę zmniejszy. Ale słyszałem tylko szum z kranów i grzechotanie zasuwek.

Wynurzyłem się i spojrzałem w stronę drzwi, lecz nie było w nich żadnych zasuwek. Tylko jeden przekręcany zamek.

Najwyraźniej ten szalony człowiek nie ocalił świata, poświęcając niewinną dziewczynkę na dachu, w miejscu, w którym miał halucynacje o tym, że zło w czystej postaci wyłazi z jego piersi. Najwyraźniej. Być może rzeczą, którą trzeba wziąć pod uwagę, a o której on nie pomyślał, jest to, że świat się wcale nie skończył. Bo gdyby świat się skończył, nie byłoby nas tutaj, żyjących, rozpaczających i piszących o tym każdego dnia. Koniec świata to dość pocieszająca koncepcja, ponieważ – teoretycznie – nie musielibyśmy jej przeżyć. Może tym, co nas najbardziej w tym wszystkim wkurwiało, było nie to, że musimy sobie poradzić z końcem świata, ale to, że musimy poradzić sobie z faktem, że świat się jednak nie skończył.

Zakończenie jest łatwe. Ale budzenie się codziennie rano, poranek po poranku, nie jest już takie proste. Naprawa i przebudowa również nie są proste. Myślę, że właśnie dlatego byłem tak zły, tak bardzo zdesperowany, że niemal uwierzyłem w paranoiczną teorię Adama o czyścicu. Dlatego chciałem uwierzyć, że dziewczynka w zbiorniku na wodę umarła z ważniejszego powodu niż zwykła ludzka przemoc.

Zamiast zakończenia zaoferowano nam dalsze życie.

I nie wiem, jak się z tym pogodzić.

Do mojej skrzynki odbiorczej na Twitterze właśnie przyszła jakaś wiadomość. Usiadłem, żeby ją przeczytać, ścierając mgłę z ekranu.

Była to odpowiedź od Nadii, która brzmiała: „Proszę, nie próbuj wracać”.

Jon Keller przez kilka dni nie uzupełniał swojej kroniki z powodu poważnej infekcji szczęki, spowodowanej przez nieleczony ząb. Ząb ten został już usunięty. W tej chwili nie mamy pewności, czy Jon Keller dojdzie do siebie.

W dużej mierze stanowisko autora jest poprawne, choć zdarza się, że czasami nieco się myli. Większość wydarzeń przedstawionych w poszczególnych częściach tego tekstu znajduje odzwierciedlenie w moich zapiskach, choć czasem, bardzo rzadko, nasze wersje wydarzeń różnią się od siebie. Co więcej, niezależnie od tego, czy profesor Keller nadal będzie prowadził swoje zapiski, czy nie, postanowiłam przekazać cały dokument jako dowód na obronę Nathana Chapmana Adlera.

Kiedy zostanie wydane oświadczenie w tej sprawie, dołączę je tutaj, oznaczone jako Załącznik A, aby praca nie straciła nic na swej dokładności i kompletności.

Tomisen Harkaway